

Cetnarowski Ciećwierz Kańtoch
Majka Nowak Protasiuk Skalska
Strzeszewski Szyda Truchan Wójtowicz

Rok po końcu świata

pod redakcją Sławomira Spasiewicza



Antologia

Rok po końcu świata

EMIL STRZESZEWSKI

Iskry w wodzie

And I find it kinda funny

I find it kinda sad

The dreams in which I'm dying

Are the best I've ever had

I find it hard to tell you

I find it hard to take

When people run in circles

It's a very, very mad world.

Tears For Fears, Mad World

Na wysokości pięciu tysięcy milimetrów usiadliśmy i pozwoliliśmy sobie na

chwilę odpoczynku. Wysokościomierz mógł co prawda kłamać (już kilka razy zdarzyło

mu się popsuć), jednak to nieistotne. Te pięć tysięcy mogło się znajdować sto milimetrów nad nami bądź pod nami. To tylko punkt. Symbol. Byliśmy już tak blisko celu!

Choć to ja byłam młodsza, puściłam Dixie przodem, by znalazła odpowiednie

miejsce na obóz. Coraz rzadziej widywałam ją tak zadowoloną. Wspinaczka była wyczerpująca, a ona, choć nie należała do słabych, to jednak mocno odczuwała trudy wyprawy. Teraz jednak była ożywiona, radosna i podniecona.

— Rozłożymy wszystko? — Podbiegła, by zapytać. Nie potrafiłam odmówić. Za

każdym razem spalałam się w tym jej pięknym spojrzeniu. Jej naiwne, figlarne oczy

były niczym pochodnie. Nikt nie mógłby pozostać obojętnym wobec takiego wzroku.

Gdy tylko rozstawiłyśmy namiot, odkorkowałam świeczkę. Woda wypełniła naczynko i zmieszała się z pyłem. Potrząsnęłam. Nic się nie stało. Świeczka była stara,

a korek zdążył już spleśnieć. Obawiałam się, że się nie zapali. Zostało nam niewiele

sprzętu, strata nawet jednej świeczki mogła być bardzo odczuwalna.

Na szczęście plyn wreszcie się naświetlił. Zielonkawy, miły i ciepły blask rozszedł się po rękawie namiotu. Odetchnęłam z ulgą, a Dixie uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zdążyłam już zapomnieć, jak wyglądają jej zęby i było mi z tym dobrze.

– No już, Nina, nie smuć się! – Dała mi kuksańca w ramię.

– Jestem po prostu zmęczona – odparłam.

– Ale cieszysz się, prawda?

– Tak, kochanieńka, cieszę się.

Objęła mnie mocno. Pogładziłam jej siwe włosy najczulej, jak potrafiłam. Nie było to proste. Dłonie miałam zdarte do krwi i każdy dotyk palił do żywego. Nie bolały podczas wspinaczki, ale gdy tylko przestawały czuć orzeźwiający chłód skał, wszystko wracało. Tak czy owak czułam wytchnienie i na swój sposób cieszyłam się. To już nie-
długo, jeszcze tylko tysiąc milimetrów, a będziemy na miejscu.

Dixie zerwała się energicznie i wypadła z namiotu. Nie zdążyłam zareagować.

Usłyszałam tylko:

– Poszukam czegoś do jedzenia!

Położyłam się. Przecież odpoczynek to odpoczynek.

* * *

Wróciła z dwoma dorodnymi glonami. Wyglądały apetycznie. Wesole, rozbiegane oczka staruszki wyłapały to i wypełniły się dumą.

– Dużo się nauczyłam, prawda? – spytała, oczekując pochwał. To zadziwiające, jak bardzo była próżna.

– Całkiem, całkiem – odpowiedziałam z rezerwą.

To była prawdziwa uczta. Na szlaku straciliśmy większość sprzętu kuchennego, w tym garnki oraz podgrzewacze proszkowe, ale przypomniałam sobie stary przepis. Nie był zbyt wymagający, wystarczyły do niego akcesoria, które wciąż miałyśmy. To była specjalność Goldie, mojej dobrej przyjaciółki, która wspięła się na sześć tysięcy na długo przede mną – w czasach, gdy spadały do nas jeszcze Monety.

Prowizoryczną kuchnię ustawiliśmy na dwóch wysokich kamieniach, a pomiędzy nie, jako paliwo, powtykałyśmy odpilowane kawałki czarnego dębu. To najbardziej wydajne drewno na tej wysokości, choć trudne w obróbce. Twarde i wytrzymałe, ciężkie. Wystarczy je jednak ponacinać tu i ówdzie, żeby lepiej oddawało ciepło, potem posypać naświetlaczem, resztę zrobi już woda. Zareaguje z proszkiem, który natychmiast się wypali, podgrzewając drewno. Gorąca para ogrzeje zaś garnek.

– Chcesz zagrać w misie-patysie? – spytałam.

Dixie nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła przebierać chrust. Znalazła kilka patyków, ale szybko pobiegła w stronę ściany, by odłamać kolejne gałęzie. Miło było patrzeć, jak tak biega. Niezgrabnie się miotła, zaglądając to tu, to tam, pozwalając mi w spokoju zająć się przygotowaniem wszystkiego pod kuchnię polową.

Otworzyłam butelkę sproszkowanego rumu, który momentalnie rozcieńczył się w odpowiednich proporcjach z wodą. Upiłam solidny lyk. Od razu poczułam się lepiej.

Ból w palcach przygasł, a mięśnie karku rozluźniły się. Zakorkowałam butelkę i po-
ciągnęłam za wajchę odsączającą. Nadmiar wody wypłynął. Jeśli rum, to tylko ze świeżą aqua.

Rzuciłam pierwszy patyk – poskręcany, stary, ciężki. Leciał chwilę, a gdy zaczął wyhamowywać, oznajmiłam:

– Spadnie.

Tak też się stało.

– Punkt dla mnie – powiedziałam.

Staruszka złapała pierwszy lepszy kijek i nie zastanawiając się, wzięła potężny zamach, a potem cisnęła go w dal. Zanim zdążył się zatrzymać i zawisnąć, wykrzyknęła:

– W górę!

Poleciał jednak w ślad za poprzednim – w otchłań.

– Nie zgaduj – pouczyłam Dixie. – Gdy chwytasz, mniej więcej wiesz, jak ciężki jest patyk, więc możesz przewidzieć, co się stanie. Reszta to przypadek. Trafi na wir i nigdy nie wiadomo. Ale to rzadkość. Poćwiczyłabyś, to byłoby ci łatwiej.

– Nie potrafisz się w to bawić – skwitowała. – Tu nie chodzi o to, żeby wygrać, ale żeby grać!

Popatrzyłam na nią zdziwiona. Nie była wiele starsza ode mnie, a zdążyła bardzo zdziecinnieć. Czy dożyje tego pięknego dnia, w którym wreszcie obudzi się we mnie dziecko?

– Wiesz, jak się wróży z misi-patysi? – spytałam.

Nadstawiła uszu.

– Jak?

– Wybiorę kijek na ślepo. Rzucę nim gdzieś, nie wiem, w którym kierunku. Jeśli wleci w górę, będzie to znak, że dojdziemy na szczyt.

– A jeśli spadnie?

– To będzie znaczyło, że lepiej, byśmy wróciły do domu, Dixie.

Usiadła naprzeciwko mnie. W wyobraźni słyszałam już każde pytanie, jakie mogła mi zadać. Przygotowałam się na to. Zawczasu ułożyłam sobie odpowiedzi. Może to ostatnia okazja, by zawrócić. Goldie, zanim wyruszyła na swoją wspinaczkę, zwrzynała mi się, że wcale tego nie pragnie. No cóż, żadna z nas tego nie chciała...

Jednak Dixie po prostu przymknęła powieki w sposób, którego sensu nie pojęłam, po czym odparła:

– Rzucaj.

Zamknęłam więc oczy, pogrzebałam w stosiku i gdy wreszcie patyk sam wpadł mi w dłoń, wyszarpnęłam go i rzuciłam byle gdzie, byle dalej.

Wystarczył mi jej uradowany wyraz twarzy, żeby wiedzieć.

Idziemy dalej. Na szczyt.

* * *

Po ciepłej nocy nastał zimny ranek. Włoski na ramionach stawały dęba i jedyne, czego sobie życzyłam, to wrócić do rozgrzanego pośłania. Poczekałam więc na zewnątrz namiotu, aż mróz przesyje mnie do szpiku kości. Dopiero wtedy odważyłam się ruszyć i zrobić śniadanie z resztek wczorajszej wierzery.

Obie zachowywałyśmy się trochę nerwowo. Trzy razy sprawdzałam swój plecak, potem trzykrotnie przeszukałam worek Dixie. Kiedy złożyłyśmy namiot, ja jeszcze raz przejrzałam pakunki.

Wszystko to, żeby jak najdłużej zostać na tym przytulnym występie skalnym.

Zawsze żał nam było opuszczać półkę, na której nocowałyśmy. Ustronną, zaciszną... Mały skrawek jako takiej pewności, dający schronienie i wytchnienie. Pewniejszy niż ciągła wędrówka.

Liny były wysłużone, ale nie groziły zerwaniem. Na hakach za to nie było żadnego śladu użytkowania. Jeszcze spadochrony – samopompujące się wodą; po pociągnięciu za sznurek, opóźniały spadanie, pozwalały na wystrzelenie liny z zamo-

cowanym do niej hakiem z pistoletu przy pasku. Wydawało się, że i mój, i Dixie są w dobrym stanie.

* * *

Ruszyliśmy. Czekał nas długi i trudny odcinek. Ściana pięła się wręcz pionowo i była gładza niż wcześniej. Co kilkadziesiąt milimetrów widać było małe wgłębienia, idealne, by zarzucić na nie haki z linami, jednak wiedziałam, że nie mogę polegać tylko na tym. Drugą opcją była męcząca wspinaczka i wczepianie uchwytów do samoasekuracji. Na szczęście Dixie była silna jak na swój wiek. Już dwukrotnie uratowała mi życie, gdy spadałam w otchłań.

Po pierwszych sześćdziesięciu pięciu milimetrach umierałam ze zmęczenia i tylko siłą woli wciągnęłam się w małą pionową szczelinę. Mięśnie paliły żywym ogniem, a nogi ugiwały się w kolanach. Wspinaczka jeszcze nigdy nie była tak trudna. Przykucnęłam. Pomachałam ramionami, by rozluźnić ręce.

Kilka milisekund potem patrzyłam w równie zmordowaną twarz towarzyszki.

– Powierzchnia jest jak szklanka – poskarżyła się, ocierając pot z czoła. – Za gładka...

– Spójrz dookoła – poleciłam. – Po obu stronach mamy rynnę w górę.

Rozejrzała się i wybąkała ze zdziwieniem:

– Rzeczywiście. Pójdziemy nimi? Łatwiej będzie.

– Uhm. – Przytaknęłam. – Pamiętasz, jak się to robi? Wchodzisz do środka i chwytasz się przeciwległych ścian, jakbyś odpychała je od siebie. Dzięki temu jest stabilniej.

Pokiwała głową ze zniecierpliwieniem. Wiedziała, że zna procedurę. Miała wspinaczkę we krwi, tak jak ja. Tam, na dole, wykpiłaby mnie, być może nawet obraziłaby się. Teraz jednak byłyśmy na siebie skazane i rozumiała to.

– Od jednej rynny do drugiej jest tak daleko jak od naszych domów do Świątyni – zauważyła.

Pierwszy raz podczas naszej wędrówki wspomniała o domu.

Tam na dole, w Mieście, mieszkaliśmy prawie obok siebie. Oddzielała nas tylko wysoka rezydencja burmistrzynie Vickie – najmłodszej z nas, ale i najstarszej ze wszystkich dotychczasowych na jej urzędzie. Bezpośrednio z ulicy wychodziło się na duży okrągły plac, na którego środku stała ogromna, mieniąca się złoto budowla, skonstruowana ze spadających na dno Monet.

– Powinnyśmy iść dalej – zaproponowałam. Dixie wzięła głęboki oddech i zdusiła kolejne uwagi, jakie miała na końcu języka. Ruszyliśmy w stronę rynny.

* * *

– Jest coraz trudniej – usłyszałam. – Dojdziemy?

– Fortuna kołem się toczy – odpowiedziałam starym przysłowiem. Lubię przysłowia. To idealne odpowiedzi na każde pytanie. Gdy nie wiadomo, co powiedzieć, najlepiej przypomnieć jakąś sentencję.

– Niech i dla nas zatoczy więc koło. – Dixie zrewanżowała się porzekadłem, które zawsze wydawało mi się niemądre.

Nie mogłyśmy zasnąć. Tu, na pięciu tysiącach dwustu milimetrach było zimniej, niż się spodziewałyśmy. Tuliłam przyjaciółkę i wsłuchiwałam się w rytm jej serca. Biło szybko, niespokojnie, ciężko.

– Opowiedz mi bajkę – poprosiła łamiącym się głosem.

Nic nie przychodziło mi do głowy. Nie znalazłam wielu bajek. Nigdy nie zajmowałam się staruszkami i nie do końca wiedziałam, jak należy z nimi postępować. Zresztą nie miałam ochoty nic mówić. Byłam wykończona. Oczywiście było jednak, że Dixie nie da mi spokoju.

– Dawno, dawno temu – zaczęłam – w czasach poza czasem i w świecie poza światem, nie istniały takie jak my. Były to zimne lata, zimniejsze niż teraz. Tak mroźne, że żaden ogień nie płonął, a wszyscy żyli w ciemnościach i strachu. Liczyło się tylko przeżycie. Była to epoka, w której szczęście toczyło się zbyt daleko, więc nikt nie zdawał sobie nawet sprawy z jego istnienia.

Dixie ścisnęła mocno moją dłoń. Na pewno słyszała tę legendę tysiąc razy, opowiadano ją przy każdej okazji – na festynach, w domach. Nie przerwała jednak. W namiocie, przyczepionym do ściany za pomocą lin przywiązanych do haków, wisiałyśmy, próbując się ogrzać. Nie było żadnej półki, pozostawało jedynie nocować, wisząc, za poduszkę mając ogromną przepaść zasłoniętą przez cienką warstwę namiotowej płachty.

– Szczęście omijało ten zakątek z daleka. Rozlewało się na inne krainy, ukwiecając je i bogacąc. Jednak wreszcie zajrzało i tutaj. Zmiany były widoczne na pierwszy rzut oka. U góry zabłysło światło, a jego promień ogrzał ziemię. Z początku każdy się bał. Wszystko, co żywe, uciekało do głębokich szczelin, obawiając się oparzeń. Tylko dwie istoty miały to za nic. Były podobne do nas, tylko znacznie większe. Chodziły na dwóch nogach, a ciała ubierały w futra.

Wszyscy ustępowali im z drogi, bo byli urodzonymi myśliwymi. Niezwykła uroda zakrywała dusze nietoścowych łowców. Choć ślepi, słuch mieli dobry, a węch doskonały. Najgroźniejsze istoty, jakie znano.

To byli dwaj bracia. Mieli potężne mięśnie oraz czyste umysły. Razem polowali, bezszelestnie i kunsztownie. Nie potrafiły im umknąć żadne zwierzęta. Korzystając z siły własnych mięśni oraz sprytu, budowali szałas, z których wyruszali na łowy.

Warczeli na siebie, bo nie znali jeszcze słów.

To ich wybrała Fortuna. Dwóch ślepców.

Będąc pewnego razu w głębokim wąwozie, w którym poszukiwali wody, bracia wymacali na ziemi dwa złote krążki. Leżały w glinie, przykryte połamanymi gałęziami.

Wąwóz był suchy, ale węch zdradzał, że gdzieś w pobliżu znajduje się źródło.

Pierwszy z braci podniósł jedno znalezisko i nagle w jego sercu zrodziło się gorące pragnienie. Nie było ono podobne do niczego, czego wcześniej zaznał, nie pragnął bowiem jedzenia ani picia, nie pragnął niczego, co było mu niezbędne.

Gdy wziął krążek w dłoń, uzmysłowił sobie, że nigdy nie widział swojego brata.

Drugi brat chwycił kolejny przedmiot. On także odkrył coś nowego. Jego oczy zapłonęły blaskiem i po chwili zobaczył po raz pierwszy świat. I swojego brata stojącego przed nim.

Przestraszył się. Jego węch stępsiał, a słuch osłabł. A przed nim kucąca jakaś czarna postać, włochata i prawdziwie przerażająca.

Pierwszy tymczasem poczuł, że brata coś przestraszyło. Otworzył usta, by warknąć, przywołać go do siebie, jak zwykł to robić wcześniej. Zamiast tego z jego gardła wypadło coś innego. Pierwsze słowo:

– Bracie?

Uklęknął, wzruszony. Jego ciało płonęło od wewnątrz. Zrozumiał, że otrzymał prawdziwy dar i wiedział, że musi się nim podzielić. Wyciągnął rękę do brata, ale

chwycił tylko powietrze.

Drugi z braci zrobił to, co zawsze, gdy był przerażony. Chwycił kamień i cisnął nim w głowę napastnika. Trafił, a krew polala się na ziemię. Rozjuszony, w jednej chwili dopadł swoją ofiarę, uderzył pięścią. Jego brat zwałił się na ziemię.

Dygotał jeszcze, gdy napastnik, widząc agonię stworzenia, w którym teraz rozpoznał swego pobratymca, poczuł okrutny ogień rozchodzący się po trzewiach. Na ziemi dostrzegł krążek, podobny do tego, jaki sam znalazł, wspaniale mieniący się w słabym świetle. Podniósł go.

Wtedy przyszło do niego wszystko to, co przed paroma chwilami odczuwał jego brat – tęsknota, szczęście i zrozumienie. Podbiegł do konającego i wziął go w ramiona.

– Bracie – powiedział wzruszony, pełen wyrzutów sumienia. – Przepraszam.

Gdy pierwszy wreszcie wyzionął ducha, poczucie winy spadło na drugiego z całą mocą. Nigdy wcześniej go nie czuł, nie podejrzewał nawet, że mogą istnieć takie emocje. W ten sposób otrzymał dwa dary – wzrok, dzięki któremu mógł lepiej polować, i serce, które podpowiadało mu właściwą drogę.

Wziął oba krążki i złączył je ze sobą. Na pierwszym widniało drzewo, na drugim orzeł. Nazwał całość Monetą, a jej dwie strony – awersem oraz rewersem.

Wtedy, jako pokutę za zbrodnię, wykopał studnię i sprowadził w to miejsce podobnych sobie. Opowiedział o wszystkim, a potem wyraził szczerzy żal. Podał im Monetę, by zrozumieli. Wybudowano tam miasto, a studnia napełniła się wodą. Od tamtej pory do studni wrzucano Monety, na pamiątkę dawnych zdarzeń. Za każdym razem wypowiadano przy tym życzenie.

W ten sposób stworzono nas. Mnie i ciebie. I za każdym razem, gdy ktoś wrzuca Monetę do studni, jedna z nas wspina się na górę, by spełnić czyjeś pragnienie.

– Tyle razy wspinałyśmy się na szczyt, gdy spadał krążek... Myślisz, że ta legenda jest prawdziwa? – spytała Dixie po długim milczeniu. – Kiedyś w nią wierzyłam.

– To wielka tajemnica, kochanie – odpowiedziałam. – Nie wiem, co naprawdę jest na górze. Ale musimy się wspinać. Wydaje mi się, że to właśnie sens naszego istnienia.

Nie wiem, czy mnie zrozumiała. Nie wiem, czy sama siebie rozumiałam.

Zmęczone, usnęłyśmy snem pełnym marzeń. Oraz wątpliwości.

* * *

– Tam na dole jest dziś festyn – zagaiła Dixie, przysiadając w malej, płytkiej wnęce. Była blada, a ręce jej drżały. To z zimna. Ściana była lodowata, nie pomagały nawet rękawice.

– Tańczą wokół świątyni i palą ogień – dodałam, mocując się z hakiem, który nie chciał wyjść. Musiałam go wyszarpnąć. Nie pozostało nam wiele sprzętu.

– Może napiszemy list?

– List?

– No wiesz, wsadzimy do butelki i zrzucimy na dół.

– Po co?

– Żeby wiedzieli, co z nami.

– To jakaś zabawa? – spytałam. – Wymyśliłaś nową rozrywkę?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Wydaje mi się, że się martwię.

Popatrzyłam na nią, gotowa odmówić, ale uległam. Tęskniła za domem i chciała

do niego wrócić. Jednocześnie nie potrafiła zrezygnować z wędrówki. Zrozumiałam, że

ten list jest nie dla nich, lecz dla niej.

– Napisz, potem go zrzucę – zaproponowałam.

Zabrała się do tego z werwą. Wyjęła z torby kilka odpowiednio elastycznych liści oraz kolkę. Po chwili tatuowała słowa. Rozejrzałam się po okolicy, ale nigdzie nie dostrzegłam niczego, czym mogłabym podważyć hak. Policzyłam więc resztę ekwipunku.

Niewiele tego. Bardzo mało. Konieczne będą dłuższe postoje, a to opóźni wspinaczkę.

Zastanawiałam się nad techniką, która pozwoliłaby na szybszą podróż, ale

wszystko, co przychodziło mi na myśl, było zdecydowanie bardziej niebezpieczne. Do

liny można przywiązać jeden hak, potem zaś zarzucać go wyżej, a następnie wspiąć

się po nim. Bardzo ryzykowna rzecz, bardzo męcząca, a na dodatek właściwie żadnej

asekuracji. Jakby tego było mało, wymagało to mnóstwo wytrwałości i siły. Ja nie mu-

siałam się martwić, ale Dixie nie wyglądała na kogoś, kto zdoła długo wędrować w ten

sposób.

– Ciekawe, czy ktoś za nami idzie? – spytała, nie odrywając wzroku od kartki.

– Czemu miałby iść za nami?

– Nooo... – zawahała się. – Może spadły kolejne Monety?

Zaśmiałam się.

– Od dłuższego czasu nie było żadnych Monet.

– Jesteś pewna?

Byłam zdenerwowana. Męczyło mnie jej gdybanie.

– Posłuchaj – wrzasnęłam. – Nie wiemy nawet, czy tam na górze coś jest. Nie

wiemy, czy rzeczywiście ktoś zrzuca Monety. Pamiętasz, co mówiły nasze poprzedniczki? Że zawsze, gdy spadała Moneta, któraś z nas wiedziała, że powinna się wspi-

nać. Czuly to. Każda. A gdy spadły tamte dwie? Czulaś coś? Ja zupełnie nic!

Dixie nie patrzyła na mnie. Rozczarowana, ścisnęła kolkę, aż bielaly jej piąstki.

– Wspinam się, bo wylosowałam najkrótszą słomkę. Tak jak i ty. Idziemy na

szczyt z przypadku. Ktoś musiał.

Pociągnęłam hak raz jeszcze, z całej siły. Ani drgnął. Zrezygnowana i zła usia-

dłam obok towarzyszki. Poklepałam ją po ramieniu, ale odsunęła się.

– Życie to nie bajka – skwitowałam.

Fuknęła obrażona.

– Napisałaś ten list?

Bez słowa podała mi liść. To było raptem kilka zdawkowych słów.

Włożyłam wiadomość do butelki, zakręciłam i odsączyłam wodę, by nie zmyła

atramentu, zanim ktoś nie odczyta wiadomości.

– Nie mam nadziei, Dixie – dodałam, już spokojna. – Nie mam, ale wierzę, że

trzeba iść.

Narzuciłam linę i ruszyłam, zostawiając ją z butelką w dłoni. W miejscu osadził

mnie jej głos:

– Pamiętam dzień, gdy spadła Moneta, z której się narodziłaś, kiedy nasza sio-

stra udała się w podróż na szczyt. Taka byłaś piękna i dumna. Stałaś przed nami

pełna, skończona, doskonała. A my kąpałyśmy się w tym świetle, rozczulone i za-

szczycone zarazem. Nie ma nic doskonalszego niż nowe dziecko, tak bliskie absolutu,

jeszcze jedną nogą w nim tkwiące. Mieniłaś się piękniej niż wszystkie Monety ze Świątyni. A gdy uchyliłaś wreszcie powieki, zobaczyłam w twoich oczach błysk

wszechwiedzy. Tak, ty już znałaś prawdę. A ja przypominałam sobie, że również kiedyś

ją znałam... A teraz? Dziecinnieję, Nina. Niedługo zapomnę, że kiedykolwiek byłam

tak blisko tego, co w sobie miałaś ty, co miałam ja, co każda z nas miała chwilę po na-

rodzinach. Jeszcze trochę, a zniknie pamięć tamtych dni. Rodzimy się dorosłe, wypełnione wszystkim! A umieramy z daleka od czegokolwiek.

Dixie przerwała. Odwróciła się do mnie i cichym z żalu głosem powiedziała:

– Gdybym mogła jeszcze pamiętać, po co idziemy na szczyt, gdy już tam dotrę...

Ale wszystko może się już zamazać, a wtedy chciałabym widzieć odpowiedź w twoich oczach. Musisz uwierzyć, że ma to sens, że idziemy z powrotem właściwą drogą, ale nie cofamy się. Bo kiedy nie będę już tego wiedzieć, postaram się wyczytać z twojego spojrzenia potrzebę poznania prawdy. Nie potrzebuję cię, Nino, abyś pomogła mi wspiąć się na szczyt. Dojdę sama. Jednak jeśli po drodze zdziecinnieję do reszty, to stojąc na górze, nie będę wiedziała, po co tam jestem. Chciałabym, abyś ty wierzyła wtedy za mnie.

I puściła list. Odprowadzałyśmy go wzrokiem, dopóki nie zniknął w ciemnej toni.

– Ktoś tam na szczycie dla spełnienia swoich marzeń rzuca Monety. Ja rzuciłam ten list – rzekła.

* * *

Z góry coś się zbliżało. Dojrzałyśmy to w ostatniej chwili. Wyłoniło się z wyjątkowo ciemnej dziś wody i zmierzało w naszą stronę. Na wpół przezroczyste i ogromne. Miało kilka par odnóży, którymi wodziło w przestrzeni, jakby na ślepo. Wyrastały one z wielkiego odwłoka, czy też korpusu, przyczepionego w dziwny sposób do ściany. Szło prosto na nas.

– Szybko, w bok, tam jest szczelina – zakomenderowałam.

Dixie była przestraszona. Nie chciała puścić liny. Wczepiła w nią palce tak mocno, że spod paznokci poszła krew. Długie macki monstrum chwyciły się ściany jakieś dwadzieścia milimetrów nad nami. Stworzenie podparło się nimi i oderwało odwłok.

– Dixie! Uciekajmy! – krzyczałam.

Jednak ona wisiała w powietrzu, blada, bez tchu. Przerazenie wyostrzyło rysy – jej krogulczy nos i wydatne kości policzkowe. Obwisła skóra zdawała się napięta, pozabawiona zmarszczek.

Musiałam ją uderzyć.

Spojrzała na mnie przytomniejszym wzrokiem. Skinęła głową, a potem skoczyła w lewo, porzucając ekwipunek. Palce omsknęły się na gładkiej, zdradliwej powierzchni i zachwiała się. Chwyciłam ją w ostatniej chwili.

Szarpnęło. Dixie była ciężka, a ja – wyczerpana. Mocno zacisnęłam palce na jej ramieniu. Krzyknęła, a ja odpadłam od ściany.

Wyuczonym, mechanicznym ruchem złapałam linę. Z całej siły podciągnęłam – zablokowała się w magazynku.

Nie było już czasu. Półprzezroczysty stwór nadchodził. Tułów przechylił się i ulokował tuż nad nami.

– Puść mnie! – krzyknęła Dixie.

Ale nie słyszałam jej. Do moich uszu dobiegł tylko pomruk potwora – tak spokojny, tak cichy, tak niepodobny do niczego, co znałam. Odnóża nie chwyciły nas, nie zmiażdżyły.

Czekał.

Zawiązałam linę, obserwując czujnie jego ruchy. Podałam dłoń Dixie, by mogła

się podciągnąć, a ona stanęła na półce stworzonej z moich stóp, ramionami zaś objęła mnie w pasie. Tak czekałyśmy w ciszy.

Czułam jej przerażenie i sama drżałam ze strachu. Olbrzym nie miał oczu, ale ten dziwny odgłos, wibrujący pomruk, wydobywający się z jego trzewi, zdawał się nas oplatać, jakby dotykał dźwiękiem, sondował.

Aż wreszcie usłyszałyśmy:

– Kto wy?

Nie znalazłam siły, by odpowiedzieć. Dixie też nie. Widziałyśmy macki, zakończone długimi jak harpuny igłami, które ociekały jadem. Krążyły wokół nas, wzburzając prądy wodne i małe wiry. Były niebezpiecznie blisko, gotowe do ataku.

– Kto wy? – monstrum powtórzyło pytanie.

– Zostaw nas w spokoju! – krzyknęła moja przyjaciółka, ale głos jej się załamał. Wtuliła się we mnie, jakby spodziewała się najgorszego.

– Znam ten głos – potwór ciągnął dalej. Miał mocny, basowy ton. Tak głęboki i czysty, że mnie to zdziwiło. Był... był piękny. – Z pewnością go pamiętam.

– Kim ty jesteś?

Pomruk urwał się, zastąpiony pobłażliwym rechotem. Cały tułów drgał w jego rytmie, a odnóża zafalowały. Pomimo ogromnych rozmiarów stwór miał sporo gracji.

Płynność jego ruchów – niczym u tancerza – zachwycała.

– Mogłoby tak być, że pierwszy bym się przedstawił, ale moje imię nic by wam nie powiedziało – odparł. – Za to wy jesteście Iskierki. Mam rację?

– Tak – przyznałam po chwili zastanowienia. – Skąd wiesz?

– Nie rozmawiaj z nim! – syknęła Dixie, zamykając mi usta lodowato zimną dłońią. Ścisnęła mnie mocniej. Na koszuli poczułam wilgoć jej łez.

– Och, panna chyba się nie boi? – życzliwym, lecz protekcyjnym tonem zapytał olbrzym. – Ja się tylko wspinam na szczyt. Traf chciał, że znowu was spotkałem.

– Kłamiesz! – zawołała moja towarzyszka, wytrącona całkiem z równowagi. Po chwili dodała zaskoczona – na szczyt?

– Och tak, pamiętam te rozmowy – zaśmiał się serdecznie. – To wasze szczere zdziwienie, dokąd idę. I wszelkie bariery pękały, ciekawość brała górę. Widziałem już takie jak wy. Dawno, dawno temu uparczywie starałyście się dostać na dół...

Chrząknął.

– Góra jest dołem, a dół górą. Świat stoi na głowie, jak i ja teraz stoję.

– Chcesz powiedzieć, że mylą ci się kierunki?

– Mogłoby tak być, że się mylę. Albo że wy się mylicie. Albo i tak, że każde z nas ma rację. Przynajmniej część racji. Czy też żadne jej nie ma. Możliwości jest mnóstwo, lecz gdzie leży prawda? U mojej góry, czy u waszej?

Nastąpił długi pomruk zadumania. Ciało olbrzyma falowało. Było elastyczne, na wpół przezroczyste, na wpół białe. Choć wydawało się eteryczne, wątłe, nie miałam wątpliwości, że jest mocne.

– Och, odwykłem od takich rozmów! – dokończył wywód.

– Mówisz, że widziałeś nasze siostry? – dopytywałam.

– Tak, i to wiele razy. Kiedyś pielgrzymowałyście jedna po drugiej, raz po raz.

Prawdziwy pochód. Ale od dawna nie spotkałem żadnej z was. A teraz proszę, dwie! Mam dziś szczęście. Chodźcie, pomogę wam. Musi być wam ciężko tak wisieć do góry nogami.

– Nie jesteśmy odwrócone, ale może mógłbyś położyć nas na sobie? – zaproponowałam nieśmiało.

Dixie zmierzyła mnie pełnym pretensji spojrzeniem. Nie ufała ogromnemu przybyszowi. Nie dziwiło mnie to. Ucałowałam ją lekko w czoło, by się uspokoiła.

– Chciałybyśmy odpocząć – dodałam.

– Ach, oczywiście! – Olbrzym cmoknął z uznaniem. Jego ciało tuż przy ramionach licznych odnóży jakby zamknęło się. – Chwyćcie się tej nogi. Nogi, czy dłoni, sam czasem tracę rachubę. Dla mnie nic nie jest tak proste jak dla was. Chwyćcie się tego.

Wyciągnął w naszą stronę mackę.

– Tylko uważajcie na miecze, jest na nich trucizna.

– Trucizna? – wybąkała Dixie.

Odbiłam się nogami od ściany i sprawnym ruchem pchnęłam ją na odnóże.

Chwyliła się i wspięła na odwłok, na którym usiadła okrakiem. Cały czas dygotała, niepewna, podenerwowana.

– Muszę odpiąć uprząż – zaanonsowałam.

– Nie spiesz się. Mam czas, a to spotkanie mnie cieszy. Mogę się na chwilę zatrzymać. Choć inaczej patrzymy na to, co jest górą, a co dołem, to jednak spotykamy się gdzieś pośrodku.

Poradziłam sobie wreszcie ze sprzętem. Chwyliłam odnóże istoty i pozwoliłam się podnieść na grzbiet. Siedzieliśmy teraz z Dixie na elastycznej skórze, muskane przez spokojne wody. Korpus unosił się w górę i w dół, kojąc nerwy.

– Panienska jest bardzo ufna – powiedział nieznamy. – Skąd pewność, że was nie skrzywdzę?

– Już byś to zrobił. Gdybyś chciał, dawno byśmy zginęły.

– Bezbłędne rozumowanie! Niezaprzeczalna dedukcja, właściwa intuicja. Moje gratulacje, paniensko! Elegancja i ekonomia rozumowania. Niezwykły rygor umysłu.

Ach! Gdybym ja to potrafił! Ale tak, moja pani, racja! Właściwie mógłbym was zjeść, dawno niczego nie pochłonęłam, ale od zawsze spotykałem was to tu, to tam. Każdy ja, chyba od początku czasu. Lubimy się mijać.

Uśmiechnęłam się. Choć nie pojmowałam słów, docierała do mnie jego serdeczność i radość ze spotkania. Dixie nadal była nieufna.

– Twoi bracia też o nas wiedzą? – spytałam.

– Bracia? Mam tylko jednego brata, poza tym jestem sam. Sam jeden.

– To musisz być chyba nieśmiertelny.

– Nie, nie – zarechotał olbrzym, wznosząc głos o kilka tonów. – Jestem jeden, zawsze ten sam, tylko w wielu ciałach naraz. Czasem ciała umierają, ale ja zawsze jestem.

– Jak to?

Olbrzym odchrząknął i podjął na nowo:

– Jestem stulbią, nazywam się Alfa. Narodziłem się u zarania dziejów i od tej pory wędruję po tym świecie w wielu wcieleniach. Z początku byłem tylko jeden, tak jak teraz, ale potem powieliłem sam siebie. Chyba z samotności... Wyrosło ze mnie kilka innych mnie. Te, gdy dorosły, znów się powieliły. I tak cały czas kopiowałem sam siebie, rozpraszając się na wiele ciał. Teraz jednak już tego nie robię. Wszystkie wcielenia obumarły, a ja zdecydowałem się na siebie samego. Jednego. Nie mogłem znieść

myśli, że tyle mnie jest.

– Nie rozumiem... – zwątpiła Dixie.

– Och, żadna z was tego dobrze nie pojęła. Gdybyście spotkały jakieś inne moje wcielenie, tam w dole, a dla was górze, rozpoznałbym was i opowiedział całą naszą rozmowę. Gdybyście spytały, gdzie jestem, odpowiedziałbym, że i tam, i tu jednocześnie. Ale nie napotkacie już żadnego innego mnie.

– No dobrze, ale czemu idziesz na dół? – drążyła dalej towarzysza.

– Macie inny punkt odniesienia. Widzicie, wy, z tego, co pamiętam z rozmów z wami, narodziłyście się tam. – Wskazał odnóżem dół. – Wspinacie się zaś tam, co symbolizuje waszą górę. A ja odwrotnie. Przyszedłem na świat na waszej górze i choć według was schodzę w dół, to postrzegam to jako własną wspinaczkę na szczyt.

– Mówisz zagadkami – skwitowała Dixie. – Czego tam szukasz? Po co tam idziesz?

– Idę po brata.

– Podobno jesteś jeden!

– Ja tak, ja jestem jeden, ale jest jeszcze mój brat, który jest drugi. Nazywa się Omega. Nigdy go nie poznałem. On urodził się tam, skąd wy przychodzicie.

– Nie ma tam nikogo takiego jak ty – odparłam.

– Cóż... Nawet nie wiem, czy jest do mnie podobny. Niewiele o nim wiem.

– To skąd wiesz, że w ogóle masz brata?

Westchnął, otwierając jamę przy odnóżach.

– Mam przecucie, że po prostu jest. Wierzę, że jest. I idę go znaleźć. Jeden, cały ja idę. Gdybym szedł w wielu wcieleniach, byłbym zbyt roztargniony i mógłbym go gdzieś minąć. Rozumiecie, jak to bywa. Gdy jest ciebie wiele, na więcej rzeczy zwracasz uwagę, ale jeszcze więcej możesz przeoczyć. A tak jestem tylko jeden, pełny, cały, gotowy, więc mogę go wreszcie odszukać. Mam sporo czasu. I dużo cierpliwości.

– Wierysz, że jest? – Tym razem ja wyraziłam wątpliwości. – Ale nie wiesz tego na pewno.

Stułbia długo milczała, aby wreszcie odpowiedzieć:

– Wy powinniście to doskonale rozumieć. Wspinacie się, bo sądzicie, że ktoś zrzuca wam Monety. Tymczasem nigdy go nie widziałyście. Ja miewam sny o bracie.

W każdym z tych snów udają się do niego, tam, skąd wy przybywacie. Wierzę, że on zsyła mi te wizje.

– To nie to samo – sprzeczała się staruszka, coraz bardziej rozdrażniona rozmową. – My mamy dowody, nie tylko przecucia. Mamy Monety.

– Moje wizje, to moje Monety. A nawet jeśli nie, to jakie są dowody potwierdzające to, co zakładacie? Może na waszej górze czeka ktoś inny, niż sądzicie?

– A może to właśnie ty nie znajdziesz tego, kogo szukasz?

– Dlaczego by miało się nie udać?

– Z tego samego powodu, który przed chwilą nam podałeś. Może to nie jest twój brat? A może w ogóle go nie ma...? – zawiesiłam głos.

– Byliśmy na dole. Tam jesteśmy tylko my. Nie ma tam twojego brata – dokończyła Dixie.

– W takim razie musi być wyżej, niż mi się wydaje. Och, przepraszam, nie mogę się odzwyczaić. Dla was to będzie brzmieć, że jest głębiej.

– Musiałoby być inne dno, pod naszym dnem...

– A czy szczyt tak naprawdę jest szczytem? Czy jest tylko jeden? Ktoś mi kiedyś

powiedział, że wszystko to odwrócona wieża, która zapadła się pod ziemię. Oczywiście nie uwierzyłem mu, ale to chyba adekwatne porównanie na potrzeby tej dyskusji.

Oparłam się plecami o towarzyszkę. Siedziałyśmy tak, odpoczywając. Mimo- wolnie zamknęłam oczy, powieki same opadły.

Ciało stulbi było miękkie. Ułożyłam się na boku i widziałam przezeń przebytą wcześniej otchłań. Nie potrafiłam zamknąć oczu. Czas płynął jak wody pod nami. Z góry wpadało lekkie światło nieprzynoszące ciepła.

— Gdy znajdziesz brata... — wyszeptalam — co mu powiesz?

Olbrzym milczał tak długo, że wreszcie zapomniałam o zadanym pytaniu. Dopiero wtedy odezwał się, jeszcze ciszej niż ja:

— Mam nadzieję, że to on coś mi powie...

I tak, leżąc na wysokości blisko sześciu tysięcy milimetrów, odpłynęliśmy w krainę snu.

* * *

Nie miałyśmy nic do jedzenia poza kilkoma glonami zdjętymi ze ściany. Nie starczyło tego, nawet żeby oszukać głód. Dixie opadała z sił, więc posłałam ją przodem, jak nigdy. Tym razem to ja asekurowałam.

Krajobraz od jakiegoś czasu nie zmieniał się. Kanały i rynny, którymi brnęłyśmy, zdawały się układać w jakiś wzór. Zupełnie jakbyśmy się kręciły w kółko. Ostatniej nocy, spędzonej na grzbiecie stulbi, miałam sen podobny do tej sytuacji. Stałam w korytarzu przed mocnymi drzwiami zamkniętymi na cztery spusty. Otwierałam każdy po kolei, szukając w ogromnym pęku odpowiedniego klucza. Gdy w końcu udało się i przekroczyłam próg, okazało się, że znowu jestem w korytarzu naprzeciwko kolejnych drzwi. Ponownie musiałam szukać kluczy, otwierać zamki, by na nowo odnaleźć się w tym samym miejscu.

Za każdym razem w pomieszczeniu był obok mnie ktoś, kogo ledwie wyczuwałam, ale nie potrafiłam dostrzec. Mówił do mnie, ale tak słabo, że każde jego słowo zlewało się z ciszą. Wychodząc z każdego korytarza, czułam się, jakbym opuszczała niewidocznego przyjaciela raz na zawsze. Gdy wchodziłam do następnego pokoju, za plecami słyszałam piękny, śpiewny odgłos upadającej na podłogę Monety. Oglądałam się, ale nie było już tam nikogo, a złota Moneta na moich oczach czerniała. Nikt się z niej nie rodził – jak niespełnione życzenie...

Dixie robiła częste postoje. Nie była w stanie szybko się wspinać. Z dołu podglądałam, jak kurczowo łapie się dziur i wypustek, roztrwaniając siły konieczne do dalszej podróży.

Byłyśmy już blisko, ale szczyt wydawał się wyżej niż kiedykolwiek wcześniej.

Jakby z każdym przebytym milimetrem wznosił się razem z nami. Czułam, że cały czas tkwimy w tym samym punkcie, że mój sen się spełnia i nigdy nie dojdziemy do celu.

Wołanie z góry wyrwało mnie z rozmyślań:

— Tu jest jaskinia!

Czy to możliwe? Tak wysoko?

Na co trafiłyśmy? To była pierwsza wyrwa w powtarzalności. Jakby labirynt bliźniaczo podobnych korytarzy otwierał się wreszcie na coś. Coś mrocznego i niebezpiecznego. Nie chciałam, żeby Dixie zbyt długo pozostawała sama na górze. Przyspieszyłam.

Jaskinia była sporą otwartą przestrzenią pełną chaosu i pułapek. Jej końca nie

można było dostrzec – grzyzy zasłaniały widok. Wszystko pokrywał czerwony pył. Wystarczył krok, by osiadł na butach i pantalonach. Zrzuciłam plecak na ziemię i zza pazuchy wyjęłam jednostrzałowiec – specjalną butelkę z substancją wybuchową oraz dwoma ujściami. Odkręcając jedno z nich, wpuszczało się do środka wodę, która piana prosiła, by po chwili wyrzucić go pod ciśnieniem drugą stroną. To była nasza jedyna broń.

Szłyśmy cicho, ukryte w czerwonej mgle. Trzymałam Dixie za rękę, bo gdybym tylko ją puściła, sama przepadłabym, zagubiona. Kierowałam się w głąb groty, w kierunku, który wydawał się właściwy. Zapomniałam o głodzie, a serce biło jak oszalałe. Co chwila potykałam się, ale udawało się nie upaść. Łowiłam każdy szum, każdy bulgot. Pozostały tylko słuch i dotyk, bo widoczność była żadna. Zamknęłam więc oczy, lecz pył wdzierał się pod powieki.

Czujność przechodziła w strach. Ostrożność w trwożę. Obawa rozpalala mnie od środka. Ciężko dyszałam.

Aż wreszcie chrupnęło pod nogami. Spanikowana strzeliłam.

Kula płomieni uderzyła w kamienną ścianę, wzbijając oczywiście tumany czerwonego kurzu. Rozpętało się piekło. Fala uderzeniowa zwała mnie z nóg. Puściłam dłoń Dixie.

Skalny odłamek przeleciał tuż koło głowy, drugi obok ramienia. Po pierwszej fali nastąpiła druga, słabsza. Napotkała jednak falę zwrotną, która musiała odbić się od przeciwległej ściany. Zaszumiało mi w uszach, a potem nastąpiła cisza. Impet kumulujących się zderzeń prawie rozerwał mi płuca.

Leżałam płasko na ziemi, czekając, aż się uspokoi. Wymacałam coś pod dłonią.

Było gładkie w dotyku i zimne. Nie mógł to być korzeń. Gdzie jest Dixie?, pojawiła się myśl. Czy przeżyła?

Pylista mgła opadała powoli. Uniosłam się ostrożnie i poczułam mdłości. Nigdzie nie było mojej przyjaciółki.

– Dixie! Dixie! – nawoływałam.

Zrobiłam niepewny krok. I raczej poczułam, niż usłyszałam, bo w uszach wciąż dzwoniła cisza – chrupnięcie. Ponowne. Schyliłam się i coś chwyciłam. W dłoni trzymałam szerniałą kość.

– Dixie – powiedziałam ze spokojem, który mnie samą zaskoczył. – Dixie!

Było ich więcej. Leżały na ziemi całe szkielety i pojedyncze, rozłupane kości.

Zapadałam się w nie, takie kruche, delikatne, bo wystarczyło ledwo muśnięcie, by rozleciały się w proch.

Cmentarzysko. Zbiorowa mogiła. Pomiędzy skalnymi odłamkami widziałam też porozrzucane sprzęty. Pakunki, worki, stare, zepsute zapasy. Porwane ubrania. Pamiątki po tych, którzy się zatrzymali.

Wreszcie ją dostrzegłam. Siedziała ze spuszczonego wzrokiem przy wysokim czerwonym głazie. Kamień spadł mi z serca. Żyła. Podbiegłam do niej i objęłam. Całowałam siwe włosy i pomarszczone czoło tak długo, że straciłam rachubę czasu. Ści-

skalałam w dłoń jej dłoń – zimną jak lód. Patrzyłam, jak bawi się małą lalką znaną wśród kości.

– Nic ci się nie stało, kochanie – powtarzałam. – Nic się nie stało.

A ona się bawiła. Poruszała ustami, nie mówiąc nic. Poprawiała lalce włosy, układała sukienkę. Szeptala coś do ucha uszytego z przegniłych liści. Gładziła postrzępione policzki. A potem wyciągnęła ze sterty kości szare szczątki dłoni. Na serdecznym palcu obracała się złota obrączka.

– Goldie – powiedziała.

– Pamiętasz? – mówiłam. – Obiecała nam, że się jeszcze zobaczymy.

Pokiwała głową.

– Goldie – powtarzała Dixie. – To jest Goldie. Cześć, Goldie. Cześć, Goldie...

* * *

Spaliłyśmy szczątki wraz z lalką i obrączką. Goldie zapłonęła po raz ostatni, zacierając ze sobą ciepło. Wraz z tym odeszło wszystko, czym była. Teraz nie potrafiłabym sobie przypomnieć nawet jej twarzy.

Po tym wszystkim nie mogłam iść dalej. Usiadłam nad prochami i pierwszy raz od początku wyprawy pozwoliłam sobie na płacz. Nie była to jednak oznaka słabości czy rozpacz. Nie. Płakałam, żeby o wszystkim zapomnieć. Płakałam, żeby zrzucić cały ciężar. Nie mogłam zanieść go na szczyt. Nie chciałam. Musiał pozostać tutaj, wraz ze wszystkimi przyjaciółmi spoczywającymi w tym miejscu.

To była jaskinia niespełnionych marzeń i straconych nadziei. Tymczasem w moim sercu dalej tlił się żar.

– Na szczyt – rzuciłam.

Dixie pokiwała głową. Milczała, ale wiedziałam, że w myślach jeszcze żegna się z bliskimi. Tak jak ja.

* * *

Było coraz jaśniej. Nigdy wcześniej nie widziałam tyle światła. Promienie odbijały się od ścian i oślepiały. Z torby wygrzebałam kawałki cienkich oraz przezroczystych krzemieni związanych rzemieniem. Oplotłam je sobie wokół głowy tak, że przysłaniały oczy. Pomagało, ale i tak intensywne światło mocno raziło.

Coraz częściej zadzierałam głowę. Chwilami, zanim intensywna jasność beztęńnie zaciemniała widok, zdawało mi się, że na horyzoncie widać szczyt. Był jakies pięćset milimetrów nad nami.

Krajobraz też się zmienił. Ściana nie była już płaska, korytarze rynien zmieniły się w nieregularne pęknięcia. Wreszcie można było się czegoś chwycić, postawić gdzieś nogę. I choć grunt osypywał się spod stóp, a kruche głazy osuwały się niebezpiecznie, wspinaczka stała się łatwiejsza.

Najniezwyklejsze było to, że na tej wysokości kwitły rośliny. Wyrastały zewsząd, przyklepione nawet do skał, zielone i dorodne, skrywające wiele przysmaków. W końcu mogliśmy się najeść do syta.

W mchach porastających każdą przestrzeń leżały dziwne przedmioty. Wielu z nich nigdy nie widziałam, nie przypominały też niczego, co znałam. Wyglądały jak roztrzaskane kawałki czegoś znacznie większego. Metalowe, ciężkie, osmolone. Było ich mnóstwo.

Dixie świeciły się oczy. Była prawdziwie urzeczona. Raz po raz wołała mnie, by wskazać coś, co znalazła. Kilka lekkich rzeczy zabrała ze sobą, tłumacząc, że pochwali się nimi, gdy nasza podróż się skończy.

– Popatrz na to – powiedziała, podstawiając mi coś pod nos. – Widać za tym wszystko, ale na czerwono. Ale popatrz, to niesamowite! Przecież możesz w tym też zobaczyć siebie!

– Dixie – westchnęłam. – Przecież mamy to w Świątyni, nie pamiętasz? Wyłożyłyśmy tym korytarze. To jakies odłamki. Może minerały...

– Ale to nie przypomina tamtych! To jest inne! Spójrz!

– Tak, to piękne, skarbie. – Dałam za wygraną.

Pokonałyśmy kolejnych sto milimetrów. Cała drżałam z podniecenia. Oddychało się coraz trudniej, ale świadomość, że zbliżamy się do celu, pozwalała zapomnieć o kłopotach. Zdjęłam ubranie i zaczęłam oglądać blizny. Było ich sporo. Większość starych, zagojonych i jasnych, ale znalazłam też kilka świeżych. Na dłoniach i ramionach miałam pełno zadrapań. Dawno przestałam je opatrywać.

Poczułam mocny prąd wody. Muskał mnie po twarzy i brzuchu. Przyjemnie łąskotał. Wyjęłam analizator. Ostatnim razem użyłam go kilka tysięcy milimetrów niżej. Zdążył zarosnąć glonami. Wyczyściłam go i nastawiłam.

Podczas gdy pracował, zajęłam się sobą. Ulokowałyśmy się na wspaniałym tarasie, nierównym, ale sporym oraz solidnym. Roztaczał się z niego piękny widok. Wszystko po raz pierwszy od dłuższego czasu toczyło się wspaniale. Czułam, że wreszcie złapałyśmy odpowiedni rytm. Mój umysł był czysty. To, co przeżyłam na dole, zostało na dole. Taka cisza przychodzi tylko po burzy...

Analizator głośno buczał. Był niewielkich rozmiarów pajakiem napędzanym silnikiem wodnym. Woda przechodziła przez otwierające się co chwila zastawki, a potem ciśnieniem wytworzonym dzięki pracy tłoków przedostawała się do głównej maszyny. W krótkim czasie popłynęła w nim z niesamowitą prędkością, dając siłę odpowiednią do wprawienia go w ruch.

Pajak długimi odnóżami przemierzał skalną półkę, zbierając próbki do badania.

W korpusie, powleczonym twardą, półprzezroczystą błoną, chował sproszkowane markery, które mieszał z tym, co zdobył. Niedługo powinien przygotować analizę pogodową, a także informacje o podłożu.

— Po co go włączyłaś? — zaciekała się Dixie.

— Pod nami jest chyba poduszka — wyjaśniłam.

— Naprawdę?! — krzyknęła zachwycona. — Poduszka?!

Analizator zakończył pracę. Podniosłam go i sprawdziłam odczyt. Próbki potwierdziły domysły. Pod nami znajdował się silny wir.

— Skarbie! — przywołałam Dixie. — Spójrz.

Skoczyłam w przepaść. Chwilę spadałam swobodnie, czując, jak woda wplata się we włosy. Potem zatrzymałam się.

— Unosisz się! — zachwycła się staruszka.

— Chodź do mnie. — Roześmiana, wyciągnęłam ku niej ręce.

Dryfowałam utrzymywana mocą wiru, kręcąc się w kółko. To było jak w bajkach, które opowiadały sobie starsze Iskierki. Wznosiłam się i opadałam. Rozłożyłam szeroko ramiona. Nigdy nie czułam się lepiej.

Dixie także wskoczyła na poduszkę. W tamtej chwili była najszczęśliwszą istotą, jaką nosił ten świat. Śmiała się do rozpuku, klaszcząc w dłonie. Siwe włosy, do tej pory upięte w zgrabny kok, rozplątały się i rozplywały na wszystkie strony, muskając jej twarz.

Nagle umilkła. Patrzyła w dół, jakby nie wierząc własnym oczom.

Obróciłam się na brzuch i także to dostrzegłam.

Rybę wirującą w kółko.

Wpatrywałyśmy się w ten dziwny taniec ze zdziwieniem. Było w nim coś urzekającego, a zarazem desperackiego. Z jednej strony lekkość ruchów ryby, jej zadziwiająca umiejętność unoszenia się na wodzie, a z drugiej coś niespokojnego, tajemniczo hipnotyzującego...

Nagle ryba uniosła łeb i spostrzegła nas. Zawisła nieruchomo.

Runęłam w dół razem z Dixie.

Nie słyszałam nawet swojego krzyku. Obraz gwałtownie się zmieniał. Leciałam z ogromną prędkością. I wtedy poczułam ból.

Straciłam przytomność.

* * *

Kiedy otworzyłam oczy, oślepił mnie blask. Łupało w skroniach. Przewróciłam się na bok, by pohamować falę mdłości. Oddychałam szybko, a serce wyskakiwało z piersi. Bolało mnie wszystko, a najbardziej kark. Wymacałam ogromny siniec pomiędzy łopatkami. Syknęłam z bólu.

– Nie wstawać – doszło znad głowy. – Czekać, aż minie.

Słowa, wypowiedziane piskliwym głosem, nieznośnie wysokim, za szybko i za głośno, zlewały się ze sobą.

Zwymiotowałam.

– Dixie... – wybąkałam.

– Obok – padło wyjaśnienie. – Nie budzić.

Nie mogłam się zdecydować, czy zaryzykować i wstać, czy leżeć dalej. Byłam roztrzęsiona, fale ciepła i zimna nadchodziły na zmianę. Głowa pulsowała ostrym bólem, a serce nie chciało się uspokoić. Powietrze świszczalo mi w płucach.

W końcu podniosłam się, by usiąść. Od razu pożałowałam. Treść żołądka po raz kolejny wy dostała się ustami. Na szczęście mogłam znowu widzieć.

Ryba pływała nade mną, kręcąc się w kółko. Nieco dalej leżała Dixie.

– Czy ona... – Życ. Spać.

– Jak długo?

Odpowiedź nie padła. Podpełzłam do przyjaciółki i poruszyłam jej ramieniem.

Zbudziła się. Wzrok jednak miała nieprzytomny. Wstrząsnęły nią dreszcze. Również wymiotowała.

– Wszystko w porządku? – spytałam, nie oczekując odpowiedzi.

Dixie była biała i zupełnie bezwładna. Podtrzymywałam ją cały czas, żeby nie uderzyła głową o skały. Sama czułam się już lepiej. Tylko usta miałam spierzchnięte, a kwaśny posmak drażnił gardło. Rozejrzałam się. Siedzieliśmy na tarasie, a obok nas leżały pakunki i ubrania. Włożyłam na siebie spodnie i koszulę. Potem ubrałam starszkę.

Ryba wznosiła się nad nami, wygięta nienaturalnie kręciła kółeczka.

– Dziękujemy – powiedziałam.

Nie przestając wirować, zerkała na nas ogromnymi oczami bez żadnego wyrazu.

– Uratowałaś nam życie – dodałam, ale znowu nie doczekałam się ani słowa.

Zbliżyłam się.

– Co ty robisz? – zapytałam zdziwiona.

– Gonić.

– Co?

– Gonić swój ogon.

Patrzyłam na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Dixie stanęła obok, osłabiona.

Mimo to trzymała się na nogach, a szok powoli mijał. Tak jak ja mierzyła rybę wzrokiem.

– My idziemy na górę – odezwała się.

– Gdzie?

– Na górę.

– Tam nic nie być – stwierdziła ryba, nie zaprzestając swojego dziwnego tańca.

– Jak to?

– Tam nic nie być. Śmierć być. Ja wyskoczyć raz na brzeg i prawie umrzeć.

Spojrzałyśmy po sobie, nie pojmując. Ryba kontynuowała:

– Nie móc oddychać. Ale wreszcie wrócić i żyć. Teraz gonić swój ogon.

– Byłaś na szczycie? – Nie dowierzałam. – Co tam jest?

– Być na górze. Być na dole. Jakby nigdzie nie być.

– Spotkałeś kogoś na szczycie? – dopytywałam, poirytowana. Denerwowała

mnie ta sytuacja. Spotykałam ryby już wcześniej, ale nigdy takiej. Rozmowa z nią przypominała gadanie ze zdziecinniałymi staruszkami zamieszkującymi naszą Świątynię.

– Tam nic nie być.

Burknęłam oburzona. Ból w głowie odezwał się na nowo.

– Chodź, skarbie. Przed nami jeszcze kawałek.

Wzięłam Dixie za rękę. Odwróciłyśmy się. Wtedy ryba zatrzymała się.

– Nie iść – wyjąkała. – Zostać. Nigdzie nic nie być. A wy być.

Na te słowa Dixie uśmiechnęła się. Wyciągnęła pomarszczoną dłoń w stronę

ryby i poklepała ją po łuskach.

– Nie możemy zostać – odparła smutnym głosem. – Ale dziękujemy, że nas

uratowałaś. Wiesz... może udasz się na dół, do naszego miasta? Tam nie będziesz sa-

motna.

Ryba patrzyła na nią wielkimi oczyma bez powiek. Były to oczy bez wyrazu. Nie

znaczyły nic, na ich dnie próżno byłoby szukać czegokolwiek. Tylko twarz Dixie odbijała się w nich niczym w minerałach gromadzonych w Świątyni.

Nie było odpowiedzi, więc Dixie podjęła na nowo:

– Jeśli chcesz, poczekaj tutaj. Ktoś na pewno będzie tędy przechodził. To zawsze lepsze niż gonitwa za własnym ogonem. Gdy się na kogoś czeka, to tak jakby wychodziło mu się naprzeciw.

Zebrałyśmy sprzęt i ruszyłyśmy dalej. Tylko raz się obejrzałam. Ryba lewito-

wała, odprowadzając nas wzrokiem. Jej oczy lśniły odbitym blaskiem.

Albo swoją własną, wreszcie odnalezioną jasnością.

* * *

Stałam na szczycie, wypatrując.

Dookoła nie było niczego prócz ruin i skał. Niedopalone kikuty drzew, olbrzy-

mich, wznoszących się pod samo niebo, wystawały znad gruzów. Wszystko było czarne

lub szare, jakby na zgliszcza spadł popiół. Na granicy wzroku wznosiły się zniszczone

budynki. Wstęga kłębiastego dymu przecinała spokojny, bezchmurny nieboskłon.

I powietrze takie inne. Nie było lepkie, nie przyklejało się do ciała, nie miało

koloru. Nie przesłaniało widoku, nie zniekształcało. Wydawało się, że można przez nie

patrzeć w nieskończoność. Cóż jednak z tego, skoro tak naprawdę nie było nic widać.

Nic, co chciałabym ujrzeć.

Wypatrywałam kogoś. Czekałam, aż wyłoni się spod stosu kamieni. Obudzi się

niczym otulony snem olbrzym, przeznaczony właśnie mnie. Tęskno spoglądałam w

każdą z dali, nie chcąc go przeoczyć.

Im dłużej patrzyłam, tym mocniej pragnęłam tego, co nie mogło nastąpić.

Zrozumiałam to szybko, ale nie potrafiłam zamknąć oczu.

Wędrówka była skończona, cel osiągnięty, ale nic się nie stało.

Nikt na nas nie czekał. Nikt nie wyciągał ręki. Nikt nie odpowiadał na wołanie.

To było najbardziej samotne miejsce na świecie. Rozgrzane ciepłem bijącym z góry, rozświetlone mocnymi promieniami – piękne, lecz puste. Ktoś pomyślałby, że jeszcze niedawno zamieszkane, gwarne, rozkołysane czyjąś obecnością. W domach nikt nie mieszkał. I choć budynki były położone zbyt daleko, żeby dostrzec przez okna jakikolwiek ruch, to jednak nie miałam wątpliwości. Wystarczył rzut oka, aby stracić nadzieję, a ja patrzyłam już zbyt długo i zbyt daleko. Jakby mogło to cokolwiek zmienić.

Nie pozwoliłam sobie nawet mrugnąć. Musiałam patrzeć.

Musiałam zrozumieć, co się stało.

Dixie mówiła sama do siebie. Szeptala, stojąc w miejscu, zupełnie jakby odprawiała czary. Kiwała się lekko na boki. Suchy, silny wiatr – inny niż ten, który znaliśmy do tej pory – podwiewał jej sukienkę, którą założyła na ostatnim postoj.

– Chcę być piękna – powiedziała po prostu w tamtej chwili.

Jakie my byliśmy naiwne.

Nad głowami świecił ogromny okrąg wiszący na niebie. Osuszył mokre ubrania i rozświetlił brudne, zmęczone twarze. Lśnił tak jasno, że zbyt długie wpatrywanie się weń groziło ślepotą. Widoczny był dopiero ze szczytu. Pojęłam, że tam na dół docierały do nas tylko marne odbłaski, wykrzywione i odbite od milionów kamieni. Tutaj jednak były one zupełnie namacalne i gorące. Czułam ich dotyk na skórze. Wcześniej tkwiłam w wiecznej nocy, mniej lub bardziej ciemnej, teraz poczułam, czym naprawdę jest dzień.

Stałyśmy tak, nie wiem jak długo. Czas nie miał początku ani końca, tak samo jak nasza tęsknota. Powiedziano nam, że musimy wspiąć się na szczyt dla tego, kto wrzucił Monetę do studni. Tymczasem jedyne, co na nas czekało, to pustka.

Stałyśmy tak, aż olbrzymia tarcza rozświetlająca ten świat zniknęła za horyzontem. Po drugiej stronie wyłoniła się znowu – odmieniona. Dalej jasna, ale teraz blada, poorana bruzdami. Jej blask tym razem nie rozświetlał zbyt wiele. W gęstym mroku ledwo dostrzegałam własne dłonie.

– To ona? Moneta? – spytała Dixie.

Nie zrozumiałam, więc wyjaśniła:

– To rewers, prawda? Jak w tamtej legendzie o dwóch braciach. To Moneta, nasz Krążek Fortuny?

– Tak – zgodziłam się po chwili. – To rewers.

– Popatrz, on zmierza w tamtą stronę – nie poddawała się staruszka. – I wiruje, cały czas wiruje. Gdy zniknie tam, gdzie wtedy, wróci właśnie stąd, znowu jasny.

To będzie awers. Kręci się w kółko, jak wprawiona w ruch Moneta – dodała.

– Jak tamta ryba – szepnęłam.

– A my jesteśmy pośrodku drogi, jak stulbia – szepnęła Dixie.

Pociągnęła mnie za kołnierz. Nachyliłam się.

– Chodźmy do niej – zaproponowała. – To przecież nie może być szczyt.

Wyciągnęła rękę i wskazała srebrzystą tarczę.

– Tam, tam właśnie jest szczyt. To tam na nas czekają.

I ruszyłyśmy pod górę. W myślach grały mi słowa, które – wydawać się mogło – słyszałam wieki temu.

Góra jest dołem, a dół jest górą.

Gdy wespnę się pod srebrzysty glob, spojrzę za siebie. Może wtedy, wśród ruin, dostrzegę tego, kto rzucił mi na dno Monetę.

A może nikogo tam nie będzie? Może ktoś był, ale spalił się w wiecznej wę-

drówce po szczęście, kręcąc się w kółko i nie mogąc niczego zrozumieć?

A może jesteśmy tylko ja i Dixie? Może zostaliśmy już tylko my dwie?

A może i nas nigdy tak naprawdę nie było?

Góra jest dołem, a dół jest górą.

Awers i rewers.

Moneta.

styczeń – kwiecień 2011

Ostrołęka – Olsztyn

PAWEŁ CIEĆWIERZ

Pasażerowie

Sztuczne światło odcina nas od reszty hali i klatka staje się intymną przestrze-
nią, w której istniejemy już tylko ja i on. Odgłosy, zwielokrotnione odebranymi w
pierwszej rundzie uderzeniami, świadczą o tym, że kilka tysięcy osób przygląda się w
tej chwili naszym cyfrowym odbiciom na telebimach, a kolejne dziesiątki tysięcy śle-
dzą nas na ekranach domowych monitorów. Klatka, telebim i telewizja. Odbicie odbi-
cia odbicia. Wersja ekranowa jest o wiele bardziej wiarygodna niż nieobrobiony cy-
frowo obraz, który receptory z siatkówki przekazują mi do mózgu. Telewizowie widzą
wszystko w HD, dyskretnie zmontowane, z krwią w technicolorze i podrasowanym
dźwiękiem. Ja, oszołomiony światłami ramp, przez zapuchnięte powieki dostrzegam
jedynie zarys przeciwnika i pulsującą plamę wielobarwnego chaosu wokół. Gdybym
mógł obejrzeć wszystko na monitorze, reagowałbym szybciej.

Sędzia przed rozpoczęciem drugiej rundy daje nam chwilę odetchnąć, klepiąc
nazwy sponsorów, wypowiadając tysięczny raz te same slogany reklamowe i nama-
wiając do wspierania naszych żołnierzy we wszystkich zagranicznych wojnach. Potem
trzeba się bić.

Przeciwnik jest duży, czarny. Jeszcze wczoraj studiowałem jego walki i profil
psychologiczny, ale teraz już tylko tyle mogę o nim powiedzieć. Zbudowany jak typowy
zapasiar – ciało od szczeniaka trenowane do robienia krzywdy. „Siła podstawą tech-
niki” i tak dalej. Ja za młodu byłem stójkowiczem, takim bardziej tradycyjnym. Do dziś
trudno mi nadrobić zaległości w kłinczu i on świetnie to wykorzystuje. Wpycha mnie w
klatkę, sapiąc przy każdym kopnięciu kolanem w udo. Podnoszę nogę, żeby odciążyć
mięsień i zneutralizować trochę siłę uderzenia, ale fala bólu przedziera się przez ad-
renalinowy pancerz. Stymulator hormonalny to dziś standard do nabycia w każdej
siłowni. Zdecydowanie za mało jak na zawodowy ring. Lewe kolano nie boli. Zrekon-
struowano je przy użyciu włókien nylonowych. Słodką tajemnicą moją i lekarza pozo-
staje to, że gęstość materiału, z którego wykonano nową rzepekę i piszczel, znacznie
przewyższa dopuszczalne w tym sporcie normy. Bo podobne ustalenia są czystą fikcją
z przeznaczeniem dla telewizji i komisji sportowych. A to, co dzieje się w klinice, zo-
staje w klinice. Mój przeciwnik dobrze o tym wie. Nikt nie rzuca takich suplesów bez
hydraulicznego wspomagania kręgosłupa. Praktycznie rzecz biorąc, wszystkie zasady
w klatce sprowadzają się do jednej – powinniśmy wyglądać z grubsza jak ludzie, żeby
widownia miała się z kim identyfikować, wierząc, że przy odrobinie wysiłku oni też
mogą stać się niepokonanymi wojownikami. Artystami. Gwiazdami. Umowa społecz-
na polega dziś na tym, żeby nikogo nie wyprowadzać z błędu.

Aż dziw bierze, o jakich pierdołach mam czas myśleć, kiedy moje ciało zbiera

baty. Chwila wahania, zaburzony rytm oddechu pozwalają mi odepchnąć od siebie przeciwnika. Pocę się jak świnia, więc udaje mi się wyslizgnąć. Jego skóra jest sucha jak łuska jaszczurki – domyślałem się kolejnej modyfikacji. Prosty na wstecznym, zanim jego ręce wrócą do gardy. Jeszcze jeden zaczepny, potem potężny overhand z zakroczonej, ile fabryka dała, czerpiąc siłę z podłoża, ud, ruchu bioder i skurczu mięśni brzucha. Jak w worek. Prosto w ryj, a raczej w szczękę, zaliczając pierwszy knockdown w tej walce. Czarny łąduje na dupie i w tej pozycji zbiera jeszcze dwa kopniaki prosto w głowę i kilka w żebra, zanim zdąży się do mnie obrócić nogami. To zapaśnik, nie schodzę z nim do parteru, bo zadusi jak kotka. Stoję i cierpliwie czekam, aż sędzia ruszy jego leniwą dupę z maty. Podświadomie koduję, że każdy normalny człowiek po takich strzałach byłby zamroczony, a on jest świeży już po paru sekundach. Modyfikacja rdzenia kręgowego, stabilizacja błędnika. Musi mieć łaskawych sponsorów, bo to cholernie drogi zabieg.

Jeszcze dobrze nie wstał, już rusza do obalenia. Uciekam z nogami, przygniatając go swoim ciężarem. Hydraulicznie wzmocnione przywodziciele w lewej zdają egzamin i lawina strzałów spada na jego żebra. Drugą zakładam gilotynę, ale szybko słabną, bo na prawą nie starczyło kasy. Proszę bardzo, do tej pory się nie pociał, a tu nagle cieknie z niego jak z kranu. Niezła sztuczka. Wyslizguje mi się, skręcając ciało pod nieprawdopodobnym kątem. Teraz on łapie w odwrotną gilotynę, z której wychodzę, tracąc pozycję. Ma mnie w bocznej i pracuje nad dźwignią, żeby zakończyć tę walkę. Sześćdziesiąt sekund. Broniąc się z pleców, próbuję dotrzeć do gongu. On też odrobił lekcje na mój temat, bo pracuje nad słabszą ręką. Tą z mięsa. Pierdolone resory w kręgosłupie odginają go do nieprawdopodobnie silnej balachy. Nie potrafię jej zerwać, mimo że dobrze wiem, co się święci. Nie odklepię. Za chuja tego nie zrobię. Piętnaście sekund. Czuję, że kości trą o siebie, mikroziorniki w krwiobiegu otwierają się jak kielichy tulipanów. Po raz kolejny w tej walce zalewa mnie fala amfetaminowej ekstazy. Jestem na takim haju, że ignoruję ból wrywanej ze stawów kończyny i zapluję się ze złości, kiedy sędzia przerywa walkę.

* * *

Przez lata Podwodna Klinika była moim drugim domem. W absurdalny sposób polubiłem to miejsce, bo wszystkie miesiące spędzone na leczeniu i rehabilitacji wiązały się z poczuciem ładu, którego nie potrafiłem już odnaleźć poza jej murami. Spokój. Kiedyś, kiedy zaczynałem, doświadczałem tego również na macie, ale kasa i ambicja potrafią zniszczyć wszystko. Bolesny powrót do zdrowia stawał się tu za każdym razem celem, którego coraz bardziej mi brakowało na co dzień. Poza tym lubiłem patrzeć przez panoramiczne szyby na dno oceanu.

Klinika była miejscem dla uprzywilejowanych, gdzie nikt nie zadawał pytań, liczyła się tylko wirtualna grubość portfela pacjenta. Elektroniczna symulacja przelewanych z konta na konto pieniędzy, których nikt nigdy nie zobaczy. Cyfrowych cieni ważnych wystarczająco, żeby decydować o życiu i o śmierci. Stuletni Chińczyk czekał w dokach. Drewnianą kryptą z terkoczącym, benzynowym silnikiem wywiózł mnie poza obszar syfu tworzącego przybrzeżną zawiesinę. Puste beczki, chemiczne i biologiczne odpady, szara i mętna woda z plamami tłuszczu, opakowania, puszki, papiery. Syntetyczna imitacja wód Gangesu i prezent od losu dla lokalnej gangsterki. Odkąd zanieczyszczono ocean, pozbywanie się ciał stało się banalnie proste – rozpuszczały się w pół godziny.

Wiekowy przewoźnik zabrał mnie dalej, mijając płonącą plamę na powierzchni

wody tam, gdzie akurat wylano toksyczne ścieki. Szara kurtyna dymu została za nami.

Zniknęła na horyzoncie po godzinie milczącej podróży razem, z wielopiętrowymi budynkami, holoprojekcjami i migoczącym oświetleniem miasta. Zostaliśmy sami, pozabawieni złudnego czwartego wymiaru metropolii, z szarą, mętną wodą i szarym, mętnym niebem wokół.

Chińczyk popatrzył na GPS-a, kiwnął do mnie głową i wpisał kod na klawiaturze brudnego laptopa z logo jabłuszka. Powierzchnia wody wybrzuszyła się i zafalowała jak galareta. Obły kształt wyłonił się parę metrów od nas, kołysząc łodzią. Oczy kamer zwróciły się ku nam niczym osadzone na szypułkach ślepiec owada. Gdzieś w ciemnościach elektroniczny mózg analizował dane. Trwało to minutę, potem podwójne słusy otwarły się z jękiem. Chińczyk, widząc, w jakim stanie się znajduję, próbował podać mi rękę. Wszedłem do windy bez jego pomocy.

* * *

— Mikesz, tak na ciebie mówią w ringu? Mikesz. Wiesz, że to twoja dziesiąta wizyta u nas? Gadałem z szefem, dostaniesz zniżkę na to ramię. Ale cena opieki medycznej zostaje po staremu.

Siwy doktor uśmiechał się z wypracowaną do perfekcji albo wyrzeźbioną skalpelem ojcowską troską. Odetchnąłem z ulgą. Gdyby nie ta zniżka, miałbym poważny problem z kasą. Doktor chyba to wiedział, bo patrzył na mnie badawczo. Podwodna Klinika dbała o swoich stałych klientów.

— Mikesz — powtarzał moje imię, zamyślony. — Osiemdziesiąt kilo wagi, metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, czterdzieści lat. Protetyka lewej ręki i kolana, wzmocnienie mięśni, generator adrenaliny, inhibitory amfetaminy, widzenie konturowe do stu osiemdziesięciu stopni. Trochę mało jak na człowieka biorącego udział w wyścigu zbrojeń.

— Rekonstrukcja więzadeł w obu kolanach, wielokrotna dyslokacja barku, dwa razy wstrząs mózgu, dwa krwotoki wewnętrzne, pęknięta wątroba i pourazowe odklejenie siatkówki — uzupełniłem z pamięci. — No, to pogadaliśmy sobie o mnie, doktorze. Więcej już chyba na ten temat nie da się powiedzieć.

Kiwnął siwą, dystygowaną głową. Błękitne oczy osadzone w siateczce zmarszczek, których nie wyretuszował chyba tylko dlatego, że dodawały mu charyzmy, teraz przyglądały mi się badawczo.

— Proszę pamiętać, że my tu wszyscy jesteśmy po pana stronie. Ja nawet postawiłem trochę kasy na tę ostatnią walkę. No cóż, wyszło jak wyszło. Chyba trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Zaczyna pan odstawać od konkurencji. No bo ile pan jeszcze może zainwestować z własnej kieszeni? Bez dalszych modyfikacji każda walka będzie się kończyła kontuzją. W coraz mniejszych organizacjach, za mniejsze pieniądze. To już nie kariera, lecz gra o przetrwanie.

Zacisnąłem zęby i przełknąłem pierwszą odpowiedź, jaka cisnęła mi się na usta.

Cokolwiek by gadać, facet miał rację. Nie mogę nikogo obwiniać za szambo, w jakim się znalazłem. Nikogo prócz siebie.

— Ma pan na to jakąś radę? — zapytałem, chociaż dobrze znałem odpowiedź.

— Korporacyjny sponsoring. Pana nazwisko ciągle jeszcze dobrze się kojarzy w świecie sztuk walki. To zwycięstwo nad Robotem Gracie... było na co popatrzeć. Może nadszedł czas, żeby dogadać się z kimś, kto weźmie na siebie zobowiązania finansowe. Era niezależnych wojowników dawno minęła, czy nam się to podoba, czy nie.

– Walczyć dla nich, wygrywać dla nich... a po paru galach podłożyć się efek-

townie komuś, kto lepiej sprzedaje ppv? To nie dla mnie – odpowiedziałem tak jak wiele razy wcześniej.

– Rozumiem. I nawet pana podziwiam. Chociaż rozsądku nie ma w tym za grosz. Doceniam etos wojownika.

Etos, kurwa jego mać. Niech tak sobie to nazywa, skoro lubi. Szczęściarz. Takimi wielkimi słowami może się posługiwać tylko ktoś, kto nigdy nie dostał po ryju.

Dla mnie sprawa była dużo prostsza i bardziej prozaiczna. Bo walka była jedyną uczciwą rzeczą, jaką w życiu znałem. Kiedy zaczynałem trenować przekrojowo, o wy-

niku decydowała tylko ciężka praca w dojo. Im więcej potu wylanego na treningu, tym mniej krwi na zawodach i tak dalej. Żadne znajomości, kasa ani inne sztuczki nie mogły zagwarantować wygranej. W tym sensie mordobicie było absolutnie sprawiedliwe.

Do momentu, kiedy komisja sportowa nie zaczęła przysmykać oczu na cybertechnologię. Potem zasady się zmieniły i teraz wszyscy są już szybsi i silniejsi niż ludzie, a wiadownia jest zachwycona. Wszyscy oprócz mnie.

Własne odbicie przyglądało mi się z niedowierzaniem ponad głową doktora.

Czy naprawdę tak teraz wyglądam? Zarośnięty, zwałisty troglodyta z kwadratową szczęką i miną jak pies, któremu pokazano karcianą sztuczkę. Nic dziwnego, że jedy-
nymi ludźmi, którzy za mną tęsknią, są moi lekarze.

Doktor wreszcie zostawił mnie samego.

– Do zobaczenia na zabiegówce za pół godziny – rzucił.

Dobrze, bo środek przeciwbólowy prawie przestał działać.

Drogę do pokojów pacjentów znałem na pamięć. Przy drzwiach zorientowałem się, że jednak nie byliśmy sami. Stała tam taka jedna – mała czarna, z dużymi oczyma, skoncentrowana na jakichś skomplikowanych wykresach zmieniających się w trójwymiarowym sześcianie projekcyjnym. Ładna dziewczynka, ale bardzo łatwo było ją przeoczyć. Biały kitel, grube okulary, żadnego makijażu, ciasno spięte włosy. Pełny uniform maskujący nerda, który pragnie tylko, żeby świat zostawił go w spokoju. W sumie co w tym złego? Taki ze mnie niby wielki wojownik, a teraz też już tylko tego chcę.

– Wydział eksperymentalny – powiedziała cichym głosem, kiedy wszedłem w korytarz wyglądający jak wnętrze Nautilusa. – Doktor o nim nie wspomniał, ale mamy tu wydział eksperymentalny. Niezależne badania stanowią sporą część naszego dochodu. Wynalazki trzeba na czymś testować. To znaczy na kimś.

Zatrzymałem się w drzwiach. Może i mam obitą mordę i dyslokowany bark, lecz nie upadłem jeszcze aż tak nisko.

– Jak się nazywasz, mała? – zapytałem, żeby spuściła z tonu, ale ona patrzyła mi w oczy spokojnie, bez zmrużenia powiek. Jak jaszczurka.

– Borutow – odpowiedziała z dziwnym uśmiechem. – A to – wskazała holograficzny sześcian dziesięć centymetrów pod osłoniętymi kitlem małymi piersiami – jest moje dziecko. Nazwałam je generatorem chwil.

* * *

Oceniając sprawę z perspektywy czasu, pewnie miałem jakiś wybór. Mogłem podziękować grzecznie i wyjść, kiedy mi już wyjaśniła działanie tej przeklętej maszyny. Technicznie niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. Nie miałem pojęcia o mechanice kwantowej. Wspominała coś o cząstkach tak małych, że potrafią oszukać czas. Co ja niby wiedziałem o fizyce, skoro całe życie zajmowałem się tylko biciem ludzi.

„Prototyp wszczepu”, „zabieg eksperymentalny” – to określenia, które wywołały mój

niepokój. Umrzeć na stole jako królik doświadczalny albo żyć jeszcze parę lat przeszłością, okruciami minionej popularności, i skończyć gdzieś w przytułku jako wyniszczona kontuzjami karykatura samego siebie? Miałem wybór, ale był łatwy.

Tym razem zostałem tam dłużej. Rehabilitacja barku, swoją drogą, przeszła prawie niezauważona. Miła pani doktor o wyglądzie płochliwej studentki skupiła się głównie na mózgu.

– Buddyści mają rację – tłumaczyła mi, zanim zapadłem w narkozę. – To myśl kształtuje rzeczywistość. I tylko bezmyślni ludzie pozwalają się jej formować.

Czy miała na myśli mnie? Powoli odpływałem w pozbawionym cienia świetle lampy, w antyseptycznej bieli, wreszcie spokojny, zależny, oddany pod opiekę. Monotonny głos docierał do mnie zza zasłony snu. Pochodne morfiny. Głos zna odpowiedzi na moje pytania, zanim jeszcze zdążę otworzyć usta, więc właściwie nie muszę mówić. Nie muszę już nic, bo wszystkie decyzje zostały podjęte. Czy po to właśnie człowiek wymyślił Boga?

Szklane piramidy wieżowców scalały się systemem przejść i korytarzy ponad zasłoną chmur, a raczej radioaktywnych wyziewów miasta. Toksyny skraplały się w nieustającym deszczu, przed którym non stop ostrzegały media. Panoramiczne okna biurowców odbijały się w oknach sąsiednich budynków, tworząc nieskończone tunele światła. Im wyżej, tym czystiej, tym bardziej luksusowo. Pojęcie drabiny społecznej nabrało w naszych czasach niepokojąco dosłownego znaczenia. Ponowoczesna wieża Babel została zaprojektowana perfekcyjnie i rosła. Na najniższym poziomie, zarzuconym biologicznymi odpadami, wszystko znajdowało swój kolejny wymiar odbite w kałużach, tworząc wirtualną głębię świata bez granic, z którego i tak nie sposób się wydostać.

Przywykałem do tego powoli po miesiącu spędzonym w klinice. Doktor Borutow, korzystając ze swojej wiedzy teoretycznej, próbowała mnie nauczyć obsługi nowego wszczepu, którego nikt wcześniej nie miał okazji wypróbować. Teksty laboratoryjne wychodziły tak sobie, zrobiłem się sceptyczny. Po czterech tygodniach szefowie też się zniecierpliwi i wysłali mój nowy sprzęt na ulicę. Nie wiem, czy chcieli sprawdzić go w warunkach polowych, czy po prostu mieli mnie dość. Borutow pożegnała się chłodno. Była taka przez cały czas, nieudolne próby ocieplenia naszej relacji spełzły na niczym i niezbyt mnie to zdziwiło. Pogodziłem się już z odrzuceniem, w końcu mam w domu lustro. Mimo to w gadzich oczach wyczytałem subtelną zmianę nastawienia. W jakiś dziwny sposób zaczęło jej na mnie zależeć – stałem się opakowaniem dla czegoś bardzo cennego. Tkanka mózgową czule otulała to w głębi twardej czaszki zawodnika. Generator chwil, powiedziała.

Nadal byłem sceptyczny.

Trampki grzęzły w błocie oblepiającym najniższy poziom miasta. Hotel, naprawdę tani, mieścił się w okolicy, gdzie policja przyjeżdżała w opancerzonych vanach. Z dawnych, dobrych czasów została wiktoriańska zabudowa frontu, która teraz oblaźiła z farby i kruszała na deszczu jak dekoracja z papier mâché. W zaułku dostrzegłem tańczące w niespokojnych rękach żarowe świetliki papierosów. Przekleństwa, ślina, śmiech – tubylcy znaczyli swoje terytorium, a ja do tej pory nie widziałem powodu, żeby im wchodzić w drogę. Teraz jednak skuliłem ramiona i przeszedłem na drugą stronę ulicy, starając się odwracać wzrok od dochodzących z mroku hałasów. Już kilkadziesiąt lat temu psychologowie społeczni udowodnili, że celem ataków na ulicy

stają się zwykle osoby okazujące strach i bezradność w obliczu zagrożenia. Przy odrobinie wyrachowania można również skutecznie udawać takie reakcje. Nie zdziwiłem się więc, kiedy po paru niepewnych krokach usłyszałem klasyczne: „Czego tu szukasz, pedale?”. Instynktownie rozluźniłem mięśnie, żeby nabrać koniecznej szybkości, a potem oczyściłem mózg ze wszystkich uczuć i myśli. Ta cała medytacja na treningach wreszcie okazała się do czegoś przydatna. Borutow tłumaczyła mi, że w ten sposób aktywuje się wszczep. Ale ja nie poczułem niczego.

Podobni do siebie jak dwie krople wody – łysi, wielcy, z tępymi, przepitymi mordami, w dresach. Ślepy zaulek ewolucji człowieka. To, że wywodziłem się z takiego środowiska, nigdy jakoś nie napełniło mnie sympatią dla miejscowych. Pamiętałem cenę, jaką przyszło mi zapłacić, żeby się wyrwać. Jeśli kogoś nie stać, to jest już jego pierdolony problem. Przynajmniej dopóki nie stoi naprzeciwko, zionąc w moją stronę smrodem zepsutych zębów i ubliżając monotematycznie. Jestem zawodowcem, więc działałam bez wdawania się w pogawędki, bez straszonka, bez szczyrzenia kłów.

Zaczynamy.
Uderzył niezdatnym sierpem, zaciskając spoconą pięść na kastecie, kiedy jego kumpel z brzytwami próbował zająć mnie od tyłu. Nowe doznania były jak instynkt, nie do odróżnienia od naturalnych reakcji organizmu. Za chwilę jego pięść spotka się z moim podbródkiem i sprawy się skomplikują. Wiedziałem, dlatego mogłem tego uniknąć, lekkim zwodem schodząc w bok z linii ataku. Zimne ostrze wszczepionych w jakimś hipermarkecie szponów zaraz wniknie w lewą nerkę, powodując ostry... Obróciłem się, zmieniając pozycję bioder, i trzasnąłem frajera łokciem jak końcówką bicia. Drugi, wytracony z rytmu zbyt zamaszystym uderzeniem, nadział się na kolano spletem słonecznym. Ostatni przeciwnik starał się wykorzystać zamieszanie i rozsądnie sprowadzić mnie do parteru. Dlatego chwycił mnie w pasie, pracując na ślepo przed siebie... Nie, to się jeszcze nie stało. Jeden krok do tyłu i miałem go odsłoniętego. Zanim padł, przećwiczyłem sobie na nim parę kombinacji, wiedząc z góry, jak będzie reagował na ciosy. Potem skopałem wszystkich sumiennie, jednego po drugim, żeby uniknąć takich incydentów w przyszłości. Zdyszany oparłem się o ścianę przy fosforyzującym neonie z nazwą hotelu. Trupie światło padało na odbitą w kałuży twarz, kiedy zapalałem papierosa, osłaniając dłonią płomień zapalniczki oraz krzywy uśmiech. Kto by pomyślał, że jednak zadziała.

* * *
Doktor Borutow mogłaby policzyć na palcach jednej ręki osoby zwracające się do niej po imieniu. Policzyć na palcach jednej ręki, nadal trzymając w niej papierosa. Dlatego zdziwiła się, kiedy usłyszała słowo „Nadiu” wypowiedziane zwoźniczo ciepłym głosem w mroku laboratorium. Jak zwykle wszyscy już wyszli. Była jedynym pracownikiem Podwodnej Kliniki, który od miesiąca nie oglądał świata na powierzchni. Szefostwo tolerowało jej ekscentryczność, póki przeliczała się na petrodolary, jej samej jakoś nie brakowało życia na zewnątrz. Tam wszystko wydawało się bardziej skomplikowane, prawa nauki nie miały żadnego zastosowania. W głębinach Borutow czuła się jak w łonie matki. A teraz nagle: „Nadiu” wypowiedziane w ten nieprzyjemny, landrynkowy sposób. Jakby ktoś nastawił sobie modulator fal głosowych precyzyjnie na wzbudzanie zaufania. Borutow zdjęła szkła i przetarła zaczerwienione oczy, zastanawiając się, ile jeszcze tabletek na ból głowy może połknąć i nie poczuć mdłości.

– Kto tam? – głos przetoczył się po pustym pomieszczeniu.
Nie włączono światła, a to znaczy, że nieproszony gość lub goście widzą w ciemnościach tak jak ona. Niedobrze.

– Przybyliśmy tutaj z polecenia... – zaczął wyższy z dwóch mężczyzn, ale właściwie nie musiał nic wyjaśniać. Ich nierzucające się w oczy jednorzędowe garnitury, wyżelowane włosy, wymodelowane skalpelem twarze oraz widoczne w opcji termografu chłodniejsze miejsca w klatce piersiowej, mózgu, rozproszone po całym ciele, sugerowały pracowników rządowych. Broń w kaburach świadczyła o tym, że nie przyszli tu się zaprzyjaźniać.

– W jaki sposób mogę wypełnić swój obywatelski obowiązek? – zapytała ciepło Borutow, przedrzeźniając ton głosu agenta.

– To bardzo proste: udostępniając nam dokładną dokumentację na temat prowadzonego przez panią eksperymentu z protezą mentalną zwaną „generatorem chwil” – odpowiedział tajniak.

Słyszając to, Borutow uświadomiła sobie dwie rzeczy: po pierwsze, szef kliniki ją wydał, po drugie, ich współpraca dobiegła końca.

– Czy mam przez to rozumieć, że mimo mojego autorskiego pomysłu i wkładu w eksperyment zostanę bez pracy? – zapytała, zgrywając na kryształ mnemoniczny wszystkie dane projektu. – To trochę potrwa – uspokoiła tajniaków.

Tym razem ten niższy, bardziej jowialny, pokręcił głową.

– Nigdy nie pozwolilibyśmy na to, żeby umysł tej miary się zmarnował. Będzie pani nadal zatrudniona przy badaniach nad generatorem chwil. Zmieni się tylko pracodawca i dochód. Zapewniam, że na korzyść.

– Ale kontrolę nad badaniami będzie już sprawował kto inny. Ktoś z rządu, czyli z korporacji. I podwyżka ma mi zrekompensować utratę dziecka, tak?

– Dodajmy, niebagatelna podwyżka – uzupełnił agent, który miał za zadanie być serdecznym. – To „dziecko” pani doktor wyrosło już poza rozmiar swojego dotychczasowego kojca. Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z przełomowego charakteru eksperymentu?

– Właśnie dlatego chciałam go utrzymać z dala od was – powiedziała ze smutkiem Borutow.

– To mało patriotyczne.

– Patriotyczne? Proszę nie używać słów, których żadne z nas nie rozumie.

Bardziej do mnie przemawiało, kiedy rozmawialiśmy o forsie.

– Rozumiem. – Niższy agent ukrył triumfalny uśmiech. Z akt trzydziestoletniej pani doktor wynikało, że jej radykalna przeszłość i naukowe obsesje mogą znacznie utrudnić negocjacje. Dobrze, że obyło się bez kłopotów.

W tym czasie kobieta z przeladowanym danymi kryształem w ręce była już w połowie drogi do drugiego pomieszczenia. „Muszę jeszcze tylko...”.

Wyższy nie tracił czasu na gadanie. Ruszył za nią, chcąc w miarę bezboleśnie przechwycić nośnik. I robi to, sięgając po jej rękę, unieruchamiając ją w wyuczonej dźwigni i sadzając kobietę z impetem na biurku. Teraz się schyli, żeby chwycić nadgarstek... Borutow szybkim, skalkulowanym ruchem sięgnęła po stojącą na stole menzurkę i chlapnęła zawartością w twarz agenta. Nie pamiętała już dobrze, jak nazywa się zielona ciecz w hartowanym szkle, ale miała nadzieję, że jest zajebiście żrąca. Drugi już prawie ją dopadł, kiedy rozdzieliły ich drzwi służy. Uderzył pięścią w przycisk otwierający, a gdy tam wchodził, ona już była na zewnątrz. Poruszała się szybkim i sprężystym krokiem, lecz nie biegła. Pośpiech bywa szkodliwy. Gdyby szpi- cel się tak nie spieszył, pewnie dostrzegłby słowo „ciśnieniowa” napisane nad wej-

ściem do komory. Naciskając czerwony przycisk, wiedziała dokładnie, co się stanie za chwilę. Gałki oczne zaleją się krwią i zapadną do wnętrza czaszki, potem sama czaszka zacznie pękać jak łupina orzecha, ukazując gdzieś tam szare zwoje mózgu. Borutow odwróciła wzrok od szyby, uznając, że tego już nie musi widzieć.

* * *

– Proszę mi wybaczyć, że bez pozwolenia dotarłem do prywatnego numeru telefonu pani doktor. Forsa otwiera wszystkie drzwi, a ostatnio mam jej sporo. W Klinice powiedzieli, że pani tam już nie pracuje. O generatorze chwil mieli pojęcie bardziej niż mgliste.

W słuchawce zapanowało milczenie. Jakby kalkulowała, czy opłaca jej się ze mną rozmawiać. A może, czy jest to dla niej bezpieczne.

– Odczuwa pan jakieś komplikacje związane z funkcjonowaniem wszczepu? – zapytała w końcu. Wiedziałem, że się nie rozłączy. Była zbyt zaferowana działaniem swojego „dziecka”.

– Tak bym tego nie nazwał. Pod wpływem adrenaliny prekognicja działa bez zarzutu. Wczoraj walczyłem o mistrzostwo i znowu wszystko poszło jak trzeba.

Borutow nie zapytała mnie o przebieg walki. Zupełnie jej to nie obchodziło.

Byłem dla niej tylko narzędziem, nosicielem – zastępczą matką jej niezwykłego projektu.

– Ale to nie wszystko, prawda? – zapytała cichym głosem i wcale nie była zdziwiona, słysząc moją odpowiedź.

– Nie. Reszta dzieje się w moich snach, które od czasu zabiegu stały się dość... niesamowite.

– Snach? Czy może to za każdym razem ten sam sen?

– Zawsze to samo... to samo miasto, które...

– Wiem, panie Mikesz. Wiem dokładnie, jak wygląda pańskie wyśnione miasto.

I sądzę, że musimy się koniecznie spotkać, jak tylko uporam się z... przejściowymi problemami. Do Kliniki proszę więcej nie przychodzić. Nie jest już niezależnym ośrodkiem, ostatnimi czasy zrobiła się bardzo prorządowa.

– Ile to potrwa, pani doktor? Szczerze: ten sen ma w sobie coś niepokojącego.

– Proszę o cierpliwość – odpowiedziała swoim nieznośnym sprzeciwu, lekarskim głosem. – Mechanika zaburzeń jest bardzo prosta. Pod wpływem adrenaliny generator chwil daje panu wgląd w najbliższą przyszłość, czyli decydującą w walce sekundę przewagi. Tak jak planowałam. Podczas snu mózg funkcjonuje jednak zupełnie inaczej, podświadomość nie jest już blokowana przez racjonalny lub zmysłowy ogląd świata. Urządzenie pracuje wtedy z większą mocą, może się, że tak powiem, bardziej wykazać. Przybliżenie prekognicji szacuję w tym przypadku na rok. Niech się pan trzyma z dala od środków odurzających, wtedy na jawie nie powinien pan doświadczać tych problemów. Odezwę się za tydzień, dwa. Proszę odbierać połączenia z nieznanych numerów. Wyznaczę miejsce spotkania. Cierpliwości. Nie jest pan jedynym człowiekiem, któremu śni się to dziwne miejsce. Sny nie mogą nas skrzywdzić, prawda?

Kiedy się rozłączyła, nie byłem tego wcale taki pewien. Powinienem o wszystkim zapomnieć i cieszyć się z wygranej, ale wizje były tak uporczywie realne, że stojąc w swojej nowej sypialni ze słuchawką w dłoni, zupełnie zapomniałem o imprezie na zewnątrz. Słowa pani doktor powoli układały się w obitej czaszce. Wreszcie zrozumiałem. Rok w przybliżeniu, tak powiedziała. Miasto ze snów wcale nie było projekcją

mojej wyobraźni. To była nasza przyszłość.

* * *

Wnętrze wirowało w rytm zmieniających się pornograficznych holoprojekcji.

Najlepsza marokańska marihuana zsypywała się z blatu stołu, śnieżnobiałe uśmiechy nieznanych mi bliżej dziewczyn odbijały się w szkle butelek. Cytryna, sól, tequila, jointy, zioło, koks, a z głośników stare dobre Morphine. Panny, które wróciły z nami z klubu, na wyścigi traciły teraz swoje moralne opory i każda spoglądała w tę stronę.

Każda chciała mieć mnie w sobie tej nocy. Seksowna mulatka kręciła dużą pupą metr od mojej twarzy, przechylona, sugestywnie ugniała silikonowe piersi. Zapaliłem jointa i wydmuchałem dym w stronę dwóch pięknych i krągłych pośladków. To było moje pięć minut, wiedziałem, że nie potrwa długo. Gdybyśmy się spotkali na ulicy, laska tej klasy nawet by mnie nie zauważyła. Ale teraz, skoro byłem już mistrzem największej organizacji wolnej walki na świecie, zrobiłem się nagle miłszy niż wibrator z czujnikami wilgoci. Przez parę dni będę dla nich bogiem i jak każde bóstwo mam zamiar w pełni to wykorzystać.

– Na kolana – powiedziałem czarnej i natychmiast zeszła do parteru. Drugą ręką kiwnąłem na rudą nastolatkę, która podeszła, trochę speszona.

– Postaw go – rozkazałem. Są takie chwile, kiedy subtelność jest stratą czasu.

Chwilę później trzymałem już jej głowę w dłoniach. Byłem spalony do nieprzytomności, więc dziwnie skojarzyła mi się z piłką futbolową i musiała się bardzo napracować, zanim zrobiła to, o co prosiłem.

– Teraz koleżankę – mruknąłem, pokazując czarnulkę. – A ty całuj. Ale najpierw pomóż mi wstać.

Wszedłem w nią od razu, była wilgotna. Kawalerska fantazja kazała mi rozsypać proch wprost na jej spoconych ramionach i wciągać go właśnie w ten sposób. Mnóstwo naturalnego koksu się zmarnowało, ale w tej chwili miałem to gdzieś. Dżentelmeni nie myślą o pieniądzach. Przestroga lekarki odbiła się w mojej czaszce bolesnym echem, lecz miałem spore doświadczenie w ignorowaniu dobrych rad.

Po narkotycznie wyrażystym orgazmie padłem na pluszowy dywan, a dziewczyny zajęły się sobą. Kiedy tak sobie leżałem, wielki wojownik z gaciami na wysokości kostek, po raz kolejny odpędziłem od siebie myśli, które wracały równie często co niepokojące sny. Czego jeszcze mi brakuje, skoro jest tak dobrze, jak zawsze miało być? Dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam? Jeśli czeka na mnie jakaś nowa walka, wyzwanie, któremu można sprostać, jakoś sobie poradzę. To znaczy poradzimy – ja i mój nowy wszczep. Gorzej, jeśli tak naprawdę brakuje mi czegoś, co kiedyś straciłem, co zabrało mi życie. Bo tego już odzyskać się nie da.

Nie powinienem w tej chwili myśleć o podobnych bzdurach. W końcu świętowałem swoje zwycięstwo. Największe. Wciągnąłem proch prosto z podłogi. Obok mnie leżały trupy. Zeschnięte i zмумifikowane zgnilizną ciała, większość kości rozrzucona przez dzikie psy, których na ulicach było sporo. Truchła świadczyły o tym, że ludzie nie zginęli od wybuchu, ataku czy promieniowania. Po prostu położyli się tam, gdzie

akurat stali, żeby umrzeć. Przyroda dopomniła się o swoje. Wieżowce porosły jakąś dziwną odmianą bluszczu, która przypominała raczej pianę morską na zanieczyszczonym wybrzeżu. Bezpańskie zwierzęta czuły się coraz pewniej. Dawni domowi pupile albo odżałowali już stratę właścicieli, albo podzielili ich los. Pozbawione zasilania Diody, oznaczające trasy ruchu wektorowego, pospadały na asfalt jak bombki choinkowe. Na ulicach rdzewiały wraki samochodów. Miasto pozbawione kolorowych świateł i holoprojektacji ujawniło swój prawdziwy kolor. Było szare. Odniosłem wrażenie, że przez to bezludzie świat wreszcie oddycha z ulgą.

– Dajcie mu lodu i wsadźcie go do wanny z zimną wodą, żeby mistrz nam tu nie wykitował. Ale nas, kurwa, wystraszyłeś – krzyczał ktoś, wyciągając mnie za łeb z koinowej czarnej dziury. Uśmiechnąłem się do niego, a potem zakrztusiłem krwią płynącą z nosa wprost do gardła.

* * *

Wiedziałem, że ma kłopoty, już kiedy przez telefon usłyszałem o spotkaniu poza miastem. Opuszczanie terenu metropolii nie jest dobrym pomysłem dla nikogo, myślałem, tym bardziej dla myszy, która pół życia spędziła w laboratorium. Później okazało się, że trochę nie doceniłem panny Borutow.

Opuszczone przedmieścia zawały się, zapadły w siebie. Stworzenia, które tam zamieszkiwały, trudno już było nazwać ludźmi. Na skażonej radioaktywnie plaży dostrzegłem kilka kolorowych parasoli słonecznych wbitych jak wyrzuty sumienia w brudny i wilgotny piach. Wiatr niósł ze sobą miejskie śmieci i odgłosy. Kopuła geodezyjna pokrywała wyłącznie obszar metropolii, więc niebo miało tu kolor rdzy i rtęci, tak jak wyjałowiona na wiele mil wokół ziemia, poznaczona słupami wysokiego napięcia i wielopasmowymi autostradami, po których poruszały się bezzałogowe ciężarówki na szesnastu kołach. Nad tym załamywał ręce Jezus Zbawiciel – wierna kopia pomnika z Rio. Ktoś kiedyś wymyślił, że zebranie siedmiu cudów świata w jednym miejscu przyciągnie turystów. Wszystkich, którzy w to uwierzyli, czekało gorzkie rozczarowanie. Przy okazji wyprano całkiem rozsądną sumę pieniędzy, a surowiec na budowę pozostałych atrakcji posłużył do wzniesienia osiedla domków w dzielnicy korporacyjnej. Czyli u nas po staremu.

– Oryginalne miejsce sobie wybrałaś – powiedziałem, gdy jej zakurzona honda wreszcie dotarła na miejsce.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy jestem sam. Bez kitla, w wojskowej kurtce, mniej przypominała już szczura laboratoryjnego i zaczęła mi się nawet podobać.

– Wyglądasz jak śmierć – powiedziała, też przechodząc na „ty”. – Myślałam, że generator chwil jest ci potrzebny, żeby poprawić sobie życie, a nie odwrotnie.

– Spoko, zabawka będzie warta swojej ceny. Przez ostatni miesiąc świętowałem mistrzostwo. Dlatego jestem teraz trochę zmęczony.

– No, ja też jestem zmęczona, ale chyba z innych powodów. Generator chwil nie zostanie skierowany do masowej produkcji. Nigdy. I nikt inny nie będzie już z niego korzystał.

Kiwnąłem głową, bo właściwie można się było tego spodziewać. Potencjał wynalazku musiał prędzej czy później zwrócić uwagę rynkowych monopolistów lub rządu.

– Zabrali wam projekt?

Zaprzeczyła ruchem głowy, uśmiechając się wrednie.

– Nie doszliśmy do porozumienia. Zdecydowałam się zerwać współpracę z kliniką i od miesiąca jestem wolnym strzelcem. Bez pracy, niestety.

– Kasa to nie problem – odpowiedziałem wielkodusznie, zdając sobie sprawę, że tylko jej zawdzięczam sportowy sukces.

– Kasa? Proszę cię – obruszyła się Borutow. – Oboje mamy teraz dużo ważniejsze problemy, prawda?

– Sny. Sny o przyszłości. Tobie też nie dają spokoju – powiedziałem, bo już podczas rozmowy telefonicznej domyśliłem się, że nie tylko ja noszę w czaszce gismo-jasnowidza. Jakim szalonym naukowcem byłaby, gdyby nie wypróbowała tego wcześniej na sobie?

– To nie są żadne majaki, wiesz o tym. Mózg postrzega rzeczywistość taką, jaką się stanie za rok, może półtora. Jesteśmy teraz prawdopodobnie jedynymi ludźmi na kuli ziemskiej, którzy zdają sobie sprawę, że nasza cywilizacja wkrótce przestanie istnieć.

Kiwnąłem głową, bo musiałem się z tym zgodzić. Głośno wyraziła coś, co od paru tygodni chodziło mi po głowie. Teraz, skoro nie byłem już z tą myślą sam, nie można było dłużej chować głowy w piasek.

– Mam pieniądze, ty dokładnie znasz mechanizm. Razem uda nam się ustalić przyczyny... tego, co się może stać. Uratujemy świat i będzie jak w książce science fiction. Czy w swoich widzeniach trafiłaś na jakieś ślady inwazji, wybuchu, użycia broni masowego rażenia, czy ja wiem...

– Nic takiego. Brakuje tylko ludzi. Te trupy, które widziałam, wyglądają, jakby ludzie po prostu zasnęli, przestali oddychać. To mogła być broń biologiczna...

– Obawiam się, że w takim razie nie mamy innego wyjścia – musimy się skontaktować z kimś z rządu i przedstawić wszystkie wyniki eksperymentu, żeby potraktowali nas poważnie. Cokolwiek się tam stało, możemy spokojnie założyć, że władze maczały w tym palce. Albo sami nacisnęli niewłaściwy guzik, albo zignorowali jakieś sygnały wywiadowcze. Przy współpracy z nami i z tym, co mamy w głowach, wysledzenie źródła ataku nie jest wcale nieprawdopodobne. Dzięki pani, pani doktor, mamy okazję ocalić cywilizację – rozpromieniłem się.

– Być może – odpowiedziała z ociąganiem. – Moje urządzenie, ten cały generator... Jesteś z nim szczęśliwszy?

– A jakie to ma teraz znaczenie? – zdziwiłem się. – Mówimy tu przecież o końcu świata, to chyba ważniejsze. Tak, pani doktor, dało mi to szczęście. Może nie całkowite i nie do końca takie, jak się spodziewałem, ale nie mam zamiaru z tego powodu go zwracać.

– Walka przy użyciu generatora nie jest już tak uczciwa, jak ci się kiedyś wydawało, prawda?

Za dobrze mnie znała. Pewnie czytała mój profil psychologiczny. Ciekawska dziewczyna.

– Używając prekognicji, zrozumiałem coś, co dla wszystkich innych było dawno oczywiste – powiedziałem. – Nie ma czegoś takiego jak uczciwa walka. To określenie jest nielogiczne, zawiera wewnętrzną sprzeczność. Dzisiaj uczciwie można już tylko przegrać.

Zgodziła się ze mną, a w jej dużych i jasnych oczach osłoniętych szklami stromodnych okularów pojawiło się coś, jakby zakamuflowane poczucie ulgi, którego nie potrafiłem zrozumieć.

– Mimo to cieszę się, że wygrałeś. I jestem szczęśliwa, że generator chwil działa. To mój życiowy sukces. Zanim jednak zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ocalić świat, powinnam ci powiedzieć coś o jego skutkach ubocznych.

– Skutkach ubocznych? – Zimny dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie. – Nie przypominam sobie, żeby wcześniej ktokolwiek cokolwiek o tym wspominał.

– Wyсіk synaptyczny, niekontrolowana mutacja komórek mózgowych, nieuniknione zmiany zwyrodnieniowe w postępie geometrycznym – wyjaśniła swoim naukowym żargonem. Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale nie brzmiało dobrze.

– I ty też masz to wszystko?

– Ja też. Podałam się zabiegowi transplantacji parę dni po tobie.

– To było głupie – oceniłem.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie mogłam się już doczekać. A teraz nocami odwiedzam to samo miasto co ty. Jak pasażer końca świata.

– Nie dopuścimy do tragedii – powiedziałem uspokajająco, chociaż całe gadanie o przesiękach synaptycznych odebrało mi trochę pewności siebie.

– Zgoda, zrobimy, co się da. Ale właśnie próbuję ci wyjaśnić, że dla nas tak naprawdę nie ma to już wielkiego znaczenia. Jesteśmy skazani. Wykończą nas wszczepy, które nosimy w mózгах. Generator chwil daje nam co najwyżej kilka miesięcy przewagi nad resztą świata. Potem nastąpi paraliż i wszelkie inne neurologiczne powikłania. Czy cywilizacja ocaleje, czy nie, my i tak skończymy jako warzywa. Chyba jestem ci winna przeprosiny. Mój wynalazek uczynił z nas męczenników. Teraz, skoro wiesz już wszystko, możemy się zabrać do ratowania ludzkości – oświadczyła z pewnością.

Oczywiście, że byłem na nią zły, ale okazywanie tego nie miało obecnie żadnego sensu. Prawie jej nie znałem i niezbyt ją lubiłem, mimo to wiedziałem, że mówi prawdę.

Z paczki papierosów wyjąłem jointa. Ręce mi się trzęsły, więc musiałem go odpałać dwa razy.

– Rząd... korporacje... na pewno da się ustalić przyczyny katastrofy. Masz jakąś rodzinę, Borutow? Przyjaciół? Kogoś, kto będzie za tobą tęsknić? Kto się tobą zajmie, jak już oboje skończymy pod respiratorem, sparaliżowani i samotni?

Zaprzeciła ruchem głowy. Mnie nawet nie musiała pytać.

Umilkliśmy i przez parę minut panowała cisza. Wpatrywałem się w targane ciepłym wiatrem parasole na zupełnie wyludnionej plaży. W lunę pożaru na horyzoncie. W gryzący dym ciągnący się smugą ku toksycznemu niebu. Jezus Zbawiciel patrzył na to wszystko, zastygłszy w pozie sprzedawcy używanych samochodów.

– Szkoda, cholera. Naprawdę szkoda. Miesiąc temu kupiłem sobie dom w górach. Miłe miejsce. Ludzie tam są zupełnie inni, niż w mieście. Życzliwi. Mają sklepy w starym stylu, sprzedają za gotówkę, a sprzedawczynie mówi ci dzień dobry, wyobrażasz to sobie? Prawdziwy skansen.

– Fajnie – mruknęła Borutow. Daleka luna odbijała się w jej grubych okularach. – Chciałabym kiedyś przez chwilę tak pożyć. Ale na to już raczej nie starczy czasu.

Z naszej perspektywy rozciągnięte na wzgórzach miasto zajmowało ćwierć horyzontu. Kolorowy rój kojarzył się z gniazdem świetlistych robaków i piał się w górę z szybkością rozrostu nowotworu.

– Pojedźmy tam – zaproponowałem nagle. – Jedźmy razem. Pospacerujemy trochę po lesie, odpoczniemy, pooddychamy czystym powietrzem. Zaszyjemy się w dziczy jak Thoreau.

– Myślałam, że będziemy szukać dojścia do kogoś z rządu – zauważyła z cynicznym uśmiechem Borutow. – Wiesz, żeby ocalić świat i tak dalej.

Widziałem, że pomysł wyjazdu jej się spodobał. Wzruszyłem ramionami.

– Ta chatka w górach stoi na stromym zboczu, pośród traw, sarny wychodzą czasem przed werandę, kiedy pijesz poranną kawę. A ponieważ znajduje się naprawdę wysoko... – Borutow dalej się uśmiechała. Wiedziała, co powiem za chwilę.

– ... to za parę miesięcy, kiedy się już zacznie ta cała apokalipsa, będziemy mieli na nią świetny widok.

Pani doktor kiwnęła głową z aprobatą. W jej staroświeckich szklach i dużych, jasnych oczach odbijał się blask ognia. Nadciągającej od horyzontu pożogi.

Bytom, maj 2011

MILENA WÓJTOWICZ

Post mortem

Agonia Ratka Dmitarowicza nie miała w sobie nic z piękna i majestatu śmierci.

Była gwałtowna, karykaturalna i wprawiła chude ciało w dziwny tan składający się z chaotycznych szarpnięć, skłonów i gwałtownych wyprostów. Dopadła swoją ofiarę w ciemnym zaułku, ukradkiem, ale zaraz wyprowadziła na główną ulicę, dręcząc ją jeszcze tym upokorzeniem płasania niczym w pijackim widzie przed zaintrygowaną gawiedzią.

Ostatnie swe chwile Dmitarowicz przeżył, stając się marionetką w ulicznym teatrze, tańczącą w obłędzie ku uciesze przechodniów, zawsze chętnych, by choćby przechodząc, zerknąć na darmowe widowisko. Kłaniał im się w pas, prostował gwałtownie i odchyłał w tył tak mocno, że prawie kręgi mu trzeszczały, próbował ich schwycić rozczapierzoną lewą dłonią, a w całkiem zeszywniałej prawej wciąż trzymał chustkę, wyjętą kilka chwil wcześniej, by otrzeć pot z czoła. Wymachiwał skrawkiem materiału niczym poddający się żołnierz chorągwią. Ale jego wróg był bezlitosny, z błagania o litość uczynił kolejny element straszliwego przedstawienia.

Zainteresowanie pospólstwa widowiskiem trwało krótko. Gdy tylko ostatnie skurcze powaliły Dmitarowicza wpierw na kolana, potem na twarz, tłum gapiów rozszedł się pospiesznie, by przypadkiem jakiś policmajster nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. Ratko został na ulicy sam ze śmiercią, która, pociągnawszy kilka jeszcze razy za sznurki, porzuciła go, znudzona, na zimnym bruku.

* * *

W dni pogrzebów nawet słońce zdawało się świecić przytłumionym blaskiem.

Za każdym razem, gdy Nikola Gragur żegnał kogoś na cmentarzu, miał wrażenie, że natura z szacunku dla nieuchronności śmierci wycisza się, odsuwa na bok, niczym widz oglądający żałobników z pełnym nabożeństwem wielbiciela teatrów.

Albowiem pogrzeb, konkludował Gragur, to nic innego jak teatr. Przedstawie-

nie z wyborną obsadą i jedną, najjaśniejszą gwiazdą, błyszczącą w swej największej i ostatniej roli. Żałobnikowi najlepiej było w roli statysty, jednego z gromady odzianych na czarno ludzi niebędących ze zmarłym na tyle blisko, by żałować z powodu straty, lecz z jakichś powodów czujących się w obowiązku dotrzymania mu w tym dniu towarzystwa.

Niestety tym razem Nikola nie mógł się schronić w tłumie. Stał w pierwszym rzędzie, tuż przy trumnie – zamkniętej, by oszczędzić przybyłym widoku koszarnej

maski, jaką w chwili śmierci przybrał Ratko Dmitarowicz i która, wbrew prawom boskim i ludzkim, nie znikła wraz z ustąpieniem stężenia pośmiertnego.

Na wystawienie wpuszczono tylko najbliższych i Nikola przez jedną chwilę szczerze żałował, że z tragicznie zmarłym łączyły go więzy krwi. Zaraz potem zawstydził się tych uczuć, niegodnych i jakże niewłaściwych w takim miejscu i przy takiej okazji, ale nie mógł się zmusić, by spojrzeć na twarz kuzyna. Nie był osamotniony – cała jego liczna rodzina, od najstarszej prababki, którą na pogrzeb przywieziono na ogromnym, skrzypiącym fotelu na kółkach, po najmłodszą, ledwie ośmioletnią, kuzynkę, stłoczyła się po jednej stronie sali, jak najdalej od otwartej trumny. Krewni szepcąc wymieniali kurtuazyjne słówka, starając się nie spoglądać przypadkiem na upiora, którego stworzyła śmierć, ani też nie poruszać tego tematu w konwersacji.

Rozmawiano więc o pogodzie i nieskończonych odcieniach szarości, jakie przyjmowało niebo w zależności od pory roku, o tym, że młodzież nie jest już taka jak kiedyś, rzucono kilka pełnych dezaprobaty uwag na temat ojca szanownego nieboszczyka, który w uroczystości uczestniczyć nie mógł, albowiem z racji ostrej niedyspozycji psychicznej przebywał już od dwóch miesięcy w zamkniętym sanatorium i nie raczył wydobrzeć wystarczająco, by zjawić się na pogrzebie, mimo że medycy mający go pod opieką gotowi byli nawet przeprowadzić leukotomię przedczołową, zabieg zyskujący ostatnio wielkie poparcie w środowisku uczonych, widzących w nim lekarstwo na choroby ciała i ducha, lecz budzący grozę pośród małuczkich, lękających się, że nie- pewna ręka medyka wyssie im z głów odrobinę za dużo rozumu. Rodzina natychmiast podzieliła się na dwie frakcje – cioteczna babka zawzięcie opowiadała się za leczniczą mocą upuszczania krwi, podczas gdy kuzyn zajadle bronił nowej metody. Ktoś nie- uważny wspominał nawet o polityce, lecz szybko zagłuszyli go inni, taktownie i gromko wypytyując niezliczone zramolałe cioteczki o stan ich lichego zdrowia. Zatem aż do wyruszenia konduktu cała rodzina wysłuchiwała nader szczegółowych utyskiwań seniorek rodu, które, sądząc po tym, co mówiły, już dawno winny zepchnąć beczere- monialnie świętej pamięci krewniaka z katafalku i zająć jego miejsce.

Wszystkim ulżyło, gdy w końcu nadeszła chwila odprowadzenia zmarłego ku miejscu wiecznego spoczynku. O wiele łatwiej było znieść widok zamkniętego wieka trumny. Nikola z przykrością skonstatował, że ulga wywołana tym, iż nie muszą już patrzeć na potwornie zniekształconą twarz krewniaka, jest wśród żałobników wszechobecna. Towarzystwo Ratko w jego ostatniej drodze było nieporównanie przyjemniejsze od czuwania przy jego ciele.

Kondukt żałobników był większy, niż Gragur się spodziewał. Oprócz licznej fa- milii i równie licznych znajomych z towarzystwa stawiło się zaskakująco wielu ludzi, których nie widywał w miejscach, gdzie wypadało bywać. Wyglądało na to, że pogłoski o okolicznościach śmierci Dmitarowicza rozeszły się po mieście i tłuszcza, której nie dane było oglądać ostatnich chwil Ratka, stawiła się ochoczo w nadziei, że przynajm- niej pogrzeb dostarczy im rozrywki.

Nikola poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Towarzyszyła mu, gdy szedł przez cmentarz, gdy patrzył na wnoszoną do rodzinnego grobowca trumnę i gdy przyjmował niezliczone kondolenje od niezliczonych osób, których twarze i ścisane dłonie zle- wały mu się w jedno – pan burmistrz, jak zawsze z niezdrowo wzdętym brzuszyskiem i lepką dłonią, pani hrabina, sucha i sztywna od czubka głowy aż po koniuszki palców, syn służącej, zmieszany i niepewny... Jedno za drugim podchodzili, szepcąc jakieś

frazesy i odchodzili, ustępując miejsca następnym z nieskończonego sznura. Gragur cierpiał w duchu i wiał się w mękach, wyczekując z utęsknieniem chwili, gdy wreszcie będzie mógł opuścić to miejsce, tych ludzi, tę duszną, straszliwą atmosferę, wreszcie odetchnąć pełną piersią, pozbyć się bólu, ulgi i lęku i pozwolić sobie na pełen godności smutek.

W końcu padły ostatnie kondolencje. Nikola ocknął się z otępienia, w jakie popadł, zahipnotyzowany powtarzającymi się słowami i gestami. Na cmentarzu została tylko najbliższa rodzina i grabarze. Nawet kapłan już zniknął. Gragur uznał, że nareszcie i on może odejść, choć zabrakło mu odwagi, by wprost wymówić się od towarzystwa rodziny i udziału w nader szykownej i ponurej stypie. Mruczając pod nosem niewyraźne usprawiedliwienia, wycofał się wystarczająco szybko, by nikt nie zdołał go powstrzymać, i zniknął między pomnikami.

Kiedy znalazł się sam w alejkach cmentarza, obręcz, która przez cały czas trwania uroczystości miażdżyła jego serce i płuca, opadła i obróciła się w proch. Nie czuł już odrazy, znudzenia, niechęci. Opanowała go melancholia podszyta żalem i poczuł, że nareszcie może się pożegnać ze zmarłym krewniakiem.

Choć niemal w tym samym wieku, od wielu lat już nie byli ze sobą przesadnie blisko. Nikola lubił przyjęcia, piękne damy, ekscytujące podróże. Ratko spędzał dni w bibliotekach, towarzystwach naukowych i na odczytach. Mijali się tylko na rodzinnych spotkaniach, czasem w miejscach-gdzie-wypadało-bywać, czasem po prostu na ulicy, uchylając sobie kapeluszy i podążając w swoją stronę, każdy zajęty swoimi sprawami. A teraz mieli nie spotkać się już nigdy.

Nikola uznał, że to bardzo ludzkie, żałować wtedy, gdy już za późno, by coś zmienić. Ratko był cudownym towarzyszem zabaw z dzieciństwa, powiernikiem i przyjacielem, ale gdy dorośli, stał się jedynie życzliwym cieniem krążącym gdzieś na skraju świata kręcącego się wokół dorosłego Nikoli.

Teraz ten cień zniknął i gdy Gragur odwracał się, przekonany, że kątem oka wychwycił obecność kuzyna, nie widział nikogo. Zostało puste miejsce, zaskakująco dokuczliwe. Matka Nikoli zawsze powtarzała, że Dmitarowicze – sama była z domu Dmitarowicz – to paciorki na łańcuchu wspólnej krwi. Każdy mógł iść w swoją stronę, ale łączyła ich więź silniejsza niż wszystko inne. Byli rodziną.

Gragur zawsze kiwał głową, udając, że rozumie jej słowa i zgadza się z nią, ale ich sens pojął tak naprawdę dopiero teraz. Jeden z paciorków z samego środka łańcucha pękł i pozostawił puste miejsce. Niewypełnialne.

Powolny, bezcelowy spacer po cmentarzu zaprowadził go z powrotem w pobliże rodzinnego grobowca. Zmierzchało już i Gragur był pewien, że nikogo tam nie zastanie – rodzina i najbliżsi przyjaciele poszli na stypę, grabarze już dawno zakończyli pracę.

Ale coś ciemnego mignęło mu między pomnikami. Zatrzymał się, skrywając za jednym z grobów, powodowany dziecięcym pragnieniem podglądania wydarzeń z ukrycia, i wyjrzał zza ramienia kamiennego anioła.

Do grobowca podchodziła kobieta, cała w czerni. Kroczyła powoli, wręcz uroczyście.

Gdyby Nikola nie znał zmarłego, pomyślałby, że to wdowa po nim przyszła wieczorem, gdy już nie ma żałobników, by pożegnać się z mężem. A może, choć nie była żoną Ratka, to rzeczywiście w głębi serca czuła się teraz wdową? Może kuzyn kogoś miał? Gragur uświadomił sobie, że przecież wcale nie wiedział, jak wyglądało życie krewniaka.

Może pomiędzy odczytami znalazł czas na uczucie? Może poznał ją właśnie w auli jednego z towarzystw – choć kobiety nie były tam mile widziane, ostatnio coraz mniej zdawały się tym przejmować – może mieli wiele wspólnych tematów naukowych do omówienia, może pasja odkrywców połączyła ich ze sobą...?

Te fantazje przynosiły Nikoli dziwne ukojenie, niemalże delektował się myślą, że Ratko mógł naprawdę zakosztować życia, poznać to, co w nim najpiękniejsze i najcenniejsze – mógł kogoś kochać i sam być kochanym. Nie umniejszało to tragedii, jaką była śmierć, ale czyniło wspomnienie o jego życiu radośniejszym.

Kobieta zatrzymała się przed świeżo otwartym grobowcem. Nikola zorientował się, że podświadomie czeka na jakiś gest z jej strony – oczami wyobraźni widział już, jak kładzie na ziemi jedną różę, białą, a może jednak czerwoną, żegnając swą utraconą miłość. Ale ona tylko przystanąła, wyprostowana jak struna, nawet nie schyliwszy w zadumie głowy. Kiedy odchodziła, Nikola na próżno próbował dojrzeć choć skrawek jej twarzy – całą zasłaniała woalka.

Chciał wiedzieć, kim była, chciał podbiec do niej, poznać tajemnicę, odkryć, co łączyło ją z Ratkiem i czemu przyszła na jego grób wieczorem, kiedy już wszyscy odeszli, ale nie zdołał jej dogonić. Widział ciemną postać idącą między grobami, ale zniknęła mu z oczu, potem znowu ją dostrzegł, po to, by zaraz zgubić na dobre.

Kiedy dobiegł do bramy cmentarza, musiał pogodzić się z myślą, że kobieta zniknęła, a on jej zapewne już nigdy nie odnajdzie. Nie dowie się, co przywiodło ją na cmentarz ani jaką rolę odgrywała w życiu krewniaka. Wraz z nią odeszła szansa wskrzeszenia Ratka choć na krótką chwilę, spojrzenia na niego oczami kogoś innego. Na ulicy nie było nawet żadnych przechodniów, których mógłby o nią zapytać, tylko mechalatarnik na szczudłowatych nogach kuśtykał od jednej lampy naftowej do drugiej.

Nikola poczuł zazdrość. Jak prosta była egzystencja mechanizmu obdarzonego tylko jednym celem i zadaniem, pozbawionego uczuć, ba, niezdającego sobie nawet sprawy z tego, co znaczy istnieć. Nie mieć serca, nie mieć umysłu, tylko napęd parowy, pozbawiony wszelkiej ludzkiej słabości. W tej chwili zniekanemu Gragurowi niezgrabna maszynaria jawiła się jako uosobienie wolności. Zrobił kilka kroków w ślad za odchodzącym szczudlarzem, uwiedziony jego żelazną bez troską.

– Wielmożny pan wybacz...

Nikola odwrócił się. Przy bramie cmentarza stał jegomość w czarnym surducie i czarnym meloniku, ściskający w dłoni mały, oprawiony w skórę notatnik. Gragur przypominał sobie mętnie jego pucułowatą, wąsatą twarz, jedną z wielu w morzu składających kondolencje osób.

– Szanowny pan, jak mniemam, jest krewnym pana Dmitarowicza, niech spoczywa w pokoju? – ciągnął nieznamy.

Nikola milczał. Nie podobało mu się, że ktoś zaczepia go w takiej chwili i przerywa rozmyślenia. Nie chciał wysłuchiwać kolejnych kondolencji, nie chciał też, by ktoś w imię konwenansów próbował ukoić jego smutek. Odwrócił się od nieznamomego i spojrzał za odchodzącym konstruktem. Latarnik był już na końcu ulicy, oddalał się coraz bardziej, a z nim jego mechaniczna wolność.

– Pan Gragur, nieprawdaż? – zapytał nieco zbity z pantalyku jegomość, sprawdzając nazwisko w swoim dzienniku. – Bardzo chciałbym z panem porozmawiać o panu Dmitarowiczu. Żadnym pismakiem nie jestem – zastrzegł pośpiesznie – ani łowcą sensacji. Ja jestem lekarzem – zaczął gwałtownie obmacywać tłuszczkami

palcami kieszenie marynarki, aż w końcu w jednej odnalazł srebrny wizytownik i wydobyl z niego zgrabny kartonik. — Doktor Wadim Burko, do usług szanownego pana.

Nikola przyjął podaną mu kartę wizytową. Była szorstka i pachniała chemikaliami, jak zresztą i sam doktor.

— Pan Dmitarowicz bywał u mnie często w sprawach dotyczących się jego szanownego ojca — mówił dalej Burko.

— Jest pan... jak to zwą... doktorem duszy?

— Nie, nie! — Grubas zamachał gwałtownie rękami, z oburzeniem odziewając się od posądzania. — Dusza, panie Gragur, to nieudowodniony pseudobyt metafizyczny, a tego, czego nie widać i nie czuć, nie da się leczyć! Ja jestem prawdziwym lekarzem, doktorem nauk przyrody z dyplomem królewskiego uniwersytetu! Nie parę się jakąś szarlatanerią, lecz prawdziwą nauką. I dlatego przyszedł do mnie pan Dmitarowicz. Spotkaliśmy się na jednym z moich odczytów w Towarzystwie Naukowym imienia nieboszczki Królowej. Mówiłem o tak zwanych chorobach duszy i o ich prawdziwej przyczynie, która tkwi tu! — Wycelował paluch w tors Gragura. — W ludzkim ciele! Pana szanowny krewniak był wielce zainteresowany moimi teoriami, wierzył, że mogą pomóc uleczyć jego ojca, któremu jak pan może wie, ci szarlatani z sanatorium nie potrafią pomóc.

Bardziej odruchowo niż z przekonania Nikola kiwnął głową. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czy wujowi ktokolwiek potrafi pomóc. W rodzinie nie rozmawiało się o jego niedyspozycji psychicznej, która zmusiła bliskich do oddania go do zakładu zamkniętego.

— Otóż widzi pan, to nie był pierwszy taki przypadek — oznajmił medyk. —

Przez ostatnie kilka miesięcy nagle napady szaleństwa i gwałtowne zgony stały się wręcz plagą miasta. Podejrzewam chorobę, straszną chorobę, atakującą jednak tylko ludzi o określonych cechach. Pana wuj i kuzyn obaj padli jej ofiarami. Pan, lub ktoś z pańskiej rodziny, możecie być następni.

Zawiesił dramatycznie głos, ale tym razem nie doczekał się od Nikoli nawet skinięcia. Gragurowi zwyczajnie zabrakło słów. To, co próbował mu wyklarować ten dziwny człowiek, mniający się doktorem medycyny, było surrealistyczne, niepojęte i zwyczajnie niewyobrażalne.

Jego kuzyn leżał w grobie, choć był młody, zdrowy, miał przed sobą przyszłość i cały świat u stóp. Wuj, jeden z najspokojniejszych, najrozsądniejszych ludzi, jakich Nikola spotkał w całym swoim życiu, przebywał w zakładzie dla obłąkanych z powodu przypadłości tak okropnej, że nawet w rodzinie bano się o niej wspominać.

A teraz tu, przy bramie cmentarza, zaczepia go jakiś człowiek, podający się za medyka, wmawia mu, że jedno i drugie stało się za sprawą choroby, która i jego, Nikolę, może dotknąć szaleństwem albo może straszną śmiercią?

— Precz! — krzyknął piskliwie, unosząc nad głowę swoją mahoniową laskę. —

Precz, bo zatłukę jak psa!

Gargur wcale jednak nie czekał, aż grubas ucieknie, przerażony jego wybuchem.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, tak szybko, że niemal biegł. Ledwie skręcił za róg, zaczął się histerycznie śmiać. Śmiał się i śmiał, z tego małego człowieczka, z całej dziwacznej sytuacji, z podłości tego świata. Śmiał się tak długo, aż zaczął płakać.

Pochylił się, ukucnął, a potem po prostu usiadł na bruku, pod murem cmentarza.

Zapomniał, gdzie jest, zapomniał, co zamierzał zrobić, zapomniał o własnej irytacji. Był tylko ten twardy ubłocony bruk, lży i martwy Ratko.

Żal niczym kleszcze zaciskał się wokół Nikoli, miażdżąc mu żebra, wnętrzności, składając go wpół jak lalkę. Łzy ściekały po prostych, ciemnych rzęsach na poszarzały od kurzu bruk i wsiąkały w zbierający się pomiędzy kamieniami piach. Gragur patrzył, jak znikają w ziemi, i myślał o tym, że tak samo znikł Ratko. Nagle, niepowstrzymanie, na zawsze. Gnąc się z bólu. Padając w agonii na kocie lby, takie same jak te znajdujące się ledwie kilkanaście centymetrów od twarzy Nikoli i przybliżające się do niej coraz bardziej i bardziej.

— Hola!

Nagle szarpnięcie za ramię zmusiło Gragura do wyprostowania się. Uczynił to trochę zbyt gwałtownie i straciwszy równowagę, niemal wyrznął potylicą o mur. Powstrzymał go przed tym ten sam człowiek, który wcześniej siłą zmusił go do podniesienia głowy.

— Przestraszyłem się, że mógł pan mieć atak — powiedział dobrotliwie intruz dziwnie znajomym głosem.

Nikola spojrział na niego, a potem rozprostował zaciśnięte palce, zerknął na zmięty kartonik, który wciąż trzymał w dłoni, i dopasował do tej pulchnej, jowialnej twarzy imię. Wadim Burko, doktor nauk medycznych.

— Atak? — powtórzył. — Atak? — w jego głosie pojawiła się drwina. Tak, już pamiętał.

— Tak, atak — odparł niezrażony doktor. — Taki jak pański kuzyn. Taki jak pański wuj. Może pan nie wierzyć w moje słowa, ale nie ma pan prawa negować nauki!

A to właśnie nauka zaprowadziła mnie i pańskiego kuzyna na właściwy trop. Nie jestem szaleńcem — dodał zaraz. — I pana wuj też nim nie jest. Mamy do czynienia z czymś straszliwym, podstępny, czymś, co zdaje się przerastać nasze możliwości. Ale tylko pozornie, posiadamy wszak najlepszą broń — nasz rozum, naukę i jej twory. Czy ktoś wyobrażał sobie jeszcze kilkanaście lat temu, że wzbijemy się w przestworza? Czy ktoś słyszał o mocy pary? Czy ktokolwiek zdawał sobie sprawę, jakim cudem może być szczepionka? Żyjemy w czasach nauki, panie Gragur. Coraz mniej rzeczy wymyka się naszemu pojmowaniu. Jesteśmy jak myśliwi polujący z nagonką na lisa: wcześniej czy później go dopadniemy. Wierzę w to z całego serca i pański kuzyn też w to wierzył. Szukał ratunku dla pańskiego wuja, nie mógł znieść myśli, że jego siostry będą żyły z piętnem ojca-szaleńca, a szanowny protoplasta spędzi całe życie w sanatorium, skazany na ten los przez ludzi nieumiejących rozpoznać prawdziwej choroby, która go trawi.

Gragur już miał odepchnąć go od siebie, wstać i odejść, zlorzecząc na szaleńców żerujących na ludzkiej żalobie, ale zawahał się. Jakaś jego część chciała słuchać tego, co ten rzekomy czy prawdziwy doktor mówił. Jakaś jego część rozpaczliwie pragnęła odnaleźć sens, porządek w świecie, który nagle stał się taki surrealistyczny.

Kilka dni temu wszystkie elementy układanki były na swoim miejscu. A potem ktoś wyciągnął jeden z nich i zapanował chaos, cała misterna konstrukcja runęła, domkowi z kart zabrakło tej jednej decydującej podpory. Wszystko wróci do normy, Gragur wiedział to intuicyjnie, za jakiś czas ludzie odbudują zburzone ściany, naprawią zerwane mosty, oznaczą zagubione ścieżki. Taka była kolej rzeczy: życie i śmierć, porządek i chaos, normalność przetykana gwałtownymi epizodami rozpacz i, dla równowagi, niekiedy szczęścia.

Ale słowa doktora były niczym słodka, uwodzicielska, niemożliwa do spełnienia obietnica — obietnica wyjaśnień, światelko sensu w tunelu chaosu. Nikola w pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że przyjmując za dobrą monetę brednie wygłaszane

przez tego człowieka, zmienia po prostu jeden świat chaosu i bezsensownej, niewytłumaczalnej śmierci na drugi, równie pełen chaosu, oferujący mętne wytłumaczenie niewiele lepsze od niewiedzy.

Jednak tęsknił do tego wyjaśnienia, tęsknił do szansy na postawienie bryły świata z powrotem w starych, bezpiecznych posadach, do rzeczywistości, której zabrakło, gdy wyparła ją farsa.

A słowa szalonego medyka były tylko kolejną z odsłon tej tragikomedii. Tak, tak właśnie było. Nikola zacisnął dłonie w pięści. Zrozpaczony umysł głodny był pocieszenia i gotów znajdować je w największym łajnie. Ale nie można było popuścić mu wody. Należało okiełznać własne słabości i stawić czoła prawdzie i śmierci.

Wziął głęboki oddech.

– Choroby, mówi pan – usłyszał dziwnie znajomy głos. Głos Nikoli. – A potrafi ją pan rozpoznać?

– Z największym prawdopodobieństwem tak – odparł bez wahania doktor. –

Badania prowadzę już od dawna i udało mi się opracować metodę, która powinna identyfikować podatność na tę przypadłość. Żeby sprawdzić, czy moje badania pozwoliły mi odkryć sposób na zdiagnozowanie choroby i czy jest pan na nią narażony, potrzebuję kilku kropli pańskiej krwi, by przeprowadzić testy. Pana kuzyn zamierzał użyć mi swojej, ale niestety nie zdążył. Do pana wuja, jak pan się zapewne domyśla, nie mam dostępu, choć młodszy pan Dmitarowicz wierzył, że uda mu się zdobyć dla mnie próbkę krwi ojca podczas jednej z cotygodniowych wizyt. Wiedział pan, że Ratko bywał u starszego pana co czwartek?

Nikola odruchowo kiwnął głową. Wiedział. Niewielu wiedziało, Ratko był z natury człowiekiem dyskretnym, a w pewnych sprawach wręcz aż zbyt dyskretnym. Ale Gragur spotkał go na ulicy w pewien czwartkowy wieczór, gdy Dmitarowicz wracał właśnie z sanatorium, wyjątkowo roztrzęsiony. Tamtej nocy miała być pełnia, a tarcza księżycy robiła dziwne rzeczy z głowami ludzi, którzy nie do końca panowali nad swoimi umysłami. Najwidoczniej miała też wpływ na starego Dmitarowicza, i to taki, że Ratko dał się namówić kuzynowi na kielicha. Przy stojącym w kącie stoliku, nad szklaneczką przedniej becherovki wyrzucił z siebie wszystko, co od dawna ciążyło mu na sercu.

Opowiadał o ojcu, o tak zwanym sanatorium, o swoim lęku przed szaleństwem, które mogło wszak być dziedziczne. O matce, która czuła się już wdową pielęgnującą pamięć tego, który nie umarł, lecz ustąpił miejsca nieznanemu wariatowi, eksmitującemu z ciała duszę prawowitego lokatora. O swoich próbach i marzeniach uleczenia tatka. O tym, jak bezskutecznie starał się wskrzesić przeszłość, przywrócić to, co odeszło.

Tego wieczoru Gragur kilkakrotnie pożałował, że z dobrego serca i życzliwości zaproponował napotkanemu przypadkiem kuzynowi utopienie smutków w trunku dowolnego wyboru. I za każdym razem karcił się w duchu za własną małostkowość i za to, że całkiem, ale to całkiem nie ma pojęcia, co krewniakowi rzec ani jak mu pomóc.

Kiedy zaczęło świtać, Ratko i Nikola wsiedli każdy do osobnej dorożki i rozjechali się do domów. I nie wspominali tego wieczoru nigdy więcej.

Czy kiedy Dmitarowicz mówił o poszukiwaniach leku na szaleństwo ojca, znał już doktora Burko? Czy naprawdę uwierzył w tę szaloną teorię?

A jeśli tak? I jeśli Burko rzeczywiście miał rację, jeśli istniała jakaś choroba prześladowująca rodzinę Gragura, to możliwe, że szansa wuja Dmitarowicza na powrót

na normalności umarła wraz z jego synem.

Chyba że Nikola spróbowałby podjąć trop w miejscu, gdzie Ratko go porzucił.

To był szalony, niedorzeczny pomysł, ale jednocześnie dziwnie kuszący. Jakby

jednym prostym uczynkiem dało się odegnąć od siebie żal, zetrzeć bezsens śmierci

Ratko, zyskać jakąś pociechę. Uciszyć sumienie, które wytykało mu nieustannie, że nie

zrobił tego, co mógł. Nie spotykał się z kuzynem częściej. Nie wysłuchiwał jego trosk.

Nie próbował ponownie podnosić tematów, o których rozmawiali nad becherovką.

Nie zatroszczył się o wuja.

W końcu to tylko krew. Wypluł jej kiedyś tyle razem z wybitym zębem, tyleż

połało mu się jej z nosa wskutek dziecięcych i młodzieńczych bójek, tyle utoczyły mu

jej drzazgi, ciernie i kolce jeżyn... Pal licha tę jedną kroplę, nie żał mu było wszystkich

poprzednich, a ta... ta miała szansę na coś się przydać, coś zmienić.

– Zgoda – powiedział.

Doktor wydawał się szczerze zaskoczony jego słowami. Patrzył na Gragura

zdziwiony, z na wół otwartymi ustami, jakby chciał z nich wyrzucić kolejny, niepo-

trzebny już argument. Potem nagle rozjaśnił się, jakby wewnątrz pulchnego ciała za-

płonęła żywym ogniem pochodnia. Chwycił Gragura za rękę.

– Dziękuję! Dziękuję! Nie ma pan pojęcia, co to znaczy... dla mnie... dla nauki...

Dla wszystkich ludzi, którzy... którzy może są tacy jak pana wuj i świętej pamięci nie-

boszczyk.

Medyk miał w oczach prawdziwe łzy i Gragur nagle poczuł się niezręcznie. Oto

pod wpływem kaprysu, pańskiego gestu szczodrości mającej ukończyć ból sumienia, zgo-

dził się uczynić coś, co dla tego małego, komicznego człowieczka znaczyło tak wiele. Z

obrzydliwą wręcz nonszalaną, z własnych egoistycznych pobudek zdecydował się na

gest, który dla medyka okazał się darem niebios, zbawieniem i szczęściem absolutnym.

Wstyd mu było, gdy patrzył, jak doktor przeszukuje gorączkowo kieszenie, w

dzikim, niegodnym jego profesji pośpiechu, jakby lękając się, że Gragur zaraz zmieni

zdanie, że ta jedna szansa – światło w tunelu, które zgasło wraz ze śmiercią Ratka, lecz

teraz niepewnie zamigotało na nowo – zaraz zniknie. Nikola pożałował swojej wcze-

śniejszej szorstkości, pożałował oporu i głupich skrupułów. Oczywistym było, że dok-

tor niezręcznie wybrał sobie moment na rozmowę, lecz, Gragur był teraz tego pewien,

Burko to człowiek nauki, człowiek pasji, tak jak świętej pamięci nieboszczyk. Wcze-

śniejsze, podjęte pod wpływem chwilowej słabości postanowienie teraz okrzepło w

nim na dobre. Gdy doktor wreszcie wydobyl z wewnętrznej kieszeni surduta probówkę

i maleńki futerał ze skalpelami, Nikola zdecydowanym gestem wyjął mu ostrze z dłoni

i sam uroczyście naciął sobie opuszkę. Kilka szkarłatnych kropli spłynęło do naczynia

podstawionego rychło przez doktora.

– To wystarczy – powiedział Burko, zamykając probówkę i podając Nikoli

czysty kawałek płótna. – Niech pan obwiąże palec, zaraz dam panu maść, rana po-

winna się raz dwa zagoić. – Odzyskał spokój i opanowanie, jakby teraz, gdy miał już w

rękach upragniony materiał do badań, nie było się czego lękać i czym ekscytować. Na

doktora spłynął wręcz upiorny spokój, a jednocześnie nagła obcość. Nikola miał wra-

żenie, że człowiek, który przed chwilą stał obok, nagle oddalił się na wiele, wiele sążni.

Wokół doktora i jego cennej, wytęsknionej probówki zamknęła się bańka, oto-

czył ich maleńki wszechświat nauki, do którego Gragur nie miał dostępu. Granica była

niemal namacalna, wyczuwalna wszystkimi zmysłami.

– A diagnoza? – upomniał się Nikola, urażony lekko nagłą oziębłością roz-

mówcy, gdy Burko, musnąwszy w wyrazie uszanowania rondo melonika, zbierał się do odejścia.

— Potrzebuję kilku dni, może tygodnia.

Nim Gragur zdążył cokolwiek powiedzieć, doktor odmaszerował ulicą, krokiem

tak zdecydowanym, że wręcz nieprzyzwoitością byłaby próba zatrzymania go.

Nikola został sam, za jedyne towarzystwo mając wilgotny bruk i własne, nader mieszane uczucia. Czuł się... Odepchnięty. Wzgardzony. Porzucony. Wykorzystany.

Przez tego śmiesznego człowieka przypominającego beczkę na krępych nogach.

Przez tego człowieka, który roztoczył przed nim wizję raj, odkupienia, ukojenia, pozwolił mu stać się na chwilę mesjaszem, dobroczyńcą swoim i nieszczęsnej rodziny Dmitarowiczów, a potem po prostu zostawił go na środku ulicy.

Oszołomienie pokonało w sercu Gragura gniew, oburzenie i urazę, zdusiwszy je i okrywszy szczelnie płaszczem zaskoczenia. Nikola niepewnie wpatrywał się w ulicę, którą odszedł dziwaczny medyk, a potem wolno, niczym człowiek w ciężkim szoku, oddalił się również, tyle że w stronę najbliższego wyszynku. Może i cały świat zwariował, może i brakło wyjaśnienia dla tego, co stało się przed chwilą, ale jedno było pewne. Umarł Ratko. Trzeba to było zapisać.

* * *

Trzeźwość o poranku była gościem ze wszech miar nieproszonym. Wchodziła bez pukania, tupiąc podkutymi buciorami i płosząc zaspane i niekompletnie jeszcze o tej barbarzyńskiej porze odziane opilstwo. Fukąła i sarkąła, gromiąc wzrokiem pozostałości po nocy zasnutej cudowną różową mgiełką wina. I nijak, ale to nijak nie dała się przegonić. Nawet gdy gospodarz starał się uczynić jej despekt największy z możliwych i udawać, że wcale jej w pokoju nie ma.

Nikola Gragur szczerze nienawidził porannego otrzeźwienia, a tego konkretnego poranka nienawidził go szczególnie. W nocy wszystko było proste, w nocy wszystko było łatwe, ale o świcie... jeśli świtem można nazwać tę południową godzinę... o świcie wszystko zaczynało się komplikować.

Rzeczywistość i wspomnienie, dwaj podli kamraci trzeźwości, kroczyli tuż za nią, włączając mu do sypialni i nanosząc błota.

Ratko nie żył.

Powykrzywiana twarz nieboszczyka wciąż stała Nikoli przed oczami i nawet hektolitry wina nie zdołały zatrzeć w jego pamięci każdego ohydneho szczegółu tej fizjonomii.

Jeśli przed śmiercią Ratka spotkało coś tak strasznego, że nawet podczas pochówku twarz wciąż znaczył okropny grymas, to może i lepiej, że kuzyn tego nie przeżył.

To była niegodna myśl i Nikola bez przekonania skarcił się za nią w duchu.

Ratko był martwy.

Wuj Dmitarowicz był szalony.

Doktor mówił, że to wina krwi.

Gragur, nie mogąc jeszcze unieść głowy, podniósł miast tego dłoń, by móc przyjrzeć się nacięciu na czubku palca.

To była też jego krew.

Wczoraj... może na jawie, może we śnie... poświęcił kilka jej kropel. Oddał ofiarę bogom nauki, próbując zyskać sobie ich przychylność i poznać prawdę. Lub

przynajmniej coś, co za prawdę uchodzić mogło. Nie był pewien. Pogrzeb, rozmowa z tym doktorem, nocne pijaństwo... wszystko zlewało się w jedno i wszystko przesłaniała ta sama różowa mgła.

Trzeźwość i rzeczywistość cmokały z niezadowoleniem. Wspomnienie, skulone pod ścianą, spozierało na niego, jakby chciało powiedzieć: „sam jesteś sobie winien”.

Nikoli nie pozostawało nic innego, jak wstać i stawić im wszystkim czoła.

* * *

Budynek, w którym mieściła się instytucja nazywana przez ludzi ze sfery Gragura „sanatorium”, stał za rogiem, na tyle blisko, by można tam dotrzeć parojazdem w godzinę, i na tyle daleko, by sąsiedztwo zakładu dla obłąkanych nie zakłócało spokoju mieszkańcom. Wokół rozciągały się tylko łąki, niezmierzone, niemal całkiem płaskie połacie porośnięte wyschniętą trawą.

Nikt nie mógł nadjechać niezauważony. I, czego nie omieszkiał zauważyć Nikola, nikt nie miał szans odejść ukradkiem. Sanatorium przypominało twierdzę, ogromną trzypiętrową bryłę z kamienia z basztą – pozostałością po stojącym tu niegdyś zamczysku. Gragur miał cały czas wrażenie, że na szczycie tej wieży stoi strażnik, mityczna bestia z tysiącem oczu wokół głowy, i obserwuje go przez cały czas.

Gdyby nie to spojrzenie, które czuł na sobie, może i by zawrócił. Ale sama myśl o tym, jak wyglądałby powrót do miasta pod okiem tego tajemniczego obserwatora, który od razu niechybnie odgadłby, że Nikola stchórzył zwyczajnie i pospolicie, wystarczyła, by z hardą miną podjechał pod same drzwi. Mało brakowało, a z młodzieńczą butą zaanonsowałby swoje przybycie klaksonem, jak to zwykł robić jeszcze kilka lat wcześniej, gdy wracał do domu z nocnych hulank.

Już sam pomysł wizyty w tym miejscu – by, jak wyjaśnił matce i ciotce, zanieść słowo pociechy wujowi pogrążonemu w żalu po śmierci syna – wystarczył, aby familia uznała, że młody Nikola ma trochę nie po kolei w głowie. Nie przejął się tym – od takiej opinii do umieszczenia w sanatorium naprawdę daleka droga, jak dowodził przykład szanownego krewniaka. Gragur miał zresztą uzasadnione podejrzenie, że gdyby nie kilka... pozałowania godnych przypadków, których niestety nie udało się ukryć przed wścibskimi nosami publiki, policmajstrów i władz miejskich, to wujaszek dalej cieszyłby się, może odrobinę ograniczoną przez obecność wynajętych i dyskretnych opiekunów, ale jednak wolnością.

Przybycie do tego miejsca było aktem desperacji ze strony Nikoli. Próbując późnym porankiem dojść, co naprawdę stało się po pogrzebie, a co było tylko winną fantasmagorią, nabawił się potężnej migreny, ale nawet gdy osiągnął wreszcie cel, nie poczuł się ani ociupinkę mądrzejszy. Dręczyło go nieprzyjemne uczucie, że zrobił coś głupiego – zupełnie jakby pierwotny instynkt człowieka prehistorycznego nagle podniósł swój niekształtny łeb i począł nerwowo łypać ślepiami głęboko osadzonymi pod fałdą czołową.

Ratko był martwy.

Wuj był szalony.

A Nikola, jeśli wierzyć temu obłąkanemu doktorkowi, mógł pójść w ślady jednego i drugiego.

W pierwszej chwili chciał ruszyć do doktora Burko – znalazł w kieszeni jego wymiętą kartę wizytową – ale zrezygnował. Usłyszał od niego tyle rzeczy dziwnych i wręcz niezrozumiałych, że wpierw musiał je sobie uporządkować. Tego, co dotyczyło się Ratka, nie było jak zweryfikować. Ale wuj przecież żył...

Chyba tylko opary różowej winnej mgielki sprawiły, że Gragur, zamiast odrzucić od razu ten szalony pomysł, z zapalem przystąpił do wprowadzania go w życie. Pokonał przeszkodę w postaci własnej matki, zdeorientowanej i zgorszonej. Wdarł się niemal przemocą w żalobne odosobnienie ciotki, zdobywając od otępiełej i nierozumiejącej co się dzieje kobiety zgodę na wizytę u jej męża. Potem niemal kijami pogonił posłańca do sanatorium, by zaniósł owo pozwolenie i zaanonsował w zakładzie jego przybycie.

Aż w końcu uświadomił sobie, co właśnie uczynił. Myślał o tym przez całą drogę z miasta, ale im bliżej był celu, tym bardziej oczywistym się stawało, że się nie wycofa. Młodemu mężczyźnie z towarzystwa zwyczajnie nie wypadało tchórzyc, w każdym razie nie wtedy, gdy ktokolwiek mógł to zobaczyć. Mimo to pokusa, by odpuścić, towarzyszyła Nikoli niestrudzenie przez całą drogę.

Ostatnią chwilę zwątpienia przeżył przed samymi drzwiami, wielkimi i gładkimi, pozbawionymi choćby kołatki – zupełnie jakby nie chciały, by ktokolwiek w nie pukał i zakłócał spokój tego przybytku i przebywających w nim nieszczęśników. Kołatka, jak się zaraz okazało, nie była potrzebna – jedno skrzydło się uchyliło, nim Gragur zdążył zebrać w sobie tyle odwagi, by zaciśniętą w pięść dłoń odpowiednio stanowczo zastukać do drzwi.

Wpuściła go krępa kobieta w sile wieku, odziana w prostą i surową w kroju suknię. Gdy skłonił się i zaczął wyluszczać, co go sprowadza, przerwała mu w pół słowa.

– Zostaliśmy uprzedzeni – głos miała szorstki, nieprzyjemny i surowy, pasujący do stroju i do nieruchomej, ściągniętej twarzy. – Pan Dmitarowicz oczekuje pana.

Ruszyła przed siebie, a Nikoli nie pozostało nic innego jak podążać za nią – w pierw przez sień, oświetloną ogromnymi latarniami naftowymi, a potem korytarzem, równie bezwstydnie skąpanym w blasku lamp. Mimo że popołudniowe słońce nie docierało do wnętrza sanatorium – niedziwne, zważywszy, że okna w monumentalnej budowli przypominały raczej otwory strzelnicze – wewnątrz było tak jasno, że gdyby na gładkiej kamiennej podłodze leżał jakiś kłębek kurzu, niechybnie zostałby zauważony. Ale na gładkich ścianach nie było ani kurzu, ani dywanów, ani obrazów. Wisiały tylko latarnie.

Przeszli ledwie kilkanaście kroków, gdy kobieta zatrzymała się i wskazała drzwi po lewej.

– Pan Dmitarowicz oczekuje pana w pokoju widzeń – powiedziała. – Nasi opiekunowie będą za drzwiami.

Nie dodała „na wszelki wypadek”, te słowa i tak zawisły w powietrzu, chociaż pielęgniarka – musiała być pielęgniarką, może nawet siostrą przełożoną – w żaden sposób nie dała Gragurovi do zrozumienia, że zaraz wejdzie on do pokoju po lewej i znajdzie się sam na sam z szaleńcem, niebezpiecznym szaleńcem.

Nikola nie okazał wahania, dżentelmenowi nie wypadało. Pod ubraniem całe ciało miał pokryte gęsią skórką, ale nic a nic nie dał po sobie poznać. Skinął uprzejmie pielęgniarce, obdarzywszy ją jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów, i nacisnął klamkę.

Pokój po drugiej stronie drzwi był tak samo prosty i ascetyczny jak korytarz, ale trochę ciemniejszy. Lamy umocowano wysoko na ścianach, poza zasięgiem rąk wysokiego mężczyzny i ich miękkie światło nie docierało do wszystkich kątów. A właśnie

w jednym z nich, przy znajdujących się w przeciwniejszej ścianie drzwiach, czaił się wuj Emerik.

Gdy Nikola wszedł do środka, kucający pod ścianą człowiek odwrócił się gwałtownie, jak jastrząb. Gragura przeszedł dreszcz, gdy spojrział prosto w jasne, zimne oczy.

— Ach, Kola — odezwał się dziwacznie skulony człowiek głosem jego wuja i zaraz wstał, prostując się i otrzepując ubranie. — Wybacz, mój drogi chłopcze, staremu człowiekowi gapiostwo. Widzisz, miałem nadzieję na szczura i nieomal bym przeoczył twoje przybycie.

— Szczura? — Oślupiały Nikola pozwolił wujowi, czy raczej szaleńcowi, który był wujem, objąć się i poklepać po plecach. Jak za dawnych czasów, tyle że mały Nikola, witany przez drogiego wujaszka uściskiem, rzadko pocił się ze strachu jak mysz.

— Odmawiają mi tu mięsa — wyjaśnił rzeczowo wuj, jakby konwersowali o pogodzie — nie chcę dawać krwi i głód doprowadza mnie do szaleństwa. Niedługo stracę pewnie zmysły i wtedy niech Bóg ma w opiece to miejsce, bo nie wiem, co się stanie.

Nie oszalałem — oznajmił nagle, patrząc Nikoli prosto w oczy, jakby dostrzegł w nich strach i niepewność. — Na wszelkie świętości przysięgam, nie oszalałem. Jeszcze.

Mógłbym oszaleć teraz, gdy mój jedyny syn skonał, ale ja wiem, że dostał lepszą śmierć niż moja. Ale nie, ja żyję, choć nazwać moją egzystencję życiem to marny żart. Żyję i walczę z tym, co rośnie we mnie, z tym, co każe mi nocami nasłuchiwać szurzących kroków i marzyć o krwi płynącej w tych małych włochatych ciałkach. Na razie udaje mi się zająć tym myśli, ale czuję, jak nieuleczalna choroba trawi mnie od wewnątrz i nie wiem, czy zdołam jej się jeszcze długo opierać.

— Wuj wygląda wyjątkowo zdrowo — wtrącił pocieszająco Nikola, zupełnie zbity z pantyliku. Nie tak wyobrażał sobie tę rozmowę, nie tak wyobrażał sobie wuja.

— Jak na nieboszczyka — zarechotał wujaszek, jak za dawnych czasów, gdy udał mu się jakiś dowcip. — Tak, drogi chłopcze, jestem zdrowym i głodnym trupem, ale nie szaleńcem. No, mówże, co cię tu sprowadza, zanim ta harpia w bieli — ruchem głowy wskazał drzwi, przez które wszedł Gragur — uzna, że nadmiernie się podekscytowałem i czas zakończyć wizytę.

— Ja... — Nikola zawahał się. — Ratko mówił mi o chorobie — skłamał. — O chorobie krążącej w naszej rodzinie, dziedzicznej przez krew...

Wuj gwałtownie podniósł głowę. Jego oczy znów były oczami jastrzębia, a spojrzenie drapieżnika wwiercało się w Nikolę, w jego ciało i duszę.

— Ratko był u mnie — powiedział Emerik Dmitarowicz. — Pytał mnie o moją chorobę. Pytał mnie o krew! O naszą przeklętą krew! A teraz mój syn nie żyje i ja cieszę się z tego! Lepiej dla niego, że jest naprawdę martwy! Lepiej tak, niżby miał pójść w moje ślady i zakosztować innej śmierci! Nie idź tą drogą, Nikola, nie szukaj tego, czego szukał Ratko! — Złapał krewniaka za klapy surduta.

Ich rozmowa musiała być przez cały czas obserwowana i podsłuchiwana, bo drzwi za plecami wuja otworzyły się gwałtownie i wpadło przez nie dwóch rosłych mężczyzn. Złapali wuja pod ramiona i z trudem odciągnęli od Gragura. Dmitarowicz, choć o połowę niższy od każdego z nich i wyraźnie węższy, zdołał im się jeszcze wyrwać i rzucić ku Nikoli. Byłby go złapał, gdyby nie gwałtowne szarpnięcie, którym siostra przełożona odciągnęła młodego Gragura z zasięgu ramion szaleńca.

Nikola, stanowczo wyprowadzony na korytarz, a potem do drzwi wyjściowych, słyszał krzyki wuja, szarpiącego się z pielęgniarkami.

— Strzeż się, Nikola, strzeż się! Nasza krew jest przeklęta! Strzeż się, gdy ktoś

pozna jej sekret, będziesz zgubiony!

Krew... Sekret krwi... Nikola nieświadomie sięgnął prawą dłonią do nadgarstka lewej i potarł skórę i widoczne pod nią żyły. Nagle jego palce znieruchomiały, a on sam stanął tak gwałtownie, że nawet silne ramię siostry przełożonej nie zdołało ruszyć go z miejsca. Tajemnica jego krwi nie była bezpieczna, nie była już tajemnicą. Nie dalej jak dzień wcześniej sam, dobrowolnie, pozwolił komuś ją poznać. Zostawił próbkę krwi doktorowi.

Czy tak samo zrobił Ratko? A może i wuj? Czy to właśnie wuj miał na myśli, każąc mu strzec tajemnicy?

Pielęgniarka coś do niego mówiła, ale jej słowa przelatywały mu mimo uszu. Myślał tylko o jednym – o czerwonych kroplach, które poprzedniego dnia spłynęły z jego palca wprost do probówki doktora. O krwi, którą tak lekkomyślnie oddał. O krwi, która kryła sekret.

Na w pół przytomnie pożegnał się z siostrą przełożoną, mamrocząc jakieś przeprosiny za zakłócenie rekonwalescencji stryja, i wsiadłszy do powozu, pognął konie z powrotem do miasta.

* * *

Odnalezienie domu doktora nie zajęło Nikoli wiele czasu. Adres podany na karcie wizytowej zaprowadził go wprost do piętrowego domostwa w średnio zamożnej okolicy.

Budynek nie wyróżniał się spomiędzy dziesiątków podobnych, stojących rzędami na wąskich uliczkach, i gdy Nikola zastukał prostą, pozbawioną ozdób kołatką, miał wątpliwości, czy na pewno dobrze trafił.

Ale drzwi – po dość długiej chwili – otworzył mu Burko we własnej osobie.

– To pan – powiedział obojętnie.

– Wybacz pan najście – wracając z sanatorium, Nikola starannie ułożył sobie w głowie rozmowę z doktorem – ale sprawa tej choroby nie daje mi spokoju. Dręczy mnie niby nocny koszmar na jawie. Czy i mnie to czeka? Czy oszaleję jak wuj? Umrę w męczarniach jak mój świętej pamięci kuzyn? Proszę! – Spojrzał na medyka z desperacją, której wcale nie musiał udawać. – Ja muszę, muszę to wiedzieć!

Doktor zawahał się, zerknął w głąb domostwa, ale wreszcie niechętnie, ospale odsunął się od drzwi, wpuszczając Nikolę do środka.

Gragur znalazł się w umeblowanym bez przesadnej dbałości o estetykę, raczej z dużą dozą praktyczności, przedpokoju. Otwarte drzwi prowadziły do salonu, a drugie, mniejsze, ukazywały schody. To do nich skierował się Burko.

– Proszę za mną – powiedział. – W piwnicy mam pracownię.

Zaiste, była to pracownia! Niepozorne schodki prowadziły do obszernej piwnicy, wysokiej na półtora piętra. Pośrodku stały stoły pełne menzurek, probówek, dwuczynnych pojemników i rurek jakby do destylacji. W jednej ze ścian znajdowały się cztery nisze odgrozione kratami. Trzy były puste, w jednej siedział wyjątkowo ospały pies, lypiący na wchodzących przekrwionymi oczami.

A na krześle, tuż obok stołu z probówkami, siedziała kobieta w czarnej sukni, z twarzą ukrytą za woalką z czarnej koronki, gęsto zdobionej, zasłaniającej ją szczelnie niczym kurtyna.

Nikolę przeszedł dreszcz. Czy to była ona, kobieta z cmentarza? Czy to ukochna Ratka? Czy to ją wtedy widział?

– Mirno Androwa, pani pozwoli, że przedstawię: Nikola Gragur, krewniak

świętej pamięci Dmitarowicza – dokonał prezentacji doktor. – Panie Gragur, pani Androwa, tak jak i pan z przyczyn osobistych jest zainteresowana moimi badaniami.

Gragur uklonił się głęboko, a Androwa odpowiedziała mu skinieniem głowy i uniosła zasłaniającą twarz woalkę.

Nie była piękna, Gragur jako esteta mógł to stwierdzić bez cienia wątpliwości.

Zbyt pociągłą miała twarz, zbyt mocno zarysowane kości policzkowe, do tego jedna brew znajdowała się wyżej niż druga – przez co Androwa wyglądała, jakby nieustannie spoglądała na świat z kpina.

A jednak nie można było oderwać od niej wzroku. Miała w sobie to coś, nieokreślone i nieuchwytnie, co sprawiało, że Nikola, zamiast słuchać doktora, wpatrywał się w jej profil, usiłując odgadnąć tajemnicę. Bo miała jakąś, tego był pewien. To sekret nadawał blasku jej oczom, różowił jej wargi, wygładzał skórę. Sekret, który aż wołał, aż wyl, prosząc, by go odkryć. Sekret, który hipnotyzował.

– Chyba już panią widziałem – oznajmił. – Wczoraj, po pogrzebie mego kuzyna.

– Możliwe – odpowiedziała. Głos miała lekko zachrypnięty, lecz mimo to zaskakująco przyjemny dla ucha. – Pana kuzyn i ja dzieliliśmy... wspólne cele. Obawiałam się, że wraz z jego śmiercią przepadną, ale dobry doktor dał mi nadzieję. Jak rozumiem, to panu po części zawdzięczam postęp w jego badaniach.

– Byłbym zaszczycony, gdyby rzeczywiście tak było. – Nikola skłonił się ponownie. – Niestety nie do końca rozeznają się w charakterze pracy doktora...

– Och, z pewnością doktor wszystko zaraz panu wyjaśni, nieprawdaż? – Odwróciła głowę w stronę gospodarza.

– Oczywiście, oczywiście – zapewnił pospiesznie Burko. – Właśnie miałem się do tego zabrać. Widzi pan, badaniem przyczyn choroby, która zabiła pana kuzyna i dręczy wuja, zajmuję się już od dawna, dzięki życzliwemu wsparciu i mecenatowi pani Androwej. Ale dopiero ostatnio dokonałem przełomu, odkrycia, które pozwoliło mi określić, jak kto jest narażony na zarazę. A pomogliście mi w tym najbardziej pana kuzyn i pan! W tym oto pojemniku – wskazał okrągłą flaszkę wypełnioną mętną cieczą

– znajduje się wydestylowane źródło zarazy, nietypowego rodzaju bakteria, o wiele mniejsza od tych nam znanych, o znacznie uproszczonej budowie – oznajmił doktor.

– Wchodzi ona w reakcję z ludzką krwią, ale w dziwny, niezrozumiały dla mnie sposób. W przypadku niektórych z moich próbek nie wystąpiła żadna reakcja. Nazwałem to typem pierwszym. U większości doszło do gwałtownej aglutynacji czerwonych krwinek, tak gwałtownej i rozległej, że może doprowadzić do zatoru, a w następstwie do zgonu. To typ drugi. Ale najbardziej interesująca jest ta próbka. – Sięgnął po jedną z oklejonych karteczkami fiolek. – Po dodaniu bakterii do tej krwi również następuje z początku aglutynacja, ale potem dzieje się coś, czego nie mogę nazwać inaczej jak mutacją, podążającą w zupełnie nowym, nieznanym nam kierunku.

– Czyja to krew?

– Pańska. Należy pan do ludzi posiadających krew typu trzeciego. Pana świętej pamięci kuzyn był nieszczęsnym posiadaczem krwi typu drugiego i kontakt z bakterią zakończył się dla niego tragicznie.

– Kontakt? – zapytał Nikola. – Mówił pan, że choroba jest dziedziczna...

– Błędne założenie. – Doktor zbył poprzednią hipotezę machnięciem dłoni. – Bakteria nie jest i nie była częścią ani pana ciała czy krwi, ani ciała czy krwi pana ku-

zyna lub wuja. Pochodziła z zewnątrz.

– Chce pan powiedzieć, że można się nią zarazić? Jak ospą? Jak dżumą?

– Och nie, to nie takie proste. Bakteria nie przenosi się z człowieka na człowieka, nie w ilościach wystarczających.

– Zatem jak zetknął się z nią Ratko? – zdziwił się Nikola.

– Bardzo prawdopodobne, że podano mu ją celowo – oznajmił doktor. – Wyniki moich badań... i nieoficjalne śledztwo, jakie przeprowadziłem, wskazują na to, że ktoś od co najmniej kilkunastu miesięcy celowo zaraża ludzi. Nieliczni wychodzą z tego bez szwanku. Niektórzy giną, tak jak pański kuzyn. A inni... odmieniają się, stają się czymś nowym...

– Jak mój wuj – dokończył głucho Nikola. Choć niełatwo mu było zrozumieć teorię doktora, to elementy układanki powoli zaczęły trafiać na swoje miejsce. Choroba wuja, to, co zrobił, nim trafił do sanatorium, jego polowanie na szczury... Śmierć Ratko. „Lepiej dla niego, że jest naprawdę martwy”, tak powiedział wuj. Teraz Gragur go rozumiał. Lepsza jest prawdziwa śmierć od tego, co musiał znosić wuj Emerik. A gdyby na świecie pojawiło się więcej takich jak on? Kto by ich powstrzymał?

– To okropne – powiedział na głos. – Straszne, wręcz niewyobrażalne. Zaraza gorsza od dżumy i cholery, gorsza od wszystkiego, co znamy. Toż to może być koniec świata. Trzeba to powstrzymać, natychmiast. Zawiadomić władze, rozpocząć prace nad szczepionką.

– Wiedziałam, że pan tak powie – stwierdziła spokojnie Mirna Androwa. – Ale skoro już pan do nas dołączył, to postanowiłam sprawdzić, ot tak, na wszelki wypadek.

Nim Nikola zdążył odpowiedzieć, wstała z krzesła, złapała go obiema rękami za poły płaszcza i cisnęła nim, jakby był szmacianą marionetką. Zamroczyło go, a gdy doszedł do siebie, ujrzał, jak doktor trzęsącymi się rękami zamyka kratę, więżąc Gragura w jednej z klatek-nisz swojego laboratorium. Androwa stała obok i jastrzębimi oczami patrzyła na Nikolę.

– Musiałem – zakałał medyk, mocując się z kłódką. – Bóg mi świadkiem, musiałem!

Mirna Androwa prychnęła wzgardliwie. Burko skulił się i pośpiesznie zatrzasnął zamknięcie.

Nikola z trudem najpierw podniósł się na kolana, a potem wstał, opierając się o kamienne, wilgotne ściany.

– Odpowie pani za swoje zbrodnie – oznajmił.

– Może życiem? – roześmiała się, a Nikolę przeszedł dreszcz. – Drogi panie – podeszła bliżej – ja jestem martwa. Martwa jak pański drogi kuzyn, martwa jak pański wuj, martwa jak wielu przed nim, martwa tak, jak będzie za chwilę martwy pan. Ta mikstura zabija ciało, przeprowadza je na tamtą stronę i odmienia. Po jej zażyciu nic już nie jest takie samo. Nie każdemu dane jest przejście, ale teraz wiemy, jak poznać tych, którzy są tacy jak my. Tych, którzy mają właściwą krew. Chociaż nie od razu odkryliśmy tę tajemnicę, nie od razu. To zadziwiające, ale podejrzewam, że pana wuj pierwszy zorientował się, co się święci. Ale nie podzielił się tym z nami. Cóż, może gdyby to uczynił, pański kuzyn wciąż by żył. Widzi pan, jego śmierć była ostatnim elementem układanki, pozwoliła nam zrozumieć, że są różne rodzaje krwi. I że nie każdy człowiek nadaje się do przemienienia. Pański wuj miał odpowiednią krew, jego syn niestety nie. Ale dobry doktor wysnuł teorię, że krew się dziedziczy, tak samo jak

kolor oczu czy rysy twarzy. Słyszał pan o tym? Całkiem nowe odkrycie, jakiś mądry człowiek przyglądał się roślinom w swoim ogródku i wysnuł zajmującą analogię względem ludzi. Tym bardziej zajmującą, że prawdziwą. — Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech nie wydawał się już Nikoli piękny.

Teraz, kiedy znał jej tajemnicę, wiedział, co kryje się w jej twarzy, nie mógł na nią patrzeć bez odrazy. Zupełnie jakby uniósł wieko cudownej, zdobionej klejnotami szkatuły i przekonał się, że wewnątrz jest tylko gnój i robactwo. To właśnie znajdowało się we wnętrzu Mirny Androwej. Gnój, robactwo, śmierć i zniszczenie, ohyda wręcz niewyobrażalna.

— Dlatego po eksperymencie z pana wujem, pod pewnymi względami nieudanym, przyznam, zwróciłam się do jego syna. Pracowałam nad nim. Pokazałam mu, jaki może być świat, nasz świat. Przekonałam go. Ale niestety... — westchnęła teatralnie — zdobyłam jego serce, jego duszę, ale nie jego ciało. Nie miał w sobie krwi pańskiego wuja. Nie był jednym z nas. W przeciwieństwie do pana. — Podeszła do stolika, na którym stały menzurki i fiołki. — Dobry doktor chyba to panu dokładnie wyjaśnił, panie Gragur — powiedziała Mirna, przyglądając się w świetle lampy naftowej próbówce z jego krwią. — Substancja, która płynie w pańskich żyłach, czyni pana podatnym na mutację, tak jak czyniła i mnie. Jeśli podam panu specyfik, odmienię tylko pańskie ciało, nie ducha. A pański duch jest wielce... oporny. Może gdybym miała czas i cierpliwość, próbowałabym to zmienić, ale ostatnio, panie Gragur, przywykłam do tego, że od razu dostaję to, czego chcę. Przypadek pana kuzyna był wielce... rozczarowujący, a ja nie lubię, gdy długo wyczekiwane wydarzenie okazuje się rozczarowaniem. Zatem szkoda — powiedziała, ale w jej głosie nie słyszał prawdziwego żalu — że się pan jednak nadaje do tego, by stać się jednym z nas. Ale niech pan się nie martwi, nie jest pan całkiem bezużyteczny. Doktor z chęcią przeprowadzi kilka eksperymentów. Może uda mu się dzięki temu ulepszyć metodę rozpoznawania potencjalnych kandydatów. — Uśmiechnęła się krzywo. — Może znowu dokona jakiegoś ciekawego odkrycia. Zostawię teraz panów samych, nie mam tu już nic do roboty. Czekają na mnie inne zobowiązania. — Nagle na jej twarzy pojawił się straszliwy, okrutny uśmiech, odmieniając wcale przystojne oblicze na podobieństwo maski, na podobieństwo zastygłej w pośmiertnym grymasie twarzy Ratka Dmitarowicza. — Zamierzam, widzi pan, spróbować rozmnażania — rzekła Androwa, cedząc powoli słowa, jakby chciała mieć pewność, że dobrze ją zrozumiał. — W końcu to główne kryterium oceny gatunku, prawda? Czy zdoła przetrwać, czy się przystosuje. Zajmujące z naukowego punktu widzenia, nie uważa pan? Czy martwe ciało może dać życie? Nasz dobry doktor — skinęła głową w stronę przyczajonego pod ścianą medyka — twierdzi, że to możliwe. Muszę tylko znaleźć odpowiedniego... jakież to wulgarnie określenie... reproduktora. Pan niestety się jednak nie nadaje, ale mam innych kandydatów. Jak dowiódł nasz doktor, rodzaj krwi jest dziedziczny — przechyliła głowę na bok, co sprawiło, że jej twarz nabrała jeszcze bardziej groteskowo-potwornego, kpiącego wyrazu — a pan ma bardzo liczną rodzinę, prawda? Widziałam na pogrzebie.

— Nie ośmieli się pani! — Nikola wpierv pobladł, a potem poczerwieniał na myśl o tym, co ta... kobieta, ten potwór, zamierza uczynić.

— Och, ośmielę się, ośmielę. Ośmieliłam się już na tak wiele... Nie uwierzy pan, ale śmierć bywa zaskakująco wyzwajającym doświadczeniem.

— Nie uda się pani przeprowadzić tego szalonego planu. Ludzie dowiedzą się o pani i pani podobnych, staną przeciw nim, zniszczą ich! Dla takich jak wy nie ma tu

miejsca!

Mirna roześmiała się wzgardliwie.

— Ludzie? Jacy ludzie? Tacy jak pan? Słabi i bezradni, mający to swoje cenne życie do stracenia? Pana świat już się skończył, panie Gragur. Nastaje nowa era, era nowych ludzi. Przetrwają najsilniejsi, panie Gragur. Tylko najsilniejsi. Pan nie jest jednym z nich.

Wstała i opuściła na twarz woalkę.

— Zabawka jest pańska, doktorze. Niech pan z nim robi, co chce. — Odwróciła

się jeszcze w stronę celi. Nikoli zdawało się, że dostrzegł jej oczy błyszczące pod czarnym woalem. — Żegnam pana — powiedziała.

Gragur patrzył za nią, jak powoli, spokojnie wychodzi po schodach z pracowni doktora. Nie odwróciła się już ani do niego, ani do Burki. Po prostu odeszła.

— Niech mnie pan wypuści.

Doktor, też odprowadzający wzrokiem Andrową, aż podskoczył na dźwięk głosu Nikoli.

— To jest absolutnie wykluczone.

— Ta kobieta jest szalona!

Burko tylko potrząsnął głową i zajął się przestawianiem stojących na stole fiolek.

— Niech pan słucha! Ona zamierza zniszczyć moją rodzinę! Słyszał pan, co mówiła! To potwór, a pan ma szansę ją jeszcze powstrzymać! Musi mnie pan tylko wypuścić! Proszę! To morderczyni, sam pan przecież wie. Jeszcze nie jest za późno.

— Nic pan nie rozumie! — wrzasnął Burko, odwracając się gwałtownie i strącając ze stołu niemal wszystko, co tam stało. Dłonie mu się trzęsły, w oczach było szaleństwo. — Jest już za późno, od dawna! Myśli pan, że ona i pański wuj to jedyni odmienieni? Ich są dziesiątki, setki, może nawet tysiące. Żyją tu, w mieście, widzę ich na

każdym kroku, wiem, jak ich rozpoznać, czuję ich smród. Są wszędzie! My, ludzie, nie mamy szans, rozumie pan? To nowa ewolucja – przystosuj się albo zgiń. Odmienia, kogo się da, zniewolą pozostałych. Androwa może jest z nich najbardziej szalona, ale inni też czują głód krwi, też przestali się przejmować moralnością i przyzwoitością. Robią, co chcą, traktują świat jak swój i niech mi pan wierzy, ten świat już należy do nich, cały. Pan mógł!... pan mógł przetrwać. Ma pan dobrą krew. Miał pan szansę, zmarnował ją pan. Zazdroszczę panu, ach, jak bardzo zazdroszczę. Pierwsza z tych próbek — wskazał na rozlane na podłodze płyny i ludzkie wydzieliny — to była moja krew. Serum na mnie nie działa, nie robi ze mną nic. Nie odmienię się, nie zginę, mogę tylko starać się przetrwać w nowym świecie!

Uderzył pięścią w stół, wprost w potłuczone próbówki. Zaklął, gdy szkło wbiło mu się w skórę. Przycisnął zranioną dłoń do piersi i pospiesznie wyszedł po schodach z piwnicy, mamrocząc pod nosem różne bezceństwa.

Nikola został sam, jeśli nie liczyć demonów rozpaczy i bólu, tak materialnych, że niemal czuł ich oddech na plecach, czających się tuż obok, w cieniu, gotowych pożreć jego serce.

Był przekonany, że wszystko stracone. Nie było dla niego miejsca wśród żywych, odrzucił szansę zostania jednym z nieumarłych. Teraz czekał go los szczura laboratoryjnego, miał zostać wypatroszony i pokrojony w imię zabójczej nauki, po to, by potwory takie jak Androwa i ich wierni akolici mogły zawiądnąć światem.

I kiedy Nikola spuścił głowę, by odmówić ostatnią modlitwę i pożegnać się z życiem, dostrzegł, że pozostała mu jedna, straszliwa, okropna, niewyobrażalna moż-

liwość na ocalenie, jeśli nie siebie, to przynajmniej bliskich.

Pomiędzy sztuczonymi fiołkami leżała i ta zawierająca serum Androwej. Substancja była gęstsza od pozostałych i zamiast rozlać się po podłodze, wymieszać z innymi płynami i wsiąkać powoli w szpary między kamiennymi płytami, pozostała w miejscu w postaci fioletowej galaretowatej masy.

Nikola w jednej chwili zrozumiał, że szansa, którą dała mu Mirna Androwa, jeszcze nie odeszła. Wciąż mógł ją wykorzystać – na swój sposób i wedle swoich zasad.

Położył się na brzuchu, wyciągnął ręce przez kraty, byle tylko dostać do ciemnofioletowej masy. Miał tę jedną, jedyną szansę, zanim wróci doktor, zanim narkotyki zaczną działać. Zdołał umoczyć opuszki palców w miksturze i pospiesznie cofnął rękę, wnętrzem dłoni do góry, by nie uronić ani jednej cennej kropli. Zlizał wszystko ze swojej skóry i sięgał po kolejną porcję i kolejną, cmokając i oblizując palce, nie zważając na opilki szkła raniące dłonie i podniebienie. Nie miał pojęcia, jak szybko zadziała substancja, czy ilość, jaką udało mu się spożyć, wystarczy. Nie wiedział nawet, czy doktor ma rację i czy przemiana go nie zabije. Odepchnął te myśli od siebie. To nie był czas na rozterki, to był czas na działanie. Na walkę o byt.

Przetrwają najsilniejsi. O, Mirno Androwa, dziwiwisz się, gdy się okaże, że nie jesteś jedną z nich.

JOANNA SKALSKA

Dwa do dwóch

Stał na ostatnim piętrze wieży Rakuen, pod jego stopami niezauważalnie drgały setki ton stali i betonu, wzajemnie się uciskające i pchające ku odległemu o niemal tysiąc metrów gruntowi, przed jego oczami rozciągała się zapierająca dech w piersiach panorama szklanego miasta, a on nie mógł od siebie odpędzić wspomnienia z dalekiej przeszłości, obrazu podwórka na tyłach domu dziadków. Był to teren chłopiących zabaw Kaishiego, pełen tylko jemu znanych zakamarków i kryjówek, miejsce z tak odległych czasów, że nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz o nim myślał. Nie miał powodów. Dziadek i babcia nie żyli od lat, dom z zieloną dachówką sprzedano tuż po ich śmierci, podwórko, jeśli jeszcze istniało, na pewno wyglądało teraz zupełnie inaczej.

– Jak ci się podoba?

Głos Wataru, gardłowy, głęboki i wciąż obco brzmiący w uszach Kaishiego, wyrwał go z zamyślenia.

– Słucham?

Prezes wskazał ręką na miasto. Poły jego czarnego płaszcza zafalowały.

– Wspaniale, prawda?

Kaishi potwierdził skinieniem głowy.

Wataru poprowadził go dalej.

Ostatnie piętro Rakuen niemal w całości było ogólnodostępnym tarasem widokowym. Jedynie pośrodku przycupnęły dwa stoiska z pamiątkowymi trójwymiarowymi pocztówkami oraz kawiarnia, której obszar wydzielaly smukłe greckie kolumny. Kolumny były oczywiście fałszywe; wykonano je z połyskliwego kobaltowego tworzywa, dzięki czemu doskonale harmonizowały z niebieskawą kolorystyką nowoczesnego wnętrza. Tylko pomarszczone liście akantu na kapitelach zdradzały, że inspirację dla nich stanowił styl koryncki. Zarówno sklepiki, jak i kawiarnia nie mogły się w tej chwili pochwalić choćby jednym klientem.

Natomiast reszta piętra – cały zewnętrzny, szeroki na dobrych kilka metrów okrąg galerii widokowej – była wypełniona przechadzającymi się ludźmi. Wszyscy

kierowali spojrzenia ku zewnętrznym ścianom budynku, czyli krystalicznie czystym, niebieskawym szybom. Za nimi otwierał się widok na Tokio.

Kaishi też tam patrzył. Miasto zdawało się nie mieć końca. Nieustanna gra słonecznych odbłasków, pulsowania świateł i cieni sprawiała, że ciągnąca się po horyzont betonowo-szklana zabudowa wyglądała jak żywy organizm. To nie ludzie przemieszczali się ulicami, kierowani swoimi potrzebami czy kapryсами, ale ulice, podlegając wyższej biologicznej konieczności, pompowały ludzkie składniki w najdalsze rejony tkanki miasta.

Błysk, ruch, migotanie – oto esencja życia miejskiego giganta. W narożnym mieszkaniu na siódmym piętrze apartamentowca w Katushdika trzeba nacisnąć włącznik, by z okien mogło rozbłysnąć światło. Ktoś powinien uruchomić windę w domu towarowym w sercu Shinjuku, by szklany pocisk zewnętrznej kabiny zdołał pomknąć ku górze wzdłuż ścian budynku. Ktoś inny musi usiąść w kabinie sterowniczej miejskiego pociągu, by węzowy kształt mógł sunąć po linii Yamanote. Arteriami głównych ulic i żyłkami pomniejszych alejek miasto wysyła więc umyślnych – lokatora mieszkania na siódmym piętrze, ogarniętą szalem zakupów nastolatkę, motorniczego japońskich kolei. A mózgiem tych operacji zdawało się Kaishiemu miejsce, skąd na to wszystko patrzył: wieża Rakuen, ten cud architektury i inżynierii budowlanej, najwyższy wieżowiec świata, prawdziwy wysięgnik do nieba. Inne drapacze chmur – nawet te najpotężniejsze, swego czasu również łamacze rekordów wysokości i w rzeczywistości wcale nie tak dużo niższe od Rakuen – oglądane z ostatniego piętra wieży zatracaly swoją prawdziwą skalę i przypominały konstrukcje z plastikowych klocków. Zrobił krok do przodu. Na obraz budynków nałożyła się jego blada twarz odbita w szybie i ten impuls wystarczył, żeby jego umysł, zamiast chłonać nowe wrażenia, na powrót zanurzył się w przeszłości. Przed oczami chłopaka znów pojawił się dom dziadków. Wieża Rakuen i podwórko jego dziecięcych zabaw, siedemdziesiąt osiem pięter ze szkła i betonu oraz zasypana studnia z butwiejącym żurawiem, windy w kilka sekund pokonujące sto metrów oraz kołysząca się na wietrze huśtawka ze sznura – jak pogodzić te dwa miejsca, jak uwierzyć, że należą do tego samego kraju i że nie dzielą ich stulecia, a raptem niecała dekada...

– To miasto powstało za mojego życia, można powiedzieć, że razem rośliśmy – głos Wataru znowu wdarł się do wspomnień Kaishiego, a oblicze prezesa, poorane zmarszczkami, ale okolone kruczoczarnymi włosami bez śladu siwizny, pojawiało się w odbiciu na szkle obok twarzy chłopaka.

– W czterdziestym piątym miałem pięć lat – kontynuował starzec. – Mieszkaliśmy wtedy na zachód od Shinjuku, na jednym z nielicznych naturalnych wzniesień Tokio. Nie pamiętam nalotów, bombardowań ani pożarów, ale zrównane z ziemią miasto, zgliszcza, z których gdzieniegdzie wystawały pojedyncze domy. I tylko pałac cesarski stał nienaruszony, jego jednego nie ośmielili się zniszczyć.

Kaishi z nowym zainteresowaniem spojrzał na połyskującą w słońcu nowoczesną zabudowę i spróbował wyobrazić sobie Tokio sprzed ponad osiemdziesięciu laty, takie, jakie widział kilkuletni Wataru.

– Amerykanie zniszczyli całe miasto, a to i tak był przecież dopiero początek.

Dopiero potem zaczęło się ich prawdziwe panowanie. Dopiero potem zabrali nam wszystko... Ale dość już tego. – Mężczyzna położył dłoń na ramieniu Kaishiego. – Nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby rozpamiętywać stare czasy, ale by rozmawiać o przy-

szłości. Twojej przyszłości.

Chłopak przybrał skupiony wyraz twarzy, ale w rzeczywistości ledwie rejestrował słowa prezesa. Znakomite perspektywy, niemal nieograniczone możliwości awansu – w ciągu ostatnich dni słyszał tę przemowę z ust zbyt wielu osób, aby zwracać na nią uwagę. Pierwszy był headhunter w Tonoshō (wtedy jeszcze Kaishi spijał każde słowo z jego ust), później przedstawiciel Firmy odpowiedzialny za prefekturę Kagawa, potem dyrektor na całą wyspę Sikoku, który osobiście odprowadził go na lotnisko i jakby zazdrośnie popatrywał na jego bilet. Już w Tokio odbył też serię rozmów z pracownikami Firmy, z kierownikami, menadżerami, dyrektorami, wicedyrektorami... Wtedy też po raz pierwszy znalazł się w wieży Rakuen, zbudowanej i w całości zajmowanej przez Firmę. Spośród siedemdziesięciu siedmiu pięter budowli tylko jedno było ogólnodostępne: taras widokowy na samej górze, przy czym galerię urządzono tak, by jak najbardziej odseparować ją od reszty wieży. Wydzielono osobne wejście i specjalne windy, które nie miały możliwości zatrzymania się po drodze.

I właśnie tam, na ostatnie piętro Rakuen, zabrał go dziś prezes Wataru.

Jakaś zmiana w głosie starca spowodowała, że Kaishi zaczął uważniej słuchać jego słów.

– ... rozumiem, że może ci się to wydać osobliwe. Zresztą i mnie samego to dziwi. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz nadzorowałem przyjęcie pracownika. Chyba z ćwierć wieku temu. – Roześmiał się. – Po prostu dla wyjątkowych ludzi robi się odstępstwa. Dlatego tak bardzo mi zależało na tym spotkaniu. Chcę cię zapewnić, że otoczmy twój talent ochroną. Na Firmę, a w szczególności na mnie, zawsze będziesz mógł liczyć.

– Dziękuję – powiedział Kaishi. Odruchowo skłonił głowę i zaraz zagryzł wargi ze złości. Kląkanie się może i wciąż było powszechnym gestem w jego maleńkim, zaprziałym mieście w prefekturze Kagawa na wyspie Sikoku, ale w Tokio – jak już się zorientował – uchodziło za znak nieokrzesania.

Wataru uśmiechnął się wyrozumiale, sięgnął po dłoń Kaishiego i mocno ją uściskał.

– Witaj w Firmie.

* * *

Szło mu świetnie. Słowa prezesa Wataru uskrzydliły go. Po raz pierwszy ktoś go docenił, użył nawet słowa „talent”. Przed nikim by się do tego nie przyznał, ale nieraz wyobrażał sobie, że starzec siedzi obok i przypatruje się, jak Kaishi pracuje. Od tego spojrzenia zapalał chłopaka rósł. Często brakowało mu czasu, żeby dokończyć zaczęty projekt, bo w jego wyobraźni już się pojawiał, i domagał natychmiastowej realizacji, następny. Zabierał się więc do tego nowego pomysłu, a wyimaginowany Wataru ze swojego krzesła kiwał z zadowoleniem głową.

W rzeczywistości nikt nie interesował się jego postępami, nie oglądał nowych projektów, nie dawał sugestii. Starał się o tym nie myśleć. Dzień za dniem siedział sam w swoim przeszklonym, wyposażonym w najnowocześniejszą konsolę pokoju na dwudziestym trzecim piętrze Rakuen i niestrudzenie pracował, ale w głębi duszy czuł się trochę rozczarowany.

Minęły trzy tygodnie, odkąd zatrudniono go w Firmie, kiedy samotność dziesięciu godzin spędzanych codziennie w Rakuen zakłócił nieznanemu mu mężczyzna.

Stał w progu i oznajmił:

– Tomatsu Kato wzywa cię na spotkanie.

– Kto?

Tamten wzruszył ramionami.

– Sześćdziesiąte drugie piętro – rzucił i wyszedł.

Kaishi przez chwilę siedział jeszcze wpatrzony w konsolę, na której wykwitwały wielokolorowe, idealnie symetrycznie arabski. Wreszcie niechętnie wstał.

W kabinie windy wyciągnął dłoń w stronę przycisków, ale w połowie drogi zatrzymał ją i znieruchomiał. Patrzył na guziki z numerami pięter i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Znajdowały się tam numery od jednego do czterdziestu dziewięciu a potem od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu. Brakowało dziesięciu.

Zamrugął, jakby spodziewając się, że to tylko przywidzenie, w końcu wzrok, nadwężony wielogodzinnym wpatrywaniem się w ekran, mógł tworzyć różne omy... ale nie, nic się nie zmieniło. Przesunął palcem po przyciskach. Czy zawsze ich tu brakowało, a on nigdy wcześniej po prostu tego nie zauważył? Przecież jeżdżąc codziennie rano na swoje piętro, wybierał niski, dwudziesty trzeci numer i nie miał potrzeby przyglądać się pozostałym. A kiedy w czasie pierwszych dni w Rakuen przemieszczał się po piętrach Firmy, by rozmawiać z kolejnymi kierownikami czy dyrektorami, w windzie ktoś mu zawsze towarzyszył i zamiast niego wybierał odpowiednie przyciski. Stał jeszcze chwilę, wpatrując się w połyskujące numery i kręcąc z niedowierzaniem głową. Wreszcie uruchomił windę.

Sześćdziesiąte drugie piętro spowijała cisza i półmrok. Za oknami zapadło już jesienne, ciężkie od niskich chmur popołudnie, a światła elektrycznych jeszcze nie włączono. Za plecami Kaishiego zamknęła się i odjechała w dół winda, zostawiając chłopaka z przekonaniem, że jest tu zupełnie sam.

– W lewo, potem w prawo – dobiegł go daleki okrzyk.

Ruszył niepewnie, kierując się tymi wskazówkami, aż znalazł się w zupełnie ciemnym, bo pozbawionym okien korytarzu. Jedynie z uchylonych drzwi na końcu sączyło się światło.

– Śmiało! – usłyszał ten sam głos.

Przyspieszył. Z każdym krokiem coraz wyraźniej dochodziła go dziwna melodia, tkliwa i sentymentalna, brzmiąca jak piosenka ze starego filmu. Wreszcie dotarł i pchnął drzwi. Za nimi... Za nimi... Nie wiedział, na co patrzeć. Czemu się przyglądać. Ciężkiej zasłonie z aksamitu w kolorze burgunda w oknie? Grubemu czerwonemu dywanowi? Pstrokatym lampionom zwisającym z sufitu? Rzeźbionemu parawanowi? Szezlongowi, na którym leżał szlafrok w chińskie smoki? Szafkom zawalonym papierem? Ogromnemu biurku, również uginającemu się pod ciężarem dokumentów i zajmującemu cały środek pomieszczenia?

Unoszący się w powietrzu piżmowy zapach drażnił nozdrza i Kaishi mimowolnie zaczął oddychać przez usta. Na dźwięki rzewnej pieśni nie miał jednak sposobu.

Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, że cofnął się w czasie i znalazł się w buduarze przedwojennej kurtyzany. Złudzenie psuł jedynie panujący tu bałagan oraz wszechobecne sterty papierów, zalegające każdy mebel. I Kato. Tomatsu Kato.

Drobny i szczupły, niemal niewidoczny zza biurka. Miał na sobie marynarkę w kratę, koszulę i czarną muchę. Ten strój nie dodawał mu jednak elegancji, wprost przeciwnie, sprawiał, że mężczyzna wyglądał jak prowincjonalny urzędnik. Jego włosy mężczyzny przyprószyła siwizna, a zmrużone, niewidzące oczy lepiej zdradzały krótkowzroczność niż okulary w drucianych oprawkach, które trzymał w dłoni. Nachylił

się nad przypominającym stare radio pudłem stojącym na skraju biurka. Przekręcił gałkę i śpiew natychmiast umilkł.

— Siadaj — rzucił w stronę Kaishiego, który wciąż stał w drzwiach.

Chłopak, ostrożnie manewrując między leżącymi na podłodze stertami papieru, dotarł do wskazanego krzesła. Dopiero stąd zauważył wśród bałaganu na biurku tabliczkę z napisem: „T. Kato, Dział XVII”. Dział XVII? Kaishi nigdy o takim nie słyszał, ale nie miał odwagi o nic zapytać. Mężczyzna po drugiej stronie blatu nie wyglądał na skorego do udzielania wyjaśnień, więcej, zwyczajnie go ignorował i studiował uważnie jakiś dokument.

Kaishi zaczął więc śmiało przyglądać się pokojowi. Z trudem przychodziło mu uwierzyć, że wciąż znajduje się w wieży Rakuen, że kilkanaście pięter niżej biegną widne korytarze, a wzdłuż nich ciągną się niemal identyczne biura, gdzie za konsolami siedzą schludnie – i właściwie jednakowo – ubrani pracownicy Firmy; gdzie wszystko jest skąpane w elektrycznym świetle, sterylnie czyste, pozbawione zapachów i dźwięków, jakby wyprane z barw. I gdzie nie ma nawet skrawka papieru. Firma po prostu go nie używała. Wszystkie dokumenty przekazywano cyfrowo i zatwierdzano podpisem elektronicznym (wyrobinie go było pierwszym po zatrudnieniu obowiązkiem Kaishiego), a dzięki praktycznym elektronicznym notatnikom w telefonach i świetnym konsolom z doskonałymi, dostosowującymi się do wzroku użytkownika monitorami żaden z pracowników nie miał potrzeby sięgnięcia po kartkę papieru. Tego papieru więc zwyczajnie nie było, natomiast tu znajdował się wszędzie. Chłopak odetchnął głębiej i zdało mu się, że obok napastliwej piżmowej woni, do której trochę już się przyzwyczaił, wyczuwa zapach mniej agresywny, ale równie mocny i jakby permanentny – celulozy.

Tomatsu Kato chrząknął.

— Pewnie interesuje cię — powiedział — czym się zajmuje Dział XVII. — I nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać: — Świat nie jest idealny, to rzecz powszechnie wiadoma. Ludzie próbują z tym walczyć, ale zawsze przegrywają. Nie potrafią zrozumieć, że z ułomnością rzeczywistości po prostu nie da się wygrać. Założyciele Firmy nie popełnili tego błędu. Wiedzieli, że nie jest możliwe stworzenie wzorowo działającego, doskonale prężnego przedsiębiorstwa. Gdyby próbowali tego dokonać, prędzej czy później wadliwa natura świata dałaby o sobie znać, czy to w postaci zaniedbań opieszłych pracowników, korupcji czy nietrafnych decyzji zarządu. Stałiby na straconej pozycji, skazani na przeciętną bylejakość. Natomiast gdyby – i uważam, że jest to myśl genialna w swej prostocie – w strukturę firmy wpisać niedoskonałość... niedoskonałość celową, a więc ujarzmioną i kontrolowaną, wtedy mieliby szansę zbudować coś niemal perfekcyjnego. Założyli więc specjalny dział, który kumuluje w sobie wszelkie możliwe defekty, tym samym chroniąc od nich pozostałe sekcje. Dział XVII, ciemna strona mocy. — Machnął ręką, zataczając krąg po pokoju, a potem roześmiał się. — Jestem leniwy, nieefektywny, przekupny, skorumpowany, mam częste wahania nastroju, odwalam fuszerkę, partaczę najprostsze zadania i jeszcze mi za to świetnie płacą. I powinni. Jestem przecież odpowiedzialny za sukcesy Firmy.

Kaishi z trudem nadązał za słowami mężczyzny. Wydawały mu się tak niedorzeczne, że aż śmieszne.

Tymczasem wszelka wesołość znikła z oblicza Kato.

— Czym teraz się zajmujesz? — zapytał.

Kaishi wyjaśnił. Jak zawsze, kiedy opowiadał o pracy, uniósł się zapałem i za-

aferowany zaczął zagłębiać się w szczegóły ostatnio napotkanych trudności.

– Dość! – przerwał Kato. – To już nie są twoje problemy. Teraz pracujesz dla mnie.

Chłopak zamrugał, zaskoczony.

– Jak to?

– Będziesz moim asystentem. – Mężczyzna wskazał drugie biurko w kącie, tak zavalone papierami, że właściwie niewidoczne.

– To niemożliwe! – zaprotestował Kaishi. – Przecież sprowadzono mnie tu specjalnie do pracy nad najważniejszymi projektami, sam prezes obiecał mi...

– Wiesz, kto zatwierdził twoje przeniesienie? Prezes właśnie. – Kato przerwał, pozwalając chłopakowi przyswoić tę informację. – Czasem tak się zdarza, że nowy pracownik rozbudza wielkie nadzieje, jednak po kilku tygodniach staje się jasne, że nadzieja była płonna, bo ten człowiek zwyczajnie się nie nadaje. W twoim przypadku...

Cóż, jak powiedziałeś, Firma sprowadziła cię aż z Sikoku, sporo zainwestowała. Nie możemy tak po prostu pozwolić ci odejść. To byłoby nieekonomiczne. Prezes pomyślał, że może sprawdzisz się tutaj.

Kaishi milczał upokorzony.

– Teraz jesteś wolny, rozpoczynasz jutro rano.

Te słowa Kato wciąż dźwięczały w mu uszach, kiedy jechał windą. Na dwudziestym trzecim piętrze przywitał go zwykły blask jarzeniówek, znajomy zapach szkła i elektryczności. Trudno było uwierzyć, że to, co wydarzyło się kilkanaście pięter wyżej, zwyczajnie mu się nie przyśniło. A jednak... Z progu swojego pokoju zobaczył dwóch pracowników technicznych, rozmontowujących jego konsolę. Pomyślał o projektach, które zawierała, owocach intensywnej trzytygodniowej pracy, ale nie zaprotestował. Jego pomysły należały przecież do Firmy. Nie pozostało mu nic innego, jak pójść do domu.

Tym razem naprawdę poszedł. Ruszył piechotą w miasto, choć nawet nie wiedział, w którą stronę powinien się skierować. Jak dotąd dystans dzielący wieżę Rakuen od mieszkania, wynajętego na dość odległej Gotandzie, zawsze pokonywał zatłoczonymi pociągami metra, które jak gigantyczne dżdżownice przemykały podziemnymi tunelami. Lubił to uczucie. Lubił też studiować mapę metra, pozorny nieład wijących się linii, z których każda reprezentowała inną trasę. To był jego sposób na poznanie Tokio, bo na zwiedzanie zwyczajnie nie miał czasu. Wiedział na przykład, że na stacji Iidabashi przecinają się aż cztery linie, że granatowa trasa Toei Mita i zielona Namboku przez kilka pierwszych przystanków biegną szelnie do siebie przytulone jak świeżo zakochana para, na Shirokane brutalnie się rozdzielają, by w okolicach Kasugi jeszcze raz spotkać się na krótką chwilę, po której już nieodwołalnie rozbiegają się w przeciwnie strony: Toei Mita na wschód, Namboku na zachód. Znał nazwę każdej stacji, kolor każdej linii. Nie wiedział tylko, co znajduje się nad nimi.

Teraz więc, kiedy szedł szeroką, elegancką ulicą, zadarł do góry głowę, by wreszcie podziwiać miasto. Ale zobaczył jedynie dwie przeszklone ściany wieżowców po bokach i odbijające się w nich późnopołudniowe, już niemal wieczorne niebo. Przypomniał sobie dzień, kiedy z tarasu widokowego Rakuen patrzył na panoramę Tokio. Wtedy znajdował się na szczycie, wszystko stało przed nim otworem: kariera, pieniądze. Teraz był asystentem Tomatsu Kato w dziale XVII, którego działalność wydawała się głupim żartem. Jak to się stało? Co zrobił źle? Wciąż wracał myślami do

prezesa, który jeszcze trzy tygodnie temu obsypywał go komplementami. Wataru – jeden z najpotężniejszych ludzi w Japonii, założyciel i twórca sukcesu Firmy – obiecywał, że otoczy talent Kaishiego opieką. To wspomnienie tylko pogłębiło upokorzenie i gorycz porażki. Uczucie było tak silne, że chłopakowi pociemniało w oczach...

– Hej, uważaj jak idziesz!

Stary, obdarty mężczyzna wyciągnął rękę, chroniąc wielkie tekturowe pudło.

Jeszcze dwa kroki i Kaishi byłby je zdeptał. Chłopak odskoczył do tyłu.

– Przepraszam – powiedział, cofając się jeszcze o krok. Przyłożył dłoń do czoła, jakby próbując uspokoić rozedrgany umysł. Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że niepostrzeżenie opuścił elegancką ulicę z wieżowcami i znalazł się w środku parku. Między trawnikami wily się ścieżki upstrzone żółtymi liśćmi klonów. Nie miał pojęcia, którą wybrać.

– Proszę pana... – zawahał się. Staruszek w łachmanach nie zwracał już na niego uwagi. Odwrócił się i układał coś w pudle.

– Czy mógłby pan mi powiedzieć... – Kaishi spróbował jeszcze raz, robiąc krok do przodu, tak że wewnątrz pudła znalazło się w zasięgu jego wzroku. Był tam koc, brudny, ale złożony w kostkę, umieszczony w samym rogu. Obok leżały koszula i sweter, dalej parasol, szczoteczka do zębów, grzebień i inne drobiazgi, wszystkie starannie ułożone – schludna miniatura domu, tekturowa namiastka.

– Czy co mógłbym powiedzieć? – zapytał mężczyzna, unosząc głowę.

Kaishiego aż odrzuciło do tyłu. Cofnął się tak gwałtownie, że zaraz się o coś potknął. Podniósł się nieporadnie i wpatrywał się w bezdomnego. Twarz staruszka była twarzą prezesa Wataru. Te same oczy, usta i nos, takie same głębokie zmarszczki i czarne włosy.

– Więc co? – mężczyzna zapytał ponownie i tym razem również w jego głosie chłopak rozpoznał charakterystyczne gardłowe tony Wataru.

– Nie... Nic... – wydukał wreszcie Kaishi.

Te słowa jakby wyrwały go z odrętwienia. Szybkim krokiem ruszył w losowym kierunku. Ani razu się nie obejrzał. Po wyjściu z parku znalazł najbliższą stację metra i z czterema przesiadkami, kierując się kolorowymi tablicami informacyjnymi, dotarł na Gotandę. Podróż ciemnymi tunelami trochę go uspokoiła. Wszystko sobie wytłumaczył. To było przywidzenie. Zwykle urojenie spowodowane napięciem nerwowym.

W końcu nie co dzień człowiek dowiaduje się, że jego praca jest nic niewarta. Nie co dzień człowiek patrzy, jak wałą się jego marzenia.

Następnego dnia Tomatsu Kato pojawił się w pracy mocno spóźniony. Kaishi już od dobrych dwóch godzin beczynn timer czekał na szefa przy swoim nowym biurku w rogu zawalonego papierami pokoju.

– Dzień dobry.

– Dobry, dobry – wymruczał Kato. Usiadł na krześle, sięgnął po pierwszą z brzegu teczkę z dokumentami i zagłębił się w lekturze.

Kaishi chrząknął.

– Chciałbym się dowiedzieć, na czym polega moja praca tutaj – powiedział.

– Ależ oczywiście! Proszę na przykład... – tamten przejechał roztargnionym wzrokiem po pokoju. – Proszę na przykład... – na chybił trafił złapał przewiązany czerwoną wstążką plik papierów z sąsiedniego regału – ... przejrzyć to.

– Przejrzeć? – zapytał Kaishi, odbierając wyciągnięty w jego stronę pakunek.

– Przejrzeć.

Kato nie spuszczał Kaishiego z oczu i chłopak domyślił się, że szef poddaje go jakiejś próbie. Nie pytał więc już o nic więcej i nachylił się nad papierami.

Początkowo bezradnie przekładał kartkę za kartką. Było jasne, że pochodziły z różnych źródeł – część pisana na maszynie, część odręcznie wieloma charakterami pisma. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, że materiał na nich zawarty łączył jeden temat: Stowarzyszenie Zabaw i Rozrywki.

Stowarzyszenie powstało 28 sierpnia 1945 roku, ledwie trzynaście dni po kapi-
tulacji. Było organizacją rządową, w szczytowym okresie działalności mającą placówki w całej Japonii. A owe placówki były niczym innym jak domami publicznymi.

Ich powstanie to świadectwo ogromnej desperacji japońskich mężów i ojców, którzy w przededniu okupacji spodziewali się, że amerykańscy żołnierze będą masowo gwałcić ich matki, żony i córki. Nie mogli na to pozwolić, więc zwyczajnie podstawili okupantom kurwy-pocieszycielki. To w ich ramionach mieli zaspokajać swoje żądze. Amerykanie przymknęli oko na taką manipulację i z wielką ochotą przystąpili do korzystania z usług pocieszycielek. A same prostytutki? Ich los był nie do pozazdroszczenia. Kaishi czytał relacje świadków oraz wspomnienia samych kobiet i czuł, jak dłonie bezwiednie zaciskają mu się w pięści.

Nadeszła pora lunchu, a on czytał dalej. Od czasu do czasu zerkał na szefa, ale tamten też tkwił nachylony nad biurkiem. Kiedy za oknem zapadła ciemność, zorientował się, że musi przyspieszyć i zaczął segregować pozostałe kartki, nie czytając ich dokładnie, kierując się jedynie charakterem pisma lub rodzajem czcionki. Ledwie skończył, a przy jego biurku stanął Kato.

– Wszystko uporządkowałem – powiedział Kaishi.

– Nie trzeba było. – Kato nawet nie spojrzął na wyciągnięty w jego stronę stos równo ułożonych kartek.

– Ale... – chłopak urwał. Opuścił rękę, w której trzymał dokumenty. Położył je z powrotem na biurku, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić. – Czy to wszystko na dziś?

– Wszystko? Oczywiście, że nie. O dziewiątej mamy spotkanie z klientem.

– Spotkanie z klientem? – Kaishi powtórzył jak echo.

– Tak. Obudź mnie o ósmej trzydzieści – zarządził Tomatsu Kato i położył się na szezlongu. Chwilę później dobiegło stamtąd chrapanie.

Przez dwie godziny Kaishi wpatrywał się bezmyślnie w ścianę. Nie śmiał wstać od biurka, choć nie jadł lunchu i w żołądku aż go ssało z głodu. Na pół godziny przed dziewiątą obudził szefa i patrzył, jak ten przygotowuje się do spotkania, czesząc włosy i wąsik, otrzepując marynarkę z niewidzialnych pyłków. A potem zdarzyło się coś, czego Kaishi w żaden sposób nie mógł przewidzieć.

Pojechali windą na sześćdziesiąte czwarte piętro, a więc ledwie dwa poziomy wyżej, ale miejsce, które się przed nimi ukazało, należało jakby do innego świata niż

staroświecki, pachnący piżmem i celulozą Dział XVII. Znaleźli się w dyskotece.

A przynajmniej tak to wyglądało. Pulsujące światła, dym wyciskający lzy z oczu, wyginające się, błyszczące od potu tańczące ciała. I cisza. Absolutna cisza.

Tomatsu Kato ruszył w głąb pomieszczenia, śmiało torując sobie drogę przez podrygujący tłum. Kiedy Kaishi dogonił szefa, ten już stał przy barze i rozmawiał z postawnym blondynem.

— Dobra zabawa w Tokio? — pytał Kato łamaną angielszczyzną.

— Wspaniała.

W głosie mężczyzny wyraźnie było słyhać amerykański akcent, który Kaishi tak dobrze znał z filmów i seriali. Chłopak nie został przedstawiony, ale po przyklejonym do twarzy szefa uśmiechu domyślił się, że ma przed sobą klienta, z którym mieli się spotkać.

Amerikanin i tak ledwie zwracał na nich uwagę. Pożerał wzrokiem podrygujących na parkiecie tancerzy. Kaishi dopiero teraz spostrzegł, że były tam tylko dziewczyny, młodziutki i nawet jak na Japonki bardzo drobne, tak że przy potężnym Jan-kesie sprawiały wrażenie dzieci. Na uszach miały słuchawki, w których musiały płynąć jakaś narkotyczna muzyka, bo wszystkie wyglądały, jakby zupełnie nie zdawały sobie sprawy z obserwujących je mężczyzn.

Kato złapał Amerykanina za ramię, a drugą ręką wskazał spowity w półmroku korytarzyk.

— Iść, iść.

Amerikanin z ociąganiem ruszył w tamtą stronę, za nim podreptali Kato i Kaishi.

Wkrótce znaleźli się w części restauracyjnej, urządzonej w tradycyjnym stylu, z niskimi stołami rozdzielonymi drewnianymi ściankami i przesuwanymi drzwiami, tak że po ich zamknięciu wokół każdego stolika powstawało osobne pomieszczenie. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, nie było śladu po szczypiącym dymie. Kelnerka przyniosła sake, piwo i kilka rodzajów przekąsek. Ukłoniła się głęboko i zasunęła za sobą drzwi.

Kaishi spodziewał się, że teraz spotkanie przybierze bardziej biznesowy charakter, tymczasem nic takiego się nie stało. Kato tylko szczyrzył zęby w głupim uśmiechu i wciąż podsuwał Amerykaninowi jedzenie, dolewał piwa do szklanki. Tętemu to nie przeszkadzało. Rozsiadł się jak basza, zajmując dwa miejsca i opierając się o ścianę z tyłu. Sięgał po yakitori i nikuman, ale omijał takoyaki.

— Dobrze, dobre — zachęcił Kato.

Amerikanin kiwnął głową. Obaj mężczyźni traktowali Kaishiego jak powietrze. Zachowywali się, jakby odgrywali role w zaplanowanym z góry rytuale. Żaden nie był zaskoczony zachowaniem drugiego, jakby w przeszłości odbyli już dziesiątki takich spotkań.

Czas dłużył się Kaishiemu niemiłosiernie. Zapach kolejnych potraw (żadną nie został poczęstowany) drażnił pusty żołądek chłopaka.

Po mniej więcej godzinie wreszcie coś się wydarzyło. Jedna ze ścianek wokół stolika rozsunęła się i na podwyższeniu wyłożonym wzorzystym jedwabiem i oświetlonym oliwnymi lampkami ukazała się dziewczyna.

Miała starannie wykonany makijaż gejszy: na białej twarzy ostro odcinały się idealne łuki czarnych brwi, dwa błyszczące diamentyki oczu oraz krwistoczerwone usta. Jej włosy również ułożono na sposób tradycyjny, w grube wałki po bokach i na

czubku głowy. Biały makijaż schodził z twarzy na szyję i kończył się wąskim trójkątem mniej więcej w połowie dekoltu, tam gdzie zwykle zaczynało się kimono. Tylko że ta gejsza nie miała na sobie kimona. Była naga, pozbawiona wszelkich osłon i biżuterii. I to pewnie przez kontrast ze sztucznie nieruchomą maską twarzy jej nagie ciało zdawało się emanować niezwykłym życiem. Piersi falowały, brzuch drgał, a po skórze przesuwał się odblask lampek, sprawiając wrażenie, jakby po ciele dziewczyny przeslizgiwał się złoty wąż, nieustannie je pieszcząc.

— Dobrze, dobrze — zachęcił Kato.

Amerikanin odwrócił głowę w stronę podwyższenia, choć Kaishi mógłby przysiąc, że na jego szerokiej twarzy dostrzegł znudzenie.

Gejsza postawiła na podłodze kuferek, który do tej pory trzymała w ręce, przykucnęła i zaczęła z niego wyjmować przybory do kaligrafii. Jej ruchy były niespieszne, ale płynne i pewne. Pudełka z pędzelkami, słoiczek z atramentem, gąbki, podstawki, zwoje papieru – wszystko to ustawiała przed sobą, jakby układała klocki w skomplikowany, ale zaplanowany wzór. Każdy przedmiot zdawał się mieć swoje miejsce i nawet minimalne niedopasowanie mogło zburzyć harmonię.

Kaishi chłonął najdrobniejszy ruch nagiego ciała. Na twarz dziewczyny nie patrzył. To falowanie złocistej skóry go elektryzowało.

Gejsza opróżniła kuferek i rozpoczęła dalsze przygotowania. Najpierw dobrała pędzelek i arkusz papieru, później odkręciła słoiczek z atramentem, ułożyła gąbki i drewnianą podpórkę.

Kato dolał Amerikaninowi piwa. Tamten sięgnął po szklankę, a drugą ręką skubnął orzeszki. Żaden z nich nie wyglądał na zachwyconego pokazem. Jedynie Kaishi wciąż patrzył zafascynowany.

Jak każdy w Japonii, uczył się w szkole kaligrafii. Nauczyciel twierdził nawet, że ma do tego dobrą rękę, ale mozolna sztuka rysowania coraz to bardziej skomplikowanych znaków zdawała mu się wtedy nudna. Teraz zobaczył kaligrafię w zupełnie innym świetle.

Pędzelek w dłoni dziewczyny zawisł nad arkuszem. Twarz gejszy nie zmieniła się i wciąż była nieruchomą, pozbawioną emocji maską, chłopak jednak wyczuł, że jej ciało napięło się jak przed skokiem. Sam też odruchowo naprężył wszystkie mięśnie.

Pędzelek opadł i zaskakująco szybkim pikiem poleciał w dół. Dotknął papieru...

i natychmiast poderwał się go góry.

Ruchy dziewczyny z powrotem stały się miękkie i niespieszne. Odłożyła pędzelek, dbając o to, by ani jedna kropla atramentu nie pochłapała rozciągniętego na podłodze jedwabiu. Sięgnęła po arkusz papieru, przyjrzała mu się i odłożyła na bok. Ze stosu czystych kartek wybrała jedną i wszystko rozpoczęło się na nowo. Prostowanie arkusza, nabieranie atramentu, nagłe napięcie i wreszcie jedno gwałtowne mażnięcie pędzelkiem.

Rytuał powtórzył się kilka razy, ale Kaishiemu wciąż nie udało się dostrzec, jaki znak kaligrafuje gejsza. Dziewczyna znajdowała się na podwyższeniu, więc leżący u jej kolan papier był poza zasięgiem jego wzroku, a kiedy ręce gejszy podnosiły arkusz, zapisana strona zawsze pozostawała niewidoczna, jakby kaligrafująca uznawała, że znak nie nadaje się do prezentacji widzom... choć z drugiej strony Kaishiemu z trudem przychodziło uwierzyć, że w ogóle zauważa obecność mężczyzn przy stoliku. Jej spokój i skupienie były całkowite.

W pewnej chwili Kato uniósł dłonie i dwa razy głośno klasnął.

Gejsza zareagowała natychmiast. Zebrała rozłożone na jedwabiu przyrządy i pochowała je do kuferka. To samo zrobiła z arkuszami papieru. Wstała i wycofała się w głąb podwyższenia, a wtedy zasunęła się ścianka odgradzająca scenę od stolika.

Pokaz się skończył. Kaishi z trudem odwrócił wzrok od drewnianego przepierzenia.

Spotkanie z klientem również dobiegło końca. Kato uregulował rachunek i chwilę później wszyscy trzej znów znaleźli się w zadymionej dyskotecie, gdzie dziewczyny w słuchawkach na uszach wyginały się pod spojrzeciami mężczyzn siedzących przy barze. W połowie drogi do windy Amerykanin jakby zawahał się, zatrzymał i wskazał na parkiet. Znaczenie gestu było jasne. Mężczyzna chciał tu jeszcze zostać. I znów Kaishi odniósł wrażenie, że obserwuje scenę, którą jej dwaj uczestnicy odgrywali już wielokrotnie. Kato wyszczerzył zęby, skinął głową i nisko sklonił się na pożegnanie. Amerykanin ruszył z powrotem w głąb pomieszczenia, kierując się w stronę baru. Było jasne, że dla niego wieczór dopiero się rozpoczyna.

Następnego dnia punktualnie o dziewiątej rano Kaishi znalazł się w pokoju Działu XVII na sześćdziesiątym drugim piętrze. Spokojnie usiadł przy swoim biurku, ale jego opanowanie było pozorne. W rzeczywistości aż kipiał z gniewu i kiedy Kato wreszcie się pojawił – podobnie jak dzień wcześniej spóźniony o kilka godzin – chłopak wyrzucił z siebie wszystkie pretensje. Nie spał przez całą noc, układając sobie w myślach tę przemowę, tak formułując argumenty o własnym talencie i potencjale, by nie brzmiały jak puste przechwałki, lecz słowa człowieka znającego swoją wartość. Szef słuchał z kamienną twarzą, ale kiedy Kaishi zamilkł, zaczął się śmiać. Jego śmiech wypełnił cały pokój, zapewne przedostawał się też przez ściany i dudnił w pustych pokojach całego piętra.

– Myślisz, że kim jesteś? – odezwał się wreszcie. Teraz w jego głosie nie było śladu wesołości, jedynie drwina.

Kaishi nie odpowiedział, w milczeniu zagryzł wargi.

– Jesteś pracownikiem, który zawiódł Firmę!

– Nieprawda! Moje projekty...

– Tak? Twoje projekty?

– Zabrano je razem z konsolą. A to były moje najlepsze prace! To prawda, wymagały jeszcze doszlifowania. Ale na to mi już nie pozwolono. Słyszysz mnie pan?!

Nie dano mi wystarczająco dużo czasu, żebym mógł się właściwie zaprezentować.

– W twoim przypadku trzy tygodnie wystarczyło.

Kaishi zaniemówił. Ostatnie zdanie Kato wytrącało mu z ręki wszystkie argumenty.

– Prezes Wataru obiecał, że Firma się mną zaopiekuje – wydukał wreszcie.

– Prezes Wataru? A ktoś to jest? Postać z twoich nieudanych projektów?

– Nie rozumiem... Wataru jest założycielem Firmy. Jej prezesem. To on przyjmował mnie do pracy.

– Coś ci się poplątało, młodzieńcze. – Kato patrzył na niego zimnym wzrokiem. – Założycielem Firmy jest nieżyjący już Daisuke Asahi. Obecnie zarządza nią jego syn, Itaru.

Kaishi przyłożył dłoń do czoła. Daisuke Asahi? Jego syn Itaru? Kim są te osoby?

Chłopak otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nie wiedział, co powiedzieć, jak sformułować kłębiące się w jego głowie pytania.

W jego pamięci rozbłysły dwie sceny. W pierwszej Wataru stał na ostatnim

piętrze Rakuen. Wysoki, wyprostowany, w czarnym, eleganckim płaszczu sprawiał wrażenie króla świata. W drugiej ten sam – ten sam? – mężczyzna, skurczony, bez śladu blasku w oczach i jakby złamany pod niewidocznym ciężarem przytłaczającym mu ramiona, pochylał się nad wielkim tekturowym pudłem, w którym trzymał swój cały, bardzo skromny dobytek.

Jak pogodzić te dwa obrazy? W jaki sposób umieścić je w jednej rzeczywistości?

Kaishi spojrzął na Kato, na którego twarzy wciąż gościło szyderstwo. Od niego niczego się nie dowie.

Wybiegł z pokoju, ani razu nie oglądając się za siebie. Dopadł windy i niecierpliwie naciskał przywołujący ją przycisk. Kilka chwil później był już na zewnątrz budynku. Przed nim otwierało się Tokio: miliony istnień, tysiące budynków, niemal każdy dziesiątkami pięter wyciągający się ku niebu, niezliczona liczba ulic, alejek, parków, skwerków, zaułków. Jego jedyną nadzieją było to, że tokijscy bezdomni ponoć nie przemieszczali się po mieście, lecz trzymali jednego, „swojego” rewiru niczym miejsca zameldowania.

Przez kilka godzin gorączkowo krążył po ulicach, a jednak nie odnalazł parku, do którego zabląkał się dwa dni wcześniej. Wreszcie poczuł się zmęczony. Nieprzespana noc dała o sobie znać. Przysiadł na murku przed wejściem do sklepu Zeleven, żeby odpocząć i zebrać myśli.

Drzwi rozsunęły się i ze sklepu wyszedł starszy mężczyzna w obszarpanym ubraniu. Poprawił przyciśniętą do piersi, niczym cenny skarb, torbę z kilkoma drobiazgami i podreptał za róg.

Kaishi zerwał się na równe nogi. Mężczyzna z zakupami był osobą, której szukał – bezdomnym o twarzy prezesa Wataru.

Staruszek jednak patrzył na Kaishiego jak na szaleńca.

– Już to mówiłem, nazywam się Furusawa. Reiji Furusawa.

– To nie pan stoi na czele Firmy? Nie pan zbudował wieżę Rakuen?

– Czy wyglądam, jakbym rządził jakąkolwiek firmą? – Mężczyzna wskazał swój brudny sweter.

Wyglądasz, pomyślał Kaishi. Podobieństwo było uderzające. Nie, więcej niż podobieństwo. Chłopak wiedział, że patrzy na tę samą osobę, z którą trzy tygodnie wcześniej rozmawiał na ostatnim piętrze wieży Rakuen. Wystarczyłoby go odpowiednio ubrać, w szarą elegancką koszulę, czarne spodnie i marynarkę, długi skórzany płaszcz, wystarczyłoby wyprostować mu plecy, przegonić ze spojrzenia niepewność i miałby przed sobą prezesa Wataru.

– A może ma pan brata? Brata bliźniaka?

Tamten pokręcił głową i sięgnął po kubek z kawą.

Siedzieli przy narożnym stoliku w opustoszałej restauracji specjalizującej się w różnych rodzajach ramenu. Początkowo starzec wcale nie chciał rozmawiać z Kaishim. Oganiał się od chłopaka jak od naprzykrzającej się muchy. Dopiero obietnica gorącego posiłku i kilku setek jenów sprawiła, że zmienił zdanie. Jednak teraz, najedzony i napity, znów chętnie uwolniłby się od dziwnego natręta.

– I nigdy mnie pan nie widział? – zapytał Kaishi.

– Widziałem. Przedwczoraj w parku.

– A wcześniej?

Mężczyzna nagle wyprostował się.

– Proszę pana, nie wiem, o co panu chodzi. Czy to jest jakaś gra? Może się pan z kimś założył, że otumani starego głupca z ulicy? Mam swoje życie, własną historię i to, że jestem biedny i bezdomny, nie znaczy, że można się mną bawić – rzekł z godnością.

Kaishi popatrzył na urażoną twarz Furusawy-Wataru i zrozumiał, że dla niego spotkanie na tarasie widokowym Rakuen po prostu nigdy się nie zdarzyło.

– Przepraszam. Nie chciałem sprawić panu przykrości – powiedział.

Nie wiedział, jak przedłużyć tę rozmowę, w jaki sposób nią pokierować, by wyjaśnić zagadkę. Wciąż wierzył, że jest to możliwe. Pod wpływem impulsu dodał:

– Oczywiście, ma pan swoje życie. Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Opowiedzieć? O moim życiu? – zapytał tamten niespokojnie.

– Tak. Ja mam dziewiętnaście lat. Całe życie spędziłem na peryferiach Tonos-hō, małego miasteczka w prefekturze Kagawa na wyspie Sikoku. Tu, w Tokio, nikt o nim nawet nie słyszał. Moje życie było zupełnie przeciętne, raczej nudne. Koledzy z sąsiedztwa, szkoła, jedna, druga, potem praca na stacji benzynowej, zupełnie bez przyszłości. Ale miałem jedno hobby, lubiłem rysować. Chciałem nawet studiować architekturę, ale wszyscy uważali, że to niemądry kaprys i że nie mam szans. W końcu nawet nie odważyłem się pojechać na egzamin. I nagle miesiąc temu okazało się, że chce mnie zatrudnić tokijska Firma. Zachwycili się moimi rysunkami, chcieli, żebym robił projekty dla ich najnowszego wielkiego i przełomowego przedsięwzięcia. Po trzech tygodniach uznali jednak, że się nie nadaję... I to wszystko. A pan? Co może mi pan powiedzieć o sobie?

– Ja? Dlaczego? – Niepokój tamtego zamienił się w strach. Staruszek wiercił się i rzucał na chłopaka lękliwe spojrzenia.

– Po prostu chciałbym pana lepiej poznać. – Kaishi starał się nadać swojemu głosowi uspokajające brzmienie.

– Jeśli napra... – nagły łoskot zagłuszył słowa Furusawy. Staruszek urwał i odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał hałas. Kaishi zrobił to samo.

Zobaczył, że większość stolików w restauracji odsunięto na boki. Piramidki

wetkniętych jedno na drugie krzeseł ustawiono przy ścianach. Pośrodku powstałej w ten sposób wolnej przestrzeni stało dwóch mężczyzn w kombinezonach roboczych.

Manewrowali składaną drabiną, jednak robili to niezbyt umiejętnie, bo to właśnie jej upadek spowodował ów łomot, który zakłócił rozmowę Kaishiego i starca. Na jednym z

odsuniętych stolików leżało spore, częściowo odpakowane pudło. Wystawał z niego

żyrandol, którego instalacja, jak nietrudno było zgadnąć, stanowiła cel wysiłków mężczyzn i powód całego zamieszania. Żyrandol miał połączoną, misternie zdobioną kopułkę. Kaishi patrzył jak zahipnotyzowany. Nie oderwał od niego wzroku, nawet gdy

kątem oka zobaczył, że Furusawa podnosi się z krzesła.

– Jeśli naprawdę chce mnie pan poznać, proszę pójść na pięćdziesiąte piąte piętro wieży Rakuen.

– Co? – Kaishi wreszcie odwrócił spojrzenie, ale jego pytanie trafiło w pustkę.

Staruszka już nie było. Wybiegł z baru, z rozpędu trzaskając drzwiami.

Spojrzał na puste miejsce po drugiej stronie stołu.

– A jednak – wyszeptał.

A więc Furusawa miał coś wspólnego z Firmą, wieżą Rakuen i prezesem Wataru... Pięćdziesiąte piąte piętro należało do tych „nieistniejących”, do których nie można dojechać windą, i to żadną windą, co zaintrygowany niezwykłym odkryciem brakujących przycisków Kaishi zdążył sprawdzić jeszcze dzień wcześniej. Ale już wiedział, że się tam dostanie. Znajdzie sposób. Nie zabraknie mu śmiałości teraz, kiedy wyda-

rzenia ostatnich dni zaczęły wreszcie nabierać sensu, kiedy potwierdziło się jego niejasne, nigdy do końca niesformułowane podejrzenie. Choć „podejrzenie” było chyba zbyt mocnym słowem. Raczej ślad przeczucia, niewyraźna myśl, która przemknęła mu przez głowę zbyt szybko, by można ją świadomie zarejestrować. Ale kiedy zobaczył żyrandol i pozłacaną kopułkę zdobioną motywami morskiej roślinności, wszystko stało się jasne. Dostrzegł bowiem bulwiaste wodorosty, smukłe trawy oraz kępki glonów. I choć resztę żyrandola przysłaniała tektura opakowania, to Kaishi i tak świetnie wiedział, że poniżej, niejako z wnętrza kopułki, wyrastają sznury żarówek wyglądających jak perły. To był dość ekstrawagancki projekt. Pracował nad nim ledwie dwa tygodnie wcześniej, więc wciąż miał świeżo w pamięci przyjemność, jaką sprawiło mu eksperymentowanie z wygięciem łuków morskich traw i ukrywanie między glonami zarysów muszli małży. I choć w tej chwili kłębiło się w nim wiele niespokojnych uczuć, nie mógł zaprzeczyć, że jednym z nich była satysfakcja twórcy, który widzi swój projekt wcielony w życie, wyprodukowany dokładnie tak, jak go wymyślił, i montowany tam, gdzie przewidział – w miejscach publicznych, barach, restauracjach lub kawiarniach. Wewnątrz najnowszego przedsięwzięcia Firmy.

W wirtualnym świecie.

* * *

Sznury zakorkowanych samochodów, chodniki niczym wstęgi falujących głów. Ścisł i hałas, dźwięki klaksonów, piski roześmianych nastolatek, urywki rozmów przez komórkę, wyznania uczuć, fragmenty klótni, zbyt krótkie, by ocenić, która strona ma rację. Do tego zapachy: woda po goleniu, perfumy, gdzieś tam swąd bezdomnego, wbijająca się głęboko w nozdrza woń smażonego ciasta z ulicznego straganu i bardziej subtelny aromat gotowanej ryby, miso i sezamu dochodzący przez uchylone drzwi restauracji. Błyski zachodzącego słońca odbijające się w szklanych wieżowcach i szybach samochodów przywoziły na myśl refleksy na ciemnych okularach przeciwsłonecznych i tak jak one sugerowały istnienie niewidocznych z zewnątrz, lecz czujnych oczu. Kaishi wiedział, że to skojarzenie nie jest pozbawione podstaw. Prawdopodobnie ktoś go cały czas obserwował, tak jak obserwuje się postać w grze lub w filmie. Niech patrzą, pomyślał niezrażony.

Kaishi rozglądał się, słuchał, dotykał i wahał. Nigdzie się nie spieszył. Po prostu chłonał rzeczywistość wirtualnego miasta.

Odkrycie, gdzie się znajduje, przyniosło mu ulgę. Jego pracy wcale nie oceniano źle, cały ten poniżający epizod z przeniesieniem tak naprawdę nie miał miejsca, był tylko scenariuszem sztucznej rzeczywistości, głupim żartem, a może... testem? Może wrzucili go tutaj bez żadnego uprzedzenia, żeby sprawdzić, jak sobie poradzi. Teraz – dopiero teraz – widział wyraźnie wszystkie wskazówki i wymowne odchylenia od prawdziwej rzeczywistości: niezwykle Dział XVII z jego osobliwą siedzibą i ekscentrycznym szefem („Jestem ciemną stroną mocy” – przecież już te słowa Kato powinny zapalić w głowie Kaishiego czerwone światło alarmowe). Brakujące przyciski windy. Wreszcie Wataru w roli bezdomnego.

A może to nie jest żaden test? Może po prostu uznano, że architekt wirtualnej rzeczywistości musi ją poczuć na własnej skórze, by jego prace nabrały głębi? Taki rejs inspiracyjny po cybernetycznym świecie. Może nawet jest pierwszą osobą, która tego doświadczyła! W końcu kiedy rozmawiał z prezesem, projekt znajdował się dopiero w fazie testów. Wataru wspomniał, że Firmę czeka sporo pracy, zanim udostępni go

użytkownikom. I rzeczywiście – Kaishi spod zmrużonych powiek obserwował najbliższe otoczenie – sporo tu niedoróbek, niewykończonych elementów.

Szedł dalej, aż wreszcie stanął przed siedzibą Firmy. Zadarł głowę i przez chwilę patrzył na Rakuen.

Z wejściem do środka nie miał kłopotu. Czujnik zeskanował jego kartę pracownika Firmy, żółte światelko zamrugało i zamieniło się w zielone. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. A więc Kato nie zgłosił ucieczki Kaishiego z miejsca pracy i jego numeru identyfikacyjnego jeszcze nie usunięto z systemu.

W windzie – zgodnie z oczekiwaniami – nie znalazł przycisku z numerem pięćdziesiątym piątym. Po chwili wahania nacisnął najbliższy od góry, z sześćdziesiątką. Założył, że łatwiej będzie mu się przemieszczać w dół, niż w górę.

Kiedy winda zatrzymała się, ostrożnie wyrzał przez drzwi. Korytarz był pusty, cichy i prawie całkiem ciemny. Po jego obu stronach znajdowały się pokoje z biurkami, wyglądające zupełnie jak dawne biuro Kaishiego. Wszedł do pierwszego z brzegu i ze specjalnie oznaczonej szuflady wyjął torbę z zestawem ratunkowym na wypadek trzęsienia ziemi. Prawo wymagało, by takie torby znajdowały się w każdym pomieszczeniu wieżowców, nawet tak nowoczesnych i odpornych na wstrząsy jak Rakuen. Ze środka wyjął latarkę i linę – wszystko, co było mu potrzebne.

Odpowiednio duży otwór wentylacyjny znalazł dopiero w sporym pokoju wyglądającym jak sala konferencyjna. Odkręcił kratę i wcisnął się do środka. Po kilkunastu metrach poczuł na twarzy powiew powietrza. Czołgał się, aż dotarł do miejsca, gdzie korytarz wentylacyjny łączył się z większym pionowym szybem. Poświecił latarką w dół. Promień oświetlił jedynie pierwsze dziesięć metrów. Niżej zionęło oko czarnej studni.

Nie tracił czasu na zastanawianie się nad głębokością tej nieprzeniknionej czełuści. Przywiązał linę do metalowego uchwytu na krawędzi korytarza i spuścił się po niej. Już po chwili jego stopy, wcześniej objające się o ścianę szybu, wyczuły przestrzeń wylotu kolejnego korytarza. Wsunął się do niego, ułożył w ciasnej przestrzeni i rozmasował ramiona, nieprzyzwyczajone do wysiłku.

No, no, pomyślał, odtwarzając w głowie dotychczasową wędrówkę. Normalnie nigdy by się na coś takiego nie poważył. Do tej pory jedynie oglądał takie akcje w filmach sensacyjnych, a i to zazwyczaj z ironicznym uśmieszkiem na ustach. A teraz, ledwie chwilę wcześniej, wisiał na linie, mając pod nogami nieprzeniknioną przepaść.

Bez wahania. Bez lęku.

Strach go opuścił. Odkąd zrozumiał, gdzie się znajduje, miał wrażenie, że może zrobić wszystko. Tutaj żaden czyn nie mógł mieć prawdziwych konsekwencji. Czuł się panem tego świata, od podstaw wszak stworzonego z myślą o takim jak on użytkowniku, o jego rozrywce i przyjemności. Na pewno zadbano o jego bezpieczeństwo. Jakiś sprytny program pomagał mu w karkołomnej przeprawie między piętrami, działając jak lina asekuracyjna i nie pozwalając na upadek. A zresztą, gdyby nawet spadł, cóż by się stało? Wróciłby do swojej rzeczywistości. Albo może odrodził tu jeszcze raz, cały i zdrowy, nienaruszony, bez jednego zadrapania. I może tylko, jak w grze, zmniejszyłby mu się licznik żyć. Ale poza tym nic by się nie zmieniło, rozpisana w scenariuszu fabuła toczyłaby się dalej, a on wciąż pokonywałby kolejne jej etapy, aż wskazówki doprowadziłyby go do zaplanowanego przez programistów celu.

Poczołgał się w głąb korytarza, który okazał się lustrzanym odbiciem tego na górze i wkrótce skończył kratką wentylacyjną. Naparł na nią z całych sił, aż odskoczyła

z brzękiem. Przestraszył się, że hałas kogoś zaalarmuje, ale szybko się przekonał, że poza nim nie ma tu nikogo.

Co więcej, nie widać też było schodów ani windy. Liczył na to, że kiedy już do-
stanie się na jedno z zakazanych pięter, łatwo znajdzie wewnętrzne przejście między
nimi. Jeszcze raz obszedł wszystkie pomieszczenia. Całe pięćdziesiąte dziewiąte piętro
było w stanie surowym. Ze ścian – niepomalowanych i po części również nieotytno-
wanych – wystawały kable instalacji elektrycznej. Na podłodze leżały sterty cegieł,
jakby planowano tu budować nowe ścianki działowe. I tylko instalacja oświetlenia
została dokończona, dzięki czemu Kaishi mógł bez przeszkód prowadzić poszukiwa-
nia. Bez przeszkód, ale i bezskutecznie.

Zniechęcony, usiadł na podłodze. Razem z chłodem betonowej posadzki w jego
ciało wsaçało się znużenie. Napięte mięśnie rozluźniły się, głowa opadła na bok. Za-
mknął oczy. Na wewnętrznej stronie powiek niemal natychmiast pojawiał się obraz
Rakuen, takiej, jaką zobaczył raptem godzinę wcześniej, kiedy stał przed wejściem do
budynku. Wieża wbijała się rozświetlonym klinem w ciemne niebo. Nierzeczywista,
jakby urągająca zdrowemu rozsądkowi i prawom fizyki. Jak droga, po której można
dojść do chmur. Jak senny miraż, jak wytwór szalonej wizji architekta wirtualnego
świata. A przecież... A przecież wciąż taka sama, jak wtedy, gdy przyjechał do Tokio i
zobaczył ją po raz pierwszy. Przypomniało mu się dziwne wrażenie, jakie go już wtedy
ogarnęło. Jak połączyć, zastanawiał się, Rakuen i całą tokijską metropolię, te kilome-
try strzelistej szklanej zabudowy, z podwórkiem jego dziadków? Jak upchnąć te dwa
miejsca do jednej rzeczywistości połączonej, krótkim przecież, życiem Kaishiego? Do
jednego kraju? A zresztą czy naprawdę musiał sięgać aż tak głęboko? Przecież wystar-
czy, że cofnie się rok, dwa miesiące. Wystarczy, że pomyśli o swojej dawnej szkole,
pracy na stacji benzynowej, rodzinnym domu na ponurych przedmieściach Tonoshō.
Godzinny lot do stolicy przeniósł go do innego świata, niemal tak samo płynnie, jak
Firmie udało się go przenieść do wirtualnej rzeczywistości.

Myśli zaczęły mu się plątać. Otworzył oczy i wstał, by nie zasnąć. Nie mógł tu
zostać. Powinien szybko znaleźć jakiś sposób, by zejść piętro niżej. Czy musi powtó-
rzyć całą niebezpieczną operację z liną? Wcale mu się to nie uśmiechało. Bardzo by-
łoby mu na rękę, gdyby architekci tego świata i scenarzyści tej linii fabularnej podsu-
nęli mu teraz wskazówkę, jak tego uniknąć.

Usłyszał hałas, jakby ciężki przedmiot – może jakaś cegła? – przesunął się po
podłodze, a potem lekkie kroki. Kaishi chciał się ukryć za najbliższą ścianą, ale że
próbował robić to jednocześnie cicho i szybko, nie zdążył. Dziewczyna pojawiła się w
progu pomieszczenia, kiedy był ledwie w połowie drogi.

– To ty? – wyszeptała zaskoczona.

Kaishi zdziwił się jeszcze bardziej. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie spo-
tkał. Patrzyli na siebie bez słowa.

– Nie poznajesz mnie, a przecież widzieliśmy się zaledwie wczoraj. – Dziew-
czyna lekko się uśmiechnęła i opuściła wzrok.

Jeszcze bardziej zdziwiony, wybałuszył oczy.

To jego ciało pierwsze ją poznało. Poczul znajome mrowienie w dole brzucha,
ciepło rozchodzące się od bioder i wiedział, że ma przed sobą kaligrafującą gejszę, choć
teraz ubraną i pozbawioną makijażu.

Zarumieniła się, jakby z opóźnieniem zawstydzając się swojej wczorajszej na-

gości.

– Jak masz na imię? – zapytał Kaishi, by słowami pokryć ich wspólne zmieszanie.

– Shiori. A ty?

– Kaishi.

Przez chwilę znowu stali w milczeniu.

– Co ty tu właściwie robisz? – Tym razem to ona odezwała się pierwsza.

– Muszę się dostać na pięćdziesiąte piąte piętro.

Shiori popatrzyła na niego uważnie.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedziała wolno.

– Dlaczego? Co tam jest?

Milczała.

– Ty wiesz, jak się tam dostać, prawda?

Jeszcze mocniej zacisnęła wargi.

– Naprawdę muszę się tam znaleźć. To bardzo ważne. Jeśli mi się uda... jeśli się uda, wszystko będzie dobrze. – Znowu czuł się jak bohater gry strategicznej, na którego drodze pojawiają się wskazówki i przeszkody, i którego umiejętności są wciąż sprawdzane. Teraz testowano jego zdolność perswazji.

Przekonywał więc dalej. O roli, jaką pełniła w tej grze Shiori, mógł tylko snuć domysły, dlatego dobranie odpowiednich argumentów nie należało do łatwych zadań.

Skoncentrował się więc głównie na zapewnianiu, że wie, co robi (nie wiedział) i że wszystko będzie dobrze (o tym akurat był głęboko przekonany).

W końcu dziewczyna ustąpiła.

Poprowadziła go między jednakowymi pomieszczeniami, aż wreszcie stanęła przed jedną ze ścian i dotknęła jej w miejscu niczym się niewyróżniającym spośród szorstkiej betonowej powierzchni. Ściana jakby pękła, pęknięcie rozszerzyło się, aż stało się otwartymi drzwiami windy. Perfekcyjnie zamaskowane przejście. Kaishi nie miał szans, by sam je znaleźć.

Nacisnął przycisk z numerem pięćdziesiąt pięć. Jeszcze chwila i wszystko się skończy, myślał. Znowu znajdzie się w prawdziwym świecie. Ten tutaj już go trochę zmęczył. I jedynie... Zerknął na twarz stojącej tuż obok Shiori. Przypomniawsobie widok jej nagiego ciała. Był pewien, że w prawdziwym świecie nigdy nie widział kogoś tak skończenie pięknego.

Winda zatrzymała się, drzwi się rozsunęły.

Przed nimi otworzyła się ogromna sala. Kaishi zrobił kilka niepewnych kroków.

Sala zajmowała całą powierzchnię piętra. Wielka przestrzeń nieprzecięta żadną ścianką ani filarem. Ale największe wrażenie robiła jej wysokość. Kaishi zadarł głowę i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to były trzy – nie, cztery! – piętra połączone w jedno pomieszczenie. Ściany zabudowano ciemnym drewnem, które u sufitu układało się w żebrowane sklepienie. Po bokach znajdowały się rzeźby – posępne, zakapturzone postacie w długich szatach – a na podłodze rozciągała się czarno-biała szachownica posadzki. Całość, choć drewniana, przypominała mu gotycką katedrę, jedną z tych, których zdjęcia tak często oglądał w czasach, kiedy jeszcze planował studiować architekturę. Wieża Rakuen kryła wiele sekretów.

– Podejdźcie bliżej! – z drugiego końca sali zadudnił głos zwielokrotniony echem.

Kaishi zerknął na Shiori, ta kiwnęła głową i razem ruszyli ku przeciwległej ścianie, w stronę odległego skupiska ludzi.

W miarę jak się zbliżali, przed ich oczami odkrywały się szczegóły osobliwej

sceny. Centralne miejsce, za długim, czarnym stołem – pomijając kolor, uderzająco podobnym do ołtarza – zajmowała stara, siwowłosa kobieta. Po jej prawej stronie na ławie, zabudowanej jak kościelna stalla, siedzieli równie sędziwi mężczyźni. Wśród nich Kaishi rozpoznał Tomatsu Kato. Nawet zbytnio się nie zdziwił. Natomiast na postaci z lewej strony patrzył z niedowierzaniem. Czy to możliwe? A jednak. Wysokim i barczystym blondynem stojącym za barierką był Amerykanin, z którym Kato spotkał się poprzedniego wieczoru.

Kobieta za stołem uniosła młotek i kilka razy uderzyła w specjalną deseczkę na blacie.

– Spóźniliście się – zagrzmiała, patrząc surowo na Kaishiego i Shiori. – Część wyroków już zapadła.

Kaishi zrozumiał, że skojarzenie z katedrą, które towarzyszyło mu od momentu wejścia do sali, było błędne. To był sąd!

– Kontynuujemy – zarządziła kobieta. – Panie Kato?

– Jestem gotowy. – Kato podniósł się z ławy. – Ten oto Peter McBride –

wskazał Amerykanina – jest oskarżony o gwałt na piętnastoletniej Ayame Nomura oraz pobicie i gwałt na dwa lata starszej Mitsuko Yosno. W obu przypadkach McBride poznał swoje ofiary na dyskotekę, następnie zaprosił je do drogiej restauracji i potem, wykorzystując ich naiwność, do swojego pokoju hotelowego. Dopiero tam, gdy jego cel stał się jasny, dziewczyny protestowały. McBride użył siły, a w przypadku Yosno tak ją poturbował, że znalazła się w szpitalu.

Kaishi nie wierzył własnym uszom. Oczywiście nie mógł wiedzieć na pewno, że dyskoteka, o której wspominał Kato, była tą na sześćdziesiątym czwartym piętrze, gdzie jeszcze wczoraj spotkali się z McBride’em, ale im dłużej odtwarzał w myślach tamten wieczór – służalcze zachowanie Kato, spojrzenie, którym Amerykanin wodził po ciałach tańczących dziewczyn, wreszcie odczucie, że jest świadkiem wielokrotnie powtarzanego rytuału – tym większego nabierał przekonania. Hipokryzja Kato wydała mu się pozbawiona wszelkich granic. Przecież to on organizował spotkanie i j podsuwał dziewczyny Amerykaninowi jak na tacy.

Kaishi nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo zaczęło się głosowanie ławników.

– Winny – oświadczył pierwszy z powagą.

– Winny – powtórzył drugi.

Winny, winny, winny, padało raz za razem.

– A ty? Jakie jest twoje zdanie? – Sędzina wskazała na Shiori, kiedy już wypowiedzieli się wszyscy.

Dziewczyna przez cały czas przemówienia Kato stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Teraz podniosła głowę i spojrzała na oskarżonego.

– Winny! – Z jej głosu, z jej rozpalonych oczu, z całej nagle naprężonej sylwetki przebijała tak wielka nienawiść, że trudno było uwierzyć, iż powstała jedynie pod wpływem opowieści o nieszczęściach innych.

Kaishi znowu pomyślał o wczorajszym wieczorze na sześćdziesiątym czwartym piętrze. Shiori odgrywała wtedy rolę kaligrafującej gejszy, ale skąd miał wiedzieć, że innym razem nie znalazła się wśród tańczących na parkiecie, nie wpadła w oko jakiegoś Smithowi, Andersonowi, Johnsonowi, McBride’owi?

Sędzina uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z odpowiedzi dziewczyny, i przeniosła wzrok na Kaishiego.

– A ty?

Chłopak jeszcze raz spojrział na Shiori.

– Winny – powiedział.

– Jednogłośnie wyrok. – Sędzina uderzyła młotkiem. – Panie Kato, proszę kontynuować.

Kato wykonał gest ręką i ukryty do tej pory w głębokim cieniu strażnik sądowy wyprowadził McBride'a. Jednak jego miejsce pozostało puste, bo teraz nastąpiła seria spraw z odległej przeszłości, z czasów okupacji i zarówno poszkodowane prostytutki-pocieszycielki, jak i oskarżeni amerykańscy żołnierze – już dawno nie żyli. Kato przedstawiał więc każdą sprawę sam od początku do końca, posiłkując się niegdyś spisanyymi zeznaniami, czasem zdjęciami. Etsuko Kubo, lat siedemnaście, zakatowana przez sierżanta Johna Sandersa, który wściekł się, gdy prostytutka odmówiła spełnienia jego seksualnej zachcianki. Bił ją przez całą noc, z przerwami jedynie na papierosa. Zmarła dopiero nad ranem. Haruko Umeki, lat dwadzieścia dwa, wykrawiła się na śmierć po brutalnym grupowym gwałcie. Udało się ustalić nazwiska tylko dwóch spośród dziesięciu napastników: kapitana Andrew Rusella oraz szeregowego Toma Broksa. I tak dalej, i tak dalej. Historie, choć podobne do tych, które Kaishi czytał w po-koju Działu XVII, poruszały go mocno, więc kiedy w poszczególnych sprawach przy-chodziła jego kolej na wydanie wyroku, pewnym głosem powtarzał za innymi:

– Winny.

W zasadzie w każdej chwili mógłby wstać i zapytać: „A dlaczego nie osądzimy Japończyków, którzy gwałcili tysiące kobiet w Chinach i południowej Azji? Dlaczego nie wydamy wyroku na żołnierzy cesarskiej armii, którzy dokonali masakry w Nan-kin?”. Ale tak jak nie potrafił wepchnąć do jednej rzeczywistości wspomnienia po-dwórka dziadków i widoku na tokijską metropolię, tak nie mógł ani teraz, ani nigdy wcześniej pogodzić ze sobą dwóch obrazów Japonii, jakie wyłaniały się na lekcjach historii: bezwzględnego agresora i upokorzonej ofiary. Milczał więc i słuchał dalej.

Po pewnym czasie relacje Kato zaczęły tracić na szczegółowości. Zamiast na-zwisk pojawiały się takie określenia jak „dwudziestokilkuletnia prostytutka”, „nasto-letnia dziewczyna” oraz „Amerykanin o wyższej randze” albo „amerykański kapral”. Brzmiało to tak, jakby w imieniu upodlonych przez wojnę japońskich kobiet sądzono wszystkich amerykańskich żołnierzy, a mimo to z ust ławników wciąż padało:

– Winny, winny, winny.

A potem rozprawa przybrała jeszcze dziwniejszy obrót. Kato rozpoczął opo-wieść o ofiarach bomb atomowych w Hiroszimie i Nagasaki.

Dzieci szkolne, które zmobilizowano do pracy nad umocnieniami obronnymi na ulicach centralnej Hiroszimy – ich imiona, nazwiska, wiek, zdjęcia, oceny szkolne, ich przyjaźnie, pierwsze sympatie, ulubione zabawy, ich marzenia i plany, a zaraz potem to, co z nich zostało, czyli nic... Jedynie martwe ciała, pocięte metalowe pudełko na drugie śniadanie, sprzączka od paska, tornister. Setki ludzi, z których płatami scho-dziła poparzona skóra i którzy jak gromady krwawych zombie na oślep wędrowali do jedyne go źródła wody w zupełnie osuszonym mieście – do rzeki Motoyasu. Matki pa-trzące na śmierć dzieci. Dzieci będące świadkami śmierci rodziców. Choroba popro-mienna, białaczka, martwe płody...

Shiori miała łzy w oczach.

Aż wreszcie Kato zmienił ton. Już nie próbował wzbudzić współczucia. Teraz oskarżał.

– Nigdy nas nie przeprosili! – grzmiał. – Dwie bomby atomowe, setki tysięcy zabitych, a oni nigdy nie powiedzieli słowa „przepraszam”. A przecież ich winy są jeszcze większe. Zniszczyli ducha tego kraju, stłamsili wszystko to, co z takim trudem budowali nasi przodkowie. Zabrali nam Cesarza, cesarstwo, a armię zamienili w gromadę skautów. Bez zgody Ameryki Japonia nie może podjąć żadnej ważniejszej decyzji politycznej czy militarnej. Zrobili z nas marionetki!

Kato popatrzył po starych twarzach ławników i zadał ostatnie pytanie:

– Czy Stany Zjednoczone są winne tych zbrodni?

– Winne!

– Winne!

– Winne! – I tak do końca rzędu.

– Winne! – Tuż obok Kaishiego zabrzmiał pełen gorliwości werdykt Shiori.

– Winne – usłyszał własny głos wcale niepozabawiony żaru.

– Świetnie, znowu jednomyślność. – Sędzina podsumowała głosowanie. –

Panie Kato, co w związku z tym pan proponuje?

– W świętej Biblii Amerykanów są słowa, którymi chciałbym się teraz posłużyć.

„Oko za oko, ząb za ząb”. Dwie bomby atomowe za dwie bomby atomowe.

Słowa Kato jeszcze dobrze nie wybrzmiały, a spośród ławników uniosło się pierwsze: tak.

– Tak, tak, tak – posypało się dalej ze starych ust.

Takiego obrotu spraw Kaishi się nie spodziewał. Już wcześniej domyślał się, że ten groteskowy proces był finałem linii fabularnej, którą przygotowała dla niego Firma. Ale bomby atomowe? Doprawdy, jego misja nabierała niezwykłego rozmachu. I wcale nie wzbudziło to jego entuzjazmu. Po prostu chciał, by to wszystko wreszcie się skończyło.

– Tak – odezwała się szeptem Shiori.

– Tak – powiedział jak echo Kaishi.

Te słowa nagle odmieniły atmosferę w sali. Wybuchły oklaski, powstał gwar i zamieszanie. Skądś pojawił się fotograf i robił wszystkim zdjęcia. Kelnerzy – również wyrosli jakby spod ziemi – roznosili kieliszki z szampanem. Z twarzy ławników opadły maski powagi i starcy zaczęli się śmiać i ścisnąć nawzajem. Z oczu niektórych popłynęły łzy wzruszenia. Sędzina podeszła do Shiori, objęła ją, a potem tłumacząc coś, zaprowadziła w drugi kąt sali. Kaishi chciał ruszyć za nimi, ale zatrzymał go ciężar dłoni Kato na ramieniu. Ostatni raz popatrzył w stronę, gdzie w mroku sali zniknęła dziewczyna, i zdał sobie sprawę, że nie zapytał jej, jaki znak kaligrafowała z takim przejęciem poprzedniego wieczoru.

Odwrócił się do Kato. Wszystko od niego się zaczęło i teraz się na nim skończy.

– Zdajesz sobie sprawę, że dwie atomowe bomby mkną teraz przez Pacyfik.

Na twarzy Kaishiego pojawił się wyraz znużenia. Chciał, by ta gra wreszcie się skończyła. By zaliczono mu wykonanie misji, przyznano punkty.

Kato zaśmiał się, widząc minę chłopaka.

– Nie wierzysz – stwierdził. – Właściwie to nawet ci się nie dziwię. Rozglądasz się, widzisz gromadę starych ludzi i myślisz: banda staruszków żyjących porażką z czterdziestego piątego, cóż oni mogą? Ale mylisz się, bo tak naprawdę masz przed sobą najbogatszych, najbardziej wpływowych ludzi w kraju, ludzi, którzy tworzą potężną tajną organizację, ośmielę się stwierdzić, bezprecedensową w historii ludzkości. Mieli

czas, by się dobrze przygotować. Mieli środki, mieli możliwości. A jeśli posiada się to wszystko, zbudowanie bomby atomowej to pestka.

– Skoro jesteście tak potężni – Kaishi celowo podkreślił „jesteście” – tak

świetnie przygotowani, to do czego potrzebny był wam ten sąd? Po cóż my byliśmy? Ja i Shiori?

Kato uśmiechnął się, zupełnie niezbity z tropu.

– Chcemy nie tylko zemsty. Może nawet bardziej zależy nam na przemianie

Japonii. Na ponownym odkryciu naszej narodowej dumy. Myślisz, że starcy, których

tu widzisz, potrafią w ten sposób zainspirować współczesnych Japończyków? Jedyne

młodość ma taką moc. Jedyne młode twarze takie jak twoja i Shiori. Zresztą co ja ci

będę tłumaczył. Sam zobaczysz. Jutro obudzisz się w nowej Japonii, a na jej sztanda-

rach łopotać będą wasze twarze. Zobaczysz, obudzisz się w nowym świecie.

* * *

Zobaczysz, obudzisz się w nowym świecie...

Najpierw czekał. Spokojnie. Wiedział, że lada chwila powietrze wokół pęknie

jak bańka mydlana, a on wróci do prawdziwego życia. Później zaczął się niecierpliwić.

Lekko. Bez poważnych obaw. Tymczasem rzeczywistość wokół niego zwariowała. Dwie

japońskie bomby atomowe spadły na Stany Zjednoczone i świat zamarł w osłupieniu.

Japonia zaś jakby się obudziła ze snu. Ludzie fetowali na ulicach, wszędzie wisiały flagi

z czerwonym słońcem, jawnie mówiono o nienawiści do Amerykanów. Przewidywania

Kato się sprawdziły i dokonała się mentalna rewolucja, a jej twarzami stali się – i tu

Kato znowu miał rację – Shiori i Kaishi. Ich zdjęcia – jako nowych bohaterów naro-

dowych – były wszędzie. Kaishi nie mógł na nie patrzeć. Wyłączył telewizor, zaciągnął

zasłony, przestał wychodzić ze swojego mieszkania na Gotandzie. Czekał. Wciąż cze-

kał.

Jeszcze później ogarnęła go złość. Miał ochotę wyjść na ulicę, wymierzyć pięść

w niebo i zawołać: „Czego jeszcze ode mnie chcecie! Jakie przeszkody mam pokonać?!

Jakie zadania wykonać?!”

A potem przyszła chwila, kiedy zaczęły się wątpliwości. Włączył telewizję, ale

nie był w stanie jej oglądać dłużej niż minutę. Mówiono o restauracji cesarstwa i po-

wszechnej mobilizacji. O amerykańskich groźbach, o wojnie, o kolejnych bombach,

przede wszystkim o kolejnych bombach...

Następnego ranka obudził się i natychmiast poczuł mdłości. Przez dwie godziny

wymiotował z głową w sedesie. Razem z kolejnymi falami torsji wypłynęły z niego

resztki złudzeń. Kiedy w żołądku miał już zupełnie pusto, włożył głowę pod kran, ale

wcale nie zrobiło mu się lepiej. Ciężar, jaki zaległ mu w piersiach, był nie do zniesienia. Myśli... myśli bolały. Żeby je odgonić, skoncentrował się na wspomnieniach. W głowie

odtwarzał podwórko dziadków. Każdy szczegół, każde drzewo, studnię, żuraw, huś-

tawkę, ule... Obraz był doskonały. Jednak wtedy na jednym z owoców na jabłoni w

drugim rzędzie drzew owocowych, obok gruszy pojawiła się brązowa plamka. Małe

kółeczko, może centymetrowej średnicy, wyglądało zupełnie niegroźnie, ale zgnilizna

zaczęła rozprzestrzeniać się wszędzie. Na gruszę, na trawę, na śliwę, na huśtawkę...

Zgnilizna i zniszczenie. Próbował wymazać je z wyobraźni niczym krzywą linię z ry-

sunku, ale one zawsze wracały. Jakby uruchomił jakiś nieodwracalny mechanizm,

który powoli, lecz nieubłaganie niszczył jego świat wspomnień. Wszystko. Cały ogród,

cały trawnik, całe podwórko i dom z zieloną dachówką.

Cały świat.

ANNA KAŃTOCH

Okno Myszogrodu

W chwili, gdy myłem zakrwawione ręce, a potem wrzuciłem do rzeki ciężki jutowy worek, wiedziałem dokładnie, co czeka mnie w ciągu najbliższych czternastu dni.

Stojąc wciąż na nadbrzeżu, patrzył będę, jak wzburzone wody Wisły pochłaniają ciało człowieka, którego zabiłem. Zgarbię się i uniosę dłonie, by ochronić głowę przed naporem siekącego deszczu z gradem; ostre niczym odłamki szkła lodowe drobiny skaleczą mnie – godzinę później Michalik zapyta, dlaczego na rękach mam krew, ja zaś wzdrygnę się, patrząc na odbite w lustrze moje własne puste spojrzenie. Diabeł tkwi w szczegółach, powiadają, wiem o tym lepiej niż ktokolwiek.

Październikowy zmierzch nadciągnie szybko, a tego wieczoru zdawać się będzie, że dzień nigdy nie wstał, że zmierzch był tu zawsze, pośród wszystkich tych chylących się ku ziemi, cuchnących wilgocią i szczurzymi ekskrementami budynków. Rozejrzę się, wiedząc doskonale, że jestem sam, że nikt nie był świadkiem mej zbrodni. W takie dni jak ten nawet mieszkańcy opuszczonego przez Boga Podgórze nie wyściubiają nosów ze swoich nor.

W mroku rozlegnie się głos, który równie dobrze można będzie wziąć za krzyk katowanego dziecka, jak i za skomlenie psa. Mógłbym pospieszyć z pomocą udręczonej istocie, myśl taka już wielokrotnie pojawiała w mej głowie, jednak nie ruszę się z miejsca. Nigdy tego nie robię.

Czy wspominałem, że czyny moje inną mają wagę niżli uczynki pozostałych ludzi?

Podmuchy wiatru przyniosą ze sobą ostrą woń dymu i naraz zda mi się, że przez szum ulewy słyszę przeciągły jęk zatrzymywanych w biegu maszyn i trzask pękających ceglanych murów. Widoczny na zachodzie ogień przychyla się, zduszony wściekłym naporem zimnego deszczu, by zaraz wybuchnąć z nową siłą. Ocean nie zdołałby ugasić pożaru, który płonie od dni tak wielu, że niemal nie pamiętam już, jak się zaczął.

Rzucę jeszcze ostatnie spojrzenie na Wisłę, po czym ruszę w kierunku gospody U Michalika. Szedł będę przez dzielnicę nędzy, miejsce, w którym dzieci budzą się pogryzione przez szczury, bawią pośród odpadów, a potem, nim zdążą odrosnąć od ziemi, wysyłane są przez zapijaczonych rodziców do pracy. Miejsce, w którym dziewczęta rozkwitają błyskawicznie i równie błyskawicznie więdną, w dwunastej, trzynastej wiosnie życia – choć blade i z rozpalonymi gorączką oczami – bywają piękne, lecz wiotkie ich figury szybko deformują kolejne cięższe, a skóra na dłoniach pęka od fabrycznych chemikaliów. To świat skoliozy i gruźlicy, świat wypadających z braku witamin zębów i alkoholowych chorób. Żyjące tu istoty są niewiele więcej niż pelzającym w mroku robactwem, ich wzrastające bez dostępu słonecznego światła ciała mają gąbczastą konsystencję białawych grzybów, umysły są zdziczałe i wykrzywione przez przemoc, jakiej doznają z rąk bliskich od najwcześniejszych lat. Jedyną ich rozrywką jest picie podlej wódki, pospieszna zwierzęca miłość i od czasu do czasu sobotnie tańce w gospodzie – tańce te zresztą z miłością mają tyle wspólnego, że niejedna już dziewczyna wróciła z nich z brzuchem.

Oto dzielnica, w której przyszło mi żyć. Mieszkam tu od tak dawna, że nienawidzę do tego miejsca wrosła w każdą komórkę mego ciała.

Zamknę na moment oczy i wsłucham się w odgłosy miasta.

Gdy byłem dzieckiem, Kraków żył w zupełnie innym rytmie, wtedy słyszało się stukot kopyt na bruku, podzwanianie tramwajów i nawoływania gazeciarzy. Nawet powietrze inaczej wtedy cuchnęło – nie smrodem fabrycznych wyziewów, lecz koń-

skim łajnem i spoconą ludzką ciźbą. Dziś w deszczowym mroku pulsują serca gigantycznych maszyn – tych z Zakładów Feldmana, gdzie pracuję, z Huty „Tadeusz Kościuszko”, fabryki braci Kruków i dziesiątków innych. Maszyn, które niestrudzenie, dzień i noc, noc i dzień, bez chwili wytchnienia budują i miażdżą, tworzą i niszczą. Żelaznymi dłońmi z tytaniczną siłą gną stalowe pręty, rozdierają arkusze blachy i mieszają surówkę. Dawno temu ich trud wydawał mi się imponujący, dziś jednak nie potrafię myśleć o wszystkich tych urządzeniach bez uczucia dojmującego wstrętu.

U Michalika powita mnie wiszący w powietrzu gęsty i kwaśny odór gotowanej kapusty. Pochyleni nad kuflami mężczyźni o zapadniętych policzkach i przekrwionych oczach spojrzą na mnie i zaraz wrócą do swych zajęć. Nie jestem wart ich uwagi. Kiedyś – przybysz z zewnątrz, z innego, lepszego świata – byłem, ale już nie jestem. Teraz jestem swój, a więc nikt.

Zerknę w kąat gospody, gdzie siedzieć będą jedyne w tym gronie kobiety, czy może raczej powinienem rzec dziewczęta, sprzedajne dziewczki o jaskrawo umalowanych ustach. Nie znam ich imion, widuję je jednak wystarczająco często, by stały mi się bliskie jak siostry. Nie przyjdą tu pracować, wiem to z żelazną pewnością, choć nigdy nie pytałem ani nie zapytam. To będzie ich chwila wytchnienia, tylko dla siebie, we własnym towarzystwie, wśród śmiechu i nieśmiałył gestów, jakimi dotykać będą nawzajem swoich dłoni. Spojrzę na nie z zazdrością – oto dzieci ulicy, błota i gnoju, które potrafią cieszyć się życiem, oto niewinność niespodziewanie odnaleziona pośród zepsucia. Powiniennem tymi dziewczętami gardzić, lecz na przekór wszystkiemu ich widok przywróci mi wiarę w ludzkość.

Gdy stanę przy barze, ogarnie mnie przemożna ochota na miskę grochówki, którą mają tu nawet smaczną, jednak zamówię tylko kieliszek wódki i wychylę go bez przyjemności, cały czas czując, jak na myśl o gęstej zupie do ust napływa mi ślina.

– Anarchiści podpalili przedziałnię Bethego, wie pan? – zagadnie Michalik, leniwie przecierając ładę brudną szmatą.

– Coś slyszalem.

– A pańska siostra? Pomogło...

– Tak.

– To dobrze. – Michalik ucieszy się szczerze. Ten czterdziestoletni mężczyzna, o twarzy zbója i złodziejskich skłonnościach, ma bowiem dla kobiet i dzieci wielce współczującą naturę.

Wypiję jeszcze jedną wódkę, po czym wrócę do domu, gotów stawić czoła Marii.

Po drodze zastanawiać się będę, czy czegoś nie przegapiłem. Zdradliwej plamy krwi na podłodze, śladów walki w pokoju, który zdecydowanie na wyrost nazywamy „salonem”. A jeśli tak i jeśli moja siostra je zauważy, czy oznaczać to będzie już koniec, czy może jeszcze nie.

* * *

Z duszą na ramieniu wejść do skromnego mieszkania, w przedpokoju powieszę kapelusz i zdejmę płaszcz. Przez krótką chwilę tkwił będę bez ruchu, wpatrzony w odchodzącą od ścian tapetę, wdychając przesycone wyziewami kiepskiej kuchni powietrze. Potem przejdę dalej, do pokoju, w którym czekał będzie nakryty stół, a przy nim Maria. Jej zapadnięte oczy i szara, niezdrowa cera jak zawsze wstrząsną mną, jakbym widział ją po raz pierwszy.

Powiadają, że dobre wspomnienia niosą pociechę w trudnych momentach, lecz ja wiem, że to nieprawda. Gdybym od początku wzrastał w tym świecie, nie tęskniłbym do wszystkiego, co utraciłem, zdołałbym żyć szczęśliwie tym zwierzęcym życiem, gdyż

innego bym nie znał. Jestem jednak skazany na nieustanną tęsknotę za tym, co było, pamięć szczęśliwych lat dziecięcych i wczesnej młodości przesładuje mnie jak upiór, nie pozwalając zaznać spokoju i wypełniając moje serce wstrętem do wszystkiego, co otacza mnie dziś.

Także i na Marię nie będę potrafił już patrzeć bez uczucia dojmującej grozy i żalu. Stała mi się w ciągu tych lat obca, w jej wyżłobionych cierpieniem rysach próżno szukał będę śladu radosnej istoty, którą ongiś kochałem.

— Jak się czujesz? — zapytam, polewając masłem szparagi. Nie stać nas na nie, ale Maria zechce sprawić mi przyjemność. Ta niepotrzebna rozrzutność kiedyś wprawiała mnie w zły humor, teraz obudzi już tylko zmęczenie.

— Dobrze — zapewni gorliwie.

Zgodnie z obietnicą złożoną samemu sobie będę się starał być dla niej miły, wypytam, jak jej minął dzień, rozbawię kilkoma fałszywymi dykteryjkami z urzędniczego życia. Wreszcie jednak nadejdzie chwila, gdy wzrok mój zblądzi na pusty niemal talerz Marii, a brwi zmarszczą się bez udziału woli.

— Zjadłam przed twoim przyjściem, naprawdę — wystraszy się moja siostra. —

Poza tym nigdy nie przepadałam za szparagami, przecież pamiętasz...

— Nie musisz jeść, jeśli nie masz ochoty.

Maria skuli się, choć przecież słowa moje w zamierzeniu pełne będą zrozumienia i troski.

— Może zjem trochę ziemniaków, wyglądają bardzo dobrze.

— Jeśli nie dopisuje ci apetyt...

— Ależ skąd, właśnie nabrałam na nie chęci. — Nałoży sobie porcję, nim zdołam

ją powstrzymać. — Pyszne są, może i ty skusisz się na jeszcze jednego?

Z trudem zdołam nie odwrócić wzroku, gdy udawać będzie szczęśliwą i zdrową.

Jej oczy na moment – okupiony tak wielkim wysiłkiem! – odzyskają dawny blask, na ustach pojawi się uśmiech. Przez parę minut paplać będzie o głupstwach, próbując mnie rozbawić. Jak dawniej, w szczęśliwszych czasach. Zmuszając ją do tego, kiedyś na chwilę odzyskiwałem spokój, wiarę w to, że przeszłość jeszcze może wrócić. Teraz robię to z powodów, jakich żaden człowiek, poza jednym, nie potrafiłby zrozumieć.

Wieczorem Maria zwróci wszystko, co zjadła, i z płaczem zapewniać mnie będzie, że to nic, chwilowa tylko niedyspozycja. Ledwo zdoła wyperswadować mi wezwanie lekarza za resztę naszych skromnych oszczędności, a z moich czułych słów wypełzną wstrętne węże złości. Jakże przewrotną bestią jest człowiek! Moja obietnica poprawy będzie szczerą, jednak jak alkoholik nie potrafi odmówić sobie kolejnej butelki, tak i ja na widok cierpiącej siostry nie zdołam powstrzymać się przed okazaniem jej gniewu. Pod pozorami troski – chorych wszak nie można niepokoić – odmówię jej odrobiny śmiechu, pociechy, a kiedy pytać będzie, dlaczego siedzę posępny w salonie, rezygnując nawet z tak drobnej rozrywki jak czytanie, odpowiem:

— Nie stać nas na przyjemności, Mario. Jeśli ci się nie poprawi, potrzebować będziesz opieki lekarza albo i pobytu w szpitalu, co oznacza, że musimy sprzedać resztę naszych książek i zrezygnować z nieczęstych wizyt w kinematografie czy teatrze. Pozbawieni środków przeprowadzimy się do mieszkania jeszcze skromniejszego niż to, może nawet wkrótce zostaniemy bez dachu nad głową. Pytasz, dlaczego jestem ponury? A czy jest coś, z czego mógłbym się cieszyć?

To jej choroba wpędziła nas w tę sytuację. Nie powiem tego, ale słowa zawisną

w powietrzu, kładąc na jej kruchych barkach ciężar winy nie do zniesienia.

Będzie próbowała mnie przekonywać, że mówię głupstwa, że już jej lepiej i wkrótce wszystko się ułoży. Podsunie mi wizje rozrywek, jakich zażywać możemy nawet jako ubodzy ludzie, i wiedząc, że ja mam na nie chęć, uda, że i ona cieszy się w oczekiwaniu na te przyjemności. Posunie się nawet do tego, by oznajmić, iż pragnie koniecznie obejrzeć na sobotnim jarmarku zapasy, czego nigdy nie znosiła.

O, jakże bym chciał mieć odwagę, by zmienić tamtą rozmowę. Nie mogę jednak.

Jestem przeklęty, ale byłbym przeklęty po stokroć bardziej, gdybym to zrobił.

W końcu jednak wyrzuty sumienia sprawią, że pozwolę się ubłagać i obiecuję, iż pójdziemy na festyn urządzony z okazji startu „Królowej Jadwigi”, czyli pierwszego krakowskiego powietrznego statku. Pod jednym wszakże warunkiem – Maria bez słowa sprzeciwu zgodzi się wrócić do domu, gdy tylko uznam, że jest to konieczne.

* * *

W Zakładach Feldmana jestem urzędnikiem wydziału zaopatrzenia, co brzmi dumnie, w rzeczywistości jednak niewiele oznacza. Dzień w dzień, przez dziesięć godzin, od świtu aż do wczesnego jesienno-zimowego zmierzchu, przy kiepskim świetle lamp naftowych (zarząd oszczędza na elektrycznej energii) sumuję cyfry. Przez moje ręce przechodzą tony stali i węgla, setki metrów płótna i litry wosku do usztywniania – a wszystko to widmowe, zamienione w rzędy czarnych liczb na białym papierze. Nigdy nie byłem w halach fabrycznych i nie widziałem żadnego z produktów, jakie drżąc ze zmęczenia dłońmi wpisuję w odpowiednie rubryki. Plecy wygięte mam w kabłąk od garbienia się nad stosami dokumentów, wzrok zawodzi coraz bardziej, a dochody są niskie, jednak moja pozycja wiąże się z pewnymi przywilejami, jakich nie mają prości robotnicy.

Jednym z nich będzie zaproszenie, dla mnie i dla Marii, do specjalnego sektora na jarmarku. Sobotni ranek wstanie zdumiewająco pogodny, w kałużach odbije się słońce, złocąc błotnistą wodę, promienie rozjaśnią twarze ludzi zakutanych w jesienne płaszcze. Ostatni ciepły dzień tego roku, pomyślę, gdy zmierzać będziemy na krakowskie Błonia. Zbierze się tam podekscytowany tłum, będą pokazy najnowszych wynalazków, takich jak głośno reklamowane „niezbędne w domu” parowe mechanizmy czyszczące, piorące i suszące, nowe wehikule, bicykle i tricykle, lalki, które potrafią same chodzić, a nawet wołać „mama”, czy wreszcie głupstewka dla kobiet: jakieś urządzenia do układania włosów, podkreślenia rzęs czy wiązania gorsetów. Będą również smażone na ruszce kielbaski, cukrowa wata, karuzele i kolorowe baloniki dla dzieci – cały ten jarmarczny blichtr, który tak cieszy gawieź. Maria uda radosną, a może naprawdę znajdzie w tamtych chwilach odrobinę szczęścia? Zapewne nigdy się tego nie dowiem. Będziemy spacerować pośród zgiełku, ja w przetartym na lokciach płaszczu, siostra moja w najlepszej błękitnej sukni, naznaczonej cerami jak twarz chorego ospą. Dziecko, jasnowłosy chłopczyk trzymający w rączce barwnego lizaka, wpadnie na mnie i patrzeć będzie oszołomionym wzrokiem, wreszcie matka porwie je w ramiona, złaje i każe przeprosić.

I właśnie wtedy, gdy uznam, że najwyższa pora wracać do domu, Maria zgubi się w tłumie. Wystarczy chwila nieuwagi – dawno temu przypadkowej – by znikła mi z oczu. Nawołując, będę jej szukał, aż wreszcie odnajdę w jedynym miejscu, w którym nie powinna tego dnia przebywać: w sektorze dla pracowników, oddzieloną od startującej „Królowej Jadwigi” ledwie kruchą drewnianą barierą. Powietrzny statek wzniósł się będzie przy wtórze radosnych okrzyków i oklasków, płócienna czasza przesłoni

zimne jesienne niebo. Zawołam Marię, roztrzaskując łokciami stłoczonych w sektorze gapiów. Odwróci się w moją stronę – w tym momencie statek wybuchnie, zmieniając się w kłęb jaskrawego ognia i raniących ciżbę odłamków. Ponad Błoniami poniesie się krzyk, „Jadwiga” osiadzie na zrudziałej trawie niczym ptak z podciętymi skrzydłami, a ludzie zaczną uciekać od niej, tratując się nawzajem. Tylko ja i jeszcze jeden człowiek dążyć będziemy w przeciwną stronę, do Marii, stojącej bez ruchu i wpatrzonyj w płomień. A potem siostra moja obudzi się z letargu, przestąpi ponad resztkami drewnianej barierki i przez nikogo niezatrzymywana wejdzie wprost w serce pożogi. Spojrzy na mnie, nim ogień zagotuje białka jej oczu, a wzrok ten wypali mi w sercu ranę, która nigdy się nie zagoi. Tak właśnie ją zapamiętam – z aureolą płomieni wokół głowy i twarzą naznaczoną udręką, jaką znieść powinny jedynie potępione w piekle dusze.

* * *

Straszliwa śmierć Marii na krótki czas uczyni mnie, zwykłego urzędnika, sławnym. Niektóre gazety napiszą, iż samobójstwo mojej siostry było aktem politycznej prowokacji – jedna posunie się nawet do tego, by wygadywać nonsensy o „księżniczce znanej w kołach anarchistycznych i nihilistycznych” – ludzie szeptać będą za moimi plecami i milknąć, gdy do nich podejść. Omal nie stracę pracy, jednak uda mi się ubłagać przełożonego, by zatrzymał mnie na stanowisku.

Będę także kilkakrotnie przesłuchiwany przez krakowską policję. Przodownik Ćwiąkała, chudy, z niezdrową cerą i sam najwyraźniej cierpiący z powodu żołądka, wyrazi współczucie dla choroby mej siostry, jednak jego podejrzliwość nie zmniejszy się przez to ani na jotę. Pokaże mi film, rzucony na białe prześcieradło w zaciemnionym pokoju komendy, film, na którym widać nie tylko start „Królowej Jadwigi”, lecz także Marię i mnie samego.

– Proszę spojrzeć – powie – tutaj wygląda na to, że chce pan siostrze pomóc, już wyciąga pan ręce, by powstrzymać ją przed wejściem w płomień. A potem wpada na pana ten mężczyzna, chwyta pański łokieć i szepce coś do ucha. Czy się mylę? Obraz jest ziarnisty, ale tak, na pewno mam rację. Proszę patrzeć dalej. I oto nagle pan rezygnuje, opadają wyciągnięte dłonie, a pan zastyga, jak nie przymierzając posąg Komandora u Mozarta. Dlaczego? Co ten człowiek panu powiedział? Kim był?

Spojrzę na film rejestrujący ostatnie chwile życia Marii.

– Przeraził mnie ogień, dlatego jej nie zatrzymałem – odpowiem, pokonując ucisk w gardle.

Ćwiąkała drążyć będzie dalej.

– Czy człowiekiem tym jest profesor Kostrzewski? Twarzy nie widać, ale sądząc z sylwetki i staroświeckiego kroju fraka, można by tak pomyśleć. Znam trochę profesora, widziałem go przy kilku okazjach – pochwali się. – To wybitna umysłowość. Co naukowiec tego formatu ma wspólnego z panem?

Zmilczę, choć pewnie najdzie mnie ochota zaproponować, by zapytał o Kostrzewskiego.

– A list anonimowy? – Przodownik pokaże mi wytłuszczoną i wybrudzoną dziesiątkami palców kartkę. – Nieznany informator ostrzega w nim, że podczas startu „Królowej Jadwigi” dojść może do zamachu, niestety jednak kolega mój, który wiadomość odebrał, uznał ją za bredzenie szaleńca i zlekceważył. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie pana pismo? Może porównamy? Proszę napisać o, tutaj: „bomba”, „anarchiści”, „wybuchnie”.

Zgodzę się chętnie i prawą ręką nakreślę na kawałku papieru kilka podyktowanych słów. Pismo, rzecz jasna, różnić się będzie od tego z anonimowej wiadomości, tę bowiem napiszę, posługując się lewą dłonią.

Ostatecznie Ćwiąkała zwołni mnie z niechęcią, pozwoli wrócić do pustego domu, w którym straszyć będą duchy wspomnień. Kolejne dni moje staną się podobne do siebie jak krople wody w rzece: poranna pobudka, gorzka kawa o podłym smaku i skibka zeschniętego chleba, a potem praca – długie godziny mozolnego rachowania, gdy jedyną przyjemnością jest oczekiwanie na Stasię, naszą śliczną herbaciarkę, która każdego popołudnia przynosi nam po filiżance gorącego napoju. Żył będę z napiętymi nerwami, w paraliżującym lęku, że zdarzy się coś, co mnie zdradzi. Tak niewiele przecież trzeba, wystarczy jedna zmarszczka, już teraz znajomi niepewnie patrzą na postarzałą moją twarz.

Wkrótce potem uratuję Kostrzewskiemu życie.

* * *

Zdarzy się to w czwartkowy wieczór, gdy jako ostatni wychodził będę z pracy. Ostatni, bo pragnący udowodnić nade wszystko, że wart jestem stanowiska, które dozwolono mi zatrzymać. Za oknami srożyć się będzie jesienna burza, huk gromu zleje się w jeden dźwięk z biciem wielkiego zakładowego zegara, tak iż nie będę już potrafił odróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. W zapadłej potem ciszy kroki moje odbijają się od ścian pustego korytarza budzącym lęk echem. Wyciągnięty cień śledził mnie będzie w szarym świetle zakurzonych elektrycznych lamp. Przystanę na chwilę, łowiąc uchem dźwięki pracujących niestrudzenie maszyn, po czym ruszę dalej, dwa piętra w dół i znów korytarzem, lecz tym razem na pozór jeno pustym, gdyż pod ścianą, w cieniu, dostrzegę skuloną ludzką sylwetkę.

– Dobrze się pan czuje? – zapytam niepewnie. – Słyszysz mnie pan?

Odpowie mi głuchy jęk. Podejdę bliżej, by pochylić się nad nieszczęśnikiem, który zwróci ku mnie poszarzałą twarz.

– Co panu?

– Serce... – wydusi z trudem. – Proszę... Ból jest nie do zniesienia.

– Niech się pan na mnie wesprze.

Podniosę go i na wpół włokąc, pociągnę w stronę wyjścia. Nocny portier, gdy tylko nas zobaczy, natychmiast doskoczy, by pomóc. Wezwę dorożkę, ostrożnie ułożę starszego pana w jej wnętrzu i towarzyszył mu będę w drodze do szpitala. Noc spędzę na twardym krześle w poczekalni, pośród chlapiących w chusteczki kobiet i milczących, zasępiionych mężczyzn. Aż wreszcie wyjdzie do mnie brodaty doktor i zapewni, że profesor Kostrzewski będzie żył.

– Nie wiedziałem, że to Kostrzewski – powiem.

Doktor zmarszczy brwi.

– Naprawdę? Sądziłem, że profesora wszyscy znają. To...

– ... wybitna umysłowość. – Być może zaryzykuję te słowa, mimo iż powinienem udawać, że nic o Kostrzewskim nie wiem.

Od tej pory profesor uzna się za mojego dłużnika, choć ja tłumaczył będę, że niczego szczególnego nie zrobiłem, każdy na moim miejscu postąpiłby podobnie. Kostrzewski jednak na wszelkie sposoby będzie próbował mi się odwdziżyć. Świadom mej opłakanej sytuacji finansowej, zaproponuje pieniądze zapomogę – odmówię z oburzeniem. Zaprosi mnie do domu na jeden z wieczorków, jakie co niedziela organizuje jego żona – wykręcę się brakiem czasu, choć w istocie zabraknie mi odwagi, by pokazać się pośród arystokratów nauki w nędznym mym odzieniu. Spróbuje przenieść mnie w urzędniczej hierarchii o kilka stanowisk wyżej, ale i te plany pokrzyżują, unie-

siony głupią – o jakże głupią! – dumą. Któregoś dnia Kostrzewskiemu wymknie się, że pracuje nad pewnym niezwykłym wynalazkiem, ja zaś, kierowany wrodzoną przekorą, a może również chęcią udręczenia profesora, zacznę nalegać, by zdradził mi swą tajemnicę. Z początku będzie się wzdrażał, jednak nie ustąpię i dam do zrozumienia, że nie zadowolę mnie nic prócz poznania tego właśnie sekretu. Aż wreszcie Kostrzewski, nie mogąc znieść ciężaru niespłaconego długu, ugnie się i zaprowadzi mnie do swej pracowni.

* * *

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał wynalazek Kostrzewskiego, ten cud i przekleństwo zarazem. Stań przed nim, przepelniony pokorą oraz tajonym lękiem, jakich nie zaznałem od lat dzieciństwa, gdy rodzice prowadzili mnie przed słynący łaskami obraz Czarnej Madonny z Częstochowy.

– Cóż to? – wykrztuszę, patrząc na olbrzymią maszynę tak, jak biblijny Dawid spoglądać musiał na Goliata.

– To, mój drogi wybawco – powie Kostrzewski – jest okno. W przeszłość, rozumie pan.

To mówiąc, doskoczy do czegoś, co dla mego niedoświadczonego oka wyglądać będzie na sterowniczy pulpity jak z powieści Juliusza Verne’a, i wciśnie jeden z guzików, a wówczas rozpięty wewnątrz mechanizmu ekran rozbłyśnie światłem. Ujrzę na nim Kraków widoczny z lotu ptaka, zanim jednak zdążę spytać, czy to coś w rodzaju kinematografu, profesor z zapalem wariata zacznie ruszać licznymi pokrętkami. Obraz zmieni się, stopniowo zbliżając do mojej dzielnicy, zobaczę front budynku, w którym mieszkam, i brudne dziecko sąsiadki na schodach wejściowych. Kamera wsunie się przez okno do mego mieszkania, ja zaś westchnę gwałtownie, widząc w nim siebie samego w towarzystwie nieżyjącej siostry. Przypomnę sobie tamtą chwilę sprzed dwóch tygodni, pamięć podsunie ostre słowa, które naówczas pod adresem Marii wypowiedziałem.

Mój sobowtór otworzy usta, a ja zakrzyknę w bolesnej zgrozie:

– Proszę to wyłączyć!

Kostrzewski kilkoma ruchami zgasi ekran i zacznie mnie przeproszać:

– Jestem głupcem, nie pomyślałem... Wszak pana siostra niedawno zmarła, rana musi być wciąż świeża. Proszę o wybaczenie, zapewne doznał pan strasznego szoku. My, słudzy nauki, rzadko zaprzątamy sobie głowy sprawami tak błahymi jak emocje.

Zatroskany usadzi mnie na krześle i zaparzy herbatę. Po chwili twarz jego zmieni wyraz na czujny.

– Rozumie pan, że tego, co pan tu dziś widział, nie wolno panu za żadną cenę zdradzić? Ufam panu jak bratu, a jednak – tak! – musi pan przysiąc na wszystko, co panu najdroższe, że nie piśnie ani słowa. To niezwykle ważne. Gdyby informacja o moim wynalazku przedostała się do wiadomości publicznej... Nie, nie chcę nawet o tym myśleć. Wie pan, jak wiele rządy obcych mocarstw dałyby, by móc skopiować moje dzieło? Jak bardzo zaszkodziłoby to potędze naszego Królestwa?

– Czy to... maszyna czasu?

– Poniekąd. – Nadmie się Kostrzewski. – Choć ja wolę określenie „okno”.

Obserwuję przez nie Kraków sprzed dwóch tygodni.

– A czy można spojrzeć na przykład dwa lata wstecz? Albo trzy dni czy pięć

miesiący?

– Pracuję nad tym – wykręci się profesor.

– A czy dałoby się... – myśl będzie niemal zbyt śmiała, by ją wypowiedzieć – przejść przez to okno w przeszłość?

– To, mój drogi przyjacielu, jest bardzo dobre pytanie. Zapewne tak, lecz odradzam podobne działania.

– Czemuż to? Możliwości przecież...

– Są niezmierzone, wiem. A jednak nie można bezkarnie igrzać z takimi siłami.

Jeśli cofnie się pan o dwa tygodnie i wprowadzi w czasowej linii zmiany – bo przecież pan to robi, po cóż innego podróżować w przeszłość – świat może tego nie znieść.

Istnieje możliwość, że spowoduje pan w ten sposób niewyobrażalną katastrofę, tragedię na kosmiczną skalę. Może pan, mówiąc prosto, raz na zawsze zakończyć dzieło

Bożego Stworzenia i wymazać z kronik zarówno Ziemię, jak i wszelkie istniejące na niej życie.

– To nie musi się stać – szepnę, jakby w obronie.

– Nie, ale, by podjąć decyzję o podróży w czasie, trzeba się najpierw upewnić, prawda?

– A pan... zna sposób, żeby zyskać pewność?

– Oczywiście. – Z irytującą pobłażliwością skinie głową. – Proszę za mną.

Przejdziemy do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie ku mojemu zdumieniu ujrzę zawieszony w stalowej sieci akwarium, a w nim – miniaturowe mysie miasto z domkami, ulicami, a nawet maleńkim jak mój serdeczny palec parowozem mknącym po obrzeżach.

– Nie rozumiem... – wyjąkam.

– To model naszej rzeczywistości – wyjaśni Kostrzewski. – Osobny, całkowicie autonomiczny wszechświat zawieszony w skonstruowanej przeze mnie sieci. Dla Napoleona i Józefiny Myszogród jest tym, czym Ziemia dla nas. Proszę spojrzeć tu, w pobliże ratusza. Co pan widzi?

Przysunę się bliżej, zmarszczę brwi.

– Czy to... miniatura okna?

– Oczywiście. Napoleon i Józefina mają taki sam wgląd w swoją myśl przeszłość jak i my w naszą, człowieczą. Co więcej, one, pozbawione ludzkiego rozsądku, zdecydowały się już przekroczyć granicę czasu. Wczoraj trzecia mysz, Aleksander, cofnęła się o dwa tygodnie i zdążyła już z pewnością wprowadzić w rzeczywistość Myszogrodu sporo zmian.

– Ale... Myszogród przecież wciąż istnieje? Czy nie znaczy to, że takie podróże są bezpieczne?

– Niezupełnie. Moja teoria zakłada, że wszechświat może znieść pewną liczbę drobnych przeinaczeń. To jak z kamykami – jeśli rzuci pan pod koła garść żwiru, lokomotywa przejedzie po nim i żaden z pasażerów nawet tego nie odczuje, jeśli jednak żwiru będzie więcej, powiedzmy, spory wzgórek, wystarczy, by pojazd się wykoleił.

– Po cóż więc ten eksperyment, skoro nadal pan nic nie wie?

– Bo już wkrótce będę wiedział – odpowie Kostrzewski z niezachwianą pewnością najtęższej głowy w dziedzinie nauki. – Z moich obliczeń wynika, że eksperyment potrwać musi do północy jutrzejszego dnia. Jeśli do tej pory nic się nie zdarzy, uznaję, że zmiany w czasowej linii nie kumulują się i podróże przez okno są bezpieczne; jeśli przeciwnie, cóż, przeszłość na zawsze pozostanie dla nas jedynie czymś na

kształt wyświetlanego w kinematografie filmu.

– Do północy? – upewnię się.

– Do północy – usłyszę potwierdzenie.

* * *

Przez cały następny dzień mylił się będę w rachunkach, aż inni urzędnicy, z niepokojem patrząc na mą bladą twarz i drżące dłonie, zaczęły pytać, czy nie jestem przypadkiem chory. Zaprzeczę oczywiście i tylko zatroskanemu Michalikowi zdradzę część planu.

– Zamierzam naprawić zło, jakie wyrządziłem – rzeknę przy kufelku piwa.

Michalik roześmieje się gorzko, szmata w jego dłoni znieruchomieje na moment w swej syzyfowej podróży po zachlapanym blacie.

– To się nigdy nie udaje.

– Och, mnie się uda – oznajmię chełpliwie. – Mam sposób, jakiego przede mną nikt nie posiadał.

Po czym zamilknę i mimo nalegań (niezbyt, przynajmniej, natarczywych) nie powiem ani słowa więcej.

Będzie to też dzień intensywnych działań. Najpierw, wykorzystując roztargnienie Kostrzewskiego, wyciągnę z jego kieszeni pęk kluczy, zrobię duplikaty, a oryginały zwrócę niepostrzeżenie. Potem nabędę w żydowskim sklepie butelkę drogiej wódki i pudło rosyjskich papierosów, którymi to produktami przekupię stróża z nocnej zmiany, by wpuścił mnie do budynku.

Wreszcie nadejdzie wyczekiwana chwila. W wieczór deszczowy, wietrzny i jakby stworzony do złodziejskich poczynąń, prześlizgnę się przez zakładową bramę i ścigany cmentarnym dudnieniem gromów wejdę na ostatnie piętro, gdzie swą siedzibę ma Kostrzewski. Przyniesioną z domu lampę naftową postawię na stoliku, przy którym nie tak dawno profesor częstował mnie herbatą, i usiądę obok. Ach, jakże dłużyć się będą pozostałe do północy godziny – a raczej jakże dłużyłyby się, gdybym w istocie nie wiedział już, co mnie czeka. Czy śledził będę upływające minuty, czy może, pogrążony w rozmyślaniach, stracę w pewnym momencie rachubę czasu? Nie wiem, nawet moja żelazna samokontrola i świadomość wagi moich uczynków zawodzą czasami. Pewien jednak jestem, że gdy nadejdzie właściwy moment, z napiętymi nerwami policzę uderzenia wielkiego zakładowego zegara.

Jedno, drugie, trzecie... dziewiąte... jedenaste, dwunaste.

Uniosę lampę naftową i spojrzę na Myszogród – nienaruszony i wciąż piękny jak zabawka najbogatszego i najbardziej rozpieszczonego z dzieci. Przez chwilę czujnym wzrokiem badał będę myszy, biegające po ulicach maleńkiego miasta w swoich zwierzęcych sprawach, stojące czasem słupka i patrzące na mnie oczami jak czarne guziki.

– Żywe, wciąż żywe – szepnę, a potem zrobię to, co planowałem już tylokrotnie.

Przejdę przez okno w przeszłość.

* * *

Dalszego ciągu mej opowieści z pewnością już się domyślasz, drogi czytelniku.

Oto bowiem udam się do domu, gdzie zastanę swego sobowtóra – i ja sam sprzed dwóch tygodni, widząc ociekającą deszczem postać o zmierzniałej twarzy i z szaleństwem w oczach, nie rozpoznam w niej siebie, lecz wezmę ją za włamywacza i rzucę się

nań. Wówczas, rzecz oczywista, będę musiał zabić moje młodsze ja i pochować je w mętnym nurcie Wisły.

Kolejne dni przewidywalne będą jak dni zamkniętego w klasztorze mnicha. Co dzień z góry znane czynności i słowa, wszystkie te straszliwe słowa, jakie należy wypowiadać. Raz jeden, jeszcze nieświadom zagrożenia, miałem szansę coś zmienić, ale i wtedy, niech mi Bóg wybaczy, podła ma natura wzięła górę. Zdoylem się jedynie na to, by napisać anonimowy list, który i tak nikogo nie ocalił, a Marię zawiodłem dwukrotnie: gdy żyłem jeszcze jak zwyczajny człowiek i gdy po raz pierwszy wróciłem w przeszłość ze szczerym zamiarem naprawienia wyrządzonego zła. Teraz, kiedy wiem już wszystko, lękam się jakiegokolwiek odstępstwa od narzuconej mi mocą przeznaczenia roli. Ileż razy chciałem przerwać tę mękę, nie bacząc na ogrom tragedii, jaką spowoduję! Zawsze jednak zdarza się coś, co pozwala mi przetrwać kolejną godzinę – widok dziewcząt tulących się do siebie w kącie plugawej gospody, uroda herbaciarki Stasi, która każdego popołudnia idzie przez zakładową halę, popychając przed sobą wózek z syczącym samowarem, czy wreszcie troska, z jaką stary Michalik wypytuje o zdrowie żon i dzieci wszystkich swoich klientów.

Czekam więc na dzień, w którym znów znajdę się na krakowskich Błoniach i biegł będę w stronę płonącej „Królowej Jadwigi”, czekam, aż potrąci mnie, niby przypadkiem, Kostrzewski, nieszczęsny więzień czasu, jak i ja. Czy jego sumienie również obciążają kolejne zabójstwa? Nigdy nie będę miał pewności, lecz sądzę, że tak, bo jakże inaczej mógłby w tym świecie żyć? Jak długo zdołamy jeszcze obaj wytrzymać? Nawet jeśli wytrwamy, prędzej czy później wiek upomni się o swoje, w którymś momencie same nasze pobrużdżone zmarszczkami twarze i siwe włosy mogą przechylić szalę.

Czekam więc na koniec świata i słyszę kolejny raz, jak Kostrzewski wypowiada te cztery najbardziej przerażające słowa:

– Pomyłka. Myszogród został zgładzony.

WOJCIECH SZYDA

Popiołun

Zniknie zła krew

ciało i chleb

tylko nie proch i pył Sodomy.

Armia, Popioły

I zatrąbił anioł trzeci

i spadła z nieba wielka gwiazda, gorejąca jak pochodnia

i upadła na trzecią część rzek i na źródła wód;

a gwiazda ma imię: Piołun.

i trzecia część wód zmieniła się w piołun

i wielu ludzi pomarło od wód, gdyż stały się gorzkie.

Objawienie św. Jana Apostoła (8, 10–11)

(w przekł. J. Wujka)

I

Z salonu fryzjerskiego wylewał się na ulicę strumień farb. Spływał pod latarnię,

formując wokół słupa barwną kałużę. Tłuste pigmenty lśniły oleiście w słońcu. Drzwi

wyglądały jak rana u operowanego pacjenta, jednak dla większości mieszkańców

Miasta Popiołów był to widok zwyczajny. Lokal na parterze kamienicy na rogu Tę-

czowej i Krwistej znany był od kilku pokoleń. Dobrze znano również osobliwe zwy-

czaje, jakie wiązały się z jego użytkowaniem: zabiegi w salonie stanowiły rodzaj rytua-

alu, a im więcej kolorowych ścieków, tym lepiej: ulica była od tego, by je przyjmować.

Właściciel – Hermann von Plata, mistrz fryzjerski oraz artysta perukarski, jeden z najbardziej cenionych w Mieście Popiołów wirtuozów grzebienia, nożyczek i brzytwy – zwykł z dumą wypuszczać barwne strugi przez drzwi swego zakładu. I nikt nie myślał robić mu z tego powodu wymówek, wszak byłoby to igraniem z tradycją, która miała swoje prawa. Zresztą później z reguły i tak przychodził deszcz, który zmywał wszystko do ściekowych studzienek.

Właśnie teraz, jak niemal zawsze o tej porze i w tym miejscu, Hermann von Plata oddawał się pracy. Nie żałował pigmentów wylewanych na upierzenie klienta, który siedział z półprzymkniętymi oczami w czeluściach bordowego fotela, zatopiony w nim niczym owoc w galarecie. Daleki był od śmierci, choć pogrążony w przyjemnym bezruchu. Wiedział, że w rękach balwierskiego mistrza staje się swoistym dziełem sztuki: fryzjerską martwą naturą. Chwilowa zmiana statusu: letarg drapieżnika, odpoczynek po walce i przed walką – senna sjesta dumnego rycerza ringu. Odchylona głowa, nieruchome skrzydłonie spoczywające na specjalnych podpórkach, umięśniony tors wyprężony pod fryzjerskim ręcznikiem – sam Feniks, legendarny zapaśnik Ligi Śmierci, poddawał się zabiegom upiększającym przed jutrzejszym pojedynkiem. Przechodząca obok zakładu striptizerka Szpulka zerknęła przez szybę. Na wystawie stały woskowe głowy służące do ekspozycji peruk. Fryzjer był zadowolony, bo Feniks zgodził się jeszcze przed farbowaniem – poprzedzonym cięciem i trymowaniem upierzenia – odstąpić za darmo garść swoich piór; będą mogły posłużyć do wyrobu szlachetnych perupiószy. Wielu w Mieście Popiołów marzyło o posiadaniu takiej ozdoby. Autograf na plakacie i certyfikat podpisany własnym szponem przez sławnego zapaśnika miały uwiarygodnić pochodzenie „produktu”, choć Hermann von Plata nie użyłby nigdy tak plebejskiego słowa – perupiósze były w jego mniemaniu dziełami sztuki co najmniej takimi jak dzieła sztuki jubilerskiej. W istocie cacka z domieszką opierzenia sławnych person osiągały w Mieście Popiołów ceny porównywalne z jubilerskimi precjozami.

Szпульka skręciła obok latarni, nie zauważywszy, że ubrudziła sobie obcas farbą. Oddalała się, mając w pamięci wystawę z perukami. Z daleka ekspozycja wyglądała jak stół rzeźnika – ustawione w rzędzie, odrąbane tasakiem łby. Dręczył ją koszmar, że kiedyś na wystawie ujrzy własną głowę.

Mistrz ringu odpoczywał tymczasem, oddany zabiegom mistrza fryzjerskiego, wolny od takich skojarzeń.

Stroszenie piór, malowanie twarzy – charakterzatorski teatr wojennych barw. Myślał o striptizerce Szpulce. Chadzał na jej występy, miał rezerwację na najbliższy spektakl – za sześć dni. Było coś uzależniającego w jej tańcu, zdumiewająca sztuka obrotów, gdy dziewczyna zamieniała ciało w wirujące wrzeciono. Powstawała wtedy smuga ruchu, ledwo uchwytna dla wzroku. Stąd brał się jej pseudonim. Szpulka kręciła się, maskując swoją nagość, zupełnie goła, lecz wizualnie nieuchwytna – wirowała w tańcu z niewiarygodną szybkością, na granicy postrzegania. Ten zamazany obraz był niczym woal, dyskretne dessous; gdyby się zatrzymała, stałaby się ordynarnie naga. Jak radziła sobie z równowagą, jak oszukiwała błędnie, jak zwalczała nudności i zawroty głowy, pozostawało tajemnicą. Za występ brała dużo, słyszał, że tyle, ile on za walkę. Choć mogły to być plotki.

Balwierz skończył farbowanie i przystąpił do szlifowania dzioba. Zrosnięta z

nosem twarda narośl musiała być nieskazitelnie czarna i lśniąca podczas walki. A to już jutro wieczorem. Feniks niemal słyszał, jak rozbrzmiewa mosiężny gong. O wynik był spokojny, jak zawsze. Nigdy dotąd nie przegrał, był poza konkurencją. Ten nowy zawodnik, jak mu tam – Ptakolec? – nie będzie wyjątkiem, zresztą nie legitymował się spektakularnymi osiągnięciami. Feniks czytał jego charakterystykę, znał bilans walk. Miał świeże raporty od trenera, choć niewiele z nich pamiętał – jakieś ogólniki, że trudny charakter, że postać tajemnicza, przybył do Miasta Popiołów nie wiadomo skąd, miał kłopoty z pamięcią, podejrzenie amnezji, jednak przez psychiatrów został w końcu dopuszczony do walk... Cóż go to tak naprawdę obchodziło? Jedyna różnica, że Ptakolec nie wierzał w media, nie odgrażał się, że dokona zmiany starego porządku, obali króla i tak dalej. Nie, Ptakolec był skromny. Dziennikarzom powiedział krótko: „Wygram”. Chwalebny minimalizm, trzeba przyznać. Nawet tym trochę Feniksowi zaimponował. „Niech się młodzież uczy pokory”, uśmiechnął się, czując, jak fryzjer lakieruje mu nasadę nosodzioba.

Następnie odpłynął myślami do klubu tanecznego i odtwarzał z pamięci ostatni występ Szpulki. Tylko czasami, w marzeniach (bo inaczej by nie śmiał) Feniks zatrzymywał ją w tańcu i oglądał naga. Jak teraz, gdy był pogrążony w senno-erotycznym otępieniu, a farby płynęły przez drzwi zakładu fryzjerskiego niczym ejakulat jego mokrych snów.

* * *

Dzień przed zawodami klatki czyszczono z resztek zeschłej krwi, odchodów i strzępów pierza. Nie było to łatwe, gdyż organiczne pozostałości przylegały do krat i nie dawały się usunąć jednym zamaszystym ruchem, jak brud z płaskiej powierzchni. Nie, one wymagały wprost drobiazgowego czyszczenia – pręt po pręcie, aż cała konstrukcja woliery nad ringiem zaczynała odzyskiwać blask; następnie, już po wyczyszczeniu, polerowano ją specjalnymi smarami, które dodatkowo roznosiły woń zwiędłych kwiatów, tak lubianą przez mieszkańców Miasta Popiołów. Teraz wolierya przeżyła się dumnie, choć jeszcze przygasła, pośrodku hali sportowej. Sprzątacze okrążali klatkę i wlatywali do środka – dzierżąc w dziobach narzędzia oraz środki czyszczące. Wspomagali się przerośniętymi skrzydłami, które umożliwiały im utrzymywanie się w powietrzu, dopóki chwytnie łapy nie zakotwiczą na kratkach. I to też była walka – z oporem materii. Praca w której liczyła się precyzja, usunięcie każdego strzępu pierza, zakrzepłego guana lub zaschłej krwi.

Na przemian wlatujący i opadający, a potem uczepieni krat czyściciele spełniali swój święty obowiązek: doprowadzali wolieryę do doskonałego stanu, by kolejny wieczór walk mógł się odbyć w należytej oprawie. Bo gdy publiczność już zasiądzie i zgasną światła, wtedy punktowe reflektory zwrócą się w stronę ringu, a ich blask wydobędzie z mroku efekt pracy czyścicieli: błyszczącą jak srebro klatkę. Światło odbije się od niemal lustrzanej konstrukcji, a woń zwiędłych kwiatów popłynie ze specjalnych dozowników, by wdychający ją widzowie mieli przedsmak uczestnictwa w sportowym misterium.

Trupi zegar na ścianie odmierza czas. Zabalsamowane i usztywnione zwłoki zawodników, umieszczone w wielkich wskazówkach, służą za memento i symbol trwania. Denaci spoczywający w konstrukcjach kratownicowych są martwymi świadkami chwil, których nie doczekali – zginęli podczas walki, zgodnie ze swym sportowym przeznaczeniem. Ten rodzaj śmierci był ceniony najwyżej, a spoczęcie na powierzchni trupiego zegara stanowiło największy honor dla zawodnika Ligi Śmierci. Odtąd mogli okrążać cyferblat wywyższeni, gdyż czas się już ich nie imał... Najwyżej punktowanych umieszczano we wskazówce godzinowej; niższych rangą w minutowej;

ci z samego dołu tabeli trafiali do sekundowej, która, jako najdłuższa, mogła pomieścić większą liczbę zawodników. Czyściciele z zazdrością zerkali na trupie preparaty wi-
doczne na tle wielkiej tarczy zegarowej – uwięzieni w kratownicach, martwi zawodnicy
wydawali się paradoksalnie wolni, gdyż uwieczniono ich w chwale; chwale, której nikt
już im nie odbierze. Byli jak fragment dzieła sztuki lub element wyposażenia ołtarza. Śmierć stanowiła dla nich wyzwolenie i wielki honor, a pamięć żyjących petryfikowała
ów stan. Tymczasem czyściciele wykonywali – i będą wykonywać po kres swoich dni –
pracę niższą, służebną, aby przeżyć moment małej chwały, gdy zabrmi gong, a im
jako pracownikom technicznym dane będzie spoglądać na misterium walki.

Na razie jednak trwały żmudne prace – przeglądanie każdego kwadratu klatki,
lustrowanie prętów i spojeń, by żadne zabrudzenie nie zostało przeoczone. W ruch szły
szmatki i płyny czyszczące przechowywane w ozdobnych flakonach, a później pasty do
polerowania i nablyszczacze o dusznej woni zwiędłych kwiatów. Woń świeżych płat-
ków i kielichów byłaby nietaktem, choć nadal słyszało się o prostakach gustujących w
takich pachnidłach; byli to głównie członkowie plebsu, mieszkańcy dzielnic nędzy.
Podobno używali nawet perfum o aromacie świeżych owoców. Czyściciele nie posia-
dali się z oburzenia na myśl o tym, nie było bowiem nic piękniejszego i szlachetniej-
szego od zapachu kwiatnych wspomnień. Słodka i duszna woń rozkładu, która towa-
rzyszyła ich pracy, wieńczyła dzieło, rozpylana dodatkowo podczas walk.

Poza furkotem skrzydłoni i klapaniem dziobów w hali sportowej było cicho. Ta
cisza zapowiadała już jednak – poprzez nieubłagane upływający czas, odmierzany
trupimi wskazówkami – jutrzejszy wieczór, gdy rozlegnie się gong, a do klatki zaczną
podfruć kolejni zawodnicy, by zewrzeć się w śmiertelnym uścisku skrzydłoni,
szponów i dziobów.

* * *

Jaskółczy Zaulek był miejscem zakazanych uciech. Zwano go tak, gdyż umożli-
wiał zaspokajanie niskich potrzeb, a jaskółki, jak wiadomo, latają nisko. Co prawda nie
widywano ich tu wcale, jednak moc prostego skojarzenia była silniejsza i nazwa się
przyjęła. Spacerujące wokół latarń drozdonki, perliczki czy pawiaraki, choć wywodziły
się z ubogich dzielnic, były w rzeczywistości luksusowymi kurtyzanami, na specjalne
życzenie klientów przebranymi za ulicznice. Elity lubiły się upadlać, czuć dreszczyk
chodzenia do tanich dzielnic pełnych spelunek, a że były zbyt tchórzliwe, aby ryzyko-
wać prawdziwe wyprawy poza swoją dzielnicę, organizowano dla nich ten teatr.

Wszystko było jak trzeba: śmieci na chodnikach, blade latarnie, kałuże, odgłosy pija-
tyk, a do tego dziwki wyglądające jak portowe kurwy, o prostych manierach i języku.

W ten sposób tokujący członkowie patrycjatu – podstarzałe ptasiory i nieopierzone
młodziki – mogli zaspokajać swe wyuzdane fantazje, nie ryzykując utraty zdrowia lub
życia poza własną dzielnicą.

Cechą charakterystyczną tego miejsca był również zapach. Swoista mieszanka
potu, resztek jedzenia i tanich pachnidła. prostytutki używały perfum ze świeżych
kwiatów – co było wyjątkowo ordynarne i w złym guście, jednak dodatkowo podnie-
cało subtelnych i wykwinnych patrycjuszów. Tak pachniała tania miłość, więc rzucali
się w jej wir, czerpiąc wrażenia multizmysłowo.

Na wszelki wypadek Zaulek był lustrowany przez policję, oczywiście nienachalnie, o żadnym monitoringu nie mogło być mowy (w całej zabawie chodziło o dyskrecję); jednak dla bezpieczeństwa posyłano informatorów. Jednym z nich był Sępiołun, zwany krótko Sępiołem. Chude, tyczkowate sępisko przesiadujące w burdelach, ubrane w szary prochowiec i kapelusz z piórkim, oczywiście z własnego skrzydła. Siedział przy barze, sączył gin (choć wolałby absynt) i znudzonym wzrokiem obserwował te same od lat zachowania klientów. Grzech i upadek są bardzo powtarzalne, myślał sentencjonalnie, bo nie miał wiele do roboty, a napatrzył się dość i nic już nie mogło go zdziwić. Te same gesty, pozy, odzywki, śmiechy, kroki – przychodzą i odchodzą jak fale, choć trzeba przyznać, że od kilku lat przybywało amatorów obleśnych amatorów, jak nazywał ich na własny użytek. Klienci się nie zmieniali, co nieco dziwiło Sępioła, który pracował tu już dobrą dekadę. Jakby zahamowano dopływ świeżej krwi, albo – co mniej prawdopodobne – młode pokolenie patrycjuszy było wysoce moralne. Sępioł czasami opuszczał lokal i przechadzał się po okolicy. Zataczał krąg, spacerując znanymi sobie trasami i skrótami, czasami dojrzał coś dziwnego, co zapamiętywał albo nawet zapisywał w notatniku. Jego raporty nie mogły się zawsze składać z frazy: „Nic się nie działo”. Każda drobna różnica, odstępstwo, nietypowe zachowanie mogły mieć wartość dla policji, a to za ich dostrzeżenie przecież mu płacono.

Tej nocy, poprzedzającej dzień kolejnego pojedynku Feniksa (tym razem z

Ptakolcem, jakimś skrytym i mało ciekawym zawodnikiem – Sępioł interesował się walkami Ligi Śmierci), siedł jedną z uliczek prowadzących do Jaskółczego Zaułka. I

wtedy coś zauważył. Na chodniku leżała ptasica. Cyranka lub kukulka, nie widać było dokładnie, bo między jej rozwalonymi nogami leżał klient, przykrywając ją jak worek.

Falbany zadartej spódnicy błyszcząły niczym pąk krwawego kwiatu.

Czyżby robili to na chodniku? Rzadki widok, zwłaszcza że zimno... Sępioł podszedł bliżej, niby przechodząc na drugą stronę. Nie chciał ich spłoszyć, choć wydawali się nieruchomi. Pewnie zasnęli pijani, wszak chłanie na umór było wręcz rytualnym zachowaniem bogatych klientów i ich „towarków”. Alkohol też musiał być podły, by czuli się autentycznie, więc tani gin lał się strumieniami, a jego jałowcowa woń niesła się po okolicy, wzbudzając mdłości.

Pochylony nad parą Sępioł poczuł ten odór. Śpią pijani, starał się uspokoić, jednak coś nie pasowało. Po pierwsze, oprócz ginu było czuć coś jeszcze. Nie wymioty.

Po drugie, czerwień halki i falban nie wydawała się barwą materiału. No i ciecz pod butami nie wyglądała na zwykłą kałużę. Sępioł schylił głowę – i wtedy opuściły go wątpliwości.

Na szyi mężczyzny zobaczył siną pręgę: podcięte gardło.

Mord...?! Pytanie było retoryczne, bo wszystko wskazywało na to, że oto w bezpiecznej dzielnicy, gdzie dziwki-aktorki grają zakazany teatr dla patrycjuszy, doszło do najgorszego.

Sępiołun pognał czym prędzej do lokalu, zatelefonować na policję.

* * *

Miejska legenda – dopóki Feniks wygrywa, dopóki Szpulka się kręci, Miasto będzie trwać. Miejska piosenka, uliczna przyśpiewka o żywym herosie i ziemskiej bogini, łączącej lubieżność ze skromnością, kobiecie doskonałej poprzez swój dziwny status: zawieszenie pomiędzy Dziewicą a Dziwką. Nocna tancerka, starożytna hetera, a jednocześnie Venus pudica, skromna niczym mniszka, dyskretna jak wiktoriańska dama. Jak ona potrafi to łączyć, jak mieści w sobie te przeciwieństwa – to zagadka

egzystencjalna, tak jak zagadką jest niepojęta technika jej tańca.

Nie wiedzą jeszcze o tym, bo żyją wyobcowani, pod kloszami własnej samotności, lecz ulice już o nich szepczą, wyrażając podświadome potrzeby mas; w plotkach, przesądach i powiedzeniach już są łączeni, jakby ludowa mądrość znalazła symetrię, tajemną analogię pomiędzy nią a nim. Szpulka i Feniks. Nic i Popiół. Powtarzające się zmartwychwstania i wieczny ruch: dwie zasady, dwa żywioły, nowe fundamenty dla zmniejszonej świadomości elit, traktujących to w kategoriach sportu i rozrywki. Lecz doły już wiedzą, tworzą sobie bogów, śpiewają pieśni, kolekcjonują zdjęcia i artefakty, od-ciski szponów i kawałki sukni. Tu był, tamtędy przeszła, sława nosząca znamiona kultu, uskrzydłona marzeniem, coraz bardziej żywa wśród tych, którzy nigdy się z nimi nie zetkną, bo segregacja dzielnic jest w Mieście Popiołów zasadą świętą. Tam gdzie Feniks i Szpulka żyją jako celebryci o statusie półbogów, ich cielesna obecność nie zmanifestuje się tak jak wśród patrycjuszy, traktujących ich z szacunkiem, lecz z góry.

Elity mają inne bóstwa. Wdychają narkotyk zwany Prochem; po prostu Pro-chem, bez przydomków, jak Bóg niepotrzebujący imienia. Ów biały pył jest dla patrycjatu używką kultową, jego pierwsze zażycie to rytuał przejścia. Wierzą, że odradzają się dzięki porcjom Prochu, a Diler-Kapłan strzeże jego zapasów w świątyni obok siedziby wysokiego Ptakonium. Legenda głosi, że Proch to popiół z mitycznego Feniksa – żywej repliki stworzonej w epoce genetycznych szaleństw, gdy na fali nawrotu do antyku usiłowano odtwarzać świat starożytny. Firmy genetyczne zajmowały się tworzeniem sfinksów, chimery, pegazów, faunów i centaurów, mieszając genom ludzki ze zwierzęcym, co odpowiadało prawidłom wyobraźni potrafiącej jedynie zlepić elementy znanego, by powstawało nieznanne. Po tej epoce nie było już śladu, lecz pozostały bioarcheologiczne cacka: kawałek skrzydła Pegaza, węzowy skalp Meduzy, kwiat z uschniętym mózgiem Narcyza... W Mieście Popiołów najcenniejszy był jednak popiół po nieudanym eksperymencie z Feniksem. Stanowił artefakt założycielski Miasta, był sensem jego istnienia.

Proch miał cudowną właściwość: zapewniał swoistą nieśmiertelność członkom patrycjatu. Dzięki temu elity mogły rotować wewnętrznie, niezagrożone wymianą podgryzających je następców-prezydentów. Było to trwanie cykli w cyklach. Każdy musiał się starzeć, lecz po zażyciu Prochu cofał się o jeden cykl, a tym samym jakby się odradzał. Specyfik potrafił zatrzymać życie, zapętlić proces starzenia, rozbrajając bombę śmierci. Małe zmartwychwstania, cykliczne powroty do punktu wyjścia, dzięki czemu życie trwało, powtarzane w sekwencjach, choć świat wokół się zmieniał.

Podobno zapas Prochu był na wyczerpaniu. Dwie dekady temu postanowiono zamknąć krąg władzy. Elity zaprzestały replikowania. Byli tylko oni – wąska grupa wybranych, dzięki narkotykowi właściwie nieśmiertelnych, nierozmnażających się nawet we własnym gronie – wszystko po to, by Prochu starczyło na dłużej.

Lecz kiedyś zapas się skończy. Co wówczas? Zaczną losować i mordować samych siebie? Musieli zadawać sobie te pytania, jednak póki można, bawili się hucznie, korzystając z dostępnych uroków zatrzymanego życia – nakręcanego wciąż od nowa jak staroświecki zegarek. Etap po etapie. Cykl po cyklu. Sport i rozrywka miały wypełniać życie znudzonych elit.

Może dlatego byli ślepi i głusi na nowe zjawiska, zwłaszcza prądy religijne, elektryzujące dolne warstwy społeczeństwa żyjące w dzielnicach nędzy.

* * *

Ptakurator Falconi, szczupły i wysportowany sokół, siedział nad teczką śledztwa w sprawie zagadkowej śmierci w Jaskółczym Zaułku. Przeglądał wykaz dowodów rze-

czowych. Właśnie dostał odczyt charakterystyki pierza znalezionej na miejscu zbrodni. W laboratorium określono jego kod; nie należał ani do prostytutki, ani do podstarzałego puchacza, który zginął między jej odnóżami tamtej pamiętnej nocy, gdy spanikowany Sępioł zaalarmował posterunek, a oni oczywiście ściągnęli telefonicznie śpiącego ptakuratora. Jeden z tych przypadków, gdy nie zważając na porę, trzeba się zwlec z miejsca spoczynku i gnać do czynności służbowych. Bo trup to trup, a już dwa trupy...

Strzępy pierza mogły stanowić najważniejszy dowód. Były to przypuszczalnie ślady sprawcy. A przynajmniej kogoś, kogo można postawić w kręgu podejrzeń – i skierować nań lampę śledztwa. Falconi nie miał co do tego wątpliwości. Ptakuratura posiadała pewien cenny rejestr: dysponowała zeskanowanymi sekwencjami kodów wszystkich legalnych mieszkańców dzielnicy patrycjatu. Odczyty zbierano dobrowolnie, jednak nikt nie odmawiał, bo grunt to bezpieczeństwo klasy rządzącej. Ułatwiała to znacznie pracę śledczych, wystarczyło uruchomić program porównawczy na maszynie komparatystycznej i zaczekać na wynik.

Tak też Falconi postąpił. Wielki gruchot pod ścianą gabinetu zaczął sprawdzać nie płytek.

Ptakurator oglądał zdjęcia denatów, podczas gdy maszyna burczała, robiąc analizę. Falconi czekał cierpliwie. Był ciekaw, czy w tak prosty sposób uda się naprowadzić śledztwo na właściwy tor. Magia dowodów rzeczowych – małych, niemal niewidzialnych zdrajców sprawy.

Kawałki pierza zostały znalezione za szponami cyranki, jakby się broniła. Co prawda mógł to być ślad po poprzednim kliencie, który za bardzo ją przycisnął, lecz jak w takim razie wytłumaczyć obecność tych samych paprochów za szponami puchacza? I, co więcej, w jego rozciętej krtani? Ba, co nieco leżało nawet na chodniku, obok ich zespolonych zwłok.

Prask!, maszyna wylała zbieżność płytek.

Mechanizm się zatrzymał, co znaczyło, że wśród kilkunastu tysięcy matryc genetycznych ta należąca do podejrzanego znajdowała się prawie na początku. Szczęśliwy traf!

Falconi przetarł dziób chusteczką (noce były zimne, lecz w ciągu dnia panowała duchota) i zerknął na wynik. Zdziwił się bardzo, choć w swojej pracy niczemu nie powinien się dziwić. Będzie afera, pomyślał. I zaraz spróbował się pocieszyć: trudno, Miasto Popiołów jakoś przetrwa ten szok; nie takie rzeczy przetrwało.

Dla porządku uruchomił maszynę ponownie. Ryzyko pomyłki było jednak bardzo niskie. Nie należało zwlekać z dalszymi czynnościami.

Falconi przystąpił do pisania postanowienia o przedstawieniu zarzutów i nakazu rewizji. Jeszcze dziś zaczął go śledzić, by się nie wymknął, a jutro oficjalnie go przesłucham, zdecydował.

Maszyna do pisania stuknęła pod jego szponami suchym staccato, a ptakurator starał się uspokoić myśli. Płaszcz rutyny to za mało przy oskarżaniu kogoś o takim statusie. Co na to powiedzą członkowie Ptakonium?

Cholera, pomyślał, po tym nic już nie będzie takie samo...

Główną walkę wieczoru poprzedziły, jak zawsze, pojedynki mniej utytułowanych zawodników. W Lidze Śmierci obowiązywała hierarchia i każdy adept musiał ją zaakceptować. Zanim zostanie gwiazdą, będzie musiał wziąć, i to nie jeden raz, udział

w walce poprzedzającej właściwy spektakl. Wiadomo było też, że im większa ranga pojedynku gwiazd, tym znaczniejsi wojownicy idą na rozgrzewkę, żaden to bowiem despekt występować przed silniejszymi. A już zwłaszcza przed żywą legendą, jaką był Feniks – niepokonany w stu dziewięćdziesięciu dziewięciu walkach, król ringu od ponad dwóch dekad, właściwie Nadzawodnik, a dla wielu wręcz uosobienie Miasta Popiołów.

* * *

Dlaczego byli ptakami? Stanowili genetyczne echo eksperymentów z epoki proteomicznych szaleństw inżynierów molekularnych. Mieli być udoskonaloną wersją człowieka, homo avis sapiens, marzeniem ewolucjonistów o rasie inteligentnych małp-ptaków, które mogłyby przewyższyć na drabinie ewolucji ludzi spętanych ciężarem grawitacji. Po wielu próbach i błędach udało się wyselekcjonować hybrydalną odmianę, z lekkimi kośćmi i pierzem porastającym nowy organ – połączenie skrzydeł i rąk, zwane skrzydłołmi.

Przetrwali jako elitarna populacja, lecz z czasem zaczęli się rozwarstwiać – dolne klasy uległy degeneracji. Na podziały gatunkowo-biologiczne nałożyły się rozwarstwienia społeczne. I po bardzo długim czasie, gdy ludzkość istniała już tylko w ostatnich enklawach-miastach, w hybrydalnych formach lepiej lub gorzej przystosowanych do wciąż pogarszających się warunków naturalnych populacji – ptakoludzie utworzyli jedno z ostatnich miast na starej Ziemi, funkcjonujące na poziomie technicznym z początków XX wieku cywilizacji euro-atlantyckiej (z kilkoma odmiennosciami wynikającymi z postcywilizacyjnych uwarunkowań). Tak przynajmniej utrzymywali historycy odtwarzający przeszłość na zlecenie wysokiego Ptakonium – rady Miasta Popiołów.

Trwali więc, pogrążeni we własnych wyobrażeniach o świecie i o roli, jaką mieli w nim odegrać. Nie interesował ich pustynny, radioaktywny świat poza murami. Stanowili swoistą autarkię. Elity uzależnione od Prochu, kult Feniksa – wszystko stało się zbiorową halucynacją, która paradoksalnie utrzymywała miasto przy życiu, choć wszystko było już przesiąknięte dekadencją, co najpełniej objawiało się w modzie, zwyczajach, strojach, zapachach, zamiłowaniu do estetyki rozkładu i gnicia. Jakby Miasto żerowało na własnej padlinie, wydziobując sobie wnętrzności od środka. Ptak-wąż zjadający własny ogon. Skrzydlaty Feniks-Uroboros. Aż czas zatoczy koło i zamknie się cykl, a z popiołów, jakie po nim zostaną, nie narodzi się nowy Feniks – mityczny ptak, siłą wskrzeszony do sztucznego życia.

* * *

Są. Wiszą u samej góry – i wyczekują. Ptasie ślepią świdrują się nawzajem, zawodnicy trwają w napięciu, gotowi do lotu, ponaglani przez publikę, która domaga się krwi i pierza...

Gong rozległ się dobrą minutę temu. Sekundowa wskazówka na trupim zegarze zatoczyła koło. Zawsze jeden z zegarów był używany jako stoper podczas zawodów.

A oni wciąż trwają, za nic mając ruch wskazówki.

Prask!, tęczyowy Koko Buszak wali w klatkę skrzydłem. Konstrukcja się trzęsie, dzwoni metalicznie.

Prask! Prask!, odpowiada przeciwnik, czarny Corvax Cruz. Jego smolista skrzydłoł jeszcze bardziej kołysze wolierą.

W końcu rzucają się na siebie przy aplauzie publiki. Pierwsze starcie jest typowo ptasie – dwa skrzydlate drapieżniki zwierają się pod górną kratą: skrzek, wizg,

furkot. W ruch idą dzioby. Lecą pióra, tryska krew...

Zawodnicy odskakują, spadając majestatycznie na ring. Teraz grawitacja zmienia obraz walki. Zanim wleczą – powalczą jak zapaśnicy. Starcie. Buszak pcha Cruza na liny, wałą w kratę; po chwili Corvax odpycha kolorowego przeciwnika i rzuca się na niego, lekko wzlatując z rozpostartym płaszczem czarnych skrzydeł. Błyskają szpony, specjalnie pomalowane na srebrno (mają przypominać haki). Publiczność wstrzymuje oddech. Jednak Koko imponuje swoją sprawnością jeszcze bardziej niż Cruz: rozpociera błękitno-zielone skrzydła i koziołkuje w powietrzu, unikając ataku czarnego ptasiora, jak nazywają go kibice.

Starcie jest nierozstrzygnięte, walka trwa.

Widownia domaga się krwi, a ta buzuje w żyłach zawodników, pompowana przez serca w opierzonych piersiach. Pulsuje też na widowni, publiczność jest jakby zamknięta we wspólnym krwiobiegu, zespolona zbiorową emocją, sportowym szałem. Adrenalina wydziela się i w ringu, i poza nim – niczym w naczyniach połączonych – a emocje na widowni rosną, osiągając szczyt, gdy wojownicy wzlatują nisko nad matą, zadziornie szarpiąc się nawzajem.

Nagle Cruz wykonuje niesamowity piruet. Przewrót w tył, w powietrzu. Staje na skrzydłoniach i tak oparty srebrnymi szponami odnóży chwyta Buszaka za szyję. Szpony zaciskają się wokół grdyki. Koko jednak nie śpi, zna moc swoich mięśni. W odwecie czyni rzecz wręcz niewykonalną – wzlatuje na dwa metry, z ciężkim przeciwnikiem uczeponym karku, ryzykując rozdarcie gardła. Totalnie zaskakuje tym Corvaxa. A gdy są w powietrzu, Cruz jako balast musi kontratakować, inaczej Koko rzuci go na kraty. Podciąga się więc, puszcza szyję Buszaka, lecz chcąc się wyswobodzić, robi niewybaczalny błąd, bo oto nagle Koko chwyta go za nogi, unieruchamia, rozluźnia mięśnie swoich skrzydeł – i wałą się na ring. Corvax spada przygnieciony ciężarem rywala.

Prask!, upadek z ponad dwóch metrów niemal odbiera Cruzowi przytomność.

Ale to nie koniec, tęczy zawodnik idzie za ciosem, kuje żelazo póki gorące, i gdy czarny ptasior leży oszołomiony, on wzlatuje na wysokość woliery, po czym tuż spod dachu klatki przypuszcza atak. Celuje dziobem prosto w nagi kark przeciwnika – i wbija się w niego z impetem, wykonując perfekcyjny „skokolot”.

I już jest po Corvaksie.

Część publiczności wyje, zachwycona, druga część wstrzymuje oddech lub zawodzi smętnie na znak niezadowolenia. Pewnie przegrali w zakładach bukmacherskich.

Koko rozpociera tęczy skrzydła amazońskiego wzoru, błyskają flesze. Rozlega się jego temat muzyczny: indiańska muzyka bębnow i fletni Pana. Sędzia przy stoliku dzwonkiem oznajmia koniec walki. Rywal leży pokonany, zdruzgotany, zabity.

„Piękne zwycięstwo, sam Corvax Cruz wysłany do wieczności”, mówi spiker. „O to właśnie chodzi w Lidze Śmierci”, dodaje drugi. Zgadają się, że dzisiejszy zwycięzca zajdzie wysoko i wielka przed nim kariera. No, ale obaj byli w końcu zawodnikami ze ścisłej czołówki.

Koko nachyla się nad przeciwnikiem i odwraca go twarzą ku lampom. Publiczność skanduje: „Tak, tak, tak!”, Buszak udaje, że nie słyszy, przykłada skrzydła do

ucha, kokietuje widownię żądną ostatniego, mocnego akcentu, uświęconego tradycją walk Ligi Śmierci. Skandowanie się wzmaga. Koko uśmiecha się, gładzi łagodnie włosy Corvaxa Cruza, a następnie wydziobuje mu oczy.

* * *

Lampowe radio w domu Szpulki transmituje dzisiejszą walkę. Tancerka chodzi po pokoju nago, robiąc drobne porządki. Później zaparza niebieską herbatę w imbryku, zapach wodorostów roznosi się wśród mebli i bibelotów. Przypomina jej się bajka z dzieciństwa, sama nie wie dlaczego, może przez ten zapach? Pierwsze zdanie: „Ciało Ptasiego Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy”. To o mnie i o nim, myśli Szpulka. Początek smutnej bajki, którą opowiada się w Mieście Popiołów dzieciom jako swoisty wstęp do melancholii i dekadencji dorosłego życia. Spiker mówi coś podniesionym głosem, tancerka zastyga w napięciu. Zaraz się zacznie. Opary herbaty unoszą się jak dym czarodziejskiego kadzidła. Szpulka słucha, stając się – wraz z tysiącami innych mieszkańców, którzy nie będą oglądali walki z bliska – zbiorowym uchem.

* * *

Koko Buszak wciąż tańczy, oddalając się w stronę szatni. Lecz dla widowni ważniejsza jest najbliższa przyszłość. Niedawne emocje, choć gorące, wydają się letnie w porównaniu z tym, co nastąpi. Gdy tylko porządkowi uprzątną klatkę, zetrą matę, sprawdzą ponownie ring, zapadnie ciemność, po której zabrzmie największy gong, i mosiężne tony popłyną przez widownię, zapowiadając występ tego, który jest uosobieniem Miasta Popiołów.

Bo tak naprawdę wszyscy przyszli tutaj, aby przekonać się, że nic się nie zmieni.

Dopóki Feniks wygrywa, Miasto Popiołów trwa. Odradza się wraz z nim, z każdym zwycięstwem, zgodnie z wyćwiczoną taktyką mistrza, który zawsze pod koniec jakby słabnie, ma chwilę gorszej formy, nieraz leży już na deskach, lecz to tylko trik, bo zawsze podnosi się, wzlatuje i ku przerażeniu zdyszanego rywala rozpościera skrzydłonie – już myślał, że go ma, że dokonał niemożliwego, lecz nie, Feniks powstaje jak zmartwychwstały duch Miasta i w imieniu jego mieszkańców zaczyna nacierać. Kil-

koma chwytami i ciosami masakruje przeciwnika, doprowadzając walkę do definitywnego finału. To on jest bowiem Zegarmistrzem Śmierci i ma przywilej wysyłania innych do wieczności, nigdy odwrotnie. Pozornie pokonany, zawsze sam z siebie się odradza, poza życiem i śmiercią, jakby zyskiwał nowe życia z każdą wygraną walką.

Walka to jego popiół i odrodzenie. Drzemie w nim moc ognia. Choćby Miasto gasło – wraz z Feniksem zapłonie na nowo, bo mistrz udzieli mu swego żaru.

Więc gdy Buszak odtńczył już swój triumf, a ciało Corvaxa Cruza odwieziono do kostnicy, gdzie będzie nocą balsamowane, po kwadransie dla służb technicznych zapadła ciemność i na tle niesłyszalnego bicia tysięcy ptakoludzkich serc zabiło miedziane serce gongu.

* * *

Zanim rozpocznie się walka – już wie. Lustra odbijają jego dumną postać, lśnią skrzydła pokryte złocistym pyłem. Teraz nazywa się inaczej, lecz gdy zwycięży, stanie się El Dorado, Pozłacany Królem.

Wiedział już tej nocy, gdy potajemnie czekał na tyłach zakładu fryzjerskiego, między śmietnikami, do których pomocnicy wysypywali pióra. Ich strzępki unosiły się w blasku gazowej latarni jak płatki śniegu albo zarodniki pylącego drzewa, on jednak czekał na inny towar, pragnął go niczym alchemik kamienia filozoficznego. I otrzymał – całą siatkę. Trzeba jeszcze było coś zrobić, ale na to miał całą noc, której nie zmarnuje na sen. Nie potrzebował go wiele, dośpi w dzień. Był ptakiem nocy.

Więc czekał, czując wewnętrzną siłę i pewność czerpaną ze skradzionego sekretu.

Trzeba wyjść na ring tylko po to, by potwierdziła się wizja potęgi i chwały. Zło-

cisty pył na tłustych piórach będzie błyszczał w świetle lamp, przyciągając wzrok i odwracając uwagę od czegoś innego, ważniejszego. Tak go zapamiętają, tak wejdzie do Ligi Śmierci: czarno-złoty wojownik, który dokona niemożliwego.

Lustra odbijały go w pełnym podziw, szklanym milczeniu.

Wyjął flakonik z silną esencją zwiędłych tuberoz i czegoś jeszcze – wciągnął aromat w nozdrza. Następnie wylał sobie wszystko na czerep, czując, jak owiewa go słodko-mdlący smród. Uwielbiał zapach rozkładu. Kwietna padlina, czyż może być coś piękniejszego?

Usłyszał gong, wszedł impresario – zaczynała się walka.

Szpulka bywała już na pojedynkach, widywała Feniksa na żywo, więc jej wyobraźnia bez trudu wyświetlała ring, a w nim walczących zawodników. Po wejściu, odegraniu tematów muzycznych, reakcjach publiczności, plastycznym opisie wyglądu zawodników przez komentatora zaczął się szybki, rwany komentarz spikera radiowego. W tle doping publiki, odgłosy uderzeń i metaliczny brzęk klatki, słyszalny dzięki zainstalowanym w pobliżu mikrofonom. Dynamika walki zawsze była podobna, w przedostatnim akcie Feniks słabł, bywał bliski przegranej – aby odegrać w końcu teatr odradzania się z prochów.

Szpulka piła niebieską herbatę, patrzyła w fusy i czuła podskórną, że coś się wydarzy. Spiker nagle jakby stracił rezon; musiał szukać słów. Publiczność westchnęła kilka razy, jakby mistrz pozwolił zabrnąć Ptałkowi za daleko. Dialogi komentatorów wyrażały zdziwienie. „Co robi, co on robi?”.

A Szpulka patrzyła w fusy, rozdygotana, i powtarzała jak zacięta płyta: „Ciało Ptasiego Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy... Ciało Ptasiego Króla...”.

Idą, niosąc go na specjalnych noszach. Zabalsamowany Corvax Cruz, lśniący od laminatu, z dziobem wycelowanym w niebo, przypomina kościelnego dostojnika. Ma na sobie paradny szlafrok wyszywany symbolami Ligi Śmierci, jego złożone skrzydło nie owijają go niczym miękki kokon. Zawodnicy niosą ciało Cruza w stronę zdemonstrowanej wskazówki zegara. Zegar zatrzymano specjalnie na czas pogrzebu, gdyż tak zezwala Reguła Ligi. Corvax spocznie wzdłuż wskazówki minutowej, obok dwóch innych zawodników: Lerhana Quilonga oraz Magnetycznego Joe. Jest sztywny i spreparowany, jego transport i zainstalowanie nie sprawią problemów celebansom i ich pomocnikom.

Czyściciele klatek prężą się, wypinając pierś – właśnie skończyli pracę, ostatecznie zanieczyszczenia usunięto, zmieciono pajęczyny i kurz. Wskazówka czeka, by przyjąć kolejnego pasażera. To uroczysty początek jego podróży do cyklicznej wieczności.

Odtąd zespoli się w jedno z czasem. Wszystko w Mieście Popiołów jest bowiem cyklem, kręgami na wodzie czasu.

Główny celebans wygłasza formułę pogrzebową. Kończy słowami:

– Z popiołu powstałeś, żelazem się staniesz.

Składają go we wskazówce zegara, makijaż zakrywa wczorajsze siniaki i rany.

Również oczy są na swoim miejscu – oczywiście sztuczne. Implanty błyskają złowrogo, gdy stalowe klamry zaciskają się wokół szyi, skrzydłoni, pasa i odnóży trupa. Teraz już nie spadnie. Dodatkowo jego kości zostaną znitowane z metalem; monter zabiera się do dzieła, podchodząc pod uniesioną w tym celu wskazówkę. Nitownica w jego dłoni zaczyna pracę, czyściciele spuszczaają wzrok.

Kiedy zespolenie ze wskazówką jest pełne, specjalny dźwig unosi ją ku ścianie, gdzie na rusztowaniu czekają kolejni monterzy. Cyferblat wygląda, jakby pączkował trupami. Tak Corvax Cruz kończy swoją drogę do zimnej wieczności, przymocowany na wielki wieków do wskazówki wielkiego zegara.

Kondukt pogrzebowy zaczyna się rozchodzić. Wszyscy myślą o jednym: że wczoraj wieczorem nie tylko dumny Corvax zakończył żywot. Umarło coś jeszcze. I ten drugi, niewidzialny pogrzeb w ich głowach przytłacza wszystko inne: każdą myśl, obawę i emocję. Coś się skończyło i nieprędko przestaną to przeżywać, bo całe Miasto stało się nieoczekiwanie świadkiem żałobnej ceremonii.

II

Sępiołun kręcił się pod domem podejrzanego. Znali już jego rozkład dnia, choć trudno było w nim o regularność. Obiekt potrafił siedzieć od rana do wieczora w domu, potrafił wychodzić na cały dzień i znikać na mieście. Nie było w tym żadnej logiki, konkretnego planu, jakby życie rzucało nim tu i tam. Co było w sumie zrozumiałe w sytuacji, w jakiej się znalazł, uznał Sępioł po namyśle. Siedział beczynnym na ławce, paląc papierosa, i czekał. Dom był ciemny i pusty; obiekt wyszedł i udał się w inne miejsce, pod którym wyczekiwał go drugi informator.

Będzie afera, kurwa, jak nic będzie afera, myślał Sępioł, mając na względzie osobę, którą zlecili mu obserwować.

Chętnie by się napił, lecz nie mógł. Piołunówka, jego ulubiony alkohol, od którego wzięło się jego przezwisko, była trudno dostępna. Poza tym był na służbie, więc wolał nie ryzykować i nie przytępiać swojej spostrzegawczości – głównego narzędzia pracy. Pomyślał o smacznej padlinie, podawanej w jednej z budek na pograniczu. Jak tylko skończy dyżur, pójdzie się tam porządnie najeść.

W końcu musi żyć w zgodzie ze swą sępią naturą.

* * *

Feniks wybierał się do klubu nocnego POP-iól mocno przygnębiony. Gdy zerwował bilet, nie mógł przypuszczać, że będzie się tam udawał po swej pierwszej porażce od ponad dwóch dekad. Bilety na występy Szpulki należało co prawda zamać z dużym wyprzedzeniem, jednak Feniks miał wrażenie, że myśli o innej epoce. Świat zwałił mu się na głowę. Sześć dni temu przegrał z Ptakolcem, obecnie sławą medialną, celebrytą na ustach i dziobach wszystkich, obwołanym nowym mistrzem Ligi Śmierci. Od tej walki wszystko uległo diametralnej zmianie... Nie odejdzie już w głorii niepokonanego, zabagnił sobie bilans zwycięstw, coś pękło. Przez kilka dni gazety pisały o przypuszczalnym końcu starego mistrza, wieszczły zmianę lidera. Co prawda sugerowały też walkę rewanżową, lecz Feniks nie był pewien, czy sobie jej żyć. Wolał nie kusić losu z obawy przed powtórnią klęską.

Wysiadł z samochodu na osobnym parkingu. Zapłacił szoferowi i nie kazał mu czekać – kto wie, jak skończy się noc. Lubił wracać sam pustymi ulicami. Teraz było jeszcze wcześniej, wolał, by go nie rozpoznali, dlatego przemknął korytarzem dla VIB-ów, nie zdejmując ciemnych okularów.

Wszedł bez słowa na salę i zaczął przeciskać się w stronę sceny. Różni zawodnicy siedzieli tu i ówdzie; obecność jednego z nich wydała się Feniksowi dzisiaj wręcz symboliczna. Poczul się przez to jeszcze bardziej podle.

Guano siedział przy osobnym stoliku: król frajerów, zawodnik-porażka, drobny oszust i mistrz niefartu, chodząca suma wszystkich klęsk i rozczarowań związanych z karierą w Lidze. Było w tym sporo jego winy – pech, owszem, lecz głównie jego gówniarskie wybryki, skłonność do fanfaronady i natura oszusta (zaczynał jako „sroka”,

czyli drobny złodziej kieszonkowy), która nigdy z niego nie wyparowała, choć można się było początkowo łudzić, że wstępując do Ligi Śmierci, zerwał z niechlubną prze-

szłością. Natura zawiódła jednak ptaka do lasu: kilka afer, nielegalny doping, używki, oszustwa finansowe, dorabianie poza ringiem, wymuszenia rozbójnicze, czynne pasterstwo – to wszystko wydawało się w jego sytuacji wręcz jakimś nadmiarem, a już na pewno głupotą; jego kariera wszak się nieźle zapowiadała. Konfliktów z prawem przybywało, do tego zaliczał wpadki medialne i towarzyskie. W końcu Guano się doigrał i komisja dyscyplinarna zawiesiła jego występy (usunąć go nie mogli, bo członkostwo w Lidze było dożywotnie). A jednak Guano dawał radę, choć wszyscy wiedzieli, że zabagnił sobie życie wręcz koncertowo. Jakby brał udział w jakimś zakładzie – myślał Feniks, zniesmaczony całą sprawą – tyle że nic nie zyskiwał, a wygraną było co najwyżej nowe pogardliwe miano. Kiedyś nazywał się inaczej, jednak dziś każdy w branży (a i zwykły ulicznik na mieście) mówił o nim: „Guano”. Czy się przejmował? Chyba nie, więc albo był do cna zdemoralizowany, albo umiał ukrywać ból pod jakimś niezwykle twardym pancerzem.

Feniks, dziś w wisielczym humorze, zrobił coś, czego nie zrobiłby wcześniej – pochylił się nad tym ptakoludzkim odchodem.

– Cześć Guano, jak leci? – spytał, przechodząc obok jego stolika. Sam czuł się jak guano i może to tłumaczyło owo nagłe, przelotne zbratanie się z odszczepieńcem.

Na dnie wszyscy jesteście do siebie podobni.

– Nie narzekam, Feniks – zaskrzeczał tamten irytująco. – Jak w zegarku, jak w zegarku, trrrriiii... To znaczy tykam i bzykam, he, he!

Pijąca obok dziwka roześmiała się. Guano puścił do niej oko.

Feniks miał ochotę puścić pawia, bo zdał sobie sprawę, że zbrukał samego siebie, odzywając się do Guana. Dodatkowo będąc świadkiem dialogu dziwka wydała mu się wyjątkowo nieapetyczna: podstarzała strusica w ostrym makijażu a la vampire, fuj!

– Zapomnieć, chwila słabości, zdarza się – mruczał do siebie wściekły, przeciskając się do wolnego stolika blisko sceny. Zawsze miał tam rezerwację. Teraz pierwszy raz zasiadł jako pokonany. – Hej, hej, Niezwyciężony! – zanucił autoironicznie. – To już nie o mnie...

Usiadł. Poczł miękkosć skórzanego fotela, jakby ogarniała go ciepła dłoń. Zdjął okulary, zamrugał – przyjemny półmrok klubu. Występ Szpulki da mu przynajmniej chwilę wytchnienia; zapomni o tym, co się wydarzyło. Lecz zanim show się zacznie, znów podsumuje swoje życie. Musiał, musiał to roztrząsać; nie potrafił inaczej, nie był wszak Guanem.

Drink, mrok sali, muzyka – może przesadzam, myślał, nie zważając na klientów wskazujących go skrzydłami (odkłonił się fryzjerowi Hermannowi von Placie), czuje się jednak zdetronizowany... Nieważne bowiem, że wciąż dużo znaczył, ważne, ile stracił, a spadł z naprawdę wysoka. Był wcześniej żywą legendą, zjawiskiem, tworzył osobną kategorię. Innych utalentowanych zawodników dzieliła od niego przepaść. Może za dużo oczekiwał, wierząc, że zawsze będzie na szczycie? Mistrz jest zmęczony, ma do tego prawo, ale nie jest już mistrzem.

Z dozowników na ścianach roznosił się zapach zwiędłych kwiatów: mieszkanka fuksji, begonii i róż. Feniks wciągnął woń w płuca, powróciły wspomnienia. Przecież jeszcze niedawno... Był ptasim królem, czempionem, tłumy ekscytowały się jego walkami. Legendarny Feniks, niepokonany od ponad dwudziestu lat, jego kariera była

całą epoką. Fani w zachwycie chłonęli próby bicia rekordów, liczyli zwycięstwa, sporządzali tabele triumfów. Zwano go Zegarmistrzem Śmierci, bo liczba zawodników

odsyłanych przez niego na zasłużony (wieczny) odpoczynek rosła z iście zegarową regularnością. W hali walk przybywało tarcz, wieszano je obok drugich, zdawało się, że zegary rozmnażają się przez pączkowanie, obrastają w swoje własne kopie, zajmując coraz większy obszar. Wskazówki dźwigały zmumifikowane zwłoki, a Feniks, choć szczęśliwy z każdego kolejnego zwycięstwa, cały czas odsuwał moment, gdy sam zaświśnie na tarczy zegarowej. Wiedział jednak, bo obyczaj dawał mu tę pewność, że zostanie wywyższony ponad innych, wyniesiony nad inne zegary, tuż pod sufit, a cyfry oraz obramowania cyferblatów zaśnią najpiękniejszym blaskiem, by oddać hołd mistrzowi wszech czasów.

Teraz, po niespodziewanie przegranej walce z Ptakolcem, nie miał już tej pewności. Przeżył, nie trafił na tarczę, lecz było to w pewnym sensie gorsze od śmierci. Ostatkiem sił odepchnął dziobiącego Ptakolca, rzucił nim o kraty – lecz zamiast wrócić do walki, poprosił o czas, po czym stracił zmysły. Sędziowie wykorzystali specjalną klauzulę regulaminu i przerwali pojedynek.

Obudził się na noszach. Czuł się upokorzony, coś w nim pękło. Dalsze kłęski mogły oznaczać tylko jedno: stopniowy spadek notowań, niżkę w tabelach, zły obrót losu. Jakby zegar jego życia ruszył wstecz, cofając karierę króla zapasów ku skromnym początkom, o których dawno zapomniał.

Teraz czekał na występ gwiazdy wieczoru, Szpulki. Ona jest wciąż niepokonana w swoim rzemiośle, pomyślał bez zazdrości.

Zanim wyjdzie, przed gośćmi przewinie się barwny korowód. Zblazowane piosenkarki, początkujące striptizerki, nędzni kabareciarze oraz lokalni sztukmistrze. Głód tanich cudów był wszechobecny. Typowa nietypowość, zwykła niezwykłość, wszystko uczesane kiczowatym grzebieniem rozrywek tego świata – a na tępej głowie czapka pobrząkująca dzwoneczkami. Rozrywka ponad wszystko! Lecz on czekał tutaj, w klubie POP-iól, wyłącznie na nią – a przyszedł wcześniej tylko po to, by czuć powoli narastające napięcie. Tancerka unieważni ich wszystkich, skasuje swoim występem – jak zawsze. Bo Szpulka była legendą, podobnie jak do niedawna on sam. Może dlatego czuł do niej sympatię? Jej profesjonalizm, ożeniony ze scenicznym geniuszem, nie przestawał go fascynować.

Kątem oka ujrzał, że fryzjer obserwuje go, zaciągając się cygarem. Hermann von Plata awansował, odkąd strzygł i trymował elitę – jako mistrz fryzjerski sam pewnie czuł się jej częścią. Choć dla nich zawsze będzie tylko fryzjerem... Podobno obsługiwał wszystkich członków wysokiego Ptakonium, najwyższej rady Miasta Popiołów. Rozparty w fotelu wyglądał krzepko, co zdenerwowało Feniksa. Balwierz kojarzył mu się z kłeską. To właśnie von Plata robił mu wizaż i stylizację przed feralną walką, więc umysł Feniksa irracjonalnie przypisywał mu winę. Odwrócił się, by go więcej nie widzieć.

Klienci siedzieli przy szklanych stolikach z wtopionym krwiobiegom-oświetleniem, imitacją ptasich żył, które rozprzodaczały płynne światło, biegnące tajemniczymi kanałami, rzucające mistyczny blask, jakby stół był podmorskim głowonogiem albo organem wewnętrznym. Na przykład sercem wyrwanym z piersi Ptakolca, pomyślał wściekle Feniks, albo moim własnym.

Pijąc kolejne drinki w tempie kolejnych pokazów, jakby próbował się zasłonić przed wątpliwej jakości atrakcjami, doczekał w końcu występu tej, dla której przyszedł tu tego wieczoru.

Konferansjer (wysoki kondor w czarnym fraku z białymi epoletami) zapowie-

dział Szpulkę.

Nad sceną zapadła ciemność. Światłne krwiobiegi w stolikach zaczęły pulsować.

Jakby powtarzały uderzenia serc widzów. Po chwili rozległo się wycie wiatru, syknęły urządzenia do suchego lodu i w kłębach dymu przy niemrawych stroboskopowych błyskach po scenie zaczęła się skradać kobieca postać. Jak kot albo modelka na wybiegu (cat walk, cat walk), z wdziękiem luksusowego zwierzęcia – tylko białe jak śnieg miseczki stanika oraz skąpe majteczki błyszcząły w ciemności, zdradzając szczegóły anatomii.

Biel odcinała się od czerni – ostro, bez światłocienia. Robiło to naprawdę duże wrażenie: bielizna źródłem światła.

Sala zdawała się zalana morską wodą. Ogniki papierosów i stoliki-koralowce – czerwona grafika czarnych przestrzeni.

A na wyspie tańczyła ona, tancerka-rozbitka, monsunowa zjawa.

Feniksowi mocą skojarzeń przypomniła się fraza: „Ciało Ptasięgo Króla spoczęło w hamaku z włosów martwej nimfy”. Stara bajka...

Sala powoli przestawała istnieć, znikająca ze świadomości widzów. Zapominali o własnej obecności, jakby ich zmysły – kanały postrzegania – nasiąkały bez reszty muzyką i ruchem.

„Taniec jest niesłyszalną muzyką, muzyka jest niewidzialnym tańcem” – przypomniał sobie słowa Szpulki z wywiadu. Ładne, choć nie jej własne.

Zrzucając jedwabie, Szpulka pozostawała niewidoczna; stapiała się z ciemnością i tylko trzymana w palcach bielizna lśniła księżycowo. Nie wirowała jeszcze, więc gdyby teraz włączyć światło, blask schwytałby ją nagą. Byłoby to niezwykle ordynarne, pomyślał Feniks, urzeczony widowiskiem. Oprawa występu nie dopuszczała takiego faux pas; światło i dźwięk były perfekcyjnie zsynchronizowane, im więcej światła, tym mniej było widać szczegółów jej anatomii. Natężenie luksów rosło wraz z intensywnością tańca. I rzeczywiście – Szpulka zaczynała już wirować, kręciła się dookoła jak wokół niewidzialnej osi, a widzowie zapadli w trans, nie odrywając od niej wzroku.

Coraz jaśniej, coraz więcej ciała. Lecz im więcej, tym mniej, zamiast bioder wirujący motek, rozmazana plama, ruch silniejszy od optyki, obroty zacierające widoczność, można się jedynie domyślać kształtów. Malarska nieostrość mglistych i rozmazanych plam – piersi, łono, pośladki – a tu i ówdzie przebarwienia różu i czerwieni, w miejscach gdzie skóra traciła pigmentacyjną jedność. Szpulka była plamą i ruchem, syntezą koloru i tańca, stapiającą obie sztuki w epicyklach niemożliwych układów. Widzialna – lecz niewidoczna. Widoczna – lecz ukryta w pędzie, który był jej żywiołem i zarazem woalem. Wszyscy zachodzili w głowę: jak umie wytrzymać takie tempo? Chyba miała specjalny zmysł albo dodatkowy organ równowagi.

Kiedyś w jednym z brukowców ukazał się fotoreportaż. Sprytny wróbel twierdził, że nagrał Szpulkę urządzeniem z opcją wolnego odtwarzania – i gdy zwalniał obraz, widać było jej nagość wraz z pikantnymi szczegółami. Gazeta zamieściła nawet kilka zdjęć – stop-klatek. Wszystko okazało się jednak montażem. Szpulka i jej impresariat zażądali przeprosin i sprostowania, w sprawę wdali się członkowie wysokiego Ptakonium, tytuł niemal zamknięto, traktując fałszywkę niczym bluźnierstwo-świętokradztwo. Szpulka była kimś więcej niż tancerką – była Baleriną Miasta, jego ptakobiecym uosobieniem, tak jak Feniks – samczym.

Jej taniec to cykliczny rytuał, seria niemożliwych (choć możliwych) obrotów

wokół osi, dla wielu – podświadomej osi istnienia: jej, ich samych, całego Miasta.

* * *

Podczas gdy Szpulka wirowała, a Sępiolun czuwał, w innej części Miasta, po drugiej stronie rzeki, tajemnicza postać szła pochylona ulicą. Targane wiatrem gazety ścieliły się u jej stóp niczym parodie kwiatów rzucanych pod nogi zwycięzcom. Nikt go tu nie znał, dzielnica służyła za miejsce nocnej eskapady. Szedł w stronę wysypiska śmieci, gdzie wywożono popioły ze starych kwiatów. Przybysz chciał ucałować usta prochu, zanurzyć się w nim i wytarzać; wysypisko było miejscem, gdzie będzie mógł zaspokoić swoje brudne żądze. Był tu przedwczoraj, również pod osłoną nocy, i wtedy dokonał pierwszego aktu swojego planu, mordując dwie ulicznice. Skuszone wizją zarobku gołębice prędko szczyły w jego objęciach. Stręczyciel też nie miał szans. Chudy gawron z długim nożem padł ze skręconym karkiem, nie wiedząc, z kim się zadał. Przybysz miał je zatem, choć jeszcze zbyt świeże, a przez to chwilowo wstrętne. Będą musiały skruszeć. Zawłókl je wtedy na wysypisko i wrzucił do popiołu, by tam wyschły i zaczęły na niego. Będą teraz cudownie nieruchome, martwe i całkiem uległe – gdy już je posiadzie, całując usta prochu.

Poprawił kaptur, spod którego wystawały strzępy perupiósza (element kamuflażu), i skręcił w stronę wielkiej bramy za cmentarzem.

* * *

Na sali wszyscy zamarli. To musiało kiedyś nastąpić, lecz nie w ten sposób.

Szpulka przewróciła się podczas tańca, w pełnym blasku reflektorów. Upadła, gdy u jej stóp wyładowała butelka rzucona z widowni. Flaszka rozbila się, wytrącając tancerkę z równowagi. Feniks aż znieruchomiał, tak był wstrząśnięty. Inni widzowie westchnęli zbiorowo i – zaczęli buczeć. Tylko jeden się śmiał i klaskał, dwa stoliki dalej, pijany i naćpany Guano. W jego łapie coś błysnęło, jakby flesz.

Szpulka mrugała, zdezorientowana, jak królik złapany halogenem. Poniżona w swej nagości, wśród resztek szkła.

– Światła! – krzyknął konferansjer.

Lecz zanim zgasły, pograżając scenę w zbawczej ciemności, nagość Szpulki była widoczna dla setek par oczu. Widzowie pozostawali wciąż zszokowani, choć niektórzy już chichotali, rozbrojeni niezamierzonym komizmem sytuacji lub próbując odregulować szok głupim dowcipem. Oto ta jedyna, wyniosła i niedostępna, którą rozbierali w myślach – zrobiła przed ich zgłodniałymi źrenicami mimowolny striptiz. Zwykły, prostacki striptiz.

Szpulka podniosła się i szybkim krokiem wyszła za kulisy, kalecząc sobie stopę o szkło.

Guano wciąż klaskał. Szli do niego ochroniarze z latarkami, wielkie kruki z zadartymi dziobami. Feniks był pewien, że to on rzucił butelkę.

I gdyby nie zaskoczenie oraz niesmak, gdyby nie szybka interwencja ochrony – doskoczyłby do niego i zadusił gołymi rękami. Wyrodney syn Ligi Śmierci zbecześcił jego sanktuarium, a tego Feniks darować nie mógł.

To nie będzie dobra noc, pomyślał, obserwując, jak widownia pustoszeje. Obsługa starała się zatrzymać klientów obniżkami cen koktajli. Wypić coś jeszcze można, uznał przygnębiony. Chciał nawet wejść za kulisy, ujrzeć ją, pocieszyć, powiedzieć, że nic się nie stało. Jednak zrezygnował. Nie w tej sytuacji, nie teraz. Szpulka byłaby jeszcze bardziej zażenowana.

Porwał z tacy kelnera karafkę orlej wódki i łyknął potężny haust. Drugą ręką włożył zdziwionemu drozdowi banknot do kieszeni, zatrzymując naczynie. Konferan-

sjeer tymczasem przeproszał za zamieszanie, zapraszał na koncert muzyki na żywo, obsługa wypychała na scenę tanich akrobatów i żonglerów, którzy dla podratowania sytuacji mieli wystąpić raz jeszcze na koszt klubu. Oto profity nieprzewidzianych sytuacji; dodatkowa chwila sławy, gdy ktoś inny okrywa się hańbą – ironia życia w pełnej krasie. Feniks uznał, że całe to organizowane ad hoc przedstawienie na poziomie cyrkowej budy jest obrazą Szpulkki. To tak, jakby tańczyć na czyjejs mogile. Choć z drugiej strony, konferansjer odwrócił w ten sposób uwagę od jej dramatu, o którym i tak jutro wszyscy będą gadać. Bo tego, co się wydarzyło, brukowce nie zignorują.

Feniks zaklął. Wódka paliła gardło, zimna i mocna. Zaraz, czy ten Guano aby nie miał aparatu? Tego by jeszcze brakowało. Za to, co zrobił, czeka go sprawa z policją, nie tylko z ochroną, która – gdyby łajdak ośmielił się zrobić zdjęcie – na pewno skonfiskowałby mu sprzęt.

Feniks uznał, że nie ma tu czego szukać. Dopił wódkę, otrząsnął się i wyszedł z sali. Przeciskał się koło toalet, gdzie było boczne wejście dla VIB-ów. Napis „Very Important Birdmen” świecił w mroku korytarza jak fluorescencyjny porost. Feniks już miał tamtędy wychodzić, gdy nagle usłyszał szepty. Zerknął spod ściany. W małym kantorku na narzędzia stał Guano i dyskutował z dwoma krukami. Ochroniarze zdawali się wahać, nagle jeden powiedział:

– Dobra, ale spierdalaj i ani słowa. – Po czym schował plik banknotów do kieszeni.

Feniks przywarł do drzwi szatni, obserwując Guana ściskającego coś w łapie. Choć potargany, łajdak wyglądał na zadowolonego. Wykił się łapówką? A może... Kurwa, przecież tu chodzi o zdjęcia, pojął nagle Feniks. Nie odebrali mu sprzętu, bo zapłacili. A zarobi kilkanaście razy więcej, gdy dostarczy fotografie szmatławcom, jest do tego zdolny, może właśnie po to była cała ta niewytłumaczalna akcja z butelką.

Z kamienną twarzą Feniks wyczekał, aż miną go dwaj ochroniarze. Musi śledzić Guana. Jeżeli ten gnojek ma aparat, nie dotrze z nim do celu, zdecydował. Dokądkolwiek szedł...

– Masz to dla mnie? – Rozcapierzona ręka wysunęła się z mroku.

– Tak, jeszcze więcej niż ostatnio. – Hermann von Plata uklonił się grzecznie. Choć bardzo się starał, nie pozbędzie się tej serwilistycznej maniery. Jakby zawód naznaczył go na całe życie.

– Dawaj. – W wyciągniętej łapie błysnęły szpony; balwierz ostrożnie zawiesił siatkę na jednym z nich. Odbiorca przyciągnął ją do siebie, zajrzał do środka, po czym uśmiechnął się z ukontentowaniem.

– Dobrze, powinno wystarczyć.

– Wiadomo już, czy się zdecydował? – spytał fryzjer szeptem.

– Nic nie wiadomo. – Skrzydło w rękawicy podała von Placie plik banknotów.

– To twój procent.

– Dziękuję – bąknął fryzjer. Po czym przypomniał sobie o drugim punkcie ich umowy; podstępny sposób na osaczenie ofiary.

– Czy policja jest już na tropie?

– To kwestia czasu. Będzie musiał się uwiarygodnić – wyjaśnił kontrahent. – A przyparty do muru podejmie tę decyzję. Mocno w to wierzę.

Wiązał ich tajny proceder. Działali „wspólnie i w porozumieniu”, mówiąc języ-

kciem śledczych. A ponieważ przeszli niedawno od słów do czynów, Hermann von Plata

nie mógł się już wycofać... Na razie się udawało, choć ofiara (cóż za śmieszne słowo)

wciąż żyła. Bez powtórnej próby nie osiągną wspólnego celu.

– Może być tak – kontynuował zakapturzony ochrypłym szeptem – że będzie

zmuszony zebrać dodatkowe pieniądze na wpłacenie kaucji. Wtedy tym bardziej się

zdecyduje, zobaczysz. Były już takie przypadki.

Były, pomyślał fryzjer. Przypomniały mu się perypetie tego, którego nazywano

Guanem. Wystąpił na ringu z silniejszymi od siebie, żeby zebrać na kaucję w sprawie

sądowej, inaczej by go przymknęli – chodziło chyba o oszustwa bankowe, a może o

napad...? W każdym razie były to walki przegrane, płacili mu za to, że dostawał po dziobie. Ale to nie było w Lidze Śmierci. A może było, lecz na niższym poziomie, tam

gdzie pojedynki nie mogą się kończyć zgonami? Nazywali to chyba kategorią Non mo-

riar. Hermann nie pamiętał dokładnie.

– Cóż, poczekajmy więc...

– Poczekajmy. Jak się potwierdzi, przyjdę do ciebie oficjalnie, jako klient.

Wtedy pogadamy.

– Tylko w przerwie. Codziennie mam mnóstwo pracy.

– Wiem. Teraz spadaj, a ja pokluczę jeszcze po parku, mam wrażenie, że ktoś

mi się przyglądał. Może pobawię się z nim w chowanego. I go pochowam. – Wspólnik

Hermanna von Platy zarechotał, odchodząc w mrok.

Dopiero teraz fryzjer poczuł duszącą woń zwiędłych (niemal gnijących) kwia-

tów. Jakby stał w zaniedbanej szklarni.

A może to nie były kwiaty?

* * *

Gdy podejrzany dotarł do domu, Sępiołun odetchnął. Było już późno, właściwie

pracował w nadgodzinach, lecz póki nie nadejdzie zmiennik, nie mógł opuścić stano-

wiska.

Podejrzany był w kiepskim stanie. Nie dość że wracał późno, to jeszcze jakiś

wymięty, sfatygowany, ze spuszczonego łbem, w dodatku pijany. To jednak nie ob-

chodziło Sępioła. Bez względu na stan, w jakim znajdował się obserwowany obiekt,

oraz bez względu na to, co robił, obowiązkiem informatora było jedynie zapamiętanie

czasu i miejsca oraz zewnętrznych oznak jego zachowania. Wyłącznie oznak; nie mu-

siał dociekać przyczyn – to była rola śledczych.

Więc ucieszył się Sępioł, gdy obiekt wreszcie dowlókl się pod bramę, bo na tym

kończył się jego dzień pracy. Jeszcze tylko zmiana... Po chwili, po tym jak już podej-

rzany był w swoim domu, Sępiołun dojrzał w oddali zmiennika. Koniec i szlus, orzekł

w myślach. Nie czekając dłużej, udał się w stronę pogranicza, do budki z żarciem dla

ptakożerców. Za kwadrans będzie zamawiał tam porcję padliny, tylko to się teraz li-

czyło.

Na samą myśl zrobił się jeszcze bardziej głodny i przyspieszył kroku.

* * *

Niska buda w kształcie czerepu – okienko było umieszczone w oku, wejście w

dziobie – przywitała Sępioła krwistym zapachem zepsutego mięsa. Kilku klientów

siedziało w rozświetlonym wnętrzu, zajadając się padliną w cieście. Sos ciekł po celo-

fanie, dzioboszczęki pracowicie rozrywały padlinę. Było to ulubione miejsce nocnej

wyżerki ptaków jego pokroju.

Wokół kręcił się patrol – znudzeni krawężnicy chodzili w tę i we w tę, uzbrojeni

w pałki i pistolety. Na wszelki wypadek. Dalej rozciągał się zdziczały park, przez który

płynęła rzeczka, a za nią leżała sąsiednia dzielnica, biedniejsza (przemysłowa) część Miasta Popiołów: rezerwuar fabryk, wysypisk i punktów usługowych, gdzie produkowano i wykonywano rzeczy konieczne do obsługi centrum. Nie był to obszar nędzy i slumsów, choć jego typowo użytkowy charakter sprawiał, że na ulicach było ponuro i brudno. Ot, materialno-techniczne zaplecze bogatszej, reprezentacyjnej dzielnicy. Patrole były konieczne, gdyż czasami trzeba było powstrzymać zabłąkanego przechodnia. Na szczęście niezbyt często. Próby wdarcia się na teren patrycjatu nie miały sensu, gdyż i tak od razu wylapywano intruzów. Po prostu nie mieli się gdzie ukryć, byli widoczni jak na dłoni, do tego groziły im surowe sankcje. Porządek musiał być, od tego była policja.

Gdy Sępioł złożył zamówienie i usiadł pod okienkiem-pęknięciem, nagle stwierdził, że lokal opustoszał. Oprócz niego siedział tylko jeden klient, który akurat kończył pić wódkę. Dobrą, orłą wódkę, domyślił się Sępiołun po charakterystycznym kieliszku. Klient był jakiś dziwny, zakapturzony, brzeg czarnego kaptura miał ubrudzony sadzą lub popiołem. A może błotem? Nie, nalot był raczej popielaty. Sępiołun zapamiętywał takie rzeczy; więc zapamiętał też specyficznego gościa. Ten szybko wstał i wyszedł, rzucając informatorowi ciekawskie spojrzenie. Sępioł poczuł, jakby go sobie zanotował. Dziwne... Na wszelki wypadek pomyślał o budce telefonicznej nieopodal.

– Tortilla do odbioru! – głos kucharza wyrwał go z rozmyślań. Podszedł do lady po smakołyk i zamówił jeszcze kieliszek wódki. Takiej samej, orlej. Półunówki oczywiście nie mieli.

* * *

Feniks zapadł się w fotelu jak w złym wspomnieniu. Zabił go, chyba zabił tego nędznika, nie chciał, nie planował, ale musiał – tak wyszło. Nie zniósł jego oporu, były granice cierpliwości i godności, gnojek już raz zdeptał jego sanktuarium, a tym razem... Napłuł, głupim słowem napłuł na Szpulkę.

– Odbiło ci na punkcie tej dziwki? – zaskrzeczał, kiedy Feniks wciągnął go w zarośla. – Teraz każdy zobaczy jej dupę, sam sobie popatrzysz. Triiii! – zaterkotał, wydając tym na siebie wyrok śmierci.

Na niskim stole leżał aparat – ten sam, którym tamten zrobił zdjęcia. Film był w środku. Początkowo Feniks planował wyrzucić sprzęt w cholerę, utopić albo roztrzaskać, jednak po krótkim namyśle uznał, że lepiej wziąć go do domu i prześwietlić kliszę. Najpewniejszy sposób, by zdjęcia przepadły raz na zawsze, razem ze swym godnym pogardy autorem, który już dziobał ziemię.

Przez chwilę odczuwał pokusę, by je wywołać i zostawić sobie jako skarb. Może, paradoksalnie, fotografie były piękne? Zrozpaczona, zdumiona Venus pudica, naga baletnica przyłapana przez łajdaka, skrywająca swój wstyd, co tylko dodawało jej uroku. Szybko jednak odrzucił tę pokusę – włączył lampę, wyjął film i rozwinął go z kasetki, by światłoczuły zapis przepadł na wieki.

Prześwietlone klisze wylądowały w dogasającym kominku. Zadymiły pokój, gdy zajęły się ogniem.

Feniks myślał o tym wszystkim. Taniec Szpulki już w przeszłości budził kontrowersje. Wywoływał odruchy niezdrowej ciekawości, prowokował demaskatorów. Zdarzało się, że pijany lub odurzony osobnik usiłował wejść na scenę, by przerwać

występ. Później pisały o tym brukowce. Za każdym razem interweniowała jednak

ochrona, wyczulona na takie sytuacje.

Był też pewien fotograf, drozd oszalały na punkcie Szpulki, zaczadzony ideą sfotografowania jej w taki sposób, by nagość była widoczna. Zwykle zdjęcia chwytaly tylko wirującą płamę, smugę wyzbytą ostrości. Sztuka fotografowania obiektów w ruchu nie była w Mieście Popiołów znana. Jednak ów fotograf tak długo eksperymentował z migawką, błoną i lampą, że niemal mu się udało. Prawie – bo przez przypadek wynalazł coś innego: prymitywny noktowizor. Tak uzbrojony drozd wybrał się na występ. Kiedy Szpulka weszła po ciemku na scenę, fotograf założył dziwne okulary, które zakryły mu pół głowy i dzioba, i rozkoszował się tym, że widzi to, czego nie mogą widzieć inni. Robił to na tyle ostentacyjnie, że szybko zwrócił uwagę ochrony i impresaria. Czym prędzej został poproszony za scenę i wtedy wszystko się wydało – protesty zdały się na nic, wyproszone nieszczęśnika i surowo zakazano przychodzić na występy. Nikt nie wiedział, ile zdążył zobaczyć, lecz z jego markotnej miny wynikało, że niewiele.

A teraz Guano posunął się najdalej i osiągnął najwięcej – głupim, prymitywnym rzutem butelką. Proste i skuteczne, niestety...

Znużony tym wszystkim, zmęczony i pijany Feniks położył się w ubraniu na niezasłanym łóżku. Zasnął bez trudu.

Śnił mu się koniec świata.

* * *

Obudziło go walenie w drzwi. Z bólem głowy zwlókł się otworzyć; przeklinał swój wyschnięty dziób. Po drodze wypił wodę z miedzianego dzbanka.

Przed drzwiami stał smutny szpak w prochowcu. Obok dwa gawrony dzierżyły giwery.

– Komisarz Marcellus. – Szpak wyciągnął legitymację.

– O co chodzi?

– Mamy nakaz zatrzymania – zachrypiał Marcellus, okazując urzędowy dokument. – Sprawę prowadzi ptakurator Falconi. Jest pan podejrzany o morderstwo.

Feniksa zatkało. Guano...? Przecież był pewien, że...

– A to jest nakaz rewizji. – Marcellus wyciągnął z płaszcza drugi papier.

Tak szybko? Feniks zbaraniał. To niemoż...

– Proszę wyciągnąć skrzydłonie, założymy panu kajdanki; nie radzę stawiać oporu, pod domem jest nas więcej.

Gawrony podniosły broń.

Czarne wyloty splotu patrzyły na Feniksa ślepo – jak wyklute źrenice.

* * *

Jeszcze większe zaskoczenie przeżył, gdy Falconi kazał mu siadać za biurkiem i wyjaśnił:

– Jest pan podejrzany o to, że w nocy z czwartku na piątek, działając w pojedynkę, zabił pan na jednej z ulic przy Jaskółczym Zaułku Mirandę Kork – cyrankę przebywającą z legalną wizą w naszej dzielnicy, oraz pana Leonarda Sequora, puchacza, zastępcę sekretarza wysokiego Ptakonium, zadając im rany cięte ostrym narzędziem oraz dusząc i łamiąc im karki. Bezpośrednią przyczynę zgonu wciąż ustalają patolodzy.

A więc nie chodzi o Guana, Feniks poczuł ulgę, dobrze ukryłem ciało, nie mieli szans znaleźć go tak szybko.

– Czy przyznaje się pan do zarzucanego czynu?

– To jakaś bzdura – parsknął Feniks. – Byłem wtedy w domu. Na jakiej podstawie...?

Falconi zmarszczył brwi.

– Na miejscu znaleziono ślady pańskiego pierza.

* * *

– Czy jest ktoś, kto może potwierdzić pana alibi?

– Nie. Mieszkam sam.

– Czy dzwonił pan do kogoś, spotykał się, wychodził?

– Nie pamiętam. Chyba nie...

– Kiepska sprawa.

* * *

– W tej sytuacji aresztujemy pana na dwie doby. Prawdopodobnie przedłużę areszt, ale poczekam jeszcze na wyniki rewizji w pana domu. Chłopcy wciąż pracują.

Chyba że...

– Chyba że co?

– Wpłaci pan kaucję. Poręczenia osobistego nie chcę, jest pan cenionym obywatelem. Ale prawo jest bezwzględne. A dowody przeciwko panu twarde.

– Kaucję...? Ile?

– Dwa miliony ptakonów.

– Ile?! Musiałbym...

– Wiem. Mamy dane o pańskim majątku. Ale inaczej uznam, że zwieje pan do gorszych dzielnic, gdzie można przepaść bez wieści.

– To mnie zrujnuje.

– Na spieniężenie majątku ma pan tydzień. Co prawda od tej sumy można się odwołać, jednak sędzia Eaglestein raczej nie odpuści. Nie cierpi zapasów – zaśmiał się

Falconi. – To oczywiście żart – dodał po chwili służbowo, widząc tępy wzrok Feniksa.

– Może pan jednak coś wymyśli?

– Będę walczył – powiedział Feniks, bardziej do siebie niż do ptakuratora.

– Tak...?

* * *

Do gabinetu wpadł nagle zastępca Falconiego.

– Szefie, pilne!

– Słucham cię, Gil. – Ptakurator zastygł za biurkiem.

– Mogę przy nim?

– Wal.

– Na terenie parku, przy Dzielnicy Przemysłowej, nieopodal cmentarza, znaleziono drugie ciało.

– Kto!? – Falconi aż podskoczył na krześle. Utkwił wzrok w Feniksie, który zastygł, spodziewając się, co zaraz usłyszy. „Rzeczka za parkiem, muł... Jasny szlag”.

– Nasz informator, Sępiolun! – wyrzucił z płuc Gil.

Guano pracował jako kapuś? Nie byłoby to aż takie nieprawdopodobne... Nawet by pasowało do jego podłej natury i tłumaczyło szybkie znalezienie ciała. Myśli zalewały Feniksa jak zła krew. Niczego już nie rozumiał.

– Złamany kręgosłup, wieloczynnościowe obrażenia narządów, był poobijany jak piłka – opisywał zastępca. – Leżał pod ławką, prawie całkiem na widoku.

Zaraz...

– Ślady?

– Pyłki, popiół, a najwięcej strzępów pierza. Na oko przypominają te z Jaskółczego Zaułka, podobna faktura i ubarwienie. Dałem już do analizy.

Może to teatr, który odgrywają, żeby mnie skołować? Gnoje... Feniks poczuł nagle chęć, żeby zerwać kajdanki, wstać i rzucić śledczymi o ścianę. Mógłby, nie takie rzeczy leżały w jego mocy. Z trudem się powstrzymał, chowając wściekłość w klatce rozsądku. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Falconi odetchnął głęboko. Spojrzał na zatrzymanego, jakby wokół jego głowy gromadziły się coraz ciemniejsze chmury. Zaraz zagrzmie, spadnie deszcz...

– No i co pan na to?

III

Nowa walka Feniksa zbiegła się z ostatnim występem Szpulki. Tancerka oznajmiła, że po incydencie zamierza odpocząć; być może nigdy nie wróci na scenę. Zanim to jednak nastąpi – da pokaz sztuki, jakiego jeszcze Miasto Popiołów nie widziało. Słowa te zmroziły mieszkańców, przygnębiająca była perspektywa świata bez jej tańca. Oto odchodził ktoś wyjątkowy, będący stałym elementem ich życia. Do tego w powietrzu wisiała afera kryminalna z Feniksem w roli głównej. Świat bez tej pary będzie smutny, to indywidualności nie do zastąpienia, monarchowie swych profesji. I choć działali w sferze sportu i rozrywki, nawet patrycjusze przywykli do nich jako do mistrzów i darzyli szacunkiem. Dla ptaków Feniks był uosobieniem honoru i siły, archetypowym wojownikiem, Achillesem Miasta Popiołów, a dla ptaszyc Szpulka podziwianą heterą-baleriną, piękną i lubianą, co było dziwne, gdyż jej uroda i gibkość winny budzić raczej zawiść.

Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, by taniec Szpulki odbył się przed rewanżową walką Feniksa z Ptakolcem. Być może ona sama, bo zraziła się do klubu POP-iól; może jej menadżer, chcący maksymalnie zwiększyć zainteresowanie spektaklem? Teraz o wydarzeniu będą mówić wszyscy, a widownia będzie pękać w szwach – kto wie, może nawet przyjdzie cały patrycjat, a gorsze miejsca wykupią ludzie, którzy nigdy nie widzieli występów na żywo? Mógł tu zadziałać efekt synergii, a wówczas hala sportowa stałaby się na jeden wieczór absolutnym centrum Miasta Popiołów, jego rekapitulacją i mikrokosmosem.

* * *

Nikt nie przewidział, że oba występy zbiegną się w czasie z jeszcze innym wydarzeniem.

Strzegący kurczących się zapasów Prochu kapłan zemdleje podczas rytuału, zanosząc modły o bezustanne odradzanie się Miasta. Może to będzie wylew, może wycieńczenie i brak świeżego powietrza. W każdym razie w świątyni-piwnicy pod budynkiem wysokiego Ptakonium diler Tukan w białej szacie przewróci się na ołtarzyk i strąci świece, które zanim zgasną, użyczą ognia Inianemu obrusowi, a ten przekaże go dalej: stallom, drewnianym figurkom, książkom – a od nich żywioł będzie się rozprzestrzeniał już bez przeszkód w kilku kierunkach, skacząc pomarańczowymi językami na meble, okna i starą dębową skrzynię pod ołtarzem, w której spoczywa Proch.

Miarkowany stosownie do potrzeb tym razem spotka się z ogniem, po długich latach, gdy z ognia został zrodzony. Na razie spoczywa w ciszy i spokoju, jednak ciemność wkrótce zablyśnie nowym, głodnym żarem i płomienie otoczą to, co już raz zostało spalone.

* * *

List pożegnalny od Szpulki Feniks znalazł tuż przed walką. Uwolniony od asysty policjantów (zostali przed drzwiami, zabezpieczając wyjście), mógł wreszcie w spokoju otworzyć i przejrzeć swoją szafkę. Przez chwilę pomyślał głupio, że Szpulka mogła podrzucić mu broń – nóż, pistolet, pilnik – lecz po lekturze listu wiedział już, że wołała go raczej rozbroić, niż uzbroić przeciw okolicznościom losu, których drugiego dna nie znała. Feniks nie zamierzał skapitulować, miał plan, był częścią planu, zdemaskuje tego oszusta, lecz ona nie mogła przecież o tym wiedzieć... Połączyła ich jego przegrana i jej hańba. Może gdyby zdążył ją wesprzeć?

Było jednak prawdopodobnie za późno. Feniks odłożył list – i trwał bez ruchu, jakby czas skamieniał.

* * *

Dopiero kiedy wyjdzie, świat zacznie się na dobre kończyć. Przedostatni akt odegrała Szpulka, a jemu przypadnie zwieńczenie, wszak koniec wieńczy dzieło, zostawiła mu bezgłową kolumnę, z której odpadł dumny kapitel ciała – głowa, jak splamiony krwią biały posąg, ciepło osocza na zimnym marmurze; był taki obraz, a Szpulka-Artemis to urzeczywistniła, zostawiła mu tylko bezgłowe kolumny w tej starej świątyni, którą będzie musiał zburzyć. Czy zdoła? Tak musi, tak być powinno, więc dopiero kiedy wyjdzie na ring, zacznie się ostatni akt, ptasi Samson skuty niewidzialnym łańcuchem oskarżenia, sam się takim uczynił, a ona – cóż, była psychiczną Dalilą; wszystko jest odtwarzaniem starych mitów, tu i teraz, gdy zbiegają się ścieżki i pył opada na Miasto.

Feniks zakłada pierzasty kostium, naciąga go na umięśnione ciało, głowę ozdabia żalobnym perupiószem, czerni kruczych piór spływa kaskadą na ramiona. Rozlega się bicie gongu, pierwsze uderzenie, już gasną światła, a wartownicy przed szatnią czekają, aż Ptasi Król wyjdzie.

* * *

Zdecydowałam się na ten krok, ponieważ czuję, że świat się kończy. Nasze miasto – nasz świat, podobno są gdzieś inne podobne, rozdzielone tysiącami kilometrów spopielonej, radioaktywnej pustyni. Miasto – świat, nasz mikrokosmos, który stał się kosmosem – gaśnie. Gramy tu swoje role, podrygujemy jak marionetki, lecz nie da się tego dłużej ciągnąć, coś się musi wydarzyć, i wiem – nie wiem skąd, to chyba jakaś mistyczna intuicja – że przeznaczono nam role ostatnich bohaterów, mamy zakończyć sztukę i wyręczyć obsługę: zaciągnąć kurtynę i zamknąć teatr. Bo to koniec. Potem niech się dzieje, co chce.

Kwiaty rozkładu pachną coraz mocniej; nie da się już oddychać. Przed Twoją walką mam występ – nikt jednak nie wie, jak będzie wyglądał. To ścisła tajemnica. Chcę, żebyś znał szczegóły jako jedyny (oprócz kilku niezbędnych do jego realizacji pomocników). Mój agent się zgodził, zwabiony sporym zapiskiem w testamencie, choć wciąż nie może wyjść z szoku; myśli, że zwariowałam. Ma jednak nakaz utrzymania wszystkiego w tajemnicy, pod groźbą utraty prawa do mojego majątku – więc wykonuje grzecznie ostatnią wolę swej największej gwiazdy. Tak, niektórzy są mało skomplikowani, ale przynajmniej mogą posłużyć do realizacji wyższych celów.

* * *

Idzie, a z głośników huczy jego temat muzyczny, Cwał Walkirii, z dozowników grzmi symfonia zapachów, równie adekwatna – dusząca, ciężka woń zwiędłych fioł-

ków, które są podobno rozrzedzonym zapachem gówna. Feniks stawia ciężkie kroki, jest dumny i spokojny, publiczność szaleje podzielona – niektórzy intronizowali już nowego króla, wierząc, że dzięki niemu przetrwają koniec świata.

Lecz Miasto to świat końca i Feniks im to tego wieczoru udowodni, reakcje tłumu niewiele go obchodzą, jest królem własnego wymiaru. Na razie widzą w nim starego mistrza, jego sylwetkę oglądali wszak setki razy. Pojmą, co się stało, dopiero kiedy wejdzie na ring i wskoczy do klatki, zdejmując pierzasty uniform z szarych i błękitnych piór okrywający go jak stalowa opończa.

* * *

Nie trzymając Cię dłużej w napięciu – poddam się eutanazji. Poproszę o śmiertelny zastrzyk, a gdy już stwierdzą mój zgon, zostanę zabalsamowana, lecz w dość szczególny sposób. Moje kończyny będą usztywnione specjalną substancją laminującą, tak by przez jeden wieczór ciało było jeszcze zdolne do występu. Stanę się wielką marionetką – moje zwłoki, z daleka jak żywe, całkiem nagie, w rytm muzyki będą podrygiwać na specjalnych linach. Tego właśnie wszyscy pragną: mojego ciała, które może być martwe, byleby tańczyło – i było nagie. Jestem dla nich mięsem wirującym z gracją.

Jednocześnie konserwatorzy zwłok natną moje kończyny w kilku miejscach tak, że będą one stopniowo odpadać w trakcie występu. Najpierw oczywiście zsuną się ubrania – po raz pierwszy publiczność ujrzy zwyczajny striptiz. Ciekawe, kiedy zorientują się, że jestem martwa? Myślę, że nieprędko, wszak sprowadzają mnie do ciała, a mechaniczność ruchów mogą wziąć za nowy układ taneczny.

Głowę będą miała odpowiednio usztywnioną. Odpadnie na samym końcu (dzięki niewidocznej ostrej obręczy wokół szyi, która zaciśnie się szybko w finale). Gdy już zsuną się ze mnie ubrania, a potem po kolei – odpadną przyszyte ręce i nogi, i zostanie w końcu sam kadłubek na linkach, o tak, wtedy będą przerażeni, choć część widowni pewnie uzna to za sztuczkę iluzjonistyczną. Lecz dopiero gdy spadnie głowa – pojmą w pełni, co się stało...

* * *

Już jest – wchodzi jako pierwszy. Zawsze pojawiał się drugi, lecz takie są nieubłagane zasady Ligi, to walka rewanżowa, więc Ptakolec będzie wchodził na ring po nim, w glorii zwycięzcy broniącego wyniku. Lecz zanim to nastąpi – zobaczą starego mistrza, światła muszą tylko dobrze wyeksponować sylwetkę, a komentator niech przestanie gadać. Zapowiadają go przeciągle, a gdy w dziobie impresaria gaśnie ostatnia sylaba jego miana („Feeeeeeeeiiiiiiiiiiiiikksssssss!...”) – on jednym ruchem zdejmuje przez głowę stalowoszary kostium i ciska nim o deski ringu, tak aby każdy mógł zobaczyć coś, co dobrze zapamięta.

I oto staje przed nimi oskubany, nagi – jak wielki kurczak.

* * *

Żegnam Cię, Feniksie. Wiem, że Twoja walka również będzie ostatnia. Kiedy to czytasz, nie ma już mnie wśród żywych – dzielę los gnijących kwiatów. Ty też staniesz się nawozem, kompostem, z którego nic już nie urośnie. Radzę Ci, przyjmij swój los z pokorą. Mój występ wywoła zamieszanie, lecz Twoja walka musi się odbyć, jest zakontraktowana. A szaleństwo na widowni podbije napięcie, komentatorzy radiowi prześlą wszystko w eter – i usłyszą o nas nawet mieszkańcy dzielnic nędzy. Ktoś mi mówił, że traktują nas tam w sposób szczególny, stawiają nam ołtarzyki, jak bożkom. Będzie to dla nich wielkim szokiem. Nie wiem, jak zare-

agują. Trochę mi ich szkoda.

Może to nie my, lecz właśnie oni będą ostatnim akordem ponurej symfonii? W

każdym razie my będziemy Końcem. Oni mogą być Epilogiem.

Do zobaczenia w hali walk Ligi Śmierci, przynajmniej nasze ciała spotkają się

tam raz jeszcze.

Twoja Szpulka

* * *

Wiedział, że jego moc tkwi w piórach, wyskubał się jednak, wydepilował do go-

łej skóry, żeby nic nie mogło go dzielić od niego samego – żadnych barier, tylko czysta

siła. A więc czysta słabość... Niech walka go zweryfikuje: zwycięży albo zginie, zabity

kilkoma uderzeniami Ptakolca, który ukradł mu jego siłę wraz z upierzeniem.

Ptakolec był pewny siebie. Jednak nie wiedział, że Feniks wie – a to także siła.

* * *

PS. Ponieważ to już bez znaczenia, zdradzę Ci moje imię, którego nikt nie zna.

Chcę, żebyś poznał coś więcej niż tylko mój pseudonim sceniczny. Mam (miałam) na

imię Artemizja; Artemis.

Żegnaj.

A

* * *

Ceremonia pogrzebowa Sępiola odbyła się po cichu i bez świadków. Został po-

chowany tak, jak pracował: dyskretnie, bez rozgłosu, samotny kawaler zamordowany

przez nieznaną sprawców (prawdopodobnie intruzów z sąsiedniej dzielnicy). Taka

notatka ukazała się w prasie. Pogrzeb odbył się przedwczoraj, w zacinającym deszczu,

na cmentarzu komunalnym.

Pochowany pospiesznie Sępiol leżał wciąż bez nagrobka. Tabliczka na patyku

pokazywała imię i nazwisko, których przed śmiercią niemal nie używał: „Tujon Ab-

syntowicz”.

* * *

Nie milkną odgłosy zdumienia i niedowierzania na widowni („Feniks oszalał”,

niesie się szept przez trybuny), gdy wychodzi Ptakolec. Pogrzebowe tony jego tematu

muzycznego zagłuszają reakcje widowni. Idzie cały złoty, tylko czarne przeblyski spod

spodu, El Dorado, Pożłaczany Król, jest tu, by potwierdzić swą dominację, zabić do-

tychczasowego króla, zając jego miejsce, złoto i czern, czarne złoto, a zapach zwiędłych

kwiatów przypomina smród gnijącego mięsa.

Feniks czeka – naga skóra i głowa. Bez słów daje do zrozumienia co bardziej

domyślnym kibicom, w czym tkwił sekret poprzedniego zwycięstwa Ptakolca.

A ten, gdy wlatuje na ring, musi być zaskoczony. Choć nie daje tego po sobie

poznać. Rozkłada triumfalnie skrzydła i zdejmuje szlafrok, prezentując obfite upie-

rzenie. Spogląda w stronę drugiego narożnika z pogardą i rozbawieniem, jakby uznał,

że jego przeciwnik zwariował i wynik walki został już przesądzony – Feniks sam się

rozbroił, stając do walki z mocarzem, który zmiecie go z powierzchni, a na dodatek

okryje hańbą.

Tymczasem komentator zastanawia się, czy stary mistrz – który najwyraźniej oszalał – w razie zgonu trafi na Zegar Śmierci. Wszak jego oskubana skóra nie licuje z

godnością obyczaju pogrzebowego. „Z pewnością zgolenie pierza jest niezgodne z Regulą Ligi Śmierci, która zabrania zawodnikom oszpecania ciała, a już na pewno w ten

sposób”, dywaguje drugi z komentujących.

Siny i nagi – Feniks budzi odrazę. Gong uderza po raz trzeci i zaczyna się walka.

Czają się w narożnikach. Ptakolec rozkłada czarny płaszcz piór, wlatuje na środek.

Skrzydłonie Feniksa, choć muskularne, przez swą nagość wyglądają na mniejsze. Nie będzie mógł latać. „Ukradłeś je”, szepce do Ptakolca, który odczytuje oskarżenie z ruchu dzioba. Krzywi się z niesmakiem. „A więc się domyślił, to pewne, już samo ogolenie skóry było prowokacją, a teraz nie ma żadnych wątpliwości”. Musi go zabić, jak najszybciej.

Zwierają się w pierwszym starciu i, o dziwo, jest remis. Ptakolec nie daje rady.

Odskok, obrót, skok – czarne skrzydłonie niczym ostrza nożyc próbują zamknąć się z obu stron na szyi Feniksa. Lecz nic z tego, sinymi skrzydłami mistrz zatrzymuje uderzenie uzurpatora. Następnie strąca jego kończyny ze swych nadgarstków, odskakuje efektownie. Nie daje się zepchnąć na kraty. Skąd się bierze twoja siła?, zdają się pytać wściekle oczy Ptakolca. A Feniks świdruje go zimnym spojrzeniem i prowokacyjnie czepia się prętów.

Ptakolec wlatuje za nim, gonią się przez kilka chwil, docierają aż na szczyt woliery. Tam Feniks zawisa za nogi, głową w dół i chwytą przelatującego rywala, który szponami chciał mu przeorać brzuch. Klatka trzeszczy metalicznie, trzęsie się. Wyhamowany impet Ptakolca szarpie również Feniksem, który rozluźnia szpony – i spadają obaj, Ptakolec ze spętanymi skrzydłami, bez możliwości amortyzacji.

Lot w dół i trrrach! – wał o deski. Leżą teraz jeden na drugim, goła skóra i bujne pierze. Ptakolec jest pod spodem, ma obity grzbiet. Trzyma Feniksa za biodra i kark. Choć oszołomiony, nie będzie chciał rozluźnić stalowych objęć. Dusi, z całych sił ściskając Feniksa – wszak ma siłę, ma moc...! Trwają tak dobrą minutę, uścisk Ptakolca jest zabójczy, i choć rwie go grzbiet, wie, że musi, musi. Więc nie puszcza, zaraz zgniecie rywala, złamie...

Lecz Feniks napręża się, nabiera powietrza – i uwalnia z uścisku, rozpościerając ramiona zdumionego Ptakolca jak przyrząd gimnastyczny.

Ptakolec czuje – chce czuć – moc przeszczepionych piór, jednak nie wystarcza tej mocy na gołoskórego Feniksa. To niemożliwe!, skarży się rozdygotany mózg. A Feniks po prostu walczy. Jest wewnętrznie spokojny, spokojem morderczym, zimnym jak śmierć, która odbija się w jego oczach. Choć zabić Ptakolca nie może, mimo chęci zemsty. Wiąże go umowa. Pokona go – choć ten wciąż próbuje walczyć – nie tylko siłą, lecz również podstępem. Mierzi go, że musiał się do tego uciec, chodziło jednak o wyrównanie szans, przywrócenie poprzedniego stanu – dopiero teraz jest uczciwie.

Na widowni ptakurator Falconi uśmiecha się spod kapelusza. Scenariusz się potwierdza – dobrze, że Feniks współpracował, a on zaufał Sepiołowi i zbadał ten trop. Tamten ostatni nocny telefon z budki obok jadłodajni padlinożerców, jakby informatora coś tknęło, po chwili bowiem już nie żył.

Śledczy mają już nową robotę w związku z dziwną śmiercią Szpulki, ale zatrzymany menadżer tancerki okazał testament, z którego wynika, że było to planowane samobójstwo. Nie ma w Mieście Popiołów paragrafu na coś takiego. Trzeba tylko potwierdzić autentyczność jej ostatniej woli.

Menadżera tymczasem wzięto na komisariat, aby spisać zeznania, zabezpieczono szczątki tancerki, jeszcze trzeba uzyskać kilka ekspertyz – i sprawę będzie można zamknąć. Wszystkim zajął się zastępca ptakuratora, bo Falconi przyszedł na walkę służbowo, w związku ze sprawą oszustwa sportowego.

* * *

Wież o oskarżeniu Feniksa nie gruchnie w mediach, oskarżenia nie będą.

Prowokacja wobec Ptakolca się udała: przyjął podmienione pióra (jakiegoś kruka lub gawrona), a przestraszony golibroda odegrał swoją rolę w zamian za obietnicę wycofania oskarżenia. Wcześniej potwierdził wszystko w zeznaniach.

Ptakolec bije się kiepsko, nie tak jak poprzednio. Pewnie wciąż myśli, że Feniks walczy o kaucję, to była część planu, mająca skłonić pobitego króla zapasów do powtórnego wyjścia na ring. I Falconi pozwolił, by Ptakolec nadal wierzył w tę wersję (obstawa Feniksa, doprowadzenie do szatni – profesjonalny policyjny teatr). Ptakurator przeżywa własny triumf, bo śledztwo pięknie się zamknęło. Cenne środki dowodowe, materiał bogaty i różnorodny. Podejrzeń jest wiele, zwłaszcza dotyczących zabójstw, o których opowiedział mu przyciśnięty fryzjer. Ptakolec lubił nocne wyprawy. Zatrzymają go po walce, którą wygra Feniks – ma przykazane go nie zabijać – choć niepotrzebnie się oskubał, nie uzgodnili tego wcześniej. Mały skandal, trudno. Ale grunt, że nie dojdzie do wielkiego skandalu. Poprzedni wynik rada sędziów powinna anulować i mistrz znów będzie miał czyste konto – same wygrane.

Miasto powinno być za to wdzięczne również Falconiemu: ptakurator ma swój udział w ocaleniu mitu.

* * *

Nie powiedział im o sprawie Guana. Śmieszne, na ringu mógłby go zabić legalnie, poza ringiem to przestępstwo. Nie było jednak szans, aby mogli jawnie walczyć, zbyt duża różnica klas i poziomów. Poza tym Guano był zawieszony w prawach zawodnika.

Czy jego śmierć się wyda? Feniks starał się nie zostawiać śladów, muł w rzece był głęboki. Nawet jak go znajdą, to tyle innych wersji będzie branych pod uwagę. Guano mógł być pijany i odurzony, mógł utonąć. Tak. Zresztą Miasto się kończy, a współpraca ze śledczymi miała dla Feniksa tylko jeden cel: by Ptakolec został ukarany, a prawda wyszła na jaw. Później niech się dzieje, co chce.

* * *

Tymczasem daleko stąd zwłoki Guana zaczynają bulgotać, na powierzchni bagna pokazują się bąble. Muł wzbiera, unosi się ku powierzchni, zasilony trupim wśadem. Bagniste zakole rzeczki występuje z brzegów, ciemna maź rozlewa się, spływa na trawniki, chodnik, wciska między drzewa, rozlewa powoli cienką warstwą śmierdzącego szlamu. Jakby imię określało pośmiertnie byt.

Guano zamienia się w gnojówkę, doskonały nawóz, który wypływa z miejsca jego pochówku, pulsując niczym gejzer, w oczekiwaniu jakiejś ekspansywnej, żarłocznej rośliny, której będzie mógł użyzyć swych właściwości.

* * *

Ptakolec jest przerażony. Próbuje skrzydłami dociskać pióra, masuje miejsca, gdzie lotki porastają najgęściej, jednak z każdym starciem sytuacja robi się dla niego rozpaczliwsza. Sztuczka nie działa. Próbuje więc unikać starć. Jest szybki, jednak niezmordowany Feniks goni go po klatce – wzdłuż, wszerek, w dół i w górę – nie dając wytchnienia. Śmigają jak dwie plamy: Feniks siny i matowy, Ptakolec rzucający błyski w światło lamp. Poświata, która miała uwydatnić jego chwałę, teraz obnaża nieubłaganie jego słabość. Przebłysk, rozbłysk, przebłysk – srebrzyste pręty woliery potęgują efekt.

W końcu Ptakolec decyduje się na szalony manewr: ucieka przez otwarte drzwi

klatki. Wzbija się w powietrze. Na widowni poruszenie, wielkie czarno-złote skrzydła unoszą Ptakolca nad głowami widzów. Mknie w stronę ściany z Zegarami Śmierci. Po

chwili wahania Feniks podejmuje pościg.

Z trudem utrzymuje lot, jest nagi, raczej skacze, niż frunie, lecz kilkoma długimi susami dociera w końcu pod ścianę. Ptakolec uczeplił się jednego ze środkowych zegarów i czeka. Komentatorzy wrzeszczą, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Widownia wstaje i skanduje:

— Feniks! Feniks!

Ptakolec czeka bez ruchu. Chyba widzi w tym swą ostatnią szansę. Feniks się jednak nie spieszy. Powoli wspina się po obrzeżach cyferblatów. I nagle, gdy jest w połowie drogi, Ptakolec wyrwa jedną ze wskazówek, tę, na której wisi Magnetyczny Joe. Nity pękają z trzaskiem, wielkie skrzydłonie kierują ostro zakończony pręt na Feniksa. Ten się jednak uchyła, a stalowa konstrukcja przelatuje obok i uderza w podłogę.

Komentator drze dziób:

— To już koniec, Ptakolec będzie zdyskwalifikowany. Wie, że przegra, więc pragnie już tylko zabić, choćby w taki sposób!

* * *

Ptakurator Falconi ogląda wszystko ze zdumieniem, anonimowy wśród skandującej publiczności. Nagle nachodzi go obawa, że walka może mieć finał inny, niż planował – poza klatką Ptakolec może nie przeżyć, a wtedy...

Jakby na potwierdzenie tych obaw niedoszły Pozłacany Król rzucił się głową w dół. Pikuje, chcąc przebić Feniksa dziobem i rozszarpać szponami. Feniks trzyma się zegara jedną skrzydłonią, drugą wyprowadza cios i uderza rywala w szyję. Potężne uderzenie pięścią zmienia tor jego lotu. Dziób odskakuje, wybity z trajektorii, mija oczy Feniksa o zaledwie kilka centymetrów.

Przetrącony Ptakolec spada, bezradnie machając skrzydłami, które już go nie uniosą, jest zbyt blisko ziemi, by mógł poderwać się do lotu czy nawet zamortyzować upadek. Może gdyby nie kregosłup nadwerżony przy uderzeniu w deski ringu...

Po chwili jego ciało wali o podłogę i Ptakolec przestaje się ruszać. Wygięty nie-naturalnie, zastyga w martwą naturę. Kilkanaście czarnych piór leży wokół, jak kawałki sadzy, a z dzioba sączy się krew.

* * *

Z przysypanego ziemią truchła Sępiola zaczęły kiełkować rośliny.

Rosły w zastraszającym tempie, w ciągu nocy osiągając wysokość kilku centymetrów. Wkrótce uformowały się z nich łodygi i liście: białawe od spodu, a z wierzchu ciemnozielone. Dziwne krzewy, roznoszące suchą, gorzką woń, pięły się wzwyż i rozrastały na boki, czyniąc z grobu swój matecznik; skromna kupa piachu wyglądała po kilku dniach jak wyspa na monotonnym oceanie. Krzewy atakowały już inne groby, zarastały ścieżki i trawniki, dochodziły do chwiejącego się płotu, wyznaczającego granice cmentarza.

* * *

Ściana zegarowa zaczyna się chwiać – to spada zegar, któremu Ptakolec wyrwał wskazówkę. Lecąc, pociąga za sobą inne, które wiszą niżej. Następuje reakcja łańcuchowa spadających urządzeń, lawina tarcz i wskazówek, wraz z którymi zsuwają się przywiązane do nich ciała zawodników. Mechaniczno-trupia katastrofa.

Obudowy uderzają o siebie, chrzęszczą stalowo i dzwonią metalicznie, pojękując echem rozwijanych sprężyn. Kakofonia psujących się mechanizmów rozdziera

akustykę. Huk, łomot, dzwonki – klang, dryń, bom! – wszystko w ogłuszającym natężeniu decybeli, można stracić słuch. Hala walk wrze od złych emocji. Widzowie wyją, spikerzy rzucają w eter słowa, których wygłaszać nie powinni, bo słuchają ich kibice w najdalszych częściach Miasta. Mieszkańcy dzielnic nędzy zaraz zaczynają skrzykiwać, bo ich rozpacz i złość muszą znaleźć ujście. Więc gdy przerażony głos z radia oznajmia, że Feniks zginął, przywalony stosem olbrzymich zegarów („Na Proch, to już koniec, katastrofa!”), wtedy bomba eksploduje. Osierocone dzieci dzielnic nędzy wylegają na ulice, obiecując śmierć patrycjuszom.

Ściana zegarowa jest teraz pusta, jakby leżące poniżej przyrządy były jesiennymi liśćmi, opadłymi ze stalowego drzewa. Tworzą kopiec-stos dla największego zawodnika Ligi Śmierci w dziejach.

A na zewnątrz szaleje pożar. Płonie świątynia Prochu, w zgliszcza obraca się budynek wysokiego Ptakonium.

* * *

Krzew okazał się mięsożerny. Gdy grabarze i ogrodnicy próbowali go karczować, odgryzł im palce, nie zezwalając wziąć się w skrzydłonie, nawet przez rękawice. Był duży, wręcz gigantyczny, miały wysokość drzewa. Jakby sępia natura tego, kto został tutaj pochowany, zapłodniła roślinę, tworząc drapieżną odmianę bylicy-chwasta, hybrydę botaniczno-zoologiczną.

Ludzie nie zbliżali się już do cmentarza, porzucili jego najbliższą okolicę. Później wybuchły zamieszki, nędzarze zabijali patrycjuszy, dogaszano pożary, a policja nie panowała nad sytuacją, więc problem krzewu wszedł na drugi plan. Roślina tymczasem przekroczyła płot i zrywała kostkę brukową z ulic, krzewiąc się bujnie i żarłocznie, jakby jej celem było splądrowanie miasta. Wydawało się, że gra z motłochem w jednej drużynie.

Wkrótce napotka gnojówkę – i tak Sępiołun połączy się z Guanem, by drapieżny krzew plenił się jeszcze obficie.

* * *

Gdy rano, mimo nocnych zamieszek, Hermann von Plata przyszedł do pracy, tak jak to czynił od niepamiętnych lat, zrozumiał, że to koniec. Po drodze świat uzmysłowił mu dostatecznie, że nadeszła kloakokracja (ulicami spływała gnojówka) – a on, tłusty fryzjer burzujów, nie odnajdzie się w tej krótkiej (nim wszyscy się pozabijają) epoce brudu i smrodu.

Wyjmując wielki klucz do drzwi zakładu, przeczuwał, że nie zdąży go użyć. Długo nie musiał czekać na potwierdzenie swych obaw. Dwa chude wronce zdarły mu płaszcz, wyjęły z wewnętrznych kieszeni balwierskie przybory (zawsze nosił je ze sobą) i przewróciwszy fryzjera na chodnik, podcięły mu gardło srebrną brzytwą. Krew popłynęła w stronę latarni, jak niegdyś barwniki, formując na rogu dwóch ulic (ich nazwy wydały mu się teraz prorocze) tęczokrwistą kałużę. W ostatnim przebłysku świadomości ujrzał Szpulkę – szła jak duch, lecz chyba była realna, bo ubrudziła sobie obcas krwią.

I z tym obrazem pod powiekami stary fryzjer skołał. Jego cenne przybory miały posłużyć za broń szabrownikom.

Na ulicach dogasały zamieszki. W południe zza chmur nieśmiało wyszło słońce: okrągła, biała kość.

* * *

Nie było już Feniksa ani Szpulki, Ptacolca ani Hermanna von Platy, patrycjuszy

ani Prochu, tylko brodzące w gnojówce ptaki z dzielnic nędzy, szabrujące resztki dóbr.

Ich przeznaczeniem było zadziobać się na śmierć – bo jedzenia wkrótce zabraknie.

A chwast rósł, pochłaniając nowe obszary, karmiony nawozem, wolny od skrupułów i skojarzeń, podobnie jak martwe ciało pod ziemią, z którego się wyłonił, nieświadome tego, że roślina powinna nosić jego miano. Ekspansywny pęd, sępi piołun, krzew zjadający ścierwo miasta, aż wyczyści je do kości, zostawiając sproszkowany szkielet.

Popiół, piołun. Popiołun.

Piołun – *Artemisia absinthium*. Bylica piołun, zwana także psią rutą, wermu-tem lub absyntem. Można ją spotkać dzikorosnącą na przydrożach, nieużytkach, zrębach i leśnych polanach. Roślina aromatyczna, o smaku silnie gorzkim, kwiaty drobne jasnożółte, liście z wierzchu szarzielone. Zarówno liście, jak i ziele zawierają specyficzne związki goryczkowe. Główną substancją aktywną w piołunie jest absyntyna – środek przeciwbólowy i narkotyk o działaniu halucynogennym. Można pić z niego nalewkę lub palić go po sproszkowaniu, występują wtedy wizje i uczucie euforii. Jednak olejki eteryczne piołunu zawierają również tujon, substancję trującą, która może wywoływać drażliwość oraz stany podniecenia i psychozy, prowadzące do zmian zwi-rodnieniowych w układzie nerwowym.

październik 2010

PAWEŁ MAJKA

Koniec / początek wieku

VII

Sądzę, że nie nazwaliby ich „maszynami”. Zbyt odbiegają od dzisiejszego wyobrażenia o tym, czym „maszyny” są, w jaki sposób funkcjonują, a nawet istnieją.

Próżno byłoby doszukiwać się w nich dźwigni i przekładni, żadne sprężyny ani tłoki nie prężą się w ich wnętrzach, nie można usłyszeć miarowego stukania kół zębatych i wahadeł, zgrzytu osi. Pióropusze pary bądź smugi dymu nie towarzyszą pracy ich silników. Niemniej to wciąż maszyny – twory umysłów, które waham się nazywać ludz-kiemi. Zbudowane z użyciem potężnych energii i działające w trudny do objęcia rozu-mem sposób. Ponoszę klęskę, ilekroć tego próbuję. Pozostaje tylko wyobraźnia stwa-rzająca obrazy słońc zakutych w kierat, choć nawet mnie takie przedstawienie wydaje się śmiesznym i żalonym. Gniewa mnie własne ograniczenie, a przecież powinienem czuć dumę, że w ogóle mam zdolność dostrzegania tego zdumiewającego mechanizmu czuwającego nad ludzkością. Czasem aż chcę widzieć w nich anioły, na wzór których zostały prawdopodobnie pomyślane. Daremne marzenia – łuski opadły mi już z oczu.

7

Odwiedzam codziennie mego przyjaciela, zwykle w porze śniadania, by przypominać mu o przykrej dla niego konieczności spożywania posiłków, dzielonej prze-zeń z resztą śmiertelników. Być może pochlebiam sobie. I bez mojej pomocy gospo-dyń, pani Rzecka, potrafiłaby poradzić sobie z upartym lokatorem. Zdążyła go już poznać i nauczyła się postępować z nim, znosić jego humory i kaprysy. Podziwiam cierpliwość tej dzielnej kobiety. Ja nie podołałem zadaniu i wyprowadziłem się, by zamieszkać z kobietą, której zalety szczęśliwie odciągnęły mnie od dzielenia życia z największym detektywem naszych czasów. Ba, gotów jestem powiedzieć, że z naj-większym detektywem wszystkich epok. Tych, w każdym razie, które znamy z nad-chodzącej przeszłości.

Pani Rzecka musiała odnieść tego dnia zwycięstwo, zastałem bowiem Holema nad śniadaniem. Zamiast jednak cieszyć się smakiem przygotowanego przez gospodynię posiłku, zajmował się układaniem zeń skomplikowanej mozaiki, być może jednej z łamigłówek, jakie cieszyły jego umysł, gdy nie zajmowała go jakaś kryminalna zagadka.

Zawstydzila mnie jego nieskrywana radość z mego przybycia. Nie poświęcałem mu ostatnio wielu ciepłych myśli, a codzienne wizyty zaczynałem traktować jak uciążliwy obowiązek. Rozważałem nawet, czy nie zaproponować mu ograniczenia ich częstotliwości, bym mógł więcej czasu poświęcać mojej kochanej Marii, z którą przecież miałem się rozstać już za dwa lata, by niedługo później o niej zapomnieć i – co może bardziej nawet przykre – zostać zapomnianym przez nią. Żadne inne przeszłe wydarzenie nie zatrzymało mnie tak jak ta nieszczęsna konieczność. Często dziękowałem Bogu, że nie mieliśmy dzieci, los oszczędził nam oglądania ich dogasania. Świadomość konieczności rozstania z ukochaną osobą była dla mnie wystarczająco trudna. Nasze uczucie rozkwitało obecnie, zyskiwało na świeżości. Niedługo stateczna miłość miała ustąpić miejsca oszołomieniu zakochania, jednak to, co czaiło się potem, kładło się cieniem na naszym szczęśliwym życiu. Ile razy rozmawialiśmy o tym! Marzyliśmy, by stawić czoła stygnięciu czasu i pozostać razem. Nie było chyba na świecie pary kochających się ludzi, którzy nie snuliby podobnych marzeń. Wszyscy, jak zdawaliśmy sobie sprawę, nadaremno.

W przeciwieństwie do nas Holem cieszył się nadchodzącą przeszłością. On tęsknił za czasami, kiedy istnieliśmy we dwóch tylko dla siebie, gdy mieszkaliśmy razem i nie musiał dzielić się mną z nikim. Możliwe, że mój przyjaciel należał do ludzi, którzy nie tylko dostosowali się w pełni do zasad rządzących naszym dziwnym światem, ale i potrafili czerpać z nich satysfakcję.

— Spójrz, Janie — zawołał, wskazując najnowsze wydanie „Czasu”. — Na stronie drugiej znajdziesz notatkę w sam raz dla nas!

Gazety codzienne pogodziły się z losem bodaj najbardziej niechętnie. Trudno cieszyć się z rozpowszechniania informacji, które dla mało kogo pozostawały tajemnicą. Dziennikarze sumiennie przypominali czytelnikom o nadchodzących wydarzeniach, informowali o katastrofach i utrudnieniach nie do uniknięcia, lubowali się jednak w wyszukiwaniu wiadomości drobnych i tajnych, o których przeciętni śmiertelnicy nie mieliby inaczej pojęcia. Znaczna część gazet zmieniła się w konsekwencji w kroniki miejskich zaułków oraz nieprzebrane zbiorowiska plotek. Mojemu przyjacielowi wydawało się odpowiadać to całkowicie. Kochając się w wyrafinowanych zbrodniach, uważał, że zdolni do nich są w jednakowym stopniu zarówno minister wielkiego mocarstwa, jak i kamerdyner podrzędnego arystokraty. Holem, człowiek na wskroś nowoczesny, nie przykładał wagi do pochodzenia, lecz do zdolności intelektualnych ludzi, z którymi przestawał. Ponadto odnajdywał w plotkach tropy, których wydobyć z mieszczan, czujących na punkcie swej sławy, mogłoby się okazać niewykonalne.

– Na pierwszej stronie przypominają, że jutro zostanie rozwiązana tajemnica

zaginionego ministra – zauważyłem. – Piszą tu, naturalnie, wyłącznie o sukcesie policji, zupełnie pomijając twój udział, Szymonie.

– Doprawdy, Janie, nie trać czasu na banalne sprawy. Druga strona powiadam ci!

– Śmierć bednarza? Piszą o tajemnicy...

– Zabił go synowiec. Dalej, Janie!

– Synowiec? Szymonie, ale wedle „Czasu” to sprawa nierozwiązana!

– Nikt się z nią do mnie nie zwrócił, a nie będę sam rzucal się pod prąd czasu.

Dalej!

Trzykrotnie przejrzałem stronę, nie znalazłem jednak nic, co mogłoby nas za-

interesować. Gdy przyznałem się do porażki, Holem skrzywił się, potrząsnął głową i swoim zwyczajem wypomniał mi małżeństwo, twierdząc, że to ono odpowiada za stępienie ostrza mego umysłu. W kwestiach męsko-damskich mój przyjaciel pozostawał nieugięty niczym przeor trapistów. Co gorsza, zdawałem sobie sprawę, że miało tak pozostać na zawsze.

– Prawy górny róg, Janie. Dzielny Hieronimus nie ustaje w próbach przecięzania grawitacji.

Istotnie. Austriacki inżynier miał dokonać na Błoniach próby kolejnej swojej

machiny latającej. Nie wystarczyły mu balony i sterowce, pragnął latać szybciej, wy-

korzystując nowe silniki i paliwa. Holem utrzymywał, że nieszczęsny wynalazca musiał

należać do ludzi obarczonych przekleństwem pamięci. Jak dziesiątki artystów próbu-

jących ratować znikające obrazy i poematy, także naukowcy popadali w rozpacz, sta-

rając się utrzymywać w pamięci teorie naukowe składające się na geniusz i dorobek

naszych zgasłych potomków. Jednak to, z czego ludzkość była najbardziej dumna – jej

wiedza i technologie rozwinięte tak, że wydawały się bardziej zdumiewającymi od

magii – wszystko to przepadało. Poeci usiłowali odtwarzać utracone wiersze, malarze

uzupełniali znikające z obrazów detale, a naukowcy odbudowywali modele maszyn,

powtarzając bez końca wzory, których znaczenie niknęło w ich umysłach. Hieronimus

latał może kiedyś, w minionej przyszłości, jakąś przedziwną machiną latającą i

wspomnienie to, na jego nieszczęście, nie uleciało z jego pamięci całkowicie. Ogarnięty

obsesją, starał się zbudować swą machinę i na przekór losowi podejmował wciąż nowe

próby zdobycia przestworzy.

Zazdrościłem mu tego przekleństwa. Ileż bym dał, by pamiętał! Niestety, po-

rywy emocji, a nawet chwile intelektualnych uniesień i wszystkie te zaskakujące nas

codziennie zdarzenia warte zapamiętania, nie dorównują pracy naukowców i artystów.

Teorie i dzieła sztuki powstają tygodniami, a niejednokrotnie latami i nawet zanikanie

czasu nie może odebrać ich ludziom wraz z jednym obrotem planety. Zapomniałem

już zbyt wielu pocałunków, być może nawet zapomniałem o własnych dzieciach, które

mogłem przecież mieć w przyszłości. Naukowcy i artyści długo dysponują choćby

okruciami minionych dni. I nawet jeśli przeklinają czasem ten dar, chętnie bym się z

nimi zamienił.

VI

To spadło na mnie słonecznego dnia, gdy obrócony plecami do studentów kre-

śliłem na tablicy wzory służące opisywaniu świata. Dobiegały mnie, jak zwykle, tłu-

mione szepty, szelesty, a nawet mlaskanie z ostatniej ławy pod oknem, gdzie nieza-

wodny pan Leinbaum pochłaniał chyłkiem spóźnione śniadanie. Ignorowałem to.

Wśród mych studentów znajdowały się prawdziwe urwipolcie, większość jednak przychodziła na prowadzone przeze mnie zajęcia z potrzeby, nie z obowiązku. Tych, którymi kierowały ambicje rodziców bądź przypadek, a nie pasja, zdążyłem już odsiać. Nie przeszkadzał mi nadmierny apetyt Leinbauma, wieczne spóźnienia Strychowskiego ani głupawe dowcipy Szeresa. Przy wszystkich swoich słabościach byli pilnymi uczniami.

A przy tym potrafiłem ich zrozumieć. Cóż to za czas – młodość! Przepadła już stateczność dojrzałości, człowiek pozbawiony zostaje szans na spełnienie ambicji i aspiracji, czeka go już tylko stopniowe dziecińnienie w straszliwej pewności rozpuszczenia się w skradającej się ku nam przeszłości. Po cóż żyć, gdy jest się młodym? Sam zastanawiam się czasem, czy nie pałać sobie w głowę, gdy osiągnę wiek lat trzynastu, a może dziesięciu. Jedyne, co trzymało tych młodzieńców przy zdrowych zmysłach, to pasja życia, czepianie się kurczowo jego radości i uniesień i ignorowanie zdradzieckiej przeszłości.

Co jednak pociągało ich w moich zajęciach? Nie mogły oferować im nadziei na przyszłość, bo ta już minęła. Większość ludzi karnie podporządkowywała się kolejom losu. Niektórzy wierzyli kościołom, których kapłani przekonywali wiernych o boskim planie, inni poddawali się światu i upadali w pokorne oczekiwanie na zniknięcie. Ale młodość cechował zwykle bunt!

Codziennie odkrywałem na nowo, czemu Leinbaum, Strychowski, Szeres i ich koledzy przychodzą do mnie. Tak jak mnie prowadzenie wykładów, tak im ich wysłuchiwanie zapewniało porządek, oferowało sens, choćby tylko poprzez stawianie oporu przemijaniu. Odzyskiwanie wiedzy, pobudzanie umysłów, szukanie odpowiedzi – wszystko to pozwalało im nie oszaleć ze strachu przed zbliżającą się grozą dzieciństwa. Codziennie uświadamiałem sobie, że musiałem wpaść na to rozwiązanie i minionego dnia, lecz zgubiłem je wraz z resztą wspomnień. Wtrącony w udrękę dzieloną ze wszystkimi ludźmi wążącymi się jeszcze myśleć w tych ponurych czasach, odnajdywałem spokój we wzorach i równaniach. Gdy umierała pamięć naszych uniesień i dokonań, niewzruszona, wieczna trwałość wzorów przynosiła spokój. Gdzie wszystko przemija, matematyka pozostaje niezmienną. Przetrwą nawet, gdy zabraknie ludzi zdolnych porozumiewać się jej językiem. Dlatego, w świecie upadku, właśnie wzorami przekazywałem ukojenie moim studentom.

Tamtego dnia nie myślałem o tym. Kreśliłem równania na tablicy, poddając się oczyszczającemu wpływowi tego rytuału. Biały pył sypał się ze skrzypiącej kredy, drażniąc nieprzyjemnie opuszki moich placów. Im więcej miałem go na dłoniach, tym większą czułem chęć, by zanurzyć je w misce z wodą, pozbyć się tych zarodników skrzypienia, od których skrzypiec zaczynały także moje paznokcie i skóra. Nienawidziłem go! Ale musiałem zapanować nad sobą, skupić się na równaniu; jednym z tych, których jeszcze nie zapomniałem.

Zacisnąłem zęby. W tle mlaskał Leinbaum, żartował szeptem Strychowski, a Szeres wiercił się jak zwykle, robiąc przy tym niemożliwie wiele hałasu.

Nic to. Mogłem osiągnąć stan, w którym byłbym sam na sam z liczbami, gdybym tylko się skupił.

Może to promień słońca zagrał na mojej żrenicy, dzień był wszak słoneczny.

Spadło na mnie objawienie.

Zobaczyłem świat inaczej.

Wszystko stało się liczbami, powiązaniem wzorów. Świat przybrał dla mego umysłu kształt czystej matematyki, wolnej od obciążeń, zakłóceń, które codziennie mamia nas i zwodzą. Zniknęły przesady zafalszowujące rzeczywistość, wyrastające z pragnień i fałszywych nadziei. Zgasły emocje, pozostała czystość poznania.

Promień światła – jeśli to był on, nie pamiętam dobrze tamtej chwili, choć właśnie wtedy zacząłem pamiętać – przemienił się w ciągi liczb obrazujących jego budowę. Jeśli nadal oślepieł, to cudownością wzoru, jasnego i klarownego, choć migoczącego od zmiennych. Ujrzałem opisane liczbami atomy inne niż te, o których posiadałem wtedy wiedzę, jakby wyciągnięte z minionej przyszłości.

Bąłem się choćby zamrućać, by nie stracić wizji. Bąłem się choćby porzucić skupienie na promieniu światła, by objawienie mnie nie opuściło. Jednak odbłaski słonecznych promieni w naszych oczach żyją krótko, straciłem go więc. Nie zapanowałem nad sobą. Zamrućąłem przestraszony i nie powstrzymałem jęku, otwierając oczy z obawy, że straciłem dar.

A jednak nie. Świat, cały świat był matematką. Otaczały mnie strumienie pojmwalnych danych. Pławiłem się w nich, spijałem je. I – co najważniejsze – zacząłem je rozumieć.

Świat odmienił mnie promykiem słońca.

6

Holem nie znośił metafizyki, a także religii i zagadnień filozoficznych. Ilekroć mijaliśmy kościoły, przyspieszał kroku; ilekroć próbowałem z nim rozmawiać na temat Boga i kształtu wszechświata, zbywał mnie. Któregoś dnia, w przyływie refleksyjnego nastroju, który starałem się wykorzystać, oświadczył:

– Bóg, którego moglibyśmy opowiedzieć, przestałby być Bogiem, przyjacielu.

Porzućmy jałowe dyskusje i zajmijmy się rzeczywistością. Tu i teraz istnieją rzeczy, które zdolni jesteśmy objąć umysłem, skupiajmy się więc na nich.

Jestem pewien, że on umiał zrozumieć zasady działania maszyny Hieronimusa.

Zdecydowanie przekraczało to jednak moje możliwości.

Przedziwny pojazd, zaopatrzony w dwie pary skrzydeł rozłożonych równolegle po obu stronach kadłuba, a prostopadłych doń, został już wciągnięty na łąkę zaprzęgiem z aż ośmiu koni. Nic dziwnego, że potrzeba było ich wzmożonego wysiłku, cudo Hieronimusa okazało się bowiem większe, niż sobie wyobrażałem, a zapewne i cięższe. Hieronimus prezentował z dumą swoje najnowsze dziecko.

– Znalazłem je dziś rano w warsztacie – opowiadał. – Wciąż jeszcze prawie ukończone, choć nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że brakuje w nim kilku istotnych części. Prześladuje mnie przekonanie, że aeroplan powinien być zdolnym odbijać się od ziemi samoistnie. Jak jednak to uczynić? Strącając ze skały dla nabrania wysokości? Otóż nie! Dla wzniesienia posłużę się tymi oto balonami na gorące powietrze. A gdy będę już u góry, uruchomię silnik – spójrzcie państwo na to wspaniałe śmigło i na lotki na skrzydłach i ogonie, które umożliwią mi sterowanie!

– A jeśli skrzydła i śmigło nie wystarczą, by utrzymać się w powietrzu? Zresztą, co może zrobić samo śmigło? – zapytał młody mężczyzna, w którym rozpoznałem Majewskiego z redakcji „Czasu”.

– Śmigło napędzane jest przez kocioł parowy mej własnej konstrukcji, drogi panie Stanisławie. Mieści się on w kadłubie aeroplanu, jak widzicie państwo bardzo wielkim, zbudowanym wyłącznie po to, by właśnie kocioł ten pomieścić. Niestety,

moc, jaką nada on śmigłu, zbyt mała jest, by samo uniosło aeroplan. Jednak, gdy w tym pomogą balony, śmigło powinno poradzić sobie z prowadzeniem mnie po niebie.

Proszę zwrócić uwagę na przemyślność kotła! On z jednej strony dostarczać będzie mocy do śmigła, z drugiej sam dosypywać węgla, dzięki tym wspaniałym przekładniom...

Spojrzałem na Holema i zobaczyłem, że uśmiechał się pod nosem.

— Nie wierzysz w powodzenie Hieronimusa? — zapytałem zaskoczony. Holem nie miał w zwyczaju naśmiewać się z naukowych i inżynierskich dokonań.

— Biedny Hieronimus! — odparł mój przyjaciel. — Co nieco pamięta z przyszłości, ale nie pomaga mu to. Przeciwnie — miesza mu w głowie. Nieszczęsny! Nie, Janie, nie powinniśmy liczyć na jego sukces. Co najwyżej śmiały inżynier nie zabije się dziś podczas próby.

— Przyszliśmy tu, by być świadkami jego klęski?

— Skądże, Janie. Przyszliśmy, by znaleźć człowieka, który zbyt długo wymyka się zarówno nam, jak i krakowskiej policji. Jestem pewien, że podobnie jak mnie i jego przyciągają pokazy takie jak ten. Rozglądaj się uważnie, acz ostrożnie, by się nie zdradzić. Jestem przekonany, że on jest gdzieś tutaj.

Ach tak, obsesja Holema! Choć ufałem w siłę umysłu mego przyjaciela, wahałem się, czy tym razem detektyw nie oszukiwał sam siebie. Czy możliwe, że sam wymyślił sobie arcywroga, by stworzyć sobie godnego przeciwnika?

— Jak miałbym go rozpoznać? — spytałem prędko, by nie ujawnić wątpliwości.

— To proste, Janie. Szukaj kogoś podobnego do mnie.

Kogoś podobnego do niego! Dobre sobie!

Tłum gęstniał. Krakowianie ochoczo korzystali z okazji, by ujrzeć cud odchodzącej w niepamięć techniki. Nie pierwszy raz dane mi było ujrzeć, jak powszechnie żałowano utraconego dziedzictwa ludzkości, jak silna okazywała się potrzeba stawiania czoła nieuniknionemu, chwytania choćby tych ułomnych strzępów przyszłości, do jakich z pewnością należał pokraczny aeroplan Hieronimusa. Jakże wielu z nas łączyło poczucie życia w niewłaściwie ułożonym świecie. Gdybyśmy przynajmniej nie wiedzieli, że możliwe było życie inne, życie ku niewiadomej przyszłości, życie w rozwoju miast w regresie! Choć jednak każda noc odbierała nam pamięć o minionym dniu, pamięć o tym, jak urządzony jest świat, zachowywaliśmy.

Tęsknota za utraconym, szukanie nieistniejących rozwiązań to nic wyjątkowego. Dlatego tłumy przybyły na pokaz możliwości umierającej maszyny.

Jednym z nielicznych znanych mi ludzi wolnych od trosk wspólnych dla całej chyba ludzkości był mój przyjaciel. Choć cieszyły go dokonania inżynierów i wizjonerów, wydawał się pozostawać obojętnym na nasze groteskowe przemijanie. Gardząc filozofią, poświęcał uwagę przede wszystkim temu, co potrafił objąć swym genialnym, acz chłodnym umysłem. Skupiał się na konkretnych problemach i gardził rozważaniami tak o umykającej przyszłości, jak i nadchodzącej przeszłości zmierzającej ku początkom czasu.

Jeśli więc miałem znaleźć kogoś podobnego do Holema, musiałem szukać człowieka gardzącego wysiłkami Hieronimusa; kogoś przywiedzionego tu przez zupełnie inną ciekawość.

Najpierw odnalazłem dwóch mężczyzn rozstawiających maszynę nie mniej zadziwiająco od aeroplanu. I oni przyciągali spojrzenia, choć krakowianie znali dobrze te postacie. Kleinberg i Szczepanik testowali prototyp aparatu służącego do wykonywa-

nia barwnych zdjęć. W przeszłości, jak twierdził Holem, takie cudo przysłużyło się zapewne sprawom policyjnym. Dziś stanowiło jedynie kolejny symbol upadku. Nie dziwiłem się ponuremu wyrazowi twarzy Szczepanika. Cóż mogło wyrazić obrazować nędzę naszego istnienia niż mechanizm służący do zamykania chwili w obrazie? Zdjęcia nie stawiały czoła upływowi czasu. To, co rejestrował aparat Szczepanika dziś, nie miało przetrwać do wczorajszego poranka zbliżającego się z każdą godziną. Trudno mi było nie podziwiać tego człowieka, podobnie jak Hieronimus uparcie opierającego się rzeczywistości. Zdając sobie sprawę z daremności podejmowanych trudów, nie ustępowali. Czy to odtwarzanie coraz pokraczniejszej maszyny latającej, czy daremne testowanie aparatu zdolnego robić barwne fotografie wydawało mi się na poły groteskowe, na poły tragiczne, ale i heroiczne. Odkrywców i artystów łączyła wspólna pasja – uparte oporu przeciw daremności. Byli niczym wojownicy budzący się w dniu bitwy, której klęskę pamiętali, a pomimo to karnie stawali w szeregu. Istnieli ludzie, których niezdolna była złamać nawet rzeczywistość.

Czy właśnie takimi ludźmi mógł zawładnąć gniew? Czy w bezsilnej furii mogli zwrócić się przeciw społeczeństwu? Skierować błyskotliwe umysły ku złu, skoro świat uniemożliwił im działanie dla dobra ludzkości?

Obróciłem się ku Holemowi, by podzielić się z nim nowym pomysłem, on jednak uprzedził mnie.

– Tam! – szepnął. – Spójrz, Janie! Tam jest!

Skinął lekko głową, wskazując kierunek.

Mężczyzna wybrany przez Holema w niczym, moim zdaniem, nie przypominał detektywa. Trudno wręcz byłoby mi wskazać dwóch ludzi bardziej niepodobnych do siebie. Mój wysoki przyjaciel wybijał się ponad tłum, podczas gdy tamten, średniego wzrostu i dość korpulentny, stapiał się z nim. Holem, co przyznaję z żalem, nie przykładał wielkiego znaczenia do kwestii stroju, jego prawdopodobny przeciwnik jawił się człowiekiem ubranym skromnie, lecz elegancko.

– On? – Moje niedowierzanie musiało być aż nazbyt wyraźne. Holem, jak to on, poczuł się nim dotknięty.

– Zapewniam cię, Janie, że to prawdziwy potwór, mistrz zbrodni. Łajdak nad łajdakami! Jeśli gdzieś w cesarstwie zdarza się wyjątkowo perfidna zbrodnia, ten człowiek za nią stoi. Jestem pewien, że na dziesięć nierozwiązanych przez krakowską policję spraw przynajmniej dziewięć należy zaliczyć na konto tego węża. Nie daj się zwieść jego niepozorności.

– Co teraz? Będziemy go śledzić?

– Zorientowałby się. Nie, Janie. Teraz, gdy mu się przyjrzałem, wiem wystarczająco dużo. Możemy odejść.

– A Hieronimus?

– Prawda, zapomniałem, że pasjonujesz się daremnym trudem inżynierów i artystów. Naprawdę byłoby lepiej, gdybyś poświęcał więcej uwagi wiedzy i odkryciom trwającym dłużej.

– Przecież nie przyszliśmy tu tylko po to, byś obejrzał sobie zbrodniarza!

– Nie, Janie. Przyszliśmy tu także i po to, by on mógł obejrzeć mnie.

V

Zafascynowała mnie daremność. Potrafiłem całymi dniami obserwować malarza starającego się odtwarzać zanikający z każdą nocą obraz. Malował i inne, pamięć, a

może wyobraźnia wciąż podpowiadały mu wizje, czy to nowe, czy też utracone. Zawsze jednak wracał do tego jednego płótna, które starał się zachować. Nie wiem, czemu wybrał akurat to dzieło. Umiejąc już korzystać z maszyn, używałem zasobów ich pamięci i potrafiłem w mgnieniu oka obejrzeć całą galerię dokonań dowolnego artysty. Nie czerpałem satysfakcji z podziwiania dzieł, których sami artyści nie mogli już ujrzeć. Napędzało to mój gniew. Wtedy już wiedziałem, że świat, w którym żyjemy, jest bardziej niesprawiedliwy, niż wyobrażałem sobie wcześniej. Więcej nawet, wiedziałem, że został nam ukradziony.

Wielka wiedza przynosi wielką samotność. Ale i droga do niej jest drogą samotnika. Gdy ujrzałem świat jako zbiór danych, z których nieznanne mi siły – wahałem się nazywać je tak Bogiem, jak i Przyrodą – układały ciągi, spletały równania budujące rzeczywistość, stałem się bardzo samotnym człowiekiem. Nie przekazałem nikomu swego odkrycia, choć w pierwszej chwili chciałem tak postąpić. Cóż jednak mógłbym powiedzieć studentom przypatrującym się ze zdziwieniem, jak ich profesor zamarł z jedną ręką wciąż uniesioną, opartą o tablicę, nie kończąc w trzech czwartych nanie-sionej na blat skrzypiącą kredą cyfry „dwa”? Co mógłbym powiedzieć swoim kolegom czy choćby sławom nauki? Że ujrzałem świat w liczbach? Sądziłem, że oni też takim go widzieli, byli wszak matematykami! Gdybym próbował opowiedzieć im o obrazach rozpalających mój umysł, wyśmialiby mnie. Jak można wytłumaczyć ślepcom, że cała rzeczywistość jest tylko wielką bazą informacji? Bazą, która, inaczej niż wszystko nam znane, nie zanika, lecz wzrasta, której nie obejmują ograniczenia stygnącego czasu? Zostałem sam. Ale sam wobec całego wszechświata, sam wobec niewyczerpalnych, nowych zasobów wiedzy!

Nauka korzystania z niej przypominała pierwsze samodzielne kroki w nauce czytania. Myliłem się, gubiłem. Błądziłem w oceanach danych, których nie potrafiłem odczytywać i systematyzować.

Szukałem pomocy. Otarłem się nawet o pitagorejskie mistyki, jednak wszystko na próżno – nikt nie postrzegał tak świata przede mną, chyba że ludzie z przyszłości, którzy odeszli w niepamięć. Chwyciłem się tego pomysłu. Czy mogłem odkryć ślady minionego świata? A może w przyszłości, gdy nauka osiągnęła pełnię, a naukowcy byli niczym bogowie, moje objawienie było najzwyczajniejszą rzeczą pod słońcem? Może giganci, którzy przeminęli, tak właśnie postrzegali rzeczywistość – jako zbiory danych? Może, uczeni od dziecka, potrafili nie tylko poruszać się wśród nich, ale... modyfikować je? Odmieniać rzeczywistość jednym energetycznym równaniem? Czynić sobie ziemię poddaną nie prymitywnym, mozolnym trudem, ale przez dotykanie samej istoty wszechrzeczy?

Porwany tą teorią nie chciałem już rozważać innych. Cóż by to było za dokonanie – odkryć na powrót przyszłość, odsłonić to, co minęło!

Gnał mnie strach przed dzieciństwem, uświadamiałem to sobie już wtedy.

Przerażeniem napawała mnie wizja dziecka, w które nieuchronnie miałem się zamienić, pozbawionej wiedzy nędzniejącej istoty dotkniętej regresem umysłu, a przecież długo jeszcze świadomej swego nieuchronnego losu. Oddałbym wszystko, by tego uniknąć. Marzyłem o dostojnej starości, o sobie jako siwym nestorze uniwersytetu, zachowującym do końca trzeźwość umysłu.

Pomyślałem, że może ludzie z przyszłości, świadomi nieszczęścia, jakie ich dotknęło, próbowali w jakiś sposób ratować ludzkość. Czy tak niemożliwe byłoby stworzenie przez nich systemu obronnego, czekającego w uśpieniu, by uruchomił go prawdziwie wielki umysł? Czy cały ten system czekał na mnie?

Nauka oferowała mi wiedzę i dyscyplinę. Dotarłem już do mechanizmu z przyszłości, teraz jeszcze musiałem uświadomić mu swe istnienie.

Nadzieja, jak się przekonałem, potrafi obudzić naiwność nawet u geniuszy.

Gdy w rozpaczy próbowałem nawet medytacji, gdy szukałem pomocy u szalonych mistyków i szarlatanów obiecujących kontakt z tamtym światem, jeszcze tego nie wiedziałem.

Dopiero gdy odkryłem wreszcie drogę do kontaktu z mechanizmem, gdy go poznałem, zrozumiałem, jakim naiwnym głupcem byłem.

Nikt w przyszłości nie myślał o mnie, nie planował kontaktów z najświetniejszymi umysłami. Nie obchodziliśmy naszych potomków bardziej niż zwierzęta hodowane na rzeź. Te pasożyty planowały jedynie na nas żerować.

Wszystkie moje starania okazały się daremne, niczym upór malarza odtwarzającego detal obrazu, którego nie mógł sobie przypomnieć.

Patrzyłem, jak miota się przy swoim dziele, jak mamrocze do siebie nużące litanie: „Tu powinna być biel, coś białego powinno tu się znaleźć!”.

Kobieta szła przez podwórze. Za nią jaśniała chałupa, przed nią czekała studnia.

– Gęś – odezwałem się wreszcie, nie mogąc znieść dłużej udręki malarza. –

Tam powinna być gęś.

Skinął radośnie głową.

Przychodziłem do niego codziennie i mówiłem: „Tu powinna być gęś”, „pomyśl – studnia”. A on wierzył mi, jakby moje słowa otwierały mu furtkę do ogrodu przyszłości. I ten jeden obraz na całym świecie nie ginął, na przekór odwróconym prądom czasu.

Fascynowała mnie daremność. Mój własny, prosty i niemądry bunt, który nie mógł przecież odmienić świata. Jeden uratowany obraz nie znaczył nic wobec okrutnej, niepowstrzymanej maszyny przyszłości. Pogrążyłem się w nim nadaremno, bo nie umiałem inaczej. Jakkolwiek miały, bunt stał się dla mnie jedynym sensownym wyrażeniem mego istnienia.

Aż któregoś dnia powiedziałem: „Kobieta powinna iść ku studni” i zrozumiałem, jak bardzo ograniczałem siebie i narzędzia, które mi ofiarowano.

5

Czasem szaleńcy postanawiają rzucić wyzwanie światu. Choć życie w Krakowie płynie stosunkowo spokojnie, wciąż tlą się rewolucyjne ruchy, których gniew podsycą dodatkowo przekonanie o odniesionym w przyszłości sukcesie, wymykającym się teraz z rąk. „Jesteśmy przekonani, że tam, w przyszłości – piszą w wydawanych przez siebie gazetkach – zapanowała sprawiedliwość społeczna; zwalczono wyzysk i ubóstwo, zniesiono nierówności społeczne i nieuzasadnione przywileje! Czy mamy się wyrzekać zdobyczy przyszłości, czy też raz jeszcze unieść głowy, by stawić czoła wyzwaniom świata i walczyć o lepsze Teraz?”.

Holem nie zajmuje się nimi zbyt często. Czasem najzuchwalsi szykują się do zbrodniczych zamachów i wtedy mój przyjaciel pomaga policji w zapobieżeniu im.

Uważa jednak rewolucjonistów za dyletantów w dziedzinie zbrodni, ich poczynania go nudzą. Mimo to zapytałem, czy mężczyzna, którego nazywał arcywrogiem, mógł mieć z nimi coś wspólnego.

– Z pewnością wykorzystuje ich w pewnym stopniu – odparł. – Nie jest to jednak trop, którym powinniśmy podążać. Nasz przeciwnik to człowiek zbyt inteli-

gentny, by zaufać grupie kierującej się sentymentem w miejsce stosunkowo rozsądnej chciwości. Nie opiera się na nich, gardzi ich przekonaniem i nie ujawnia się przed nimi. Nie, Janie, ten, z którym przyszło nam się zmierzyć, poświęcił życie czystej zbrodni. Uprawia ją dla niej samej, dla satysfakcji igrania ze mną i z prawem. Jestem przekonany, że zmierzmy się z nim jeszcze dziś. Przychodząc na Błonia, rzucił mi wyzwanie. Z pewnością poważy się dziś na coś szczególnie zuchwałego. A my powstrzymamy go.

Miałem tak wiele pytań, ale swoim zwyczajem Holem powstrzymał mnie przed ich zadaniem. Poprosił, bym zostawił go samego i wrócił około godziny siódmej wieczorem.

Wiedziałem, co zamierzał. Gdy ja udawałem się do pacjentów, on z pewnością przebierał się za jakąś poślednią postać – węglarza, robotnika, może jednego z żebraków, jacy licznie przybywali do miasta z ubożających wsi. Holem znał ich wszystkich. Nie tylko potrafił znakomicie wcielać się w dowolnego człowieka, ale też – jeśli chciał – porzucał swój snobizm i łatwo nawiązywał przyjaźnie, by zdobyć informacje. Kimkolwiek był tajemniczy mężczyzna, jego los uznałem za przesądzony.

Intrygowała mnie zbrodnia, którą planował popełnić. W świecie regresji czasu nie jest łatwo zostać skutecznym przestępcą. Naturalnie, nawet odwrócony czas nie potrafi zmienić natury ludzkiej – ulice miast wypełnione są złodziejami i łotrami skłonny do rozboju. Wciąż zdarzają się włamania i morderstwa. O części z nich policja wie wcześniej – choć akta spraw zanikają, policjanci pamiętają przebieg zbliżających się do zwieńczenia śledztw i starają się przyspieszyć ich zakończenie. Większość zbrodni nie przynosi zresztą większych szkód – wszak zamordowani zgodnie z czasem wracają do życia, by wskazywać swych zabójców tam, gdzie policja sobie nie poradziła. Skradziony w czwartek naszyjnik w środę odnajduje się w szkatule księżnej, która nie pamięta już o stracie z przyszłości. Czasem jednak trafiają się zbrodnie, których przyszłość nie rozwiązała, których nie zawierają policyjne i sądowe archiwa. A czasem popełniane są zbrodnie nowe, dokonywane w szale bądź przez desperatów, których regres czasu przywiódł do obłądzenia. Tymi właśnie najchętniej zajmuje się mój przyjaciel. Bywa, oczywiście, że zjawiamy się na odgrzebach, by przesłuchać powracające do życia ofiary nierozwiązanych morderstw. Gdyby regres czasu przebiegał tak, jak wyobrażają go sobie zdumieni naukowcy, kłopot taki nie istniałby. Wszyscy żylibyśmy w odwrotny sposób, cofając się wraz z czasem. Wystarczyłoby wtedy tylko śledzić ofiarę aż do momentu, w którym spotyka się ona z mordercą. Oczywiście jeśli bylibyśmy do tego zdolni, wszak w takim całkowitym regresie nie bylibyśmy żywym ludźmi, a jedynie marionetkami odtwarzającymi raz już spełnione życie. Z jakichś przyczyn regres przebiega inaczej. Choć młodsze gwiazdy, wszyscy codziennie budzimy się dzień wcześniej, a nasze biografie są z grubsza ustalone, potrafimy podejmować decyzje i żyć własnymi żywotami. Naukowcy są zdumieni tą swoistością regresu, kapłani widzą w niej dowód na istnienie Boga, dbającego, by nawet w tak dziwnym świecie jego dzieci zachowały wolną wolę. Jakkolwiek by było, wolna wola oznacza zbawienie dla Holema. Bez niej nie istniałby zbrodnie, którymi mógłby się zajmować.

Pomimo niej świat wędruje historycznymi koleinami. Cokolwiek stało się w przyszłości, podręczniki historii zachowują aktualność. Patrioci mogą bez obaw oczekiwać na powrót niepodległości, a potem złotego wieku Rzeczypospolitej, chrześcijanie

cieszą się na powrót Chrystusa, utrzymując, że stanowi on dowód, iż Biblia zapowiedziała regres. Żydzi myślą już o czasach faraonów. Historia świata nie podlega zmia-

nom. Jedynie historie ludzi odbiegają czasem w szczegółach od tego, co można znaleźć w kronikach, bądź co sami pamiętamy. Zdarza się, że jakieś dziecko, obserwując swoich rodziców, ogłasza: „To nie powinno być tak, pamiętam to inaczej”. Chciałbym odnajdywać w tym nadzieję dla siebie, wierzyć, że odmienię swoją przeszłość w tym jednym, ważkim szczególe. Wiem jednak, że kiedyś, wcześniej lub później, przestaniemy się rozpoznawać z moją kochaną Marią. Będziemy się mijać na ulicy jak obcy sobie ludzie. Może nawet ujmie mnie uroda tej nieznannej kobiety – nie wyobrażam sobie, by mogło się dziać inaczej – ale serce nie drgnie mi na wspomnienie wspólnego życia. Świat progresywnego czasu, choć też naznaczony przemijaniem, oferował nam przynajmniej pamięć. Dziś młodniejemy, lecz tracimy wspomnienia. Czasem myślę, że większość ludzi żyje tak naprawdę bez celu, pogodzona nie tyle ze spodziewanym, co z pewnym końcem świata, który powraca do swego początku, czy będzie nim Słowo Boga, czy spełnienie którejś z naukowych teorii. Memu życiu sens nadaje miłość. Gdy minie, pozostanie mi przynajmniej sens życia oferowany przez obsesje Holema. Powiniem być wdzięczny choć za to. Dobrze jest obcować z człowiekiem tak wybitnym, że przerastającym i mnie, i wszystkich znanych mi ludzi. Przyjaźń z Holemem nauczyła mnie pokory, a pokora to owoc, który raz skosztowany pozwala inaczej patrzeć na świat.

Znając Holema, łatwiej godzić mi się z wyrokami przeznaczenia tak bezlitośnie wiążącymi świat regresu.

IV

Szukałem możliwości rozwoju. Nie dotarłem wtedy jeszcze do maszyn, nie zdawałem sobie sprawy z ich istnienia. Żyjąc w świecie, w którym cudem były działające wciąż silniki parowe, nie potrafiłbym sobie nawet wyobrazić złożonych konstrukcji zbudowanych wyłącznie z energii uporządkowanej w struktury informacyjne, zdolne do wyciągania wniosków i podejmowania działań. Tym, którzy je stworzyli, wydawało się, że przewyższali intelektualnie nas, żyjących w nadchodzącej przeszłości, jak człowiek przewyższał swych prehistorycznych przodków opisywanych przez Darwina, którego osiągnięcia zapomnimy zbyt szybko. Rozumiem ich strach, przecież sam odczuwam podobny. To jednak za mało, bym przestał ich potępiać i nienawidzić. Zapomnieć Darwina – cóż byłby to za triumf dla ograniczonych umysłów dewotów, gdyby zdolni byli go sobie uświadamiać, gdy minie połowa nadchodzącego stulecia. Nie przeszkadza im to cieszyć się nim teraz. Każdego dnia, jak sobie wyobrażam, składają modlitewne dzięki swemu zmyślonemu Bogu za to, że ich szczęśliwi ojcowie nie będą nawet znać tej zarazy, teorii ewolucji. Może gdybym i ja urodził się wcześniej, stałbym się równie zniewolony, jak oni? Żyłbym nieświadom wolności niesionej przez naukę?

Wolność! Ta idea czekała we mnie na przebudzenie – wiem to! Dopiero jednak objawienie przebudziło ją, a odkrycie, jak bardzo jesteśmy zniewoleni, stanięcie oko w oko z wrogiem, uczyniło mocną i pewną. Stać się wolnym poprzez wiedzę – oto moje zadanie i cel mego życia!

Zgłębiałem dane świata. Poznawałem, jak zapisywana jest energia materii ożywionej, a jak nieożywionej. Aż pewnego dnia musiałem się udać na ogrzeźb ojca.

Spóźniłem się. Matka tuliła już przybyłego, oszołomionego staruszka, brat rozmawiał z lekarzem i jego pomocnikami, do których zadań należało umieszczenie ojca na wynajętym od jakiegoś chłopca wozie. Już żywy, ale wciąż bardzo chory i osłabiony, toczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem, kulił się na każdy dźwięk, a najbardziej na głosy ludzkie; na przemian to tulił się do matki, to drżał pod jej dotykiem.

Wszystko było dlań równocześnie nowe i stare. Jeszcze nie rozpoznawał świata, a już

go sobie przypominał; na razie w sposób pierwotny – powracające do życia receptory przesyłały do mózgu coraz bardziej nachalne dane, a nieszczęsny organ, przewyciężając ciemność śmierci, rozświetlał się, odbierając impulsy, ale nie potrafiąc jeszcze ich analizować i systematyzować. Wszystkie odpowiedzi tkwiły w nim, w zmartwiałych komórkach. Ojciec mój, dotknięty udręką choroby, cierpiał jeszcze bardziej od chaosu doznań. Nim jego mózg się przebudzi, miał postrzegać światło jak dźwięk, dotyk niczym smak, miał przegapiać czułość i nie pojmować gniewu. Jedyne bóle docierały do niego wyraźnie, bo komórki naszego ciała są jak ludzie w tłumie – najwyraźniej słyszą krzyk.

Brat mówił coś do mnie, ale ignorowałem go, zapatrzony w jaśniejące dane zmartwychwstałego ojca. Wtedy po raz pierwszy zadałem sobie pytanie – gdzie gromadzą się informacje, w których sami się zawieramy? Przyszłość znika, przeszłość nadchodzi, umarli powracają do życia, budzą się, a wraz z nimi – wszystkie ich wspomnienia. By gromadziła je przeszłość, musiałaby być formą jakiegoś przyrodniczego bytu zawierającego zapisy nas wszystkich – naszych przeżyć i świadomości. Zbyt mizerną dysponowałem wiedzą, by skutecznie roztrząsać takie teorie. Zdawało mi się jednak, że może być właśnie tak. Pomyślałem, że możliwe jest istnienie czegoś więcej, jakiegoś zbioru danych ponad wszystkimi innymi zbiorami, zawierającego je wszystkie i pamięć o nas – istniejących, przyszłych i przeszłych.

Przez chwilę pomyślałem, że mógłby jednak istnieć jakiś bóg.

Potem zniecierpliwiony brat chwycił mnie za ramię i potrząsnął, a ja, niechętnie, wróciłem do regresywnej rzeczywistości. Pomogłem załadować ojca na wóz, usiadłem przy nim wraz z matką i bratem. Śpiewaliśmy jakieś pieśni, psalmy, czy może kołysanki. Matka wręczyła nam po różańcu. Czułem do niej wdzięczność za tę okazję do medytacji. Powtarzałem kolejne zdrowaśki, przypatrując się chaosowi budzącego się ojca i zastanawiając nad regresywnym życiem.

Na czas jakiś zamieszkałem z rodzicami, czuwając przy ojcu na przemian z bratem i matką. Chorował ciężko pod koniec życia i teraz znów borykaliśmy się z jego chorobą, świadomi jednak, że tym razem wszystko będzie cofać się ku lepszemu, że czas, zamiast zamieniać go w kruche go starca, przywracać nam będzie silnego mężczyznę pełnego wiary we własne możliwości.

Skrycie szukałem wielkiego banku danych. Nocami wymykałem się na cmentarze, czając się przy grobach z wypisanymi na pomnikach i krzyżach rychłymi datami zgonów. Gdy tylko mogłem, przybiegałem na odgrzeby, szukając strumienia danych spływającego skądś i budzącego zmarłych. Oczywiście bez powodzenia. Oświecony promieniem światła, pozostawałem równocześnie oślepiony niesioną przezeń metaforyką.

Gdy przeszły trzy miesiące, wróciłem do miasta i zabiłem pierwszego człowieka.

Cóż za głupi postępki!

I jakże ożywczy.

4

Maria nie komentowała moich wypraw z Holemem. Pragnęła, bym spędzał z nią więcej czasu, ale nie mówiła mi o tym. Mimo to podjąłem próbę, by usprawiedliwić się przed nią, gdy spotkaliśmy się przy obiedzie. Opowiedziałem o teorii Holema, podkreślając, że tym razem chodzi o sprawę wyjątkową dla mego przyjaciela. Wyraziła zrozumienie, okraśliła je jednak smutnym, a wymownym uśmiechem, którego wspomnienie nie dawało mi spokoju jeszcze w mieszkaniu Holema. Czekałem tam na niego, wpuszczony przez nieocenicą panią Rzecką.

Przybył, kiedy zaczynałem już tracić cierpliwość. Przebrany w lachmany, z do-
prawionym wielgachnym czerwonym nosiskiem, brudny i cuchnący, największy de-
tektyw współczesnego świata opadł ciężko na fotel, ukradł moją filiżankę herbaty i z
apetytem pożarł przygotowaną przez panią Rzecką szarlotkę.

– Mamy go, Janie! – zawołał podekscytowany. – Tak, jak się spodziewałem,
kręcił się nieopodal cegielni w Płaszowie, gdzie ma swoją kryjówkę.

– Zapewne dostrzegłeś charakterystyczne ślady gliny? – wtrąciłem dumny, że
nauczyłem się już rozpoznawać metody Holema.

– Brawo, Janie! Chodzi wprawdzie o ślady wapnia, płaszowska cegielnia po-
rzuciła starożytne obyczaje, niemniej rozumowałeś niemal prawidłowo, to ci się chwa-
li! Ale tak, nasz arcyłajdak nie oczyścił dokładnie podeszwy buta, jak sądzę, celowo.

– Celowo?

– A tak. Chciał, bym to dostrzegł! Nie przypadkiem też spotkałem tam nazbyt
wielu łotrów zbyt widowiskowo łamiących zasady tajemnicy, zwykle tak przestrzega-
nych w armii tego hetmana zbrodni. Złoczyńca, o którym nie wspominają ani gazety,
ani archiwa policyjne nie może przecież polegać na ludziach niepotrafiących utrzymać
języka za zębami. A tam? Powiadam ci, Janie, niemal krzyczeli o swoich planach! Po-
ganiali robotników, wychodząc znacznie poza komendy. Nie spotkałem też dotąd tak
wielu pijacków nie tylko chętnych do rozmowy i dzielących się tajemnicami, ale też
tajemnice te znających. Nasz wróg kusi mnie, wzywa, wciąga w pułapkę. Czy to nie
podniecające?

– Nienadzwyczajnie. Chcesz zatem, byśmy w nią weszli?

– Ja tak, ty nie. To może okazać się zbyt niebezpieczne, przyjacielu.

– Tym bardziej nie zamierzam wysłać cię tam samego! Spójrz – pokazałem
mu rewolwer wyciągnięty z szuflady w tajemnicy przed Marią – przygotowałem się!
Holem uśmiechnął się i przyznał do kapitulacji skinięciem głowy.

– Dobrze, Janie. Nie będę cię osłaniał wbrew twej woli. Wyruszymy razem na
miejsce zbrodni.

– Do Płaszowa?

– Skądże! Na Cmentarz Rakowicki. Przyjętą na nas ma być zabójstwo Jana
Drewaczyńskiego. Słyszałeś o nim może?

– Czy nie był malarzem?

– Malarzem. I zakonnikiem. Nasz przeciwnik chce zdążyć przed odgrzebaniem,
dlatego planuje ukraść jego ciało, nim zajmą się nim Dominikanie. Przyznasz, że to
raczej lichy występki jak na zbrodniarza takiego formatu. On nawet nie udaje, że robi
cokolwiek poza zastawianiem na mnie pułapki, co czyni całą sprawę jeszcze ciekawszą.
Kradzieże ciał i zabójstwa dopiero co odgrzebanych stanowiły jedną z plag na-
szego świata i – jak wskazywały roczniki gazet – miało się tak dziać aż do początków
czasów. Młodniejący hulacy drżeli przed powrotami rodziców, obawiając się utraty
majątków, wracających do smartwychwstałych. Wcale nierzadko okradali grobowce
własnych rodzin, pozbywając się z nich ciał całych pokoleń przodków. Inni zabijali już
raz zmarłych, by chronić się przed ich zemstą, bądź by zachować tajemnice, które
smartwychwstały mógłby zdradzić. Przeszłość jeszcze nie nadchodziła, a już determi-
nowała życie większości z nas. Bywało także, że anarchiści mordowali publicznie kogoś
znacznego, by uniemożliwić podjęcie przezeń ważkich decyzji w nadchodzącej prze-
szłości. Szczególnie zajadli szaleńcy porywali się nawet na grobowce królewskie i ce-

sarskie, pragnąc obalić jednym ruchem, jedną dobrze podłożoną bombą, całe dynastie, które powracać miały do panowania za stulecia. Regresywny czas wytworzył własny rodzaj zbrodni i zbrodniarzy. Ich wytrwałość wydawała mi się jednocześnie pocieszna i wzruszająca. Nieustępliwość daremnych destrukcji okazywała się równa nieustępliwości twórców.

– Kiedy tam ruszymy?

– Niedługo po zamknięciu cmentarza. Nie martw się, Janie, nie będziemy sami. Komisarz Strassen ufa mi na tyle, że zgodził się przybyć z dwunastoma ludźmi.

Nasz przeciwnik wpadnie we własną pułapkę!

Nie wiedzieliśmy tak naprawdę, jak skuteczne są więzienia i wyroki sądów. Czy powieszni w czwartek powracali do życia w środę, budząc się jakby nigdy nic we własnych łóżkach i żyjąc dalej, tak jak nakazywał im determinizm świata w regresie?

Część badaczy uważała, że tak właśnie musiało się dziać. Inni utrzymywali, że rzeczywistość dostosowuje się do nieprzewidzianych zmian w historii i ahistorycznie zamordowani pozostają martwi, zaś zamknięci w więzieniach okazują się więźniami przez kolejne dni i lata nadchodzącej przeszłości. Ilekroć próbowałem sobie wyobrazić, na czym mogłyby się opierać zasady tak funkcjonującego świata, popadałem w zmieszanie tak wielkie, że pozostawało mi tylko przestać o tym myśleć lub oddać się sprawiedliwości i mądrości boskiej.

Holem, swoim zwyczajem, nie tracił czasu na – jak to nazywał – „filozoficzne banialuki”.

– Zbrodnia jest zbrodnią, czy jej efekt okazuje się trwały, czy znika z nastaniem poprzedniego dnia – mawiał. – Zbrodnią nie jest efekt. Zbrodnia to stan umysłu tego, który ją popełnia, i idący za nim czyn. A ja zajmuję się powstrzymaniem i chwytaniem zbrodniarzy. Tylko to się liczy.

III

Pierwszy był przypadkowy żebrak. Przyjechał pewnie spoza miasta, z jakiejś podupadającej wsi. Nie powinno być go nikomu żal, a jednak znalazł się ktoś, kto płakał po nim, kto zapamiętał go na zawsze. Ja.

Nie jest łatwo zabić człowieka, jeśli zabójcy brakuje wprawy. Nie pomogło, że się przygotowałem. Ani stary bagnet przechowywany w mojej rodzinie od pokoleń, ani dokładne przestudiowanie anatomii i opracowanie planu opierającego się na zdradzieckim ciosie w nerkę nic nie dały. Całe to teoretyczne przygotowanie świat odesłał do diabła, gdy nie trafiłem za pierwszym razem, gdy tamten, zdumiony – bo już mi zaufał – sapnął, krzyknął, zaczął się szarpać, a ja, zamiast załatwić całą rzecz jednym eleganckim ciosem, jak to sobie wyobrażałem, dźgałem go nie z pasji, ale ze strachu. Umysł płonął mi z przerażenia, nie byłem naukowcem ani badaczem, lecz zwierzęciem – durnym ślepym drapieżnikiem na swoich pierwszych łowach, tym trudniejszych, że samotnych.

Powiedziałem mu, że potrzebuję ogrodnika, a on skłamał, że zna się na prowadzeniu ogrodu. Nakarmiłem go ciepłą zupą i pokazałem ogród. Ponieważ zbliżała się jesień, podarowałem mu swoje stare palto, lekko tylko nadgryzione przez mole, przesiąknięte za to zapachem naftaliny. Przyjął je z wdzięcznością zmarzlucha o okaleczonym powonieniu. Był szczęśliwy, jak zaplanowałem. Starałem się uspokoić sumienie tym jego szczęściem. Chciałem, by umarł szczęśliwy – szybko, od jednego sprawnego ciosu.

Zamiast tego konał w męczarniach wczepiony we mnie, zalewający mnie własną

krwią, śliną i moczem, który przez jego spodnie przesiąkał na moje. Jego zdumione, przerażone oczy jeszcze długo śniły mi się po nocach i prześladowały w dzień. W ten sposób poznałem przekleństwo pamięci. Dostałem już wtedy pamiętania minionej przyszłości, od momentu objawienia zapomnienie porzuciło mnie. Każdy dzień witałem, jak mi się wydawało, błogosławiony pośród wszystkich tych zapominających ludzi. Mord to skaził, w każdym razie na jakiś czas.

Przez kilka dni nie mogłem dojść do siebie. Czułem wyrzuty sumienia, ale i wybijającą się ponad nie wściekłość, że zmarnowałem tamtą śmierć. Przecież nie zabiłem dla chorej satysfakcji bestii, lecz by śledzić strumień danych opuszczający umierającego. Coś musiało się z nim dziać, potrafiłem już odróżniać dane przyrody nieożywionej od ożywionej; poznałem alfabet danych, teraz chciałem nauczyć się nie tylko płynnie w nim czytać świat, ale i świat ten zrozumieć.

Zamiast badać konającego, płakałem nad nim i nad sobą, popiskiwałem, jęczałem, jakbym to ja umierał. Przegapiłem okazję. Okazałem się marnym badaczem.

Jedno, czego się dowiedziałem, to że zabity przeze mnie nie zmartwychwstał kolejnego dnia. Jego ciało pozostało tam, gdzie je ukryłem – w naszej kaplicy, w miejscu, z którego powstał mój ojciec. Okazało się, że zmartwychwstania nie były wielokrotne. Kto raz powstał z martwych, gdy ponownie umarł – przepadał na zawsze.

Dlaczego tak się działo? Co miało spotkać jego matkę w dniu jego narodzin? Czy odmieniłem przeszłość w tym drobnym szczególe? Czy ten człowiek miał w przeszłości spłodzić potomków? Co się z nimi stało? Powinni istnieć, jeszcze nim go zabijałem, czy teraz zniknęli, czy też istnieli bez rodzica? Obie hipotezy wydawały mi się równie zdumiewające.

Musiałem znaleźć następnego.

Wciąż czułem do siebie wstręt, jednak gorączka poznania wypierała go i wreszcie zwyciężyła. Tym razem musiałem lepiej wybrać obiekt badań.

Odnalazłem go na peryferiach. Prowadził niewielki sklepik balansujący nieustannie na granicy bankructwa. Co najważniejsze, miał żonę i dwoje dzieci – dziewczynkę i chłopca. Chłopiec był podobny do matki, ponurej i niewysokiej, dziewczynka natomiast wdała się w ojca. Gdy uduśiłem go pewnego świtu, dzieci nie zniknęły.

Wydawało mi się, że zmieniły się nieco ich twarze, nie mogłem być jednak tego pewien. Obserwowałem je przez czas jakiś, dopatrując się zmian, i sądziłem, że dostrzegam zmiany rysów twarzy dziewczynki. Zacząłem robić zakupy w ich sklepiku, poznawać rodzinę bliżej i przekonałem się, że mam rację. Z każdym mijającym dniem dziewczynka coraz mniej przypominała ojca.

Pewnego dnia zastałem w sklepiku innego mężczyznę. Wszyscy sąsiedzi pamiętali, że był tam od zawsze. Nikt nie pamiętał już zamordowanego męża kobiety, jakbym wymazał go z rzeczywistości.

Zmieniłem przeszłość.

Kusiło mnie, by zabić i tego nowego sklepikarza. Oparłem się tej pokusie tym łatwiej, że nie polubiłem zabijania. Mierziło mnie swoją dosadnością. Śmierć zderza nas z toporną cielesnością tak urągającą potędze umysłu. Chciałem, by mój geniusz wyrastał poza zgrzebny znój komórek, bym okazał się czymś ponad mięso. Moje ciało napawało mnie wstrętem, rad zapomniałem o nim, skupiając się, niegdyś, w przyszłości, na elegancji liczb, później, po objawieniu, na wolnych od cielesności danych przenoszonych na szczęśliwej, lekkiej i świetlister energii. Gdy zabijałem, gdy przyci-

skąłem do siebie ciała innych ludzi, wyciskając z nich życie, kropla po kropli, mord przypominał mi, że i ja jestem przede wszystkim ciałem. Że mój umysł, z którego by-

łem tak dumny, to przejaw funkcjonowania galaretowego organu podatnego na przemijanie i śmierć. Nie różniłem się niczym od swojej ofiary, byłem równie wstrętny i ograniczony jak ona.

Nie chciałem już zabijać.

Nie było takiej potrzeby. Śmierć sklepikarza obserwowałem chłodniejszym okiem. Patrzyłem, jak przemienia się jego energia, jak nadpisują się jej nowe sygnatury, przekształcając przekaz i modyfikując bazę danych, którą w istocie był. Drobną zmianą sygnatury oznaczającą różnicę między „żywym” a „martwym” przynosiła znaczące konsekwencje, o czym przekonałem się później, obserwując modyfikacje dzieci zabitego. Przede wszystkim jednak zaobserwowałem wreszcie przeblysłk energii, którego nie udało się wytłumaczyć w żaden sensowny sposób – nie niósł żadnych zmian w bazie danych, nie pociągał żadnych konsekwencji dla umierającego ciała. Byłby zupełnym marnotrawstwem, a zatem czymś, co w przyrodzie nie miało prawa zaistnieć. Chyba że ten nic nieznaczący przeblysłk był w istocie sygnałem.

3

Nie rozumiałem, czemu przeciwnik Holema miałby chcieć go dopaść, wydawało mi się to nielogiczne. Gdybym to ja prowadził żywot przestępcy, unikałbym mego przyjaciela jak ognia. Znano go w całej Europie. Ileż zaproszeń przychodziło do niego z Wiednia! Sam dziwiłem się, że dysponując tak znakomitym umysłem, wolał mieszkać na prowincji, zamiast przeprowadzić się do któregoś z wielkich miast. Tłumaczył, że zbrodnia pozostaje zbrodnią, czy popełnia ją hrabia na dworze, czy żebrak w zaułku. Nie do końca wierzyłem temu wyjaśnieniu. Może obawiał się, że gdyby zrobił większą karierę, dotknęłaby go pogarda związana z jego pochodzeniem? Choć odciął się od swych rodaków i pogardzał ich religią na równi z każdą inną, z pewnością znaleźliby się tacy, którzy wytknęliby mu jego korzenie. Tu, w Krakowie, miało to może mniejsze znaczenie, póki Holem zachowywał postawę stosunkowo skromnego, lokalnego detektywa. Ale gdyby trafił na salony?

Co ja zresztą wiedziałem! Może w przyszłości tak właśnie potoczyły się nasze losy? Może Holem zyskał sławę, o której wszyscy już zapomnieli? Którą tracił teraz z każdym mijającym dniem?

Wciąż był na tyle znany, by przestępcy drżeli na sam dźwięk jego imienia, by dokładali wszelkich starań, byle tylko nie wzbudzać jego zainteresowania.

– To wyzwanie – wyjaśnił mi, gdy zapytałem go o pobudki naszego przeciwnika. – On wie, że dorównuję mu intelektem, i lęka się, że mogę go przewyższać.

Człowiek taki jak on nie zdzierży niepewności. Budzi się każdego ranka i uświadamia sobie swoje istnienie. Czuje lęk, czy nie czają się na niego, każde jego przedsięwzięcie jest zagrożone. Chce rozstrzygnięcia jak najszybciej, nim obaj zdziecinniejemy. Woli zginąć, niż kłaść się spać, pewien, że znów obudzi się trapiiony tą samą niepewnością. Pragnie wyzwolenia.

– Przecież jutro nie będzie o niczym pamiętał! Cóż to za satysfakcja!

– Jedyna, jaką mamy, Janie. Satysfakcja chwili, potęga momentu. Jutro żaden z nas nie będzie pamiętał, kto wygrał. A jeśli powtórna śmierć jest ostateczna, to zwycięzca nie będzie pamiętał nawet o istnieniu tego, którego pokonał. Ale w tej jednej chwili triumfu będzie się czuł szczęśliwy. I nie wyrzeknie się jej.

A po chwili dodał cicho: „ani ja”.

Przy tyłu zaletach mój przyjaciel nie był wolny od grzechu pychy. Potrafił znosić

najgorsze ubóstwo i poniżenie, nie wyobrażał sobie jednak, by ktoś mógł dorównać mu intelektem. Wśród detektywów istotnie nie znajdował równego sobie. Może dlatego szukał godnego rywala wśród przestępców? Jeżeli ktoś taki w ogóle istniał.

Nie pierwszy raz wątpiłem. Tego dnia, jak sądzę nie po raz pierwszy, odkryłem, że Holem nudził się. Zapewne z utęsknieniem czekał na czasy, gdy był jeszcze młody i nieznany, gdy policja przeszkadzała mu, zamiast pomagać, a przestępcy go lekceważyli. Gdy każdy dzień przynosił będzie nowe wyzwania. Dziś nie istnieli już przestępcy, którzy odważali się stawać na drodze Holema, a on sam rozwinął umiejętności do tego stopnia, że większość zagadek umiał rozwiązać, nie wychodząc z domu.

Rozważałem, czy większą udrękę stanowi dla Holema obecna nuda, czy też zbliżające się nieuchronnie poczucie własnej niedoskonałości, połączone ze świadomością, że kiedyś, w przyszłości był zapewne o wiele lepszym detektywem, gdy wybiła godzina ósma i stróż zamknął bramy cmentarza. Ciemno było już od kilku godzin, trzeciego stycznia noc w Krakowie zapadała wcześniej. Z niecierpliwością wypatrywałem nadejścia jesieni, a po niej lata. Nie przepadałem za zimą, a gdy trząsłem się z chłodu ukryty w cieniu muru naprzeciwko cmentarza, moja niechęć do tej pory roku rosła. W przeciwieństwie do mnie Holem nie zwracał uwagi na niskie czy wysokie temperatury, był całkowicie obojętny wobec kaprysów przyrody. Gdy skupiał się na zadaniu, reszta świata traciła dla niego znaczenie.

Zniecierpliwiony, chciałem już wdzierać się na cmentarz, lecz powstrzymał mnie. Odczekaliśmy, aż stróż odejdzie wreszcie, a jego zmiennik rozsiądzie się w ciepłym wnętrzu budki. Minął nas policyjny patrol. Ci policjanci nie zostali uprzedzeni o zasadzce, toteż przyglądali nam się podejrzliwie. Rozpoznawszy Holema, przywitali się dyskretnie i odeszli.

– Teraz – zdecydował Holem.

Minęliśmy główną bramę, skręciliśmy za róg i tam, korzystając z celowo wygaszonej latarni, pokonaliśmy ogrodzenie.

Ciało Drewaczyńskiego spoczywało w grobowcu dominikańskim. W dzień wiedziałbym, jak tam trafić, nocą jednak pogubiłem się zupełnie.

Holem odnajdywał drogę bez trudu. Dobiegliśmy w pobliże kaplicy. Już oddychałem z ulgą, przekonany, że teraz i ja sobie poradzę, kiedy skręcił niespodziewanie w prawo, ciągnąc mnie za sobą w cień dużego grobowca postawionego na kształt domu.

– Obejdziemy ich bokiem – syknął. – Zachowuj ciszę, Janie!

Przemykaliśmy się zatem między grobowcami. Pochyliłem się odruchowo, choć większość z nich zasłaniała mnie bez trudu. Zatrzymaliśmy się wreszcie na znak Holema.

– Spójrz – szepnęła. – Jest! Ha! Wysłał swojego zabójcę!

Jakiś mężczyzna ukrywał się w cieniu grobowca ledwie kilkanaście metrów od nas. Gdybyśmy ruszyli prosto do celu, jak zamierzałem, mógłby zastrzelić nas bez trudu.

– Zabójcę? – choć ruch rozgrzał mnie, znów zrobiło mi się zimno na myśl, że pośrodku cmentarza przyjdzie nam się zmierzyć z mordercą.

Dawniej cmentarze były miejscami ciszy i spokoju. Obecnie nie mogłem być pewien, czy lada moment nie usłyszę cichego, lecz narastającego skrobienia oznaczającego, że jakiś zapomniany zmarły właśnie się odgrzebywał. Choć byłem lekarzem, zaznajomionym ze śmiercią i chorobami, zmartwychwstania nieodmiennie przypra-

wiały mnie o dreszcze.

* * *

Asystowałem w wielu odgrzebach. Zmartwychwstali, często osłabieni i trawieni chorobami, wymagali opieki lekarskiej. Nigdy jednak nie przywykłem do powrotów tych jeszcze półtrupów; tutaj dziękowałem Bogu za cud zapomnienia, oszczędzający mi wizji mnie samego bełkoczącego, jeszcze w trupięgach, kulącego się przed wszelkimi objawami życia – światłem, dotykiem i dźwiękami. Sama myśl, że tej nocy gdzieś w pobliżu mogli budzić się zmarli, przyprawiała mnie o dreszcze.

– Pułkownik Moranow – wyjaśnił Holem. – Degenerat i zdrajca. Szpiegował dla Austrii podczas wojny z Turcją. Widzisz, jak utyka? Został ranny pod Filipopolem.

Potem Rosjanie odkryli jego zdradę i musiał uciekać. Znakomity strzelec. Przyjrzyj się jego karabinowi, Janie. Wspaniała broń, dam głowę, że robiona na zamówienie. Zwróć uwagę na cylinder w pobliżu zamka, czy wiesz, co to takiego? Sprężone powietrze.

Karabin Moranowa nie strzela wedle tej samej zasady co twój rewolwer, przyjacielu. Napędza go sprężone powietrze, dzięki czemu broń jest niemal bezgłówna, wystrzałowi nie towarzyszy też błysk. Zastrzełiłby mnie, a ty, stojąc obok, nie wiedziałbyś, skąd padł strzał, nie wiedziałbyś gdzie się schować. Z łatwością zabiłby i ciebie.

Zadrżałem. Przystałem wątpić w istnienie arcywroga Holema. Jakie jeszcze diabelstwa nam szykował?

– On musi być gdzieś w pobliżu! – szeptał Holem. – Nie wyjdzie, póki nie upewni się, że zginąłem. Zaczekaj tu na mnie, Janie. Nie ruszaj się stąd. Trzymaj Moranowa na muszce. Gdy wystrzeli, daj mu trochę czasu, aż mój przeciwnik się ujawni.

Wtedy zadbaj, by schwytano pułkownika. Policjanci Strassena mają się tym zająć, tobie jednak ufam bardziej.

– A ty? Dokąd idziesz?

– Muszę wywabić naszego wroga.

– Ale powiedziałeś...

– Tak, drobnostka, zapewniam cię. Muszę tylko dać się zastrzelić.

II

Czy to sama natura modyfikuje dane? Czy od początku istnienia byliśmy tylko ich nośnikami, magazynami informacji niesionych energiami niewidzialnymi dla zwykłych ludzi? Ale, jeśli każdy człowiek jest takim magazynem, to podzbiory, którymi w istocie jesteśmy, tworzą zbiór większy, którym są wszystkie żywe istoty na Ziemi.

One jednak stanowią podzbiór zbioru wszelkich bytów posiadających swoje energetyczne sygnatury. Wielkim zbiorem, do którego wszyscy należymy, byłaby więc Ziemia. Ale przecież świat nie kończy się na niej.

Czy nie kończy?

Regres czasu stanowi zagadkę, której nikt nie potrafił rozwiązać. Gdybyż był kompletny, łatwiej może byłoby odpowiedzieć na wiążące się z nim pytania. „Czas się cofa – powiadali uczeni – a wraz z czasem cofa się wszystko. Dlatego młodniejemy, zamiast się starzeć, dlatego zapominamy o jutrze, które znika i pamiętamy o wczoraj, które jeszcze nie nadeszło.”

Ale dlaczego czas cofał się skokowo?

Religijni szarlatani widzieli w tym sprawkę swoich bogów. Ja nie mogłem opierać się na takim przekonaniu, lecz ja wiedziałem więcej niż oni i potrafiłem więcej.

Pamiętałem przyszłość od dnia, w którym przeżyłem objawienie. Co więcej, wiedziałem, że można rzucić wyzwanie przeszłości i odmienić ją. Przyroda, wielka i potężna,

ale przecież niedysponująca umysłem, niepotrafiąca reagować natychmiast na niespodziewane zmiany, nie mogła podrzucić zastępcy na miejsce zamordowanego. To, co nastąpiło w niewielkim sklepieniu, wskazywało, że za regułami naszego świata prawdopodobnie stał świadomy intelekt.

Jeśli naszym regresem nie sterowały naturalne mechanizmy, to kto?

Nie chciałem zabijać, ale potrzebowałem więcej danych. Jak je uzyskać, nie narażając się na kontakt z odrażającą cielesnością?

Znaleźć zastępcę.

Choć pomysł wydawał się prosty, jego realizacja postawiła przede mną kolejne wyzwania. Przede wszystkim nie chciałem opierać się na byle zabójcy, jakimś przypadkowym łotrze, tępaku o martwym sumieniu i brudnych rękach. Ktoś taki stanowiłby obrazę nie tylko dla mnie, ale i dla mego zadania. Ponadto, zadając się z byle łajdakiem, ryzykowałbym, że w przypiływie chciwości zabije mnie zamiast obiektu eksperymentu.

Będąc dość mizernej postury, nie wzbudziłbym szacunku w interesujących mnie ludziach samym tylko wyglądem. Potrzebowałem narzędzi, to prawda. By je zdobyć, musiałem wysiłek opracować i wcielić w życie nowy.

Rozpocząłem obserwacje miejskiego półświatka. Cóż za nędznym materiałem musiałem początkowo dysponować! Jak prostacy i nijacy okazali się ci, którzy mieli służyć mojej sprawie! Naiwnie spodziewałem się, że znajdę wśród nich jeśli nie umysły światłe, to w każdym razie zdolnych, a śmiałych złodziejasków i bezwzględnych zabójców, skłonnych do brawury, ale, na swój sposób, inteligentnych.

Nic z tego.

Haracze z żebraków zdzierali łajdacy niewiele od nich silniejsi. Typy o zakazanych gębach, brudne i obdarte, okazujące śmiałość jedynie wobec tych, którzy bali się ich już wprzód, prowadzili mnie nieświadomie ku swym równie tępym i nędznym hersztom. Ci z kolei oplacali się łotrom jeszcze silniejszym, lecz także nieprzedstawiającym dla mnie potencjału.

Zrozumiałem, że jeśli zechcę skorzystać z jakiejś szajki przestępców sprytnych i sprawnych, będę musiał stworzyć ją sobie sam.

To nie okazało się trudne.

Podawałem się za posłańca kogoś znaczącego, kto potrzebuje dyskretnej pomocy. Zwaбіłem kilku głupców, którzy odtąd służyli mi koślawą pomocą. Ich dyskrecja kończyła się w chwili, gdy otrzymywali zapłatę za swoje czyny i znikali z nią w najbliższym szynku.

Pewien kłopot stanowiło przywiązanie ich do siebie. Każdego ranka budzili się wszak nieświadomi mego istnienia. Jeśli miałem dysponować własną grupą, musiałem stworzyć ją w przeszłości. Nie miałem tam fizycznego dostępu, dysponowałem jednak wiedzą.

Zgłębiałem kroniki kryminalne i historię swego miasta, aż wreszcie znalazłem kogoś, kto nadawał się do moich celów. Stary kryminalista, jeden z niekoronowanych królów lwowskiego półświatka. Władał prostytutkami, żebrakami i złodziejami. Pobierał haracze, stał za rozbojami i włamaniami i nie wahał się posunąć do morderstwa.

Nie chciałem niszczyć jego królestwa, przeciwnie, planowałem je umocnić.

Musiałem tylko stać się nim, tak by historia odnotowała jego istnienie, lecz nie zapisała jego śmierci. Ryzykowałem. Przecież możliwe było, że tajemniczy mechanizm

mógłby podsunąć na miejsce obalonego króla zbrodni własnego kandydata. Zatem w moim działaniu tkwił kolejny eksperyment – musiałem sprawdzić, czy mechanizm zaakceptuje mnie.

Dotarłem do swego celu i zabiłem go. Poszło mi łatwiej, niż sądziłem. On nie spodziewał się zagrożenia z mojej strony, ja zaś, po dwóch zabójstwach, nabrałem już wprawy.

Musiałem wejść w jego skórę. Stanąć za znanymi mi z kronik zbrodniami, które on zlecał. Stać się Jakubem Moriarczukiem, lwowskim Napoleonem zbrodni.

I kimś więcej. Bo trzecie dokonane przeze mnie zabójstwo uwolniło mnie od konieczności poszukiwań. Czy to dlatego, że poważylem się o zastąpienie Moriarczuka sobą, co wzburzyło dodatkowo linie czasu, czy też zaważyło moje doświadczenie, tym razem udało mi się dotrzeć do samego mechanizmu kontrolującego regres. To było moje drugie objawienie. Znacznie bardziej przerażające od pierwszego.

W pierwszej chwili nie potrafiłem nazwać ich maszynami. Czegoś tak potężnego nie wypadalo zamknąć w tak małej nazwie. Cóż znaczyły kotły parowe naszych lokomotyw, z których punktualności i mocy byliśmy tak dumni, wobec mocy zdolnej poruszać galaktykami, zaprzęgniętej w kierat inteligentnych energii? Tak jak sądziłem, wszystko w naszej małej bańce pośrodku regresywnego wszechświata było uporządkowaną energią i informacją. To stąd czerpałem wiedzę o swoich minionych przysłych dniach. Każdy atom mojego małego ciała budował mnie jako wzorzec pewnego bytu, niebędącego czymś wiele większym niż zapis stanowiący część ogromnego magazynu danych gromadzącego informacje na temat całego wszechświata, ale przede wszystkim na temat ludzkości, w tym mnie. Byłem drobiną, przecinkiem w nieskończonej bibliotece. Byłem jednak przecinkiem świadomym. I z każdą chwilą poznania coraz bardziej zagniewanym prawdą, którą poznawałem.

Mój gniew nie wystarczał, by przewyciężyć daremność przebudzoną, gdy stanąłem wobec maszynierii wszechświata w regresie. Czegokolwiek bym spróbował, wszystko nadaremno. Cóż znaczyło moje zmienianie przeszłości, gdy machina regresu przemielala całe tysiąclecia i porządkowała je?

Objawienie zniszczyłoby mnie, zmieniło w przestraszonego głupca błagającego o uwolnienie od wiedzy. Byłem tego bardzo bliski. Ale, zrządzeniem losu bądź dzięki niezłomności swojej woli i mimo wszystko nieposkromionej ciekawości, trafiłem na ślad tego, który mnie ocalił. Na ślad łajdaka, na którym mogłem się skupić; ślad mojego jedyne go prawdziwego wroga. Ukrył się w podupadłym, prowincjonalnym mieście nieznaczącym jeszcze nic na mapie świata. Czy spodobało mu się właśnie ze względu na prowincjonalność, czy też wybrał je dla nadchodzącej przeszłej chwały, pozostawało dla mnie obojętnym. Choć ukrywał się pod nędzną postacią, mógł dostarczyć mi wszystkich odpowiedzi. Przede wszystkim jednak samo jego istnienie przejmowało mnie wstrętem.

Musiałem opuścić Lwów. Matematyk, którym byłem w przyszłości i którym miałem być w odrzuconej przeze mnie przeszłości, już nie istniał. Nawet jeśli nadal kazałem swoim nędznikom nazywać się „profesorem”.

Jakub Moriarczuk wyruszył na czele swojej armii do Krakowa.

2

Czasem zastawałem mego przyjaciela odmienionego. Przywykłem już do jego drażniącej, nieumiejętnej gry na skrzypcach, choć pamiętałem, że w przeszłości miała mi się ona wydawać udręką. Ja będę starał się go powstrzymać, ilekroć sięgnie po in-

strument, a on cierpliwie będzie tłumaczył, że jego muzyka wydaje mi się koszmarna, ponieważ skupiam się na efekcie ubocznym, jaki stanowi melodia. Muzyka, w przekonaniu Holema, była jeszcze jednym matematycznym działaniem, próbą stworzenia równania opisującego harmonię wszechświata.

- Wszechświat, w istocie, musi być tworem uporządkowanym – tłumaczył mi.
- Chaos jest nielogiczny, a zatem pozorny. Wszystko to, co wydaje nam się nieuporządkowane, jest jedynie niezrozumiałe.

Protestowałem przeciw takiej filozofii. Przywoływałem opisy katastrof i zbrodni.

- Owszem, zdarzają się katastrofy – wzruszał ramionami. – Żaden system nie jest doskonały. Im większa, im bardziej skomplikowana maszyna, Janie, tym większe ryzyko błędu i awarii. Dlatego istnieją na świecie inżynierowie i mechanicy.

– I ty jesteś kimś takim?

- Zbrodnia to awaria społeczeństwa – przyznawał. – Albo katastrofa wynikająca z takiej awarii. A zatem tak, można powiedzieć, że jestem inżynierem bądź mechanikiem. Muzyka natomiast, choć tego nie dostrzegasz, to jedna z prób zapisu harmonii. Obawiam się, że na tym etapie rozwoju cywilizacji wcale nie mniej doskonała od zapisów chemicznych. Znajomość chemii jest nam odbierana, choć na szczęście żyjemy w czasach, w których dysponujemy jeszcze pewną wiedzą. Muzyka natomiast pozostaje wieczna bez względu na kierunek prądów czasu.

Trudno było mi się pogodzić z jego teorią harmonii wszechświata. Zbyt często spotykałem się z chorobami, których pochodzenia i sensu nie potrafiłem wyjaśnić.

Jaki sens miał organizm pożerający sam siebie? Przyczyny wielkich zaraz potrafiłem sobie wytłumaczyć, ale nieznanymi chorobami dręczących pojedynczych ludzi, którym nie umiałem pomóc? Holem miał odpowiedź i na to – przyszłość. Gdzieś w utraconej przyszłości musiały się kryć odpowiedzi na wszystkie zagadki.

Czasem jednak znajdowałem mego przyjaciela odmienionym. Ponury i milczący, całymi godzinami siedział w fotelu, nie zwracając uwagi na nic. Gdy dostrzegłem mnie wreszcie, witał przyjaznym okrzykiem, z tonu głosu odgadywałem jednak, że ponury nastrój wcale go nie opuszczał. W nadchodzącej, niepokojąco bliskiej przyszłości, odważyłem się kiedyś zapytać, co dręczy go w takich chwilach. Wkrótce zapomniałem tę odpowiedź.

- Nuda – odpowiedział. – Czasami nudzę się, Janie. Jestem tylko czynem, jak więc mam istnieć, gdy nie ma nic do zrobienia? Ty masz swoje marzenia, swoją uroczą żonę. Nawet te wszystkie wątpliwości, które tak cię niepokoją, sprawiają, że żyjesz. Dla mnie istnieje tylko działanie albo pustka. Twoje życie wypełniają drobiazgi, w moim ich brak. Kiedy nie toczy się żadna sprawa, nie ma i mnie. Życie takich jak ty czasem mi o tym przypomina.

Właśnie wspomnienie tej chwili sprawiało, że tak długo wątpilem w istnienie arcywroga detektywa. Niepokojąc się o zdrowie mego przyjaciela, podejrzewałem, że potrafiłby wymyślać zagadki dla siebie i przeciwników. Dlatego tę groźną sytuację na cmentarzu powitałem niemal z ulgą, choć przecież zagrożone było nasze życie. Holem jednak nie oszalał, Napoleon zbrodni istniał naprawdę!

Jednak słowa detektywa przepęlniły mnie grozą. Jak to – miał dać się zastrzelić?

Holem stanął przed grobowcem Dominikanów. Zaniepokoiła mnie sztywność jego ruchów. Czyżby się bał? Kto by się nie bał, wiedząc, że już wycelowana jest weń

lufa broni bezwzględniego zabójcy! Zacisnąłem dłoń na kolbie rewolweru. Gotów byłem już teraz zastrzelić Moranowa, byle tylko ocalić przyjaciela. Ale wtedy zepsułbym pułapkę. A wiedziałem, że Holem prędzej wybaczyłby mi własną śmierć niż przeszkodzenie w realizacji planu. Patrzyłem więc, jak odczytuje imiona zmarłych, jak rozgląda się, szukając wroga. Wreszcie w alejce po lewej stronie pojawiła się jakaś postać. Było zbyt ciemno, bym rozpoznał twarz przybysza, z postury wydał mi się jednak podobnym do mężczyzny wskazanego przez Holema na Błoniach.

— A więc to pan — szepnął Holem.

— A zatem to pan — znacznie głośniej powiedział przybysz. — Cieszę się. A teraz...

Nie usłyszałem strzału, a jedynie syknięcie. Holem zachwiał się, spróbował oprzeć o grobowiec, ale upadł. Jego wróg podszedł do ciała, ukląkł, ale zaraz wyprostował się gwałtownie i krzyknął coś, czego nie dosłyszałem, bo już wołając: „Strzelili! Strzelili!” wypadałem z kryjówki i ruszyłem ku Moranowowi. Kątem oka dostrzegłem jeszcze, że ktoś wyskoczył z ciemności i zaatakował przeciwnika mego zastrzelonego przyjaciela.

Rozległy się policyjne gwizdki. Z cieni wyłonili się kolejni policjanci.

Moranow obrócił się ku mnie. Zmroziła mnie nienawiść w jego wzroku. Odrzucił karabin, którego nie zdążył ponownie naładować, i sięgnął pod płaszcz, najpewniej po rewolwer.

Nie wiem, czy zdołałbym strzelić. Byłem jak sparaliżowany, zahipnotyzowany furią bijącą z oczu pułkownika. Na szczęście komisarz Strassen pojawił się za nim i pozbawił go przytomności ciosem kolby rewolweru.

— Holem! — zawołałem. — Trafił Holema!

— Uspokój się, Janie. — Mój przyjaciel wyłonił się z ciemności. — To tylko mój dobry znajomy, mistrz Ścisłowski, szczęśliwie dla nas nadzwyczaj niewysoki, kierował kukłą.

Istotnie, spod kłębu szmat owiniętych wokół kija, a otoczonych przez płaszcz i kapelusz identyczne z tymi, jakie nosił Holem, wygrzebywał się karzeł, którego chyba widziałem w cyrku odwiedzającym Kraków kilka razy do roku. W panujących na cmentarzu ciemnościach sam dałem się nabrać, cóż dopiero przestępcy, którzy przecież nie znali Holema tak dobrze.

— Ale... Wyrывa się! — zawołał detektyw.

Istotnie, obezwładniony, jak się wydawało, mężczyzna z Błoń roztrzącił policjantów i rzucił się do ucieczki.

— Za nim! Za nim! — zawołał wzburzony Holem. — Na Boga, nie pozwólcie mu uciec! Janie! Pędź za nim!

Pobiegłem, oszołomiony wypadkami. Minąłem Ścisłowskiego, wygrzebującego się spod zbyt obszernej dlań płaszcza Holema. Charakterystyczny kapelusz detektywa leżał obok.

Holem przyszykował pułapkę w pułapce! Czemu jednak mnie nie ostrzegł? Ileż nerwów o niego bym uniknął!

Biegliśmy za mężczyzną z Błoń. Nie mógł nam umknąć, ze wszystkich stron zmierzali ku niemu policjanci. Wreszcie zrozumiał to i zatrzymał się. Ciężko dysząc, oparł się o drzewo.

Podbiegłem do niego, gdy pierwsi policjanci obalili go już na ziemię i zakładali kajdanki.

Dopiero po chwili zobaczyłem jego twarz. Poblądłem na widok złośliwego

uśmiechu. Wydał mi się bardziej przerażający nawet od furii Moranowa.

Pułapka w pułapce.

— To nie on! — krzyknąłem z rozpaczą. — Oszukał nas!

I

Zbrodnia nie jest czymś jednorodnym, nie jest stałą i nie ma jednej tylko przy-

czyny. Może wziąć się z zapiekłej nienawiści, z zazdrości, ze strachu. Może stanowić efekt marzeń o lepszym życiu albo wynik chwili emocji, czy choćby upojenia odbierającego nam rozsądek i człowieczeństwo. Może efekt być konsekwencją ambicji, grą ze społeczeństwem, wyzwaniem rzuconym wielkim tego świata. Przeglądając wielkie magazyny wiedzy, znalazłem wiele jej definicji. Wedle większości z nich z całą pewnością byłem zbrodniarzem.

Istniały jednak i inne definicje.

Czy jest zbrodnią stanąć naprzeciw wielkiego zła i sprzeciwić mu się? Zabijałem i zlecałem zabójstwa. Czy to zbrodnia? Ci, którzy zabijają na moje zlecenie, z pewnością stają się zbrodniarzami, pozostają przecież nieświadomi moich pobudek. Ale ja?

Przeładam się w największym i najdoskonalszym istniejącym zwierciadle, w całej zebranej w historii ludzkości wiedzy. Wiem, że poniekąd próbuję się usprawiedliwiać, że wspomnienie pierwszego dokonanego mordu wciąż gryzie niepotrzebnie moje zbędne sumienie, że nie uwolniłem się do końca ze słabości człowieka, z którego nie potrafię do końca wyrosnąć. Poczciwy matematyk, którym byłem, wciąż patrzy na wielkie zbiorowiska danych jak na ludzi, a nie jak na zapisane energią informacje. To dobrze. W tym moja siła. Gdyby nie moje słabości, stałbym się taki jak ci, którzy stworzyli niewolące nas maszyny. Mechanicy z przyszłości posiadający olbrzymią wiedzę, większą może od mojej, a jednak tępi i ograniczeni. Wiedza to za mało, jak odkrywam; nie ofiaruje mądrości nawet uczonemu.

Mądrość przynosi bunt przeciw potędze, którą trudno nawet sobie wyobrazić.

W magazynach wiedzy można odnaleźć obrazy Krakowa z przeszłości, w której będzie wzbudzał zachwyty podróżnych. Czy ich dożyje? Czy będę mógł dowolnie zmieniać tożsamość albo tak manipulować energią, by zachować wieczne życie? Czy to ja stanę się w przeszłości Cagliostrem, Żydem Wiecznym Tułaczem? Czy to ja będę wzorem dla postaci nieumarłego opisanego przez tego Irlandczyka?

Jeszcze tego nie wiem.

Przybyłem do podupadłego Krakowa, w którym marne wspomnienia czasów, gdy pełnił rolę stolicy, nie powracały jeszcze do życia. Najgorsze wciąż było przed nim, wojny nadchodzącego stulecia dopiero miały go zmasakrować. Mimo to źle czułem się w tym mieście, marnym cieniu mojego Lwowa. Musiałem się pozbyć tych emocji.

Maszynieria, którą poznawałem, wciąż mnie onieśmiała. Ci, którzy odeszli z przyszłością, ograniczeni mechanicy dysponujący cudownymi narzędziami, zakłeli nas. Użyli całej swojej energii, całej swojej mocy, by zamknąć nas w energetycznym bąblu. Cała energia, jaką byli w stanie zgromadzić, energia minionego wszechświata, służy temu, by osłabiać regres w tym zakątku uniwersum, w którym żyjemy. Nie może oczywiście powstrzymać go całkowicie, ale spowalnia go. Dlatego żyjemy inaczej niż cała reszta wszechświata. Zamiast doświadczać regresu totalnie, doświadczamy go skokowo. Mogłoby to być wzruszające jak starania malarza próbującego ocalić swój obraz; niestety w postępach mechaników nie było nic romantycznego.

Wiedzieli, że nie zdołają się obronić przed ostateczną zagładą. Ta jest zapisana

w losach wszechświata, bez końca rozszerzającego się do granic możliwości, a następnie zapadającego w siebie. Istniejemy pomiędzy końcami świata i oni wiedzieli o tym i nie potrafili, na razie, tego powstrzymać. Ale u schyłku regresu wszechświat jest tylko potężnym skupiskiem skondensowanej energii, jak powietrze sprężone w karabinie nieszczęsnego Moranowa, tak cieszącego się tą prymitywną, choć zabójczą zabawką, którą dla niego zrobiłem. Mechanicy wymyślili, jak przetrwać. Stworzyli złożoną wyłącznie z energii maszynę zapisującą wszystkie nasze losy. Biografię każdej żyjącej istoty zapisuje ona w danych energetycznych, zdolnych przetrwać kolejny koniec i początek wszechświata. To ważne, bo losy nowego wszechświata mogłyby potoczyć się nieco inaczej. Zamiast ludzi jakiś nowy gatunek mógłby zdominować Ziemię, a może życie na niej wcale by się nie pojawiło? A oni nie chcieli zostawiać nic przypadkowi. Chcieli powrócić i – być może – znaleźć sposób na powstrzymanie regresu. Jakże szczytny zamiar! Jestem przekonany, że jeśli osiągnęliby sukces, ich potomkowie wystawiliby im jakiś rodzaj pomnika.

Ja pragnąłem, by pochłonęło ich piekło.

Byłem w pewien sposób szczęśliwszy, zapisując skrzypiącą kredą liczby na tablicy. Sądziłem wtedy, że pomimo życia w cieniu wielkiej daremności, byłem człowiekiem, którego starania i decyzje miały pewną wartość. W istocie znaczyłem niewiele więcej niż pył z kredy brudzący moje dłonie i rękawy. W wielkiej informacyjnej maszynie zbudowanej z energii byłem tylko pyłkiem. Och, to prawda, pojedynczy człowiek zwykle bywa pozbawiony znaczenia w historii. Jednak ma przynajmniej swoje życie! Maszyna z przyszłości odbierała mi nawet to! Byłem jedynie jedną z ciągu liczb budujących informację o historii ludzkości – materiale, z którego maszyny miały stworzyć powracającą przyszłość. Zero, a może jedynka po przecinku, uluda, nawet nie nasienie na nawóz, oto do czego sprowadzili mnie mechanicy z przyszłości.

Wobec tak perfidnego, okrutnego planu prawdziwy człowiek może się zachować w tylko jeden sposób – zniszczyć w nim, ile tylko zdoła.

0

Z kilkoma towarzyszącymi mi policjantami dobiegliśmy pod grobowiec Dominikanów, by nie zastać tam nikogo.

– Musimy się rozdzielić – zdecydował jeden z policjantów. – Z panem, doktorze, pójdzie Deibnitz. Nie wahajcie się użyć broni.

Ruszyliśmy ku południowej stronie cmentarza. Wkrótce znów przyszło nam się rozdzielić. Deibnitz był przekonany, że usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z prawej strony, podczas gdy ja wyraźnie słyszałem ciche głosy na lewo od nas. Zgodziliśmy się zawołać drugiego w razie potrzeby i ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach.

Skradałem się ostrożnie między grobami. Głosy słyszałem coraz wyraźniej. Dobiegały z wnętrza grobowca wielkości niewielkiego domu. Czyżby zwiodło mnie czyjeś zmartwychwstanie i nocny odgrzeb?

A jednak jeden wydał mi się znajomy. Holem? Zaryzykowałem. Zbliżyłem się ostrożnie do solidnych wrót. Miałem nadzieję, że jeśli przyjdzie co do czego, nie okażą się zamknięte od wewnątrz.

– ... was nienawidzę! – warczał ktoś. Wydawało mi się, że chętnie by krzyczał, starał się jednak ściszać głos. Było w nim tyle złości, tyle nienawiści, że odruchowo odciągnąłem kurek rewolweru. – Kim jesteście, by uzurpować sobie to prawo! Kim ty jesteś!

– Wie pan, kim jestem, profesorze... – głos Holema pozostawał spokojny, jak

zazwyczaj. Tylko raz słyszałem go wzburzonego – kilkanaście minut wcześniej, gdy wysyłał nas za fałszywym człowiekiem z Błoń. Czy możliwe, że wtedy udawał? Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Czy udawał wzburzenie, tak jak udał, że daje się nabrać na podstęp przeciwnika? Czy celowo wysłał nas wszystkich w pościg za przebieraniem? Ale po co, dlaczego?

Chciał zostać z nim sam na sam?

– Wiem, czym jesteś! – Nazwany profesorem przerwał Holemowi. – Nawet nazwałeś się, czy też ono nazwało cię trafnie! Golem! Golem! Przeklęty strażnik, łądak utrzymujący porządek wśród niewolników! Nienawidziłbym cię, gdybyś był człowiekiem, ale jesteś tylko sztucznym tworem, maszyną!

– Wydaje się pan wiedzieć wiele, ale nie wie najważniejszego.

– Byłem tam, stworze. Byłem, widziałem wszystko! Całe lata studiowałem wasze zbiory, te wielkie magazyny danych...

– Bazy – teraz wpadł mu w słowo Holem. – Nazywamy je „bazami danych”, profesorze. Proszę się opanować. Nie chcemy pana tracić. Ktoś taki jak pan mógłby tak wiele zdziałać.

– Miałbym stać się podobnym tobie nadzorcą? Tylko gorszym, bo ludzkim?

– To dla dobra ludzkości, profesorze.

– Dobra ludzkości? – wycedził profesor. – Dobra ludzkości? Czy ty wiesz, co mówisz? Gdzie to nasze dobro? W wiecznej niewoli? Ile mam wolnej woli, golemie?

Tyle, co sam sobie wywalczyłem, zmieniając przeszłość!

Co ten szaleniec bredził? Poruszyłem się niespokojnie i zbyt nieostrożnie.

Usłyszeli mnie.

– Tam ktoś jest!

– Spokojnie, profesorze. Poznałem wcześniej po krokach. To doktor Cosyn. Nie jest groźny. Nie będzie wczoraj nic pamiętał.

– Niech wejdzie!

Uchylono mi drzwi.

Byłem na siebie wściekły za nieostrożność. Niechętnie przekraczałem próg grobowca. Już raz pochowałem dziś w duszy Holema, nie chciałem powtarzać tego w tym ponurym wnętrzu.

– Janie, to profesor Moriarczuk. – Holem zachowywał się, jakby nic się nie stało. – Najniebezpieczniejszy człowiek na świecie. Sądzę, że chce, byś go wysłuchał.

– Bardzo sprytny, golemie – roześmiał się Moriarczuk. – Ale ja nie potrzebuję sędziego. Znam prawdę, znam twoją winę. Zginiesz dzisiaj.

W ciemności nie mogłem dostrzec twarzy profesora, bez trudu za to zorientowałem się, że był uzbrojony. Celował na przemian to we mnie, to w Holema.

– To nie ma znaczenia, profesorze. Nie jestem sam.

Broń w dłoni Moriarczuka zadrżała.

– Wiem, że nie można cię zabić naprawdę – wyszczał. – Śledziłem historię.

Zawsze trafiają się tacy jak ty. Ale jeśli zabiję ciebie, przynajmniej coś zmienię! Każda zmiana psuje wasz doskonały model. Każda przyczynia się do wolności. Czy wy tam nie widzicie, w co zmieniliście świat? A jeśli ład wymaga właśnie zmian? Który raz powtarzacie już ten martwy cykl? Kto wam powiedział, że inna wersja historii, może nawet jakaś inna rasa, byłaby gorsza? A może powstrzymujecie ewolucję wszechświata? Skąd w was taka pycha?

Spojrzałem na Holema. Wciąż wydawał się spokojny. Może czuł rozczarowanie

Moriarczukiem? Nie szukał szaleńca.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, doktorze – zwrócił się do mnie Moriarczuk –
czym jest pański przyjaciel? Bierze go pan za człowieka, prawda? Nic bardziej mylnego!
Nigdy nie zastanawiał się pan, skąd ten jego nadludzki geniusz, ta niesłychana
umiejętność obserwacji i kojarzenia faktów, których inni nie potrafią nawet dostrzec?
Skąd jego wszechwiedza? Gdybyż pan widział, co ja widziałem!

Był bez wątpienia szalony. Jeśli Holem wysłuchiwał go spokojnie, to chyba wyłącznie ze względu na broń w jego rękach. Ale i ja byłem uzbrojony. Czy wiedział o tym? Nie wyciągałem przed siebie rewolweru, jak on, ale trzymałem go w opuszczonej
wzdłuż ciała ręce. Mógł nie zobaczyć broni w ciemnościach. Czy okazałbym się wystarczająco szybki? A może to wszystko nie miało znaczenia? Może nawet, jeśli zginęlibyśmy tu obaj, wczoraj obudzilibyśmy się, jakby nic się nie stało?

– Czy pan mnie rozumie? – zapytał Moriarczuk. Zorientowałem się, że mówił do mnie. Mimo wszystko chciał, by ktoś go zrozumiał, by pojął jego zamiary i motywy.

– Nigdy nie zastanawiał się pan, czy cokolwiek z tego, co robi, ma znaczenie w tym świecie?

Drgnąłem. Łajdak czytał mi w myślach?

– Holemie... – spróbowałem.

– Wysłuchaj go, Janie. To interesująca koncepcja.

– Koncepcja! – parsknął profesor. – Ty mówisz o koncepcji! Ty, który powstałeś z konceptu pisarza tyle razy minionego świata! Uczyniony, by być strażnikiem regresu! Niech pan sobie wyobrazi, doktorze, świat, który jest jedynie księgą, zapisem historii. Ale litery w tej księdze to żywi ludzie, pragnący wyrwać się z niezmiennej treści, pragnący żyć naprawdę. Wszystkim ich staraniom kładzie jednak kres ponury strażnik zawsze poprawiający zdania, które litery starają się przebudować. I tak jest przez wieczność. Nawet jeśli księga spłonie, strażnik napisze ją na nowo, identycznie co do przecinka, albo przynajmniej tak podobnie, że różnice pozbawione będą znaczenia. Czy wyobraża sobie pan taką niewolę, doktorze?

Nie miałem pojęcia, o czym mówił. Ale przebywanie z Holemem nauczyło mnie, że czasem należy wysłuchać nawet szaleńców. Kiedy już wyrzucą z siebie wszystko, co ciąży im na sercach, można jakoś zareagować. Choć w tym przypadku istniało ryzyko, że ten wariat po zakończeniu przemowy zwyczajnie nas zabije.

– I pan się przeciw temu buntuje?

– A pan nie buntowałby się? Nie chciałby pan przywrócić życiu znaczenia?

– Poprzez zabójstwa? Zbrodnie?

– Nic innego nie można zrobić! – podniósł głos. – Jedyne, co jest w stanie przywrócić wolność, to zaburzenia systemu! Niechże pan przestanie myśleć jak bezwolny zapis! Zabijałem znaczących, organizowałem zamachy na królów i cesarzy. W przyszłości, którą pamiętam, wpłynąłem na przyspieszenie rewolucji, która ogarnęła większą część globu! Dane zapisane w maszynie musiały ulegać zmianom. Mieszałem je, zmieniałem. Już część naszej historii nie potoczy się tak, jak toczyła się w progresywnym wszechświecie. Kto wie, ilu już ludzi ocaliłem, ilu podejmie w przyszłości swoje własne decyzje, a nie będzie tylko niewolnikami maszyny. Oni sprowadzili nas do wykresów, doktorze! Ja przynoszę nam wolność!

– Być może przynosi pan zagładę ludzkości – odezwał się wreszcie Holem. –

Ilu jeszcze zmian pan dokona? Jeśli zniszczy pan bazy danych, jeśli wprowadzi pan

chaos w programie, może nastąpić koniec świata, który znamy. A ludzkość nawet nie zaistnieje.

— Być może wszechświat także zasługuje na wolność — odparł gniewnie Moriarczuk. — Wolność jest warta ryzyka, golemie. Ale ty nigdy tego nie zrozumiesz.

— Wciąż przekręca pan nazwisko mojego przyjaciela — zauważyłem.

— Nazywam go prawdziwym imieniem. To nie człowiek, tylko konstrukt. Maszyna, o której panu mówiłem, stworzyła go na podstawie banalnej literatury. Udaje człowieka z wieloma jego ograniczeniami, by nie zaburzać naszej rzeczywistości obecnością czegoś, co byłoby w niej niemożliwe. Maszyna jest potężna, ale i głupia.

Gdyby objawił się jako ktoś obdarzony boską mocą, musiałaby zapisać w danych takie wydarzenie, bo tak ją zaprogramowano. Więc udaje zwykłego człowieka. Jest genialnym detektywem, bo cały czas ma dostęp do wielkiego magazynu danych obejmującego wszystko, co się wydarzyło, wydarza i wydarzy na świecie.

— Jeśli tak jest — ubiegł moje pytania Holem. — Jeśli jestem maszyną, która zapisuje historię wszechświata, by odtworzyć ją w progresywnym wszechświecie, który powróci po kresie regresu, to znaczyłoby, że jestem tym dobrym. Strzegę ludzkości, profesorze. Czuwam nad jej ratunkiem.

— Nie! — warknął Moriarczuk. — Pomagasz ją niewolić! Ja czy ten ograniczony lekarz jesteśmy jak pacynki w teatrze. Nie żyjemy, lecz odgrywamy role, a ty pilnujesz, żebyśmy z nich nie wypadli. A kiedy wróci progresywny wszechświat, zadbasz, byśmy zrobili to raz jeszcze. Kiedyś, kiedy wszystko to działo się po raz pierwszy, mieliśmy wybór, byliśmy wolni. Ty, maszyna, ludzie z przyszłości — odbieracie nam go. Sam jesteś niewolnikiem i niewolisz innych.

— A może pan, profesorze, także jest niewolnikiem? Tyle mówi pan o wolności, a jak doszło do pańskiego przebudzenia? Czy może maszyna wygenerowała pana, by dochować wierności historii, która już raz się przydarzyła? Niech pan sięgnie do bazy danych. Proszę sprawdzić, czy nie jest pan i tak częścią historii, która już była.

Dłoń profesora znów zadrżała.

— Nie! — szepnął. — To niemożliwe. A gdyby... A jednak! Łotrze! Nawet gdyby, to znaczyłoby tylko, że tam, w przyszłości był ktoś, kto także sprzeciwił się niewoli. Wśród waszych twórców był jeden sprawiedliwy! A to oznacza, że nie powstrzymasz mnie, nawet gdybyś mnie zabił! W samym programie maszyny jest skaza! Wirus pozostawiony tam przez jednego ze twórców, który ma nas wreszcie uwolnić! Ty...

Zawahał się. Urwał.

— Ty specjalnie to wszystko zaaranżowałeś — wyszeptał osłabłym nagle, pozbawionym pewności głosem. — Całe to spotkanie... pozwalasz mnie, głupiemu, mówić, a w tym czasie sondujesz mnie, by odnaleźć skazę i ją usunąć. Przeklęty! Uniósł dłoń. Starałem się wycelować weń pistolet, ale wiedziałem już, że nie zdążę. Holem, krzycząc, rzucił się ku profesorowi. Wszystko za późno.

1

Maria zasnęła nareszcie. Czekwała na mnie, niespokojna, jak zwykle gdy wyruszę na wyprawę z Holemem. Opowiedziałem jej prawie wszystko. To, co wydarzyło się w grobowcu, zostawiłem dla siebie. Nawet wiedząc, że do wczoraj zapomni o wszystkim, nie chciałem jej tym obciążać.

Gdy usnęła, wymknąłem się do kuchni. Zapaliłem najsłabszą z gazowych lamp, by przy jej świetle zapisać wszystko, co zdołałem zapamiętać.

Wiem, że to daremne. Nie ma takiej skrytki, w której mógłbym ukryć zapiski

przed żarłocznym czasem. Wszystko, co jest, znika bezpowrotnie.

A może nie? Może świat zmierza do jednego ze swoich końców, który wkrótce

stanie się jego początkiem, a my wędrujemy od jednej zagłady do drugiej?

Wiem, że zapomnę spojrzenie Holema pochylającego się nad umierającym.

— Nieszczęsny szaleniec! Tak bardzo dał się porwać swoim wizjom, że wołał się zabić, niż przestać w nie wierzyć.

— Czemu strzelił do siebie, zamiast do ciebie? — zapytałem.

— Wyobraził sobie, że robię mu coś złego. O ile zrozumiałem, sądził, że mógłbym dotrzeć przez niego do jego stwórcy, i postanowił go uratować, zabijając siebie.

Cóż za rozczarowanie, Janie! Sądziłem, że ścigam Napoleona zbrodni, a ścigałem jednego z tych nieszczęsnych gnostyckich sekciarzy.

Mówił z prawdziwym żalem. Tak jasno, tak spokojnie. Ale niepokoiło mnie to dziwne światło w jego oczach. Jakby odbłask niespodziewanego w tych okolicznościach słonecznego promienia, który wcześniej dojrzałem w oczach Moriarczuka.

To wszystko brednie zmęczonego umysłu, który zbyt wiele musiał na siebie przyjąć tego dnia. Końce świata mnie nie dotyczą. Dawno nie będzie mnie wśród żywych, gdy regres dobiegnie końca. Czy potem wszechświat rozpocznie się na nowo?

Może tak, może nie. Jakkolwiek się przydarzy, wizje Moriarczuka były zbyt szalone, świat nie może wyglądać w ten sposób.

Mimo to zapisuję je. Bo bardzo chciałbym pamiętać. Choć gdyby pomysły szalonego zbrodniarza miały się okazać prawdziwe, prawdopodobnie zgodziłbym się z tym zmyślonym Holem, że trzeba strzec świata i ludzkości, lecz mimo wszystko czuję niepokój. I choć to złe uczucie, chciałbym je pamiętać. Chciałbym zachować je, obudzić się wczoraj rano i pamiętać wszystko, co noc mi odbierze.

Zachować choćby i ból, choćby niepokój i zwątpienie. Zachować siebie, pamiętać. Nieważne, jaki jest świat i jaki spotka go koniec. Chciałbym pozostać sobą z tego pełnego niepokoju wieczoru.

To niemożliwe. Przedwczoraj zaczęło się stary, dziewiętnasty wiek. A ja nie pamiętam nic z mijającego dwudziestego.

Ale tak bardzo bym chciał.

MICHAŁ PROTASIUK

Prawie

Jest pan ofiarą powszechnego złudzenia, polegającego na wierze, że wszystko można zrozumieć.

Nie potrafi pan pojąć, że cały wszechświat jest jedną wielką sprzecznością.

Ayn Rand, Atlas Zbuntowany

1

Albercie Alvarado, jakie to uczucie? Próbujesz gadać z poczciwym facetem po trzydziestce, stoicie na zatłoczonej ulicy i zadzieracie głowy, aż bolą szyje. Spienione ścieki płyną kanałem burzowym, śmierdzi końskim łajnem i potem wąsatych facetów.

Trzydzieści metrów powyżej poziomu ulicy rozpina się stalowa estakada. Przesła odbijają pomarańczowe promienie zachodzącego słońca. Ludzie osłaniają oczy płachtami gazet. Gdzieś tam, wysoko, sapie lokomotywa, plując kłębamii pary. Wspina się na wzgórze Gamma. Na pokładzie bawi się rządowa reprezentacja, ministrowie we frakach piją koniak i zajadają kawior, przeschuglowany przez Cieśninę Beringa i dalej przemysłowym szlakiem wzdłuż Appalachów i rybackimi kutrami po niespokojnych

wodach Zatoki Meksykańskiej. Wkrótce pociąg zniknie w tunelu, a oficjele wysiądą na bocznicę kolejowej, by przeciąć wstęgę, inaugurując otwarcie pierwszej w mieście elektrowni.

Na ten moment czekają wszyscy. Z każdą minutą tłum gęstnieje, wszyscy stają się wyglądać odświętnie. Mężczyźni paradują w za małych garniturach, pamiętających dzień ślubu. Kobiety przekrzykują się nawzajem, zasmarkane dzieci płaczą i szukają rodziców, a ty nie możesz się skupić, gubisz słowa, wewnątrz głowy myśli uciekają niczym szczury z płonącej fabryki. Twój rozmówca mruży oczy, kręci głową i przygląda się krzywo.

Czyżby się czegoś domyślał?

Piętnaście minut temu całowałeś się z jego żoną.

Albercie Alvarado, w co ty się znowu wpakowałeś?

Jeszcze pamiętasz smak jej ust, krągłość piersi pod letnią sukienką i ciepło ko-biecego ciała. Twoje dłonie zanurzone w rudych włosach, szybki oddech dziewczyny na policzku.

— Więc, jeśli dobrze pana zrozumiałem, wraz z wprowadzeniem tablic statystycznych do pracy policji znacznie wzrosła wykrywalność przestępstw, a zwłaszcza...

— mówi señor Eduard Weber, usta mu się nie zamykają, a biedny młodszy detektyw w Wydziale Zabójstw, Alberto Alvarado, nie może się powstrzymać od zezowania na seńnię Malenę Weber, która przeży swe jędrne ciało i wystawia twarz na ostatnie smagnięcia słonecznych promieni tego długiego, letniego dnia.

Ponad zgromadzonymi powoli zapada zmrok. Miasto jest rozpięte na sześciu wzgórzach. Sześć to liczba doskonała, suma swoich dzielników. Wzgórza w oficjalnych dokumentach geodetów oznaczone są kolejnymi literami greckiego alfabetu. Alberto Alvarado, señor Eduardo Weber i seńora Malena Weber oraz, lekko licząc, dziesięć tysięcy mieszkańców, stoją w centralnym punkcie Bety, na placu Postępu, zwanym potocznie Patelnią, który w każdy wtorek i piątek zmienia się w gigantyczne miejskie targowisko. Z centralnego punktu Patelni w niebo strzela Ogród Dźwięków – pięciometrowa rzeźba, przypominająca półotwarty kokon, pelen poszarpanych krawędzi i chropowatych faktur. Na szczycie Ogród Dźwięków zamknięty jest sklepieniem.

Spuszczają się z niego stalowe struny różnej długości – część z nich zatopiono głęboko w bruku, część znika w nieregularnych występach i półczkach, którymi gęsto usiane są wewnętrzne ściany rzeźby. Teraz pogoda jest bezwietrzna i Ogród Dźwięków milczy. Kiedy wiatr szarpie struny, Ogród Dźwięków gra osobliwą muzykę natury; wysokość dźwięków zależy od długości wibrujących strun i przypomina wszystkim zgromadzonym na placu o matematycznej harmonii przyrody, wiecznym porządku i racjonalnej doskonałości.

Señor Weber cały czas coś mówi i nie potrafi przestać. Ognistowłosa Malena uśmiecha się do Alberta, ukradkiem oblizuje wargi i trzepocze zalotnie rzęsami.

Myśl racjonalnie, bądź racjonalny, żyjesz w społeczeństwie, którego spoiwem

jest wiara w racjonalne fundamenty świata, powtarza w myślach młodszy detektyw z Wydziału Zabójstw i z każdą chwilą czuje, jak wewnątrz żołądka rozdyma się balon wypełniony pustką, pożera organy wewnętrzne i powoduje wezbranie bezsilnej furii. Wasz pseudoromans to wkroczenie na samobójczą ścieżkę, przekonuje samego siebie. Zapomnij o tym. Jeszcze dziś. Teraz. Natychmiast.

– Proszę opowiedzieć coś o maszynach Leibniza-Lovelace. To wszystko jest szalenie ciekawe – prosi Malena. Señor Weber zezuje na żonę, a oczy cieszą mu się jak u niemowlaka na widok matki. Jest dumny ze swojej żony i napawa się jej widokiem, smukłością kształtów ciała w pomarańczowych feeriach wczesnowieczornego słońca.

Jest dumny z siebie i myśląc o tym, co osiągnął na przestrzeni trzydziestu lat życia, czuje satysfakcję. Eduardo Weber pracuje w stoczni Morales-Valdez Sociedad

Anónima, jest tam naczelnym projektantem, na wielkich kartach papieru kreśli szkice transatlantycznych parowców, które wkrótce wyruszą w dziewicze rejsy, wznawiając wymianę handlową z wyniszczoną wojną Europą.

Alberto Alvarado przełyka ślinę. Nie chce myśleć o señor Eduardo, ale nie potrafi przestać. – Przecież z niego jest najporządniejszy facet na świecie. Przecież on mi nic nie zrobił. Nie wywinę mu takiego świństwa. Może i jestem skurwielem, ale to przechodzi ludzkie pojęcie. Nie zrobię tego, nie wrócę do domu, nie przejrzę się w lustrze.

Nie.

Słońce opada za Alfę, a z kominów ulokowanych tam fabryk buchają w niebo kłęby czarnego dymu. Produkcja na Alfie nigdy nie ustaje. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wzgórze porastał gęsty, tropikalny las. Dziś to pustynia bruku i czerwonej cegły.

Wykarczowano niemal wszystkie drzewa – coś musi podsycać piekielny ogień pod kotłami wypełnionymi wrzącą wodą. Trzaskają paleniska, silniki miarowo stukają, odmierzając czas do końca zmiany, nadzorcy spacerują pomiędzy rzędami stanowisk pracy, nadzorując efektywność.

Nad głowami zgromadzonych na Patelni przemyka sterowiec w narodowych barwach. Ktoś rozrzuca prorządowe ulotki. Na szare niebo nadciągają poszarpane chmury, zaczyna wiać lekki wiatr. Ogród Dźwięków wygrywa dźwięk cis.

– W pięć dni do wybrzeży Afryki... Pan raczy żartować, señor Weber... W pięć dni? – Albertowi płacze się język, gubi słowa.

Malena!

W tym samym czasie na Gammie umorusani sadzą węglarze ocierają spływającą potem czoła i chwytają za szufle. Rządowi oficjele prężą pierś, butelki szampana czekają w pogotowiu. W systemie rośnie ciśnienie, para wprawia mechanizm tłokowy w ruch zwrotno-posuwisty, który poprzez korbowód napędza ruch obrotowy gigantycznego magnesu otoczonego zwojnicą. Miedzianymi kablami zaczyna płynąć prąd. Ministrowie wpadają w ekstazę, strzelają korki szampana, uliczne latarnie na Patelni rozblyskają sztucznym światłem – chwilę przed tym, nim pomarańczowa kula słońca schowa się za kominem cementowni. Tłum ogarnia euforia, ludzie wiwatują, padają sobie w ramiona, ktoś zaczyna wznosić prorządowe okrzyki i wkrótce wszyscy zgromadzeni dołączają się unisono. Wiatr wzmaga się, Ogród Dźwięków gra teraz w gis, ale ryki mieszkańców zagłuszają subtelną muzykę matematycznego wszechświata.

Alberto Alvarado, korzystając z ogólnego zamieszenia i tego, że señor Weber wznosi do góry ręce i potrząsa zaciśniętymi pięściami w geście triumfu, patrzy po-

nownie na Malenę.

Jaka ona jest piękna.

Wybij to sobie z głowy.

W tym samym czasie na Episolnie, w szarym gmaszysku internatu leżącym na obrzeżu uniwersyteckiego kampusu, Manuel Münzer czyści zęby, licząc do dwustu.

Uwielbia ten moment – jedyny w ciągu dnia, kiedy może po prostu nie myśleć. Zapomnieć, nie zadręczać się i nie przejmować. Wie, że na Alfie trwa właśnie gigantyczna feta, że wszyscy świętują udany rozruch elektrowni, ale on nie znosi tłumów. Prawdę powiedziawszy – Manuel Münzer po prostu nie lubi ludzi. Nieracjonalnych, niekonsekwentnych istot rządzonych popędami, które stanowią skazę na matematycznej doskonałości przyrody. Za siedem minut zegary wybiją dwudziestą pierwszą, Manuel będzie leżał wtedy w łóżku, czytając książkę. Dopływ nafty odetnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć i nim zegar na uniwersyteckiej wieży wybije dwudziestą drugą, smacznie zaśnie. Jutro – jak co dzień – czeka go pobudka o czwartej trzydzięści.

W momencie, kiedy Alberto Alvarado ściska dłoń señor Eduarda i nachyla się nad señorą Maleną, wymieniając kurtuazyjne muśnięcie policzkami, zaś w środku cały się trzęsie i gotuje, gdyż chciałby przyciągnąć młode ciało dziewczyny do siebie i z całej siły przytulić, zaś Manuel Münzer przekłada stronę sto dwudziestą trzecią na sto dwudziestą czwartą. Pochwały czystego intelektu, rozmyślając o problemie zdań syntetycznych a priori – w tej samej chwili na przedmieściach Bety, gdzie wybrukowane kocimi łbami uliczki wiją się stromo pod górę, Roberto Salinas, samodzielny referent w Ministerstwie do spraw Elektryfikacji, maszeruje do domu. Krok ma lekko chwiejny, gdyż, fetując sukces uruchomienia elektrowni, wychylił kilka kolejek tequili za dużo. Jutro wstanie do pracy później niż zwykle, nikt nie będzie robił mu wyrzutów, przecież równie przełomowe wydarzenia mają miejsce raz na kilka lat. W ministerstwie mieli już opracowane plany budowy kolejnych bloków i elektryfikacji mieszkań, w pierwszej kolejności kamienic bogatego mieszczaństwa na Delcie.

Roberto zamierza złapać jedną z ostatnich kolejek liniowych, która przewiezie go ponad rzeką i parującym od nadmiaru wilgoci tropikalnym lasem z Bety na Epsilon, gdzie wynajmuje skromny pokój w czynszowej kamienicy. Ulice o tej porze są wymarłe – festyn na Patelni dobiega końca, ale Roberto wykręcił się wcześniej, chcąc uniknąć tłumów.

– Señor Salinas – dobiega wtem z ciemnej bramy ponurego gmachu publicznego liceum. – Proszę podejść, mam do pana sprawę.

Roberto zatrzymuje się i zaciekawiony wyteża wzrok. Sięga dłonią do wewnętrznej kieszeni marynarki i zaciska palce na swoim największym skarbie. W bramie stoi tęgi mężczyzna, podpierając się laską. Robi nader dobrotliwie wrażenie. Roberto rusza w jego stronę, zastanawiając się, jak wygląda twarz nieznanego, ale nigdy nie będzie mu dane jej zobaczyć. Kątem oka dostrzega jeszcze dwie męskie sylwetki, które stoją w mroku, przytulone plecami do wilgotnego, ceglanego muru. Jest za późno, aby zareagować, nie zdąży nawet krzyknąć, kiedy silne dłonie wciągają go do bramy, zaś grubasek wali laską przez łeb. Coś pęka – Roberto słyszy wyraźne traaach – po czym nieżywy osuwa się na bruk.

2

– Na śmierć. Skopali go na śmierć. – Policjny patolog imieniem Jesus kuca nad ciałem i wykrzywia twarz w niedookreślonym grymasie, ni to współczucia czy za-

dumy nad kruchością ludzkiego istnienia, ni to rutynowego znużenia.

– Kto to? – Alberto nienawidzi takich dni. Dżungla paruje i w nocy wiatr przygania nad miasto obłoki wilgoci. Nad ranem obłoki spadają na ziemię i jest to ulewa tak gwałtowna, jakby gdzieś na firmamencie zawalił się system rusztowań podtrzymujących chmury. Wszystko wskazuje, że będzie padać do wieczora. W dzień taki jak dziś nikomu nie chce się wyściubiać nosa na zewnątrz i jeśli znajdują w zaszczonej bramie nieboszczyka, prawem kaduka wysyłają młodszego detektywa. A może to i lepiej? Może łatwiej rzucić się w wir pracy, zamiast siedzieć za biurkiem, przewalać papiery i torturować się myślami o señorze Malenie Weber?

– Roberto Salinas, lat dwadzieścia sześć, samodzielny referent w Ministerstwie do spraw Elektryfikacji – mówi młody dzielnicowy, który znalazł ciało podczas porannego patrolu. – Tutaj mam dokumenty. – Podaje Alberto portfel wykonany z marnej podróby skóry aligatora.

– Nie ukradli mu pieniędzy? – dziwi się Alberto.

– Pieniądze zabrali, ale portfel zostawili. – Patolog zanurza palce w gęstej czuprynie Roberto i aż cmoka z wrażenia.

– Może nie chcieli, aby zdradził ich portfel? – docieka dzielnicowy, zaś Alberto wzdycha w myślach i gryzie się w język, by nie powiedzieć „ile ty się jeszcze musisz nauczyć, chłopie. Na Patelni możesz kupić podobne portfele na trzech milionach straganów”.

– A może po prostu nie miał pieniędzy? Nie wygląda na krezusa. – Alberto próbuje od innej strony, starając się udowodnić, kto tu jest od myślenia koncepcyjnego, a kto od czarnej roboty operacyjnej.

– W Ministerstwie do spraw Elektryfikacji? – Młody policjant kręci z niedowierzaniem głową, łamiąc przy tym zasady służbowej hierarchii. Choć Alberto formalnie nie jest jego przełożonym, Wydział Muncypalny zwyczajowo okazuje szacunek Komendzie Głównej, a w szczególności Wydziałowi Zabójstw. – Mój szwagier robił przy elektrowni i oni tam naprawdę nieźle zarabiali. Rządowe budżety.

– Odwołuję hipotezę o skopaniu. Czaszka rozwalona na pół. – Patolog kiwa z uznaniem głową. – Robota fachowca. Precyzyjnie zadany cios, w szamotaninie trudno dokładnie wymierzyć.

– W Elektryfikacji byle chłopak na posyłki dostaje tysiąc pesos. – Patrolowy krąży dookoła ciała niczym sęp.

– Ilu ich było? – pyta Alberto.

Jesus delikatnie chwyta nieboszczyka pod pachy i układa na boku. Widać posiniaczoną twarz, na niej ciemne skorupy zaschniętej krwi.

– Trzech, czterech? Trudno powiedzieć bez dokładniejszych oględzin. Przyjdź z tym do mnie jutro.

– Zależy od Grubego. Mogę jeszcze nie dostać tej sprawy. – Alberto saltuje, modli się, aby nie dostać tej sprawy, ścisną dłoń dzielnicowego i klepie go po ramieniu. Stawia kołnierz płaszcza. Gasząc papierosa, strzepuje z wąsa popiół, po czym wychodzi prosto pod strugi deszczu, gęste niczym frijoles refritos.

3

Ile dokładnie lat ma Gruby, czyli Naczelnik Wydziału Zabójstw, tego nie wie nikt, ale większość obstawia połowę piątej dekady życia. Słynie z gęstych wąsów, które pokrywają się patyną pierwszej siwizny, oraz wielkiej pooparzeniowej blizny na lewej

połowicie twarzą. Jest lakoniczny i jego podwładni często boją się tej lakoniczności, niewłaściwie interpretują polecenia przełożonego, robią rzeczy głupie, zamiast zapytać, o co naprawdę chodzi.

Alberto nie boi się pytać.

— Weźmiesz tę sprawę — mówi Gruby i nie patrzy chłopakowi w oczy, grzebiąc w papierach na biurku. — Tego kolesia z bramy. Rutyna.

Jasne, myśli Alberto, ale się nie odzywa. Morderstwo podrzędnego urzędnika, biednego jak mysz kościelna, podczas gdy rano znaleziono też ministra do spraw edukacji, w domu, z odstrzeloną głową. Nikt nie wie: czy sam sobie palnął w łeb, czy ktoś inny pociągnął za spust? To się dopiero nazywa śledztwo! Polityka, wyższe sfery, na mieście mówią o skandalu korupcyjnym, są szanse na pierwsze strony gazet i szybki awans, jeśli wszystko uda się sprawnie rozegrać. A Roberto Salinas? Kto interesuje się jakimś pieprzonym Roberto Salinasem?

— Tak jest, szefie! — Alberto strzela obcasami oficerek. Cholernie chce mu się palić i nie może się doczekać tego momentu, kiedy trzęsącymi się paluchami wyciągnie peta z paczki i zaciągnie się głęboko, wypełniając płuca nikotyną.

— Nie spierdol tego — Gruby wciąż nie podnosi głowy znad papierów. Wierzę w ciebie. Zdolny jesteś. Myślisz racjonalnie. Wyciągasz wnioski. Potrafisz zaplanować swoją karierę.

Alberto wpada w panikę. Gruby pierwszy raz mówi do niego w ten sposób. Stało się coś złego?

— Wkrótce może stać się coś złego. — Gruby, z pietyzmem nietypowym dla swojego nonszalanckiego stylu bycia, akcentuje słowo „może”. — Coś bardzo, bardzo złego, jeśli dalej będziesz szedł tą drogą.

— Tą drogą? Jaką drogą?

— Jak jej tam, ten rudzielec, no przypomnij, proszę. — Gruby się nie droczy, to nie leży w jego naturze. On naprawdę nie pamięta. Wtem stuka się kantem otwartej dłoni w czoło i gest ten nie jest udawany. — Malena Weber, myślę o señorze Malenie Weber.

Alberto przetyka ślinę i czuje ciężar nieba, które pęka na pół i wali mu się na głowę, jakby i bez tego miał mało problemów.

— Co z nią? — pyta i natychmiast wie, że strategia udawania głupka jest najbardziej żenująca z możliwych, ale paradoksalnie wydaje się jedyną racjonalną. Gruby litościwie ignoruje desperackie próby pójścia w zaparte. Najwyraźniej ma dzisiaj dobry humor.

— Obściskiwałeś się z nią w bramie przy Patelni — mówi i w jego głosie po-
brzmiewa raczej troska, niż szyderstwo. — Widzieli cię chłopcy z SS-ki.

SS-ka, czyli Servicio Secreto, najbardziej tajemnicze oddziały policji, które nigdy nie zakładały mundurów. Na co dzień jej pracownicy zajmowali się inwigilacją związków zawodowych oraz innych antypaństwowych organizacji. Co robili od święta — nie wiedział nikt, nawet Gruby.

— Uważaj, proszę, na tę czerwonowłosą damę. Najlepiej szybko zakończ znajomość. Señor Eduardo Weber to wpływowy człowiek. Na mieście mówią, że będzie szedł w politykę z ramienia Partii Rozumu. Podobno szykują mu stołek w administracji. Jak wszystko się źle ułoży, za półtora roku może być moim przełożonym. Nie chciałbym zaczynać znajomości od konfliktu, bo mój człowiek postanowił bzyknąć jego żonę. Zupełnie tego nie rozumiem. Pomyśl logicznie, dlaczego señora Weber miałyby

na ciebie lecieć? Możesz jej coś zaoferować, czego nie może jej mąż? Co to jest?

Alberto spuszcza uszy po sobie, kiwa głową i obiecuje poprawę.

4

Glupie dowcipy nie trzymają się Jesusa. W przeciwieństwie do większości policyjnych patologów, na prawo i lewo sypiących z rękawa skatologicznymi anegdotkami i sprośnymi żarcikami, Jesus pozostaje zawsze poważny, skoncentrowany na pracy, która jest dla niego sensem życia.

Alberto wchodzi do gabinetu patologa, staje na czymś śliskim, traci równowagę i nieomal upada na ziemię. Zdziwiony, widzie wzrokiem i widzi linoleum usiane różowawym miąższem i drobnymi pestkami.

— Nie zdążyłem posprzątać. Nie wiedziałem, że przyjdiesz tak szybko — tłumaczy się Jesus, zawstydzony, jak dwunastoletni chłopiec nakryty przez matkę podczas masturbacji. — To musiało być tępe narzędzie, pałka, laska, metalowy pręt, coś w tym stylu. Szukałem na kości odprysków farby, drewna, lakieru, czegokolwiek, ale nie znalazłem.

— Po co to wszystko? — Alberto wodzi dłonią po arbuzowej apokalipsie.

— Próbowałem powtórzyć cios. — Jesus wyciąga spod biurka mosiężną rurkę i podrzuca ją w dłoń. — Trafienie równo w punkt, pęknięta puszka mózgowa, można powiedzieć, że czaszka zapada się do wewnątrz, a mózg nie chlapie na ubranie agresora. Aptekarska robota. Mnie nie wychodzi. Zaraz posprzątam. — Ucieka wzrokiem w przepaszający sposób.

— Gruby dał mi tę sprawę.

Alberto opiera się o stół do sekcji zwłok i zapala papierosa. Zna się dobrze z Jesusem, zaprzyjaźnili się rok temu, kiedy Alberto tropił dusiciela prostytutkę z Dzety, dzielnicy biedoty. Facet wpadł po tym, jak Jesus, analizując siniaki na szyi ofiar, odkrył, że morderca nie ma serdecznego palca w lewej w dłoni.

— Przechlapane. Masz gorsze notowania? Dlaczego?

W pierwszej chwili Alberto chce zaprzeczyć, ale niespodziewanie doznaje olśnienia.

To jest ostrzeżenie.

Gruby jest zbyt inteligentnym szefem, a Alberto zbyt dobrze rokującym detektywem, by marnować czas na zabójstwo jakiegoś pierdziśtołka. Dając mu tę sprawę, Gruby powiedział: „Miej się na baczności. Odpierdol się od Maleny albo skończysz jako dzielnicowy na Dziecie”.

— Udało ci się coś jeszcze ustalić? — zmienia temat.

— W wewnętrznej kieszeni marynarki miał list zaadresowany do niejakiego profesora Manuela Münzera. — Jesus podaje mu kopertę. — Nie otwierałem, woląłem poczekać na ciebie.

W odpowiedzi słyszy wymamrotane podziękowania na temat świetnej orientacji w procedurach. Potem Alberto sięga do miseczki chirurgicznej i wyciąga z niej skalpel. Wyciera zakrzepłą krew w parawan, wkłada ostrze pod zagięcie papieru i sprawnym ruchem wydobywa list na zewnątrz. Pochylają się nad nimi obaj.

5

Opisując – choćby pobieżnie – Manuela Münzera, należałoby użyć ze stu przymiotników, a i tak opis byłby niepełny. Oryginalny, dziwny, może nawet dziwaczny, ekscentryczny, genialny, niezrozumiały dla reszty, inny, wyniosły powtarza-

lyby się najczęściej. Roztacza wokół siebie specyficzną aurę, wszyscy go kojarzą, mogą godzinami sypać anegdotkami na jego temat, chociaż tylko nieliczni mieli okazję spotkać się z nim twarzą w twarz, gdyż Manuel ma liczbę zajęć dydaktycznych ograniczoną do ustawowego minimum.

Te wszystkie rewelacje Alberto Alvarado słyszy od sekretarki Wydziału Filozofii i Matematyki, kiedy siedzi w holu, przerzuca nieporęczne płachty porządkowego dziennika i czeka na spotkanie z profesorem. Dziewczyna nie przestaje gadać:

— Wszystko ma dokładnie zaplanowane, cały dzień, co do pół minuty. Wstaje

codziennie o czwartej trzydzieści, przez pół godziny gimnastykuje się, potem pracuje do siódmej. Śniadanie je od siódmej piętnaście do siódmej czterdzieści pięć. Następnie idzie na spacer po uniwersyteckim dziedzińcu i wraca o ósmej dziesięć. To jest geniusz, proszę pana, najprawdziwszy geniusz. Największy współczesny uczony, w porę uciekł z Europy, tuż przed wybuchem wojny, i to wielkie szczęście gościć go tutaj, wielka radość, że przyjął zaproszenie właśnie od naszego uniwersytetu, i...

Szczebiot urywa się w pół zdania, kiedy trzaskają drzwi od gabinetu, wychodzi z nich student, ściska w dłoni indeks i trwożnie się rozgląda, w paranoidalnym poczuciu zagrożenia.

— Proszę podjąć następną próbę — dobiega z wnętrza ciemnego pokoiku. Głos jest niski, a twardy germański akcent dudni nieprzyjemnie na dnie brzucha.

Egzaminowany kiwa mechanicznie głową, lecz nie trzeba filozofa, by odczytać z jego spojrzenia, że najbliższa próba, którą podejmie, będzie co najwyżej próbą samobójczą.

— Następny! — słysząc wezwanie, Alberto dźwiga się z miejsca i dziękuje w myślach Bogu, że nie jest już studentem.

— Pan nie jest studentem. — Manuel Münzer siedzi za mahoniowym biurkiem i pali fajkę. Poprzez kłęby waniliowego dymu trudno mu się dokładnie przyjrzeć, różne części twarzy wylaniają się i znów znikają, przesłonięte przez fajczane obłoki; tu miga oko, tu kość policzkowa, za chwilę profil nosa. Tyle wystarczy dobremu detektywowi, by zbudować pierwsze wrażenie, z rozsypanych elementów skonstruować spójny obraz. Rozmówca jest szczupły, ma bladą, niemal przezroczystą skórę, ciasno rozciągniętą na kościanym szkielecie czaszki.

Wyjaśnienie sprawy zajmuje nie więcej niż trzy minuty. W tym czasie Manuel pięciokrotnie zerka na zegarek, ostentacyjne ziewa, ubija tytoń w fajce, stuka cybuchem o stół, składała wargi jak do niewinnego pocałunku i puszcza z dymu kóleczka: puf, puf, puf.

— Już pan skończył? — pyta, korzystając z chwili, kiedy Alberto robi pauzę na zaczerpnięcie oddechu.

— Oczywiście zupełnie nie obchodzi pana sprawa jakiegoś zamordowanego urzędnika. Rozumiem to. Problem polega na tym, że świętej pamięci Roberto Salinas miał przy sobie list zaadresowany do pana.

Alberto starta się oddychać spokojnie. Szeleści w dłoniach trzema kartami papieru pokrytymi zdaniem, w których rozumie każde słowo z osobna, ale nie potrafi złożyć ich w sensowną całość. Od zapachu wanilii zaraz puści pawia i wystarczy jedno niepotrzebne słowo, kolejny obłoczek dymu wypuszczony przez wysuszone usta tego niehumanoidalnego typu, a wstanie, pojedzie trolejbusem prosto pod komendę i wykrzyczy w twarz Grubemu: „Wygrałeś. Daję spokój z Maleną, przydziel mi tylko coś normalnego”.

Już dobrze, dobrze, wytrzymaj, zrób to dla Maleny.

– To ciekawe... – mówi Manuel, ale jest to wyłącznie sformułowanie grzecznościowe, uczony zaś wcale nie jest zainteresowany niedostarczonym listem.

– W pośmiertnej korespondencji nieboszczyk pisze na temat problemu zdań syntetycznych a priori – mówi Alberto pewnym tonem, choć nie ma zielonego pojęcia, czym różnią się zdania syntetyczne a priori od zdań syntetycznych a posteriori.

Metamorfoza Manuela Münzera jest natychmiastowa. Ciśnięta w kąt fajka leci imponującą parabolą, rozrzuca fajerwerki iskier w momencie zderzenia się z ziemią. Filozof wyrывa list z dłoni osłupionego policjanta i zaczyna czytać. Gdy dochodzi do końca, zaczyna znów od początku, tym razem wolniej. Podczas lektury nieświadomie porusza głową w dwóch płaszczyznach, a tempo ruchu prawo-lewo wyznacza prędkość czytania.

– Kto zamordował tego człowieka? – Münzer wreszcie odrywa wzrok od tekstu, a w jego spojrzeniu niewiele jest z dawnej pogardy. Ma szeroko otwarte oczy i jeden cel w życiu: zrozumieć wszystkie zagadki wszechświata.

– Gdybym tylko wiedział, nie zawracałbym panu głowy. Potrzebujemy pana pomocy w śledztwie.

6

Roberto Salinas, gdy jeszcze żył, wynajmował skromny pokój w studenckiej części Epsilon. Aby dostać się tam z Bety, Alberto wsiada do pociągu podmiejskiego i dwupoziomową estakadą pokonuje skaliste rozpadliny, patrząc na kłębiącą się w dole zieleni, na soczyste kłącza wspinające się po rumowiskach głazów, na nieregularną mozaikę intensywnie czerwonych kwiatów, które kwitną na pionowych ścianach przepaści. Wagon jest pełen spoconych ludzi, studenci spieszą się na zajęcia, przeglądają książki, ktoś kogoś popycha i przez okno wyfruwają notatki z wykładów. Pęd pociągu odpycha od siebie konfetti kartek i opadają one teraz na dno przepaści, powoli i z dostojnością godnym ważkich treści na nich zapisanych.

Alberto skrzypiącymi schodami wspina się na czwarte piętro kamienicy czynszowej. Na klatce schodowej pachnie kurzem i czymś kwaśnym, aż kręci w nosie. Puka do drzwi z tabliczką „Gilberta Santiago”.

– Spóźnił się pan. – Manuel Münzer już na niego czeka, stoi napięty jak ramię wahadła Foucaulta, które zainstalowane jest w holu gmachu głównego uniwersytetu.

Wygląda przez okno, ignorując zupełnie obecność starszej kobiety, która musi być señołą Santiago.

– Mąż umarł na malarię piętnaście lat temu – mówi domniemana wdowa po señoie Santiago. – Dorabiam sobie, wynajmując dwa pokoje. Po co mi samej tyle przestrzeni?

– Spóźniłem się tylko trzy minuty. – Alberto zerka na zegarek i próbuje przywitać się z filozofem, ale ten ignoruje wyciągniętą dłoń i wymownym spojrzeniem pokazuje zamknięte drzwi do pokoju świętej pamięci Roberto Salinasa.

– Kiedyś spotykał się z kobietą – wtrąca gospodyni. – Dwa lata temu. Nazywała się Lucia Herrera. Odwiedzała go co kilka dni, czasami zostawała na noc.

– Aż trzy minuty. – Manuel kiwa głową i nie przestaje być surowym egzaminatorem, postrachem studentów i pracowników administracyjnych uczelni. – Żle się czuję poza murami kampusu, czy możemy przystąpić do dzieła? Chciałbym jak naj-
szybciej wrócić do siebie.

We trójkę wchodzi do pokoju nieżyjącego młodszego referenta w Ministerstwie do spraw Elektryfikacji. Manuel Münzer zatrzymuje się przed regałem z książkami i

uważnie czyta wszystkie grzbiety, niektóre pozycje wyciąga z półki i pobieżnie kartkuje, jeszcze inne odkłada na stół. Alberto głośno wzdycha, co nie uchodzi uwadze profesora, przegląda szuflady, czyta korespondencję, stare gazety i odcinki z wyplatą.

Istotnie, w Ministerstwie do spraw Elektryfikacji zarabiają nieźle, ale nie tyle, ile roilo się dzielnicowemu z Bety.

— Czy może nas pani zostawić samych? — pyta Alberto, a señoira Santiago posłusznie opuszcza pokój, zamyka drzwi i (Alberto jest gotów postawić na to kwartalną pensję) staje po drugiej stronie, przyciskając szklanke do ściany. — Natrafił pan na coś interesującego? — pyta profesora.

— Całe mnóstwo interesujących rzeczy — mówi Manuel głosem beznamiętnym i wypranym z emocji, lecz Alberto, jako wytrawny psycholog, doskonale wyczuwa kipiel uczuć stłamszoną w płaskiej amplitudzie tonu. — Wiele bardzo rzadkich pozycji, których na próżno szukać w bibliotekach, oczywiście pana to nie interesuje, ale proszę tylko spojrzeć. Pierwsze z brzegu O języku maszyn Francisco Pereza — napisane po hiszpańsku, zupełnie niedostępne w Europie, na uniwersytecie mówili, że autor po wydaniu znalazł błędy, wycofał książkę z rynku i cały nakład poszedł na przemiał. Albo to: Algorytmy, automaty i mechaniczne dowodzenie twierdzeń — podobna historia. Pożyczę sobie kilka egzemplarzy. On ich już nie potrzebuje.

— Pytałem o coś naprawdę — Alberto ostrożnie akcentuje słowo „naprawdę”; chciałby zaakcentować je mocniej, ale czuje irracjonalny lęk przed uczonym — o coś naprawdę — decyduje się jednak powtórzyć „naprawdę”, gdyż profesor Münzer ignoruje go, pochłonięty przeglądaniem opasłego tomiszcza, suwając paluchem po wzorach matematycznych — interesującego z punktu widzenia śledztwa. — Gdy wyowiada trzy ostatnie wyrazy, wcale nie uchodzi z niego powietrze, jak planował, ale jest gorzej, rośnie ciśnienie płynu mózgowego i czaszka może w każdej chwili eksplodować. To ci dopiero Jesus będzie miał zagwozdkę. Ciekawe, co zrobi podczas wizji lokalnej? Włoży dynamit do wnętrza wydrążonej dyni?

— Posłuchaj pan. — W Manuelu zachodzi gwałtowna przemiana. Ciska książką

o stół, w powietrze strzelają fontanny kurzu. — Stoimy właśnie teraz przed największą tajemnicą śledztwa. — Zatacza dłonią półokrąg, zahaczając o półki z książkami. — Że tego urzędasa skopały jakieś obszczymurki, korzystając z zamieszania w mieście... Że

chciały zwinąć mu portfel, a może po prostu się nudziły... To nieważne. Liczy się co innego. Ten człowiek, ów podrzędny referent w ministerstwie, który na co dzień w porze obiadu jest wysyłany do pobliskiej tiendy, żeby kupić tortille dla całego biura i to należy do jego głównych obowiązków zawodowych — on zbliżył się do rozwiązania problemu zdań syntetycznych a priori, nad którym sam łamałem sobie głowę trzy lata, aż wreszcie go zarzuciłem z przekonaniem, że mogę wykorzystać czas w bardziej efektywny sposób. A w jego mieszkaniu stoją dziesiątki ultra rzadkich naukowych woluminów i nie mam pojęcia, co one tu robią — mówi szybko, ale przemyślanymi zdaniem. Wypluwając poszczególne słowa, ściąga usta w dzióbek, co przydaje mu surowego wyglądu.

Alberto kiwa ponuro głową. Sytuacja się komplikuje, a on chce jak najszybciej wyciągnąć z szuflady pieczętkę „Sprawa Zamknięta”, chuchnąć na nią dwa razy, przystawić na pliku stron maszynopisu, a następnie cisnąć dokumentację na biurko Grubego ze słowami „Sprawca niewykryty. Poproszę o przydział do czegoś nowego”. Myśli o Malenie, nie chcąc pamiętać o zarozumiałym profesorze Münzerze, na którego twarzy, pooranej równoległymi bruzdami, rysuje się fizyczna męka, wynikająca z konieczności zajmowania się doczesnymi problemami, hen, hen odległymi od abstrak-

cyjnych dociekań w królestwie czystego intelektu. Trudno jednak o Münzerze zapamięć, kiedy ten siedzi tuż obok, w wagoniku kolejki linowej, chyboczącej się ponad ostrymi zębami skał dziesiątki metrów poniżej. Patrzą razem na czarne niebo ponad kominami Alfya.

– Idzie burza – odzywa się Alberto, jednak profesor ignoruje próby nawiązania rozmowy; zarówno tę, jak i kilka następnych.

Po powrocie do biura Alberto znajduje na biurku notatkę od Jesusa: „Znalazłem coś ekstra. Wpadnij, kiedy będziesz mógł”.

Może od razu, bo nie ma nic lepszego do roboty.

– Jak idzie? – Jesus wyciąga na powitanie dłoń, ale szybko zdaje sobie sprawę, że palce ma wysmarowane cuchnącą mazią. Zawstydzony odwraca głowę i wyciera rękę w fartuch.

– Wczoraj cały dzień przesłuchiwałem mieszkańców kamienicy, którzy mieszkają naprzeciwko bramy. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. – Jakoś nie chce mu się opowiadać o tajemniczym księgozbiórze Salinasa. Jesus i tak by nie zrozumiał.

– Jednym słowem klasyk. Sprawca nieznany. Widziałeś się z tym profesorem, do którego miał list?

– Co dla mnie masz? – Alberto zmienia temat, a Jesus posłusznie nie ciągnie poprzedniego wątku.

– Zobacz. – Chwyta za szkło powiększające, podchodzą do stołu. W popielniczce walają się skrawki papieru. Patolog przykłada doń lupę.

– Co to jest?

Wielkie oko Jesusa zza drugiej strony soczewki patrzy dziwnie na policjanta.

– Skrawki papieru.

– Skąd?

– Zza paznokci Salinasa. Ścisnął coś w dłoniach, książkę, choć może raczej gazetę, bo jakość papieru jest słaba, to prawie bibuła. Jak dostał w łeb i zszedł, mięśnie się zacisnęły, a paznokcie wszczepiły w to coś. Musiało im na tym zależeć, otwierali dłonie siłą, miał złamane trzy palce.

7

Alberto kolejny raz spotyka się z Manuelem nazajutrz. Poprzedniego wieczoru umówiony był na ukradkową randkę z Maleną, jednak spotkanie się nie odbyło.

Dziewczyna w ostatniej chwili posłała telegram (używając fałszywego nazwiska De Mendoza) odwołujący schadzki. Nie napisała dlaczego. Alberto zniósł to bardzo ciężko, utonął w spleenie, gęstym jak gliniane błoto na zboczach Alfya. Wdrapał się na dach budynku, usiadł na krawędzi, mając nogami ponad zatłoczoną ulicą, pełną śpiących się urzędników, powozów konnych i riksz. Pił piwo, potem cisnął butelki i pa-trzył, jak rozpryskują się o czerwonoceglasty komin, a deszcz szklanych odłamków spada na pokryty papą dach.

Teraz siedzą naprzeciw siebie w uniwersyteckim gabinecie – Alberto i Manuel – i każdy z nich wygląda na wymęczonego życiem. Młodszego detektywa boli głowa, nie jest to nawet zwykły kac, lecz coś ciężkiego, co ulokowało się po wewnętrznej stronie czoła i mąci myśli, zamyka powieki, zniekształca obrazy rejestrowane wzrokiem. Manuel natomiast jest wyraźnie niewyspany, ma wory pod oczami, nieudolnie markuje ziewnięcia.

– Nie spodziewałem się pana odwiedzin dzisiaj – odzywa się profesor. – Co pana do mnie sprowadza? Czy mogę się jeszcze na coś przydać? Byłem przekonany, że

moja rola w śledztwie dobiegła końca.

W pierwszym odruchu Alberto zaciska zęby, przełyka przekleństwo, „co za duppek”, mruży pod nosem, ale wreszcie oddycha głęboko i referuje wczorajszą rozmowę z Jesusem.

– Roberto Salinas miał przy sobie coś niezwykle ważnego. Chciał tego bronić.

To coś może mieć związek z jego zainteresowaniami naukowymi. Muszę zrozumieć, co to było. I dlatego wciąż potrzebuję pańskiej pomocy.

Manuel wpatruje się w niego intensywnie, nie mruga, aż w oczach pojawiają się łzy. Myśli intensywnie. Wreszcie podrywa się od biurka, zbyt szybko, zbyt gwałtownie, na podłogę spadają papiery. Opuszcza bambusową roletę na okno. Przekręca klucz w drzwiach. Mówi:

– Będę z panem szczerzy, bo inaczej nie potrafię. Polityk byłby ze mnie kiepski.

Mamy wspólny interes. Pan chce zamknąć śledztwo, już, teraz, w tej chwili, mieć to za sobą. To jest pana cel. Ale ja też mam w tym cel. Te książki... – Pokazał na biurko. – Te wszystkie książki, które znaleźliśmy w mieszkaniu Salinasa, są niezwykle. To nie jest nauka, jaką wyklada się na uniwersytetach. To jest coś... bardziej zaawansowanego... To jest trzęsienie ziemi dla fundamentów naszej wiedzy.

– Czy jest to nauka europejska? – pyta Alberto, a demon pod czaszką macha skrzydłami i policjant musi podeprzeć głowę dłonią, bo inaczej ta huknie o biurko.

– Skądże znowu. W tym właśnie cały szkopuł, że to nie nauka europejska. Ona jest logiczna, poukładana, zanurzona w matematyce, nie potrafię tam dostrzec sprzeczności, ale zdroworoządkowo czuję, że coś się nie zgadza, coś nie pasuje.

– Więc na czym polega problem? Co jest tam takiego interesującego? – Pomimo wewnętrznego starcia z latającym monstrem dewastującym procesy myślowe, Alberto wpada na przebiegły pomysł i stara się go zrealizować. Manuel Münzer jest wystawiony na strzał. Cały rozentuzjzmowany, trzęsą mu się dłonie, rozpiera go energia, szuka partnera do rozmowy, jeśli się go lekko przycisnie, powie więcej, niż chce powiedzieć. Wcale z niego nie taki kawał twardego skurwysyna, na jakiego próbuje się kreować.

Uczony polyka haczyk łatwiej, niż Alberto mógłby sobie wymarzyć.

– To jest zupełnie co innego. Wytłumaczyć panu? Mam wejść w szczegóły?

Policyjny detektyw kiwa ochoczo głową.

– Zaczęło się od kryzysu w filozofii ponad sto lat temu. Kiedy na europejskich uniwersytetach kilku myślicieli, niezależnie od siebie, podważyło podstawowe założenia naszego sposobu oglądu rzeczywistości. W jakim stopniu świat dookoła poddaje się naszemu poznaniu? Czy sposób, w jaki poznajemy świat, nie jest zniekształcany przez nasze zmysły? I wreszcie: czy zewnętrzny świat dookoła nas naprawdę istnieje? A jeśli istnieje, to czym jest: snem, myślą myślącego, językiem, opowieścią, książką?

Owo intelektualne ćwiczenie fascynowało mnie dopóty, dopóki było podporządkowane metodzie naukowej i prawom logiki. Potem stało się coś złego. Coś bardzo złego.

Bestia przyszła niezauważalnie, skradała się po zmroku, aż wreszcie załomotała do drzwi, choć nikt jej się nie spodziewał. Mechanizm jest stosunkowo prosty: jeśli zanegujesz A, wkrótce musisz zanegować B i C, potem przekraczasz nienazwaną granicę i dalej leci kaskadą. Nic się nie ostaje, żadna świętość, archimedesowy punkt podparcia, żaden pewnik czy aksjomat. I właśnie w takim świecie się wkrótce obudziliśmy.

Nic nie można zrozumieć, a wszechświat jest jedną wielką sprzecznością. Nie ma

prawd obiektywnych, matematyka się ośmieszyła, a logika skompromitowała.

Wszystko można napisać, wszystko wydrukować i nazwać to nauką. Konsekwencje objawiły się natychmiast. Postęp bez dostępu do nauki i badań podstawowych radykalnie spowolnił, zatrzymał się i po kilkunastu latach nastąpił regres. Nikt nie wymyślał innowacji, nie powstały nowe wynalazki, nie rosła wydajność pracy. Koło zamachowe świata już się nie kręciło, a gospodarki kolejnych krajów pożerał kryzys. Nikt się nie spodziewał, że to wy, w Ameryce Południowej, znajdziecie sposób na wyjście z impasu – przywrócenie postępu poprzez restytucję wiary w naukę. Udany projekt z zakresu inżynierii społecznej. Gigantyczne nakłady na szkolnictwo, programy edukacyjne. Trwało to dekadę, ale podnieśliście się z kolan, podczas gdy na starym kontynencie było coraz trudniej. Gospodarcze załamanie spowodowało wzrost nastrojów nacjonalistycznych, aż wreszcie wyniszczone kraje skoczyły sobie do gardeł, rywalizując o wykorzystywane ekstensywnie zasoby naturalne.

Wtedy podjąłem decyzję o ucieczce. Pochodzę z Królewca, do Sztokholmu przeszmyglowali mnie pod pokładem śmierdzącego śledziami kutra, a potem wsiałem na liniowiec i wyruszyłem w podróż przez Atlantyk. Wtedy po raz pierwszy opuściłem rodzinne miasto. Do końca życia zapamiętam ten moment – kiedy wpływałem do portu i widziałem wzgórze Alfy, ich dymiące kominy, żurawie dźwigów stawiające kolejne konstrukcje i kilka chwil potem, kiedy spacerowałem po mieście, podziwiając geniusz anonimowych urbanistów, smród oczyszczalni ścieków, huk manufaktur, rusztowania w miejscu, gdzie teraz stoi elektrownia. Płakałem, wspominając zdewastowaną Europę i rodzinny Królewiec. Wszystko zawdzięczacie wierze w racjonalny postulat o poznawalności świata.

– Co jest w książkach, które wyniósł pan z mieszkania Salinasa? – pyta Alberto i próbuje się sztucznie uśmiechać, niczym zły policjant na przesłuchaniu gwałciciela chłopców.

Teraz już ma go w garści, teraz nie wymiga się od odpowiedzi. Prawda o Roberto Salinasie jest na wyciągnięcie ręki i Alberto wyciąga rękę.

– Koniec świata. – Manuel umiejętnie pauzuje i robi to zupełnie nieświadomie, czym demonstruje profesjonalizm uniwersyteckiego wykładowcy. – Koniec waszego świata. Wiecie, na czym polegał sukces? Na tym, że potrafiłście zaszczepić masom wiarę w naukę. Na tym, że ludzie zaczęli się nauką interesować i o niej dyskutować, wszyscy bez wyjątku, o nowych teoriach, odkryciach i wynalazkach: przekupki na targu rybnym i robotnicy portowi. Wszyscy uwierzyli, że świat można poznać, a skoro można go poznać, można go również zmienić. Jeśli w społeczeństwo nie zostanie wdrukowany paradygmat racjonalnego myślenia, wówczas cofnie się postęp, nikt nie wyremontuje śpiących się fabryk i zatrzymanych w ruchu elektrowni. Dlatego za wszelką cenę trzeba owego paradygmatu bronić.

– Co dokładnie? – Pytanie wybrzmiewa kolejny raz, ale teraz w głosie Alberto nie ma gniewu ani intencjonalnego nacisku. Jest zwykła ciekawość, ale również lęk wynikający z niepewności odpowiedzi.

– Ja nie potrafię tego zrozumieć – mówi wreszcie Manuel i brzmi to tak smutno, tak żałośnie, że Alberto ma ochotę przytulić profesora i pogłaskać po głowie. Oto wielki uczonego stoi przed nim nagi, w swej ludzkiej małości, wyzuty z pychy.

Alberto ma wrażenie, że pakuje się w coraz większe kłopoty.

Pierdolony Gruby, czy wiedział, w co mnie wrabia?

Czasami intuicja zawodowa zawodzi Alberto i teraz jest właśnie ten moment.

Stoi na obrzeżach Gammy, na miejskim skwerze, przytulonym do ruin zdewastowanej katedry. Naprzeciw, na ławce, siedzi dziewczyna w nieokreślonym wieku. Alberto nie wie o niej praktycznie nic, tyle tylko, że nazywa się Lucia Herrera i kiedyś, dwa-trzy lata temu, łączyło ją coś z Roberto Salinasem. To jedyna bliska osoba denata, do której udało się dotrzeć. Rozmowa z nią może rzucić nowe światło na śledztwo.

Problem polega na tym, że Alberto nie wie, jak się do tej rozmowy zabrać. Lucia ma w sobie coś nieodgadnionego i element ów zakłóca psychiczną równowagę detektywa, która i bez tego jest nader krucha.

– Czy Roberto chodził na uniwersytet? Jakim był studentem? – pyta, bo to jedyny punkt zaczepienia, jaki przychodzi mu do głowy.

– Beznadziejnym. – Smukłe palce dziewczyny wymuskują papierosa i paczka trafia pod nos Alberto. Ten kręci głową, bo nie chce, aby było widać, że trzęsą mu się dłonie. – Wypieprzyli go po drugim roku. Nie zaliczył sesji.

– Co studiował?

– Bo ja wiem... Mechanikę, tak, chyba to była mechanika.

– Nie dał sobie rady? Myślałem, że to był bystry chłopak. W ministerstwie wystawili mu laurkę. W domu miał więcej książek, niż ja w życiu przeczytałem słów. Dużo czytał? – Ostatnie zdanie jest czymś pomiędzy stwierdzeniem faktu a pytaniem.

Lucia kiwa głową.

– Na tym punkcie był zwariowany. Nie dało się go odciągnąć.

– Dlaczego wyleciał? Nie dawał sobie rady?

– Nie potrafił znaleźć wspólnego języka z wykładowcami. Z wyjątkiem jednego.

Kiepsko pan wygląda. Może jednak chce pan papierosa?

Matko Przyrodo, Boże Rozumu i Świętej Geometrii, gdybym teraz dostał do ręki papierosa, mógłbym wsadzić do ust niewłaściwą końcówkę, myśli Alberto i wspomina słowa dziewczyny: „Z wyjątkiem jednego”. Na szczęście jest się czego ucześcić.

– Nie, dziękuję. Kto był tym jednym?

– Profesor Ortega. Nie pamiętam imienia, uczył chyba matematyki. – Lucia

uśmiecha się tajemniczo i Alberto po raz kolejny nie potrafi rozszyfrować jej uśmiechu. – To była jedyna osoba na uczelni, którą Roberto szanował. Teraz pan rozumie, dlaczego wywalili go ze studiów?

– A dlaczego się pani z nim rozstała? Był młody i zdolny. Miał dobrą pracę i szansę na karierę. W ministerstwie wszyscy mówili, że jeszcze rok, góra dwa, a zostałby starszym referentem z wcale niezłą pensją i jaka to straszna tragedia, że go zatłukli na śmierć.

– Właśnie dlatego – Lucia zaciąga się papierosem. – Właśnie dlatego, właśnie z powodu wszystkiego, o czym opowiedziałam panu wcześniej. Za kogo uważał się Roberto? Dlaczego z nikim nie potrafił nawiązać kontaktu? Dlaczego zmarnował tak fantastyczny potencjał? Mógł mieć wszystko, a jak skończył? Brnął w dziwnym kierunku, aż w efekcie relegowali go z uczelni. Z kimś takim nie potrafiłabym związać się na resztę życia. Staram się podejmować racjonalnie decyzje, a dalszy związek był czystą głupotą.

Dlaczego odbiera ostatnie zdanie Luci osobiście? Czy konstrukcja mentalna wszystkich kobiet jest podobna? Zaciska zęby, marszczy czoło i myśli: „Zamknij się, zamknij się, nie mów nic więcej, bo cię zatłukę, gówniario”, aż wreszcie wygłasza

standardową formułkę:

— Bardzo dziękuję. Proszę przez najbliższy czas nie wyjeżdżać z miasta. Pozostaną z panią w kontakcie.

Rozklekotanym tramwajem wraca na komisariat, a tam wszyscy się do niego tajemniczo uśmiechają, wymachują dziwnie rękami, jakby chcieli mu coś powiedzieć, ale złośliwy wirus z serca amazońskiej dżungli zżarł im ośrodek mowy w mózгах.

— Masz gościa — mówi wreszcie sekretarka, choć właściwie nie wydaje z siebie ani słowa, a Alberto czyta z ruchu warg i wchodzi do gabinetu.

Biurko ugina się pod stosem papierów, na które ktoś, w akcie bezsilności lub może wyrafinowanego dowcipu, wylał filiżankę kawy. Za biurkiem, na chybliwym krześle siedzi Manuel Münzer; siedzi i nie ukrywa obrzydzenia. Jest wyraźnie spięty. Źle czuje się w tym hałaśliwym miejscu. Na korytarzu, tuż przed drzwiami do biura Alberto, kilka minut wcześniej zwiłował pijany żebrak, zatrzymany za próbę napadnięcia na innego żebraka. Wymiociny śmierdzą okropnie. Sprzątaczkę przychodzą dopiero po sjeście, więc będzie śmierdziało jeszcze co najmniej pięć godzin. W pokoju przesłuchań awanturują się prostytutki — to nie jest świat, w którym wykładowca uniwersytecki czuje się jak ryba w wodzie.

— Ma mi pan coś ważnego do powiedzenia? Jestem zajęty. — Alberto z marszu wchodzi w rolę główną teatryku pod tytułem „okazujemy kompletny brak zainteresowania”, choć w środku aż skręca go z ciekawości, co spowodowało, że wielki profesor raczył ruszyć uczony tyłek z auli uniwersyteckiej i przyczłapał aż tu — w sam środek śródmiejskiego piekła.

Manuel Münzer jest zbyt inteligentnym człowiekiem, by brać udział w szopce szytej tak grubymi nićmi. Milczy, twarz niby wykuta w kamieniu, nie drgnie choćby i brew. Czeką, aż Alberto skończy rutynową krzątaninę i poświęci mu całą uwagę.

— Straszny ma pan tu syf — odzywa się wreszcie. — Jak pan może pracować w takich warunkach?

— Pracuję głównie w terenie. Dowiedział się pan czegoś istotnego? Mam właśnie na głowie znanego przemysłowca uduszonego przez kochankę jedwabną pończochą oraz zdesperowanego ojca, który zabarykadował się z dziesiątką zakładników w filii Familia Banco, ma wiadro pełne dynamitu i grozi, że zmiecie z powierzchni ziemi cały kwartał dzielnicy, jeśli sąd nie przywróci mu w trybie natychmiastowym praw rodzicielskich. — Alberto blefuje jak z nut i sam nie wie właściwe, po co to robi.

— Jak on wszedł do banku z wiadrem dynamitu?

— Naprawdę zależy mi na czasie.

— Francisco Perez. Pamięta pan? Autor książki, którą znaleźliśmy u Salinasa.

Próbowałem coś ustalić na jego temat. Pytałem tu i tam.

— Gdzie?

Manuel wzdycha.

— Na uniwersytecie. W bibliotece nie ma żadnej książki Pereza. Prawie nikt nie pamięta takiego człowieka.

— Prawie?

— Prawie, ponieważ Francisco Perez nigdy nie istniał. To pseudonim. Używał go matematyk Pablo Ortega.

— Ortega? Ortega?

— Bardzo jest pan dziś rozmowny. Profesor Pablo Ortega badał logiczne fundamenty matematyki. Krótki czas spędził nawet w szpitalu dla obłąkanych na Dziecie, gdyż zbyt intensywnie rozmyślał nad naturą nieskończoności, przez co chwilowo po-

stradał rozum. Kiedy wyszedł, a było to piętnaście lat temu, oddał się bez reszty ambitnemu programowi badawczemu, który miał skonstruować matematykę od zera, od najprymitywniejszych cegiełek logicznych, eliminując błędy i nieścisłości, jakie narosły przez wieki uprawiania tej nauki.

– Udało mu się?

– Nie wiadomo. Kilka lat temu po prostu znikł. Zapadł się jak kamień wrzucony ze sterowca do oceanu. Nikt nie wie, co się z nim stało, najprawdopodobniej nie żyje, ale nigdy nie znaleziono ciała. Może runął ze skalnej przepaści, gdzie zżarły go termity? Trudno powiedzieć.

– Ortega był jedynym wykładowcą, którego Salinas uważał za intelektualnego partnera. Tak powiedziała jego była dziewczyna. Dlaczego wydał książkę pod pseudonimem?

– Obawiał się cenzury?

– On zna odpowiedź na wszystkie zagadki Roberto Salinasa. Musimy do niego dotrzeć, dowiedzieć się, co się z nim stało, a w ostateczności zleźć po linie w przepaść, rozgrzebać kopce termitów i sprawdzić, w jakim stanie jest ciało.

– A co z ojcem szantażystą i wiadrem dynamitu?

– Mogą poczekać.

9

Zanim stanęli u piekielnych bram, zanim zstąpili po kolana w rzekę rwącego szlamu, oganiając się od atakujących szczurów, wydarzyło się coś jeszcze.

Kilka godzin po opuszczeniu przez Manuela komisariatu Alberto podjeżdża tramwajem na Patelnię. Wczesnym wtorkowym popołudniem trwa tam targ, gdzie można kupić wszystko: od zgniłych warzyw po puszki Faradaya i generatory Van de Graaffa. Detektyw kręci się w okolicy szemranych stoisk z nielegalnym wysokoprocentowym alkoholem przemycanym z Meksyku, patrzy na kolekcję podrabianych azteckich rytualnych noży i liturgiczne kielichy uratowane ze zburzonych katedr. Aż wreszcie trafia na stojącego samotnie nastolatka, który handluje słoikami do robienia pikli. Nie trzeba być policjantem, by połapać się, że coś jest nie tak i skromna kolekcja dwudziestu kilku słoików eksponowana na błękitno-niebieskiej ceracie jest jedynie przykrywką do innej, niekoniecznie legalnej działalności.

Broń czy narkotyki?, zastanawia się Alberto, ale to pytanie retoryczne. Nie zamierza chłopaka przyskrzynić (choć może to zrobić bez mrugnięcia okiem) i przerywać świetnie zapowiadającej się kariery. Wsadzi go do paki za rok, góra dwa lata, kiedy główniarz będzie miał większe grzechy na sumieniu. Dziś potrzebuje go do czegoś innego.

– Żona będzie piklowała na zimę ogóry. – Pochyla się nad ceratą i prawie styka się twarzą w twarz z chłopaczkiem. – Co polecasz?

Handlarz słoikami jest zaskoczony. W ten obszar Patelni nie zapuszczają się amatorzy przetworów warzywnych, tutaj szuka się innych towarów. Rozmówca zbity z pantalyku, punkt dla Alberto.

– Gdzie znajdę Lunę? – Policjant rzuca pytanie od niechcenia, świdrując spojrzeniem początkującego bandziora. On jest glina!, wewnątrz głowy chłopaka coś robi „klik”, z metalicznym dźwiękiem zapadka uderza w mechanizm zębaty, uchylają się nieoliwione wrota i przez szczelinę ciurkają myśli, co zadaje właścicielowi mózgu fizyczny ból. Głina na zakazanej części Patelni!

Handlarzowi słoików nowy porządek rzeczy nie mieści się w głowie i biedak mruga teraz jak oszalały, rozciąga mięśnie twarzy w osobliwych grymasach, nie mogąc się pogodzić z wydarzeniami, które rozgrywają się przed jego oczami.

– Gdzie jest Luna? Chcę z nim tylko pogadać! – warczy Alberto, a chłopak potrafi tylko wykrztusić:

– Tam. – Pokazuje drżącym palcem drewnianą budę, gdzie znajduje się bar z tanim jedzeniem.

– Myślałem, że stołujesz się w lepszych miejscach.

Po chwili Alberto jest już w środku. Śmierdzi tutaj smażoną fasolą i ciężkim sosem pomidorowym z dodatkiem papryczek chili.

Gwar rozmów cichnie, spojrzenia wędrują po drewnianych ławach, miskach z gorącym żarciem, rozchełstanych bluzkach barmanek. Wszyscy unikają kontaktu wzrokowego z Alberto. Wszyscy – z wyjątkiem Luny.

– Wypierdalać, ale już! – Luna stuka drewnianą łyżką w stół, czerwony sos przyska na boki.

Niekoronowany król Patelni ma czterdziestkę na karku i bujne siwe owłosienie.

Podobno miał białe włosy od dziecka.

– Czego szukasz? – pyta Luna, kiedy bar pustoszeje. Znają się słabo, dwa lata temu Alberto szukał u niego pomocy, inwigilując związek zawodowy pracowników kopalni. Później sprawa okazała się grubszą aferą i początkujący policjant został od śledztwa odsunięty, ale doszły go słuchy, że pomoc Luny była nieoceniona. Pan na włościach Patelni kieruje się niezrozumiałym kodeksem honorowym. Generalnie z policją współpracuje, za co ta przymyka oko na szemrane handelki, ale – jak lubi powtarzać – nie jest dziwką, która daje się ruchać w dupę, w niektórych sytuacjach współpracy zdecydowanie odmawia i do niczego zmusić się go nie da. Nikt Luny szantażować nie zamierza, jest zbyt cennym źródłem informacji, a w dodatku gwarantem Patelnianej równowagi. Kiedy go zabraknie, okoliczne gangi skoczą sobie do gardeł, walcząc o kontrolę nad targowiskiem.

– Wyczerpałeś limit. – Luna jest dzisiaj nie w sosie.

– To było dwa lata temu. – Alberto przysiada się do stołu.

– Skąd znasz moje reguły? Nie publikowałem ich w gazecie.

– Tym razem nie proszę o nic wielkiego.

– Jak zwykle. O nic wielkiego. Tylko o informację. Wiesz, co dzieje się ze światem? Ludzie przestają się interesować fizycznymi rzeczami i jeszcze chwila, a Patelnia upadnie, bo nikt nie będzie chciał kupować słoików do piklowania ogórków. Wszyscy chcą tylko informacji.

Jest naprawdę niezły, myśli policjant i wyobraża sobie Patelnię jako gigantyczną maszynę różnicową, gdzie każdy z trybików jest połączony z innym, a wszystkie informacje rozprzestrzeniają się po systemie w okamgnieniu. Ile czasu minęło od rozmowy z handlarzem słoików do wejścia do baru? – Niecała minuta. Skąd Luna wiedział, co sprzedaje kapuś? A uwaga o piklowaniu ogórków? To nie mógł być zbieg okoliczności.

– Pablo Ortega. – Alberto kładzie na stół nowiułki banknot, wybrał go przed godziną w bankowym okienku. – Znany także jako Francisco Perez. Zdmuchnięty z powierzchni ziemi trzy lata temu. Co się z nim stało?

– Pablo Ortega? – Złodziejskie paluchy Luny nurkują w białej czuprynie i drapią się w sam czubek głowy. – Nie znam nikogo takiego.

– Przypomnisz sobie?

– Nie przypomnę sobie. – Luna marszczy nos i uważnie patrzy na rozmówcę, a Alberto wie, że król nielegalnego handlu nie kłamie. – Kto to był? Gliniarz? Biznesmen? Polityk?

– Naukowiec. Profesor uniwersytecki. Co się z nim stało? Ktoś dostał zlecenie, żeby go sprzątnąć? Kto? Możesz popytać?

– Profesor? – Luna zastyga w pół ruchu. – Profesor?

Alberto milczy, bo wie, że niepotrzebne słowo mogłoby zrujnować kruche porozumienie, jakie się właśnie pomiędzy nimi buduje.

– To nie może być on. – Luna kręci głową. – Nie on, nie ma szans. Hrabia Pluskiew opowiadał o człowieku, który zstąpił dwa–trzy lata temu. Wołają na niego Profesor, bo w cywilu wykładał na uniwerku. Ale to nie był zwyczajny profesor, swoje odsiedział w psychiatryku. Z tego powodu nikt nie pyta, dlaczego zstąpił. Nikt się nie dziwi.

Psychiatryk – krew w żyłach Alberto gęstnieje, policzki wzbierają czerwienią, a on sam szybciej oddycha.

– I gdzie teraz jest? Pod Alfą?

– Skąd mam wiedzieć? Ostatni raz widziałem się z Hrabią Pluskiew półtora roku temu. Gdybym nawet widział się wczoraj, to byśmy nie rozmawiali o żadnym pierdolonym Profesorze. Teraz już idź. Stygnie mi jedzenie.

Rewelacje dla Alberto wcale nie są rewelacjami dla Manuela.

– Co to znaczy: zstąpić? Kim jest Hrabia Pluskiew?

Alberto nie potrafi się nadziwić, że w mieście jest ktoś, kto nie zna ściekoslangu.

Ale gdzie się miał go nauczyć? Przecież nie na uniwersytecie.

Wzgórze Alfa jest sercem, płucami i wnętrznościami miasta. Sercem – ponieważ stojące na Alfie fabryki i manufaktury stanowią koło zamachowe gospodarki.

Płucami, gdyż buchający bez przerwy z kominów dym to ożywczy tlen dla długofalowej ekonomicznej prosperity. Wreszcie Alfa to również municipalne trzewia, labirynty korytarzy ściekowych, kanałów burzowych, podziemnych basenów kipiących toksycznymi odpadkami. Włości szczurów, pluskiew oraz ludzi.

Tych, którzy zstąpili.

Tych, którzy pewnego dnia zdecydowali się podnieść studzienkę ściekową i skoczyć w dół kanału, ugiąć nogi, by wylądować po kolana w śmierdzącym szlamie.

Tych, którzy chcieli ukryć się przed światem albo raczej chcieli ukryć świat przed sobą.

– Nigdy nie słyszałeś ściekoslangu? – Alberto nie kryje zdziwienia. – Ich mowa przenika do języka codziennego, mnóstwo ludzi spod Alfę po nocy wylazi z kanałów, biorą się wtedy do czarnej roboty, czasami wpadają, a w więzieniu pozostali otaczają ich kultem. Stąd ściekoslang coraz częściej można usłyszeć choćby na Patelni.

– No, a ten Hrabia? – Manuel podciąga skarpetkę.

– Szef całego interesu. Chociaż oni nie budują stabilnych struktur. Taki raczej szaman albo mentor. Chodzą do niego się radzić, jak wybuchnie awantura.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– A myślisz, że my nie mamy tam ludzi? Dziesiątki agentów siedzą pod Alfą i patrzą ściekoczłekom na ręce. Wszyscy się boją, że śmierdzielom kiedyś odpierdoli, zbuntują się i wyleżą na powierzchnię. Wtedy dopiero będzie rewolucja. Albo jeszcze gorzej. Zaczną z nami walczyć, nie wychodząc z kanałów. Rozwalą miasto od we-

wnątrz. Tak jakbyś połknął szczura, a ten od środka wygryzł ci dziurę w brzuchu i wylał na zewnątrz.

Manuel nie lubi takich porównań. Krzywi się i zdaje sobie sprawę, że nie będzie zadowolony z dalszego rozwoju wypadków. Z drugiej strony wie również, że jest za późno, aby się wycofać. Chociaż kiedy Alberto mocuje się z mosiężną studzienką, Manuel myśli: „To ostatni moment”. Ale pokusa i ciekawość są silniejsze niż drobno-mieszkańskie konwenanse.

Chwilę później stoją u wrót piekła, po kolana w rwącym szlamie, śmierdzi tak, że lada moment poodpadają im nosy; niedaleko popiskują szczury.

– Nie oddychaj przez usta – ostrzega Alberto. W prawej dłoni trzyma lampę naftową, którą oświetla drogę. Manuel woli nie patrzeć, odwraca głowę, dłonią zakrywa nos. – Za wszelką cenę staraj się nie oddychać przez usta. Tak radzą tutejsi.

Idą przed siebie. Alberto chciałby zachowywać się pewnie, ale nie potrafi. Często gubi krok.

– Opowiedz mi coś. – Uczony wreszcie nie wytrzymuje. – Gadaj do mnie, bo zaraz zwariuję.

Alberto nie potrafi napawać się chwilą wyższości nad profesorem. Zaczyna czuć do niego sympatię, choć przyznanie się do tego przychodzi mu z trudem.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– Cokolwiek. – Zatrzymują się, Manuel spogląda mu głęboko w oczy. – Dlaczego nie potrafisz cię rozgryźć? Przy pierwszym spotkaniu wydawałeś mi się banalnie prosty. Potem straciłem to przekonanie. Czegoś w tobie nie rozumiem. Ty się męczysz – męczysz się w każdej sekundzie. Męczysz się bez przerwy. Dlaczego?

Alberto ciężko oddycha (przez nos), zaciska spoconą dłoń na uchwycie latarni i wyrzuca z siebie historię Maleny. W owym momencie, w gęstym smrodzie zepsutego jedzenia i gnijących truchel zwierząt, rudowłosa kochanka i jej poczciwy małżonek wydają się stworzeniami nie z tej planety, równie realnymi jak fantastyczne twory zamieszkujące ciemną stronę Księżyca. Kiedy kończy opowiadać, czuje się lekki niczym piórko.

– Beznadziejna sprawa – podsumowuje Manuel i nie widać w nim oznak słabości sprzed kilku minut. Znów jest starym Manuelem Münzerem – cynicznym socjopatą, patrzącym na ludzi z nieznośną wyższością. – Czy masz u niej jakiegokolwiek szansę? To jest zupełnie nieracjonalne.

Alberto przestaje go słuchać i zaciska zęby, z całej siły, aż boli szczęka. Dobrze wie, co powinien, a czego nie powinien robić, ale zamierza postąpić wszystkim na przekór. Mądry wybór jest wyborem racjonalnym, a on raz w życiu chce wybrać nieracjonalnie, cisnąc do kosza wartości, które wpajali mu w szkole i którym hołdował całe życie. Na tym właśnie polega nieracjonalność prawdziwa, groźna i osobliwa, i zarazem kusząca w swej alogiczności.

– W miejscu! – Z zadumy wyrывa ich dziki okrzyk. Alberto zatrzymuje się,

Manuel wpada na niego i lampa naftowa ląduje w ścieku. Robi się ciemno, po ceglanych murach kanału przebiegają pomarańczowe cienie.

Wyrastają przed nimi dwie sylwetki mężczyzn w lachmanach. Niższy trzyma pałkę i pochodnię, wyższy – wymierzoną w Alberto strzelbę. Za plecami słyszą szepty i szuranie butów, agresorzy mają profesjonalnie zabezpieczoną obstawę.

Dali się podejść jak dzieciaki.

– Kto? – Obcy mówią w ściekosłangu, redukując nadmiar niepotrzebnych

słów. Alberto pamięta z policyjnego szkolenia – ściekoslang został skonstruowany, aby minimalizować liczbę haustów zatrutego powietrza, wciąganych ustami podczas rozmowy.

– Szukamy Profesora. – Alberto podnosi do góry obie dłonie. Dłoń prawa sygnalizuje uniwersalny gest pokoju. „Nie mam nic do ukrycia. Nie mam złych intencji. Zaufajcie mi”, mówią rozczapierzone palce. Dłoń lewa natomiast powstrzymuje przed działaniem Manuela. „Jeszcze gotów się teraz głupio odezwać i będzie po nas”, przemyka mu przez myśl i mówi dalej – możecie nas zaprowadzić do Hrabiego Pluskiew?
– Kto? – Wyższy ściekoczek przyciska do ramienia kolbę strzelby i staje się coraz bardziej niecierpliwy.

– Chodzi nam o Profesora. Możesz nas do niego zaprowadzić?

– Policja?

W ściekach słowo „policja” jest słowem zakazanim. Zaczyna się robić coraz mniej ciekawie, zaś Alberto decyduje się na improwizację.

– Jesteśmy dziennikarzami – mówi i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, jak tragicznie niewiarygodnie brzmią jego słowa.

– Policja! – Tym razem w głosie ściekowca nie ma wątpliwości ani wahania. Mniejszy podrzuca pałkę w dłoniach, wyższy odciąga kurek strzelby. Alberto zaciska powieki i myśli, dlaczego to wszystko tak głupio kończy.

– Musimy się zobaczyć z Profesorem. Wiemy, że z wami jest. Powiedźcie mu, że jest tutaj Manuel Münzer. Münzer. Musi znać to nazwisko. – Uczony odzywa się niespodziewanie, Alberto spogląda nań z niedowierzaniem.

Strategia Münzera okazuje się skuteczna i Alberto nie może w to uwierzyć.

Ściekoczekli naradzają się pomiędzy sobą, policjant wyteżę słuch, ale dochodzą go wyłącznie gardłowe pomruki, nawet nie pojedyncze słowa, lecz strzępy sylab. Wyższy zostaje na straży, niższy znika w mroku tunelu.

– Czekać. Siadać – komenderuje strażnik, a oni posłusznie siadają na brzegu kanału, pluskając nogami w rwącej wodzie. Nie rozmawiają, wymieniają przestraszone spojrzenia.

Po kilku minutach ściekoczek wraca i podaje im lepiące się od oleju szmaty.

– Oczy – mówi.

Alberto zna ten zwyczaj. Mieszkańcy kanałów zazdrośnie strzegą świata podziemnych labiryntów i jeśli decydują się kogoś zaprosić do środka, ten ktoś nie może wynieść sekretów na powierzchnię.

Zawiązują oczy, wyciągają dłonie, które spętane zostają powrozem i ruszają w nieznane. Alberto próbuje liczyć kroki, ale szybko gubi rachubę. Co chwila skręcają, w prawo, w lewo, znów w lewo, wspinają się schodach, raz zjeżdżają nawet windą towarową. Z czasem śmierdzi coraz mniej, organiczny fetor ustępuje na rzecz przemysłowej woni wielkich fabryk – płaty łuszczącej się rdzy, przypalony olej i błękitna mgiełka spalin.

– Witajcie – słyszą wreszcie i mogą wtedy odsłonić oczy.

Znajdują się w hali magazynowej jakiejś fabryki. Trudno ocenić jej wielkość – wszędzie panuje mrok, lokalnie rozpraszany przez lampę naftową. Na narożniku skrzyni siedzi starszy mężczyzna. Ubrany jest w bezkształtny worek, ma siwe, potargane włosy.

– Pablo Ortega? – Manuel Münzer wyciąga do niego dłoń. – To zaszczyt pana

poznać, panie profesorze.

— Po zstąpieniu z reguły zapominamy o powierzchniowych imionach. — Ściekowiec przyjmuje uścisk. — Znam i bardzo cenię pańskie prace w zakresie teorii poznania. Dzięki uprzejmości Roberto Salinasa miałem bieżący dostęp do aktualnych publikacji.

„Roberto Salinas” – Alberto porusza ustami, bezgłośnie wypowiadając imię i nazwisko denata. Nie musi pytać wprost, Pablo Ortega doskonale wie, jaki jest powód ich wizyty.

— Salinasa poznałem w czasach przed zstąpieniem. Był moim najzdolniejszym studentem, a ja jego najzdolniejszym nauczycielem, jeśli mogę tak powiedzieć. Miał w sobie gigantyczny potencjał i prześcignąłby nas wszystkich – zarówno pana, mnie, jak i każdego innego. Wróżyłem mu wielką karierę akademicką, ale ją przetracił. Był zbyt uczciwy. Nie mógł się pogodzić z kompromisem, na którym ufundowane jest nasze społeczeństwo.

Alberto zaczyna się pocić. Męczy go wrażenie, że wdepnął w coś niemiłego, śmierdzącego gorzej niż tuzin ściekoczeków stłoczonych w ciasnym pomieszczeniu. Nieżywy Salinas to jedynie przygrywka, bilet do czegoś znacznie większego, groźniejszego, wykraczającego poza pojmowanie skromnego młodszego detektywa i niemieszczącego się w świecie trywialnych kłopotów z ponętymi rudowłosymi mężatkami.

Pablo Ortega nie przestaje mówić:

— Włodarze państwa świetnie rozumieją, co stanowi motor naszego sukcesu i czego trzeba bronić zawsze, w każdej sytuacji. Bronić bez względu na cenę. To paradigmat racjonalności. Jeśli się go pozbędziemy, wówczas w krótszym bądź dłuższym okresie, prędzej lub później, wydamy wyrok śmierci na cywilizację. Wtedy nadejdzie koniec świata takiego, jaki znamy. W ten sposób upadła Europa, nam udało się przetrwać, co nie znaczy, że jesteśmy nieśmiertelni, że zbudowaliśmy fundamenty tak solidne, że nie zmiecie ich żaden sztorm historii. Najgorsze, jeśli zaczniemy je dekonstruować przy użyciu naszej własnej broni.

— Salinas coś odkrył. I to było coś strasznego. — Słowa Manuela dźwięczą głucho w powietrzu, objijają się od blaszanych ścian magazynu, rezonują pomiędzy rzędami nitowanych skrzyń.

— Spośród wszelkich nauk najbardziej hołubimy matematykę, ponieważ wydaje się najbardziej racjonalna. To domena najczystszej racjonalności, pozbawiona emocji i popędów – i z tego powodu jest doskonała. Dlatego zainteresował się nią Salinas. Jednak chłopaka nie zajmowało rozwiązywanie praktycznych problemów inżynierskich, żmudna kalkulacja obciążenia mostów czy trygonometria krzywych balistycznych. On wolał się zająć podstawami matematyki, predefiniowanymi założeniami logicznymi, które leżą u jej podstaw. Wtedy coś ujrzał. Coś strasznego, straszniejszego niż najgorsza rzecz, jaką mógłby wyśnić. Trzymał tę myśl w sobie, nie potrafił się z nią rozstać, ale nie potrafił też jej udowodnić. W każdym rozumowaniu znajdował w końcu błąd. Ponieważ nikt – nikt z wyjątkiem mnie – nie rozumiał i nie doceniał jego prac, poróżnił się ze środowiskiem akademickim, rzucił studia, objął skromną posadę w ministerstwie i kontynuował badania na własną rękę.

— To dlatego w jego mieszkaniu było tyle rzadkich książek. — Alberto komentuje oczywistości.

— Aż wreszcie dwa miesiące temu odkrył dowód. Zszedł pod ziemię, znalazł

mnie i pokazał. Spisany na czterech stronach w podręcznym notatniku. Nigdy w życiu nie widziałem nic piękniejszego.

Manuel Münzer szybko oddycha. Alberto nie potrafi wytrzymać napięcia, podnosi się z siedzenia i nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Salinas odkrył i udowodnił w ściśle logiczny sposób, że logika ma swoje granice, a nasze moce poznawcze są ułomne. W ramach każdego systemu formalnego istnieją wyrażenia, których nie da się udowodnić. W pięknym gmachu matematyki zieją dziury, przecieka dach, a po podłodze harują myszy. Nie wszystko można zrozumieć, a wszechświat jest sprzecznością.

Alberto musi zadać to pytanie. Wie, że wyjdzie na głupka, ale pyta:

– Co jest w tym takiego strasznego?

– Zastanów się. – Manuel wyręcza Pablo, mówi zamiast niego. – Cały nasz ustrój zbudowany został w oparciu o matematykę. Wszystko. Architektura miasta i Ogród Dźwięków. Harmonia przyrody i harmonia ludzkiego poznania.

– Tymczasem Salinas podłożył dynamit pod taki obraz świata – kontynuuje rezydent kanałów. – Pokazał, że świat nie jest doskonały jak matematyka, że pełno w nim pęknięć i przyroda nie podporządkowuje się paradygmatowi racjonalności. Każdy system formalny jest niezupełny i nie potrafi dowieść własnej zupełności. Nie istnieje metoda dojścia do logicznej „prawdy”, zaś „prawda obiektywna” nie istnieje.

– Koniec świata. – Manuel kryje twarz w dłoniach.

– Koniec świata, jaki znamy. – Pablo Ortega kiwa głową. – Ale w ten sposób

Salinas ściągnął koniec świata także na siebie. Chłopak zdawał sobie sprawę, jaką moc mają jego odkrycia. Gdyby ogłosił je drukiem, zachwiałyby logicznymi fundamentami społeczeństwa. Wartości, którym hołdujemy, okazałyby się fałszem. A to zupełnie nie przypadłoby do gustu władzom – ściszył głos, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje. – Ja miałem problem ze swoimi pracami, które były całkiem niegroźne w porównaniu z petardami Salinasa. Nachodzili mnie. Przeszukiwali mieszkanie pod moją nieobecność. Dlatego zdecydowałem się zstąpić. A co dopiero Salinas? Jego prace to trzy skrzynki dynamitu pod ratuszem. Dlatego musieli posunąć się do radykalnych rozwiązań. I chociaż Salinas z nikim o pracy nie rozmawiał, oni wiedzieli, co się święci. Przystąpili do frontalnego ataku. Polityczne morderstwo – niewielka cena, jeśli stawką jest wszystko, w co wierzymy, wszystko, na czym opieramy dotychczasowy dorobek świata. Roberto bał się, że go dopadną, i dlatego postanowił się z panem skontaktować. – Spojrzenie powędrowało w stronę Manuela. – Miał pan być jego pośmiertnym ubezpieczeniem. Salinas wymarzył sobie, że zostanie pan jego kontynuatorem. Bardzo pana szanował.

– I żeby mnie zaciekawić i skłonić do kontaktu miał zaadresowaną kopertę na moje nazwisko, a w niej uwagi na temat istnienia zdań syntetycznych a priori.

– Stara praca. Zamierzał ją wysłać z samego rana, ale nie zdążył.

– Stara, ale niezwykle błyskotliwa.

– Salinas pracował tylko w ten sposób. Nie rozstawał się z zeszytem, gdzie przechowywał fundamentalne twierdzenie.

– Wyrwali mu go – odzywa się Alberto. – Tak stwierdził patolog. Zginął od

uderzenia w czaszkę, dłonie w pośmiertnym skurczu coś ścisnęły. Ja... Ja nie wiem, czy właściwie wszystko zrozumiałem. Chcecie powiedzieć, że zabili go polityczni? Że zabiła go SS-ka?

Ponure kiwanie głowami uswiadamia mu, w jakie cuchnące gównno wdepnął (a

może zostać wpełchnięty przez Grubego?).

10

– Czyli powinienem zamknąć sprawę? – Gruby nie podnosi wzroku znad raportu. W kąciку ust tli się niedopalek papierosa przytrzymywany prawą dłonią, w lewej policjant dzierży pączka, którego próbuje gryźć drugą stroną ust. Lukier sypie się na papier. – Mordercą był koleś, który handlował słoikami na Patelni? Poprzytykał się z chłopakami Luny, a ci zepchnęły go w przepaść? Za co?

– Za lojalność. Kapował glinom. Wcześniej chwalił się na prawo i lewo, że to on zakatował Salinasa. Mam świadków. Ich zeznania są...

– Glinom? – Gruby mu przerywa.

– Tak gadają na Patelni.

– Motyw rabunkowy?

Alberto kiwa głową i czuje się parszywie, jakby właśnie wyszedł z kąpieli w płynnym gównie.

– Mówią, że w Ministerstwie do spraw Elektryfikacji byle chłopak na posyłki dostaje tysiąc pesos.

– Tysiąc pesos? – Gruby podnosi wzrok i ich spojrzenia się spotykają. W oczach przełożonego jest coś niedopowiedzianego, coś leżącego na granicy pomiędzy szelmowskim błyskiem, dzieleniem wspólnej tajemnicy a rzeczami śmiertelnie poważnymi, ważniejszymi niż los byle chłoptasia z ministerstwa czy młodszego detektywa z Wydziału Zabójstw. – Jak oni zarabiają tysiąc pesos, to chyba złożę podanie.

To jest test na lojalność, myśli Alberto. On o wszystkim wie, człowiek na pozycji Grubego musi żyć blisko z SS-ką, on od początku wiedział, kto zakatował Salinasa i dał tę sprawę mnie, żeby zobaczyć, co zrobię, w którą stronę pójdę, którą ścieżkę wybiorę. Pierwszy test był z Maleną. Czy postąpię racjonalnie i odsunę na bok emocje. Teraz drugi sprawdzian. Czy potrafię postąpić racjonalnie i... co zrobić? Nie przejmować się – ale czym się nie przejmować? Prawdą, honorem, zasadami, etosem pracy policjanta? Racjonalny wybór jest oczywisty.

– Wcale nie tysiąc pesos – odpowiada Alberto i czuje suchość w ustach, narastającą z każdą sekundą. – Widziałem w papierach Salinasa. Trochę mniej, ale nie dużo mniej.

Wtedy dzieje się coś złego. Alberto czuje, jak ołowiane chmury spadają z hukiem, łamiąc mu przy tym kark. Próbuje zaczerpnąć powietrza, oddycha głębokimi haustami, ale mroczki wciąż mają pole widzenia.

– Czy wszystko w porządku? – pyta Gruby i w jego głosie pobrzmiewa autentyczna troska.

– Słabo się poczułem. Muszę wyjść na świeże powietrze.

– Może jesteś przepracowany? Chcesz kilka dni urlopu?

Alberto gwałtownie kręci głową.

– Nie, muszę wyjść na świeże powietrze. Tylko na chwilę.

Gruby na pożegnanie ściska mu dłoń.

– Dobra robota. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

I kiedy Alberto stoi przed wejściem do komisariatu, kiedy robi się mu na przemian zimno i gorąco i trzęsącymi dłońmi próbuje wyluskać z paczki papierosa – słowa Grubego „mogę na ciebie liczyć” wciąż rezonują złowieszczym echem wewnątrz czaszki.

11

– Efekt Salinasa, tak chciałbym nazwać to odkrycie. Należy mu się. Efekt Salinasa jest logicznym dowodem na niemożliwość poznania wszechświata. Nie wszystko jest racjonalnie wytłumaczalne. – Manuel Münzer podnosi się zza biurka, wstaje gwałtownie, aż strzykają kości.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – pyta Alberto Alvarado.

Manuel Münzer staje przy półce z książkami i udaje, że studiuje zakurzone grzbiety.

– A co mogę zrobić?

– Nic. – Jeszcze tydzień temu policjant nie pozwoliłby sobie na podobny ła-
dunek ironii wobec uczonego, ale teraz, po wszystkim, co razem przeszli, nie ma skrupułów.

– Nic. – Profesor jest głuchy na emocjonalne niuansy tonu głosu i intonacji. –
Zupełnie nic. Robię to dla własnej satysfakcji, kontempluję piękno dowodu, coś tam poprawię, udoskonale, ale nie chcę ściągnąć na siebie kłopotów. SS-ka niech się mną nie interesuje. Nie chcę niczego wysadzać w powietrze.

Alberto milczy, ciężko oddycha, aż Manuel wreszcie rozumie, o co mu chodzi.

– A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? Wysłać pracę do periodyku nau-
kowego? Opublikować własnym sumptem? Przybić dowód na drzwiach gabinetu?

Nie jestem zainteresowany ani końcem świata, ani swoim końcem.

– Ale...

– Nie ucz mnie, że czasem powinienem postąpić nieracjonalnie. W imię czego mam to zrobić? Spojrzałeś na siebie? Jak postępujesz w stosunku do tej Maleny? Jeśli ją kochasz – dlaczego jej tego nie powiesz? Dlaczego nawet w przypadku najprymitywniejszych emocji wszystko kalkulujesz i poddajesz racjonalnemu osądowi?

Alberto opuszcza gabinet uczonego. Na zewnątrz jest już noc. Biegnie pomiędzy rzędami elektrycznych latarni, a pręciki z włókna węglowego podrygują w nieskładnym tańcu.

Alberto myśli: spotkam się z nią jutro, z samego rana. I powiem jej wszystko, co zawsze chciałem powiedzieć. Że to nieracjonalne i ją zrozumiem, jeśli powie „nie”, ale będę czekał. Za rok, pięć, może dziesięć lat, kiedy na nią spojrzę i ujrzę w jej oczach tę samą iskrę, którą widziałem wtedy, na Patelni, kiedy ruszała elektrownia i latarnie rozbłyły po raz pierwszy – wtedy pójde za nią wszędzie tam, gdzie będzie chciała i nic już racjonalne nie będzie.

Sześć godzin później, kiedy dochodzi czwarta nad ranem, Manuel Münzer wciąż siedzi przed maszyną do pisania, cierpliwie wystukując kolejne linie dowodu. Cały porządek dnia legł w gruzach, powinien spać od siedmiu godzin i czternastu minut, ale nie potrafi przestać pracować. Musi skończyć dzisiaj. Na biurku leży już przygotowana koperta, a na niej adres uczelnianego wydawnictwa.

Manuel kończy wywód. Zostały tylko dwa zdania.

„Prawie wszystko jest racjonalnie wytłumaczalne.

Quod erat demonstrandum”.

STANISŁAW TRUCHAN

Miotlarka

Nad Carskim Siołem przeleciał klucz dzikich gęsi. Człowiek stojący na Marmurowym Moście przez chwilę śledził je spojrzeniem, a potem opuścił wzrok i spojrzął w stronę widocznej w oddali Kolumny Czesmeńskiej.

No, idzie Grigorij Jefimowicz, pomyślał.

Brodaty, długowłosy mężczyzna ruszył w kierunku Marmurowego Mostu –

powoli, bez pośpiechu, noga za nogą. Zupełnie jakby to nie on miał ważną sprawę do Sysojewa, ale na odwrót.

– Myślałem, Matwieju Daniłowiczu, że nie zechcecie przyjść – powiedział chwilę później, podchodząc do kapitana i kordialnie klepiąc go po ramieniu. – Jednak doszliście do wniosku, że mam rację? Chwali się wam, chwali! A może nie wy doszliście do wniosku, ale naczałstwo, a? I naczałstwo kazało?

Przenikliwe spojrzenie brodacza zdawało się przewiercać oficera na wylot.

Żadne kłamstwo nie wchodziło w grę. Temu człowiekowi niemal każdy ulegał bezwiednie i bez namysłu, sam Sysojew niedawno opierał się wszystkimi siłami... ale już przestał.

– Jedno i drugie, szanowny Grigoriju Jefimowiczu. Doszedłem do wniosku, że wasz plan może przynieść korzyści... I trafił chciał, że moi zwierzchnicy są tego samego zdania.

– Może przynieść korzyści? – Wargi okolone zmierzwionym zarostem wykrzywił sardoniczny uśmiech. – Matwieju Daniłowiczu, to zbawienie dla naszej świętej Rosji, matki żywicielki naszej! Pogański Zachód szykuje przeciwko nam piekielny ogień, a my mielibyśmy się wahać? Nie, nie wolno nam! Trzeba działać! Wy jużście tam w stolicy nasiąknęli zachodnim sposobem myślenia, zapadnik z was się zrobił... Więcej wiary trzeba, ot co. Duszy bardziej słuchać niż rozumu. Pojmujecie to, kapitanie?

– No tak, duszy... A właśnie! – Kapitan postanowił przejść do zagadnień bardziej praktycznych. – Mówiliście o jakichś bratnich duszach po tamtej stronie, o tajemnej więzi, która was z nimi łączy... Możecie mnie w tej kwestii trochę oświecić? Hipnotyczny wzrok jurodiwego omal nie wbił Sysojewa w marmurowy chodnik.

– A po co wam to wiedzieć, hę? Pojedziecie ze mną? Przecież nie. A ja ich znajdę. Wy mi tylko dacie waszego człowieka i zajmiecie się intendenturą, że tak powiem. Tymi bardziej przyziemnymi rzeczami.

Grigorij Jefimowicz nagle chwycił oficera za ramię i przyciągnął do siebie tak blisko, że niemal zderzyli się nosami. Jego zmierzwiona broda połaskotała Sysojewa w szyję.

– Pytaliście o bratnie dusze moje, a? – wydyszał Matwiejowi Daniłowiczowi prosto w twarz. Jego oddech śmierdział tanią wódką i ogórkami. – One tam są, czekają. I dla mnie, i dla nich otwarte są najwyższe sfery tego i tamtego świata – dłoń Grigorija Jefimowicza zatoczyła szeroki krąg – niedostępne dla was, ludzi małej wiary, dla waszych skamieniałych dusz! A kiedy się połączą nasze jaźnie...

Żrenice jurodiwego zapłonęły jak rozżarzone węgle.

– Czytałeś Pismo, Matwieju? – Niespodziewanie przeszedł na ty. – Pamiętasz, jak Dawid wszedł do obozu wroga i odciął skraj płaszcza Saulowego? Jak Anioł Boży wyprowadził Piotra z więzienia? My tam staniemy ramię przy ramieniu, połączymy w jedno nasze jaźnie i będziemy jak anielskie zastępy Pana, a moc nieprzyjaciół wniwecz się obróci.

Sapnął, przysunął twarz jeszcze bliżej, tak że jego usta znalazły się tuż przy uchu Sysojewa.

– Obróci się ogień ich przeciwko nim i pójdzie na zatracenie ich samych, zobaczysz! Będzie bronią w rękach jeźdźców Apokalipsy, którzy spadną na nich niby jastrzęb na wróble i porażą ich mocą swoją!

Odsunął się. Gorejące spojrzenie jakby nieco przygasło.

– Idźcie już, kapitanie, i róbcie, co do was należy. A wieczorem zechce z wami rozmawiać Jewo Wieliczestwo... ale to wam już szambelan powie.

* * *

Stary Michał Pietryka zamasyżył zamiatał podjazd przed gankiem. W dłoniach dzierżył oczywiście miotłę od Zyty Lisikówny. Ekonom kazał brać miotły wyłącznie od niej, zamiast kupować na rynku. Zyta Miotlarka, choć pomyłona, robiła znacznie lepsze. Potrafiła wybrać najodpowiedniejsze brzoźowe witki i tak uformować rączkę, że pasowała do każdej dłoni. Szkoda, że dziewczucha słaba na umyśle. W żadnej sprawie poza miotłami nie można się z nią dogadać. A już kiedy zobaczy pociąg... Na widok nadjeżdżającego składu Lisikówna zatrzymywała się i przyglądała mu się, trzymając palec w ustach, a potem, gdy już mijal ją ostatni wagon, uciekała, krzyząc: „Pociąg! Pociąg!” i zanosząc się histerycznym śmiechem. Inaczej było wieczorem, gdy widziała w ciemności światła lokomotywy i snop iskier z komina. Wtedy pędziła przez wieś, wrzeszcząc jak opętana: „Wojna! Wojna!”.

Czemu wieczorny pociąg skojarzył się jej z wojną – tego już nikt nie wiedział.

Te późne wędrówki wzdłuż torów, zakończone paniczną ucieczką i głośnie całym Jaziskom przepowiednią wojny, zdarzały się Życie raz na kilka tygodni, mniej więcej od roku. Do tej pory Lisikówna znana była jako „ta gupio, co robi miotły i się śmieje z pociongów”. Teraz stała się tą, co „uciekło przed pociongami i się drze, że będzie wojna”. I nawet sprawa borowska tego nie zmieniła.

Byli tacy, którzy traktowali okrzyki szalonej Zyty jak przepowiednię.

– Takie waryjoty casem wiedzom to, cego normalny człowiek nie wi – powtarzała przy każdej okazji stara Desiowa, potrząsając siwą głową i splatając pomarszczone dłonie na brzuchu. – Godom wom, ani sie nie łobeżrycie, jak się co zacnie!
– Ano, downo wojny nie buło, to pewnie będzie – zgadzał się z nią nieco młodszy Kurzawa, szwagier sołtysa. – Ale wola bosko, nie nasa. Co będzie, to będzie.

O tym, że pokój nie został dany raz na zawsze, Filip Kotarba wiedział i bez Zyty Miotlarki. Rosja wraz z całą Ententą zbroiła się jak szalona, Niemcy i Austro-Węgry nie pozostawały w tyle. Każdy, kto czytał gazety, doskonale wiedział, jak się sprawy mają. A dziedzic wiedział jeszcze więcej. W ostatnich czasach zdarzyło mu się kilka spotkań z jakimś Rudolfem Steinmeierem. Podpisał pewien dokument i złożył przy sięgę dochowania tajemnicy.

Ale wojna wojną – a zamiatać trzeba. Dobrze, że pomyłona Zyta potrafi zrobić porządną miotłę.

Kotarba, oparty o pseudojońską kolumnę ganku, spojrzał w kierunku szeroko otwartej bramy. Sylwetka, która pojawiła się po drugiej stronie, wydała mu się znajoma: wzrost, ciemne włosy, bródka w szpic, sprężysty krok człowieka nawykłego chodzić raczej w mundurze niż w surducie.

Wyszedł niespodziewanemu gościowi naprzeciw.

– Guten Tag, Herr Oberleutnant – powitał przybyłego.

– Witam i przepraszam za najście – odpowiedział porucznik Rudolf Steinmeier nienaganną polszczyzną, z ledwo słyszalnym echem akcentu lwowskiego.

– Cóż sprowadza do mnie przedstawiciela tajnych służb Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości? – zapytał gospodarz. – I to poniekąd incognito? – dodał, spoglądając wymownie na surdut niespodziewanego gościa.

Agent spowaźniał.

– Jak rozumiem, pan inżynier Kieszkowski jeszcze nie przyjechał? Przepraszam, chciałem powiedzieć: pan Nałęcz-Kieszkowski.

– Nałęcz, nie Nałęcz... – Kotarba wzruszył ramionami – mnie herby ani ziębią, ani grzeją, mój ojciec urodził się jako pańszczyźniany i był nim przez całe cztery miesiące. Ale nie, pana Teodora tu nie ma. I nic mi nie wiadomo o tym, by się do mnie wybierał.

– A wybierał się – poinformował oficer. Zabrzmiało to jak wystrzał z karabinu; ślepym nabojem, ale zawsze wystrzał.

– Tajne służby jak zwykle wiedzą najlepiej – skomentował równie sucho pan Filip.

– W takim razie pan inżynier pewnie lada chwila się zjawi – stwierdził porucznik, rozglądając się.

– Wobec tego poczekamy w gabinecie – zreflektował się dziedzic. – Zapraszam. Tuszę, że nie pogardzi pan moją nalewką z białych czereśni i filiżanką kawy?

– Jakżebym śmiał!

Gospodarz poprowadził gościa do gabinetu, mieszczącego się w prawym skrzydle dworku. Porucznik usiadł na wprost portretu świętej pamięci Bartłomieja Kotarby, poprzedniego właściciela majątku. Z rumianego oblicza niegdyśszego kupca – wielce zasłużonego dla c.k. armii, zaopatrywanej przezeń w żywność dla ułanów i ich wierzchowców, a później nawet w sukno na mundury – patrzyły na Austriaka twarzym, stalowym spojrzeniem bladoniebieskie oczy. Bartłomiej Kotarba, niegdyś chłop, potem zamożny kupiec, a przez ostatnie dwa lata życia ziemianin, prezentował się na płótnie jako prawdziwy człowiek czynu – taki, który podejmuje wielkie wyzwania i usuwa ze swojej drogi wszelkie przeszkody. Tylko serce nie wytrzymało.

– Jaziska to piękne miejsce... choćby ze względu na smak tej nalewki. –

Uśmiechnął się oficer. – U nas w Grazu czereśnie nie rodzą takich owoców.

– O, jest i kawa! – powiedział Kotarba, słysząc pukanie.

Służąca nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi. Ledwo wyszła, stanął w nich lokaj Mateusz.

– Melduję, jaśnie panie, że do górnej bramy pan Nałęcz-Kieszkowski podjechał

– zaanonsował, klanając się w pas. – Tym czarnym automobilem. I jest z nim ten szkut od Jarosików – dodał, krzywiąc się.

Właściwie należałoby mu przypomnieć, że kiedy się ma na sobie liberię, to trzeba zapomnieć o takich słowach jak „szkut”, pomyślał dziedzic. Chyba że się chce wrócić do wideł i grabi.

– No to otwórz szybko, na co czekasz! – odpowiedział. – I proś tutaj.

– Ale tego Wojtka pan chyba nie... – W spojrzeniu Mateusza Kotarba wyczytał zgorszenie.

– O tym już pan Nałęcz-Kieszkowski zadecyduje, skoro go tutaj przywiózł. Ruszaj, nie będziemy pana inżyniera trzymać za bramą jak jakiego żebraka!

– Wojtek pewnie zacznie sterowcami latać, zamiast lokomotywami jeździć! – roześmiał się porucznik. – Niepowetowana strata by to była dla cesarsko-królewskiej kolei.

– A mój lokaj, jak pan zauważył, czuje się prawdziwym arystokratą. – Gospodarz uśmiechnął się krzywo. – Syn fornala, a małorolni mu śmierdzą.

Gości wprowadził już nie Mateusz, ale Grzegorz Pietryka, brat Michała, do

niedawna intendent, teraz już raczej rezydent, niż sługa. Inżynier Kieszkowski przepuścił przed sobą dziesięcioletniego chłopca o roześmianych szarych oczach, do połowy zakrytych zmierzwioną płową grzywką. „Szkuć od Jarosików” miał na sobie nie-dzielną bluzę, porządnie uprasowaną koszulę w kratkę i czarne spodnie w kant. Matka Wojtka musiała się nad nimi niemało napracować, bo mucha, która by nieopatrznie usiadła na tym kancie, zostałaby niechybnie przepołowiona jak – nie przymierzając – wieprzek w podgłowieckiej rzeźni. Jednym słowem syn pięciomorgowego chłopca z przysiółka Jedliny nieznacznie tylko ustępował elegancją inżynierowi, ubranemu w czarny surdut i cylinder, białą koszulę i błękitny fular, fantazyjnie zawiązany pod szyją. Kotarba trochę zbyt późno uświadomił sobie, że jeden z gości nie ma na czym usiąść. Zawołał Mateusza i kazał przynieść dodatkowe krzesło. Kiedy lokaj zrozumiał, że krzesło przeznaczone jest dla Wojtka, posłał dziedzicowi spojrzenie tak pełne dezaprobaty, że Kotarba z trudem stłumił wybuch śmiechu.

– Jak mówiła gosposia proboszcza: „My, duchowieństwo...” – skomentował po wyjściu lokaja. – Naprawdę będę musiał pomyśleć o odesłaniu Mateusza do wygarniania gnoju z obory.

– Wydajność pracy nieuchronnie by spadła – zauważył porucznik.

Do gabinetu weszła służąca z kolejną kawą i z czekoladą dla Wojtka. Gdy zniknęła za drzwiami, gospodarz postanowił przejść do konkretów, uprzedzając agenta wywiadu.

– Tak więc, panie poruczniku, albo pan się nadmiernie pośpieszył, albo pan inżynier się nieco spóźnił.

– Czyżby pan porucznik spodziewał się mnie tutaj zastać? – Na twarzy Nałęcz-Kieszkowskiego odmalowało się zaskoczenie.

– Spodziewałem się – potwierdził Steinmeier. – Przecież pan od samego początku wie, że gąbki Geista są obiektami pod specjalnym nadzorem. A Kamionka to obiekt o szczególnym znaczeniu strategicznym, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– A ja się spodziewałem, że pan Filip będzie wiedział, gdzie pana szukać.

– Stało się coś? – Zaniepokojony Kotarba odruchowo spojrzał ponad głowami w okno, na czerwieniejące jesiennymi liśćmi wzgórze zwane Kamionką. Strzeżony przez żołnierzy Landwehry obiekt na jego szczycie nie był stąd widoczny, ale przecież istniał, górował na okolicę – a odkąd tam się znajdował, nic w rejonie Podgłowic nie było już takie jak przedtem.

– Coś się stało – potwierdził porucznik – ale jeszcze nie wiemy, co dokładnie. I oczywiście chcemy się dowiedzieć.

– Więc może jednak najpierw Wojtek opowie, co widział – zaproponował inżynier.

Chłopiec podniósł głowę znad filiżanki.

– Opowiem, pewnie, że opowiem, panie Oberleutnant. Wszystko dokładnie opowiem, ino... mmm... tylko muszę się chwilę zastanowić, żeby czego nie powiedzieć na opak.

Gospodarz znów się uśmiechnął. Doskonale pamiętał, jak przed trzema laty – jeszcze za życia ojca – zwracał małemu Jarosikowi uwagę: Pamiętaj, Wojtuś, nie mów się „ino”, ino „tylko”. Wojtek zapamiętał, ale od czasu do czasu zdarzało mu się pomylić. Nic dziwnego zresztą, z rodziną i sąsiadami nie rozmawiał przecież „po pańskie-mu”, a dziedzica albo inżyniera nie widywał codziennie.

Po powrocie ze szkoły Wojtek Jarosik o mało się nie udławił obiadem. Spieszył się. Tak bardzo się spieszył, że chyba chętnie by sobie wepchnął do brzucha całą wartość talerza naraz, najlepiej łopatą. Nic dziwnego: już wkrótce na stację Borów-Podgłowice miał zajechać pociąg prowadzony przez lokomotywę nowego typu, austriacką maszynę serii 429, najnowsze dzieło wiedeńskiej Lokomotivfabrik. To trzeba było zobaczyć.

Przyszły maszynista pochłonął więc obiad, parząc sobie przelyk, i pobiegł na stację. Tolek, jego starszy brat, jak zwykle trochę sarkał, ale w końcu pogodził się ze swoją rolą; tego dnia już do samego wieczoru miał być jedynym członkiem rodziny dotrzymującym ojcu towarzystwa z cepem w rękach.

Na stacji Wojtek wpadł niemal w ekstazę. Z wypiekami na twarzy słuchał wyjaśnień Mańka Maciaszka, z przejęciem oglądał tłoki i cylindry i od czasu do czasu zadawał pytania świadczące o bardzo dobrej znajomości zagadnień technicznych.

Maszynista – wąsaty Czech noszący nazwisko Divíšek – stwierdził nawet, że Wojtek od biedy mógłby zastąpić nie tylko Mańka, ale nawet jego, maszynistę z dwudziestoletnim stażem. Słyszac ten komentarz, wypowiedziany zabawną mieszaniną czeskiego i polskiego, najmłodsza latorośl rodziny Jarosików z Jedlin aż poczerwieniała z dumy.

– Dziwne, że Zyty nie było nigdzie po drodze – zauważył nagle Maniek.

– Też jej nie widziałem – potwierdził Wojtek. – Pewnie siedzi w chałupie i komuś miotłę robi.

I wrócił do oględzin kotła maszyny.

Na obejrzenie parowozu miał sporo czasu. Rozładunek pociągu trwał do późnego popołudnia. Słońce stało już dosyć nisko, gdy opróżniony skład odjechał na północ, do Tarnowa. Przez ten czas Wojtek poznał nową maszynę równie dobrze jak cztery kąty izby w swojej chałupie. Gdyby mu przyszło zastąpić Mańka, a nawet samego Divíška, chyba by sobie poradził.

Kiedy już długi wąż wagonów zniknął za zakrętem, przyszły maszynista postanowił się jeszcze przespacerować na szczyt Kamionki. Wiedział, że do ściśle tajnego obiektu cesarsko-królewskiej armii, strzeżonego przez żołnierzy w błękitnych mundurach, nie wolno podchodzić zbyt blisko – ale przecież zawsze mógł zapytać na wartowni o inżyniera Nałęcz-Kieszkowskiego. Pan Teodor go znał i parę razy nawet zaprosił do środka. Chłopiec wywarł na nim niemal piorunujące wrażenie: ciekawy najdrobniejszych szczegółów, w lot pojmujący działanie najbardziej skomplikowanych mechanizmów, a przy tym obdarzony nieokielznaną wyobraźnią. Niedawno inżynier obiecał mu lot sterowcem. Kapitan Winkler, dowódca oddziału Landwehry, i przybyły z Wiednia porucznik Steinmeier nie zgłosili sprzeciwu.

Te małe sterowce były prawdziwym cudem techniki. Większym nawet niż lokomotywa serii 429. W lokomotywach nie używa się gąbki Geista.

Samego profesora Geista Wojtek widział tylko na zdjęciu. Słynny uczonec, który po wielu klótniach z paryskimi konfratrami opuścił Francję i osiedlił się w Wiedniu, nie miał żadnego powodu, by osobiście doglądać prac nad zastosowaniem jego wyn-

lasków. Był zresztą stary, bardzo stary. Pan Teodor opowiadał Wojtkowi, że gdy znany pisarz Bolesław Prus przedstawił profesora w swojej powieści, Geist był już siwowłosym mężczyzną w dość podeszłym wieku, choć pełnym wigoru i energii. A przecież było to przed dwudziestu laty. Ktoś w jego wieku nie powinien podejmować tak dalekich podróży.

Na szczęście obecność profesora nie była tutaj niezbędna. Tajny ośrodek na szczycie Kamionki w Jaziskach Górnych zajmował się praktycznymi zastosowaniami jego wynalazków, realizował pomysły zrodzone w zaciszu wiedeńskiej pracowni. Powstał właśnie w tym miejscu ze względu na dostępność płytko zalegających, gorących wód geotermalnych. Wszystko, czego nie można było wyprodukować na miejscu, sprowadzano ze stolicy.

Za ogrodzenie z drutu kolczastego zasadniczo nie wpuszczano nikogo – ale to, co się działo w pierwszym baraku, nie stanowiło żadnej ważnej tajemnicy. Ścisłe tajne były przede wszystkim prace prowadzone w drugim i trzecim. Tam trafiały przywiezione z Wiednia gąbki Geista, tam wchłaniały energię gorących podziemnych wód, by stać się czymś w rodzaju czarodziejskich kul ze wschodnich baśni. I to już była tajemnica państwowa. Oczywiście Wojtek, nawet gdyby bardzo chciał, nie wyszpiewowałby tam niczego – musiałby być co najmniej inżynierem albo nawet profesorem fizyki – ale mimo to nie mógł oczekiwać, że ktoś mu pokaże, co się dzieje w drugim i trzecim baraku. Do pierwszego jednak pozwolono mu wejść, oczywiście pod nadzorem pana Nałęcz-Kieszkowskiego. I to było jak wizyta w pracowni czarnoksiężnika, jak wejście do Sezamu z baśni tysiąca i jednej nocy.

A nawet wspanialsze niż wszystkie skarby Sezamu. Rury, kurki, zawory, podziałki z kolorowymi cyferkami... Czegoś takiego Wojtek nie widział nawet wewnątrz lokomotywy. No i same gąbki Geista: zamknięte w naczyniach z żaroodpornego szkła, spłaszczone owalne przedmioty migocące barwnymi iskrami. Siła wielu lokomotyw uwięziona w przedmiocie wielkości zwiniętej onucy. Coś, z czym trzeba się obchodzić jak z jajkiem. A nawet jak z granatami, którymi uczono rzucać jego ojca, gdy ten służył w cesarsko-królewskiej armii.

Profesor Geist wynalazł je ponoć, pracując nad metalami lżejszymi od powietrza. Z metalami nie wyszło – z gąbkami wprost przeciwnie.

Nałęcz-Kieszkowski zademonstrował kiedyś Wojtkowi jej możliwości. Chłopiec z wypiekami na twarzy patrzył, jak wewnątrz żaroodpornego pojemnika kawałek cyny niemal w mgnieniu oka zamienia się w rozżarzony, płynny kleks, a potem zaczyna wrzeć. Niczym niewielka prądnica, poruszona strumieniem pary, zaczyna się kręcić jak oszalały, a długi szereg małych żaróweczek zapala się nagle i świeci jaskrawym światłem. A gdy inżynier przytknął wylot pojemnika z gąbką do kawałka stali grubości centymetra i błyskawicznie wyciął z niego czterolistną koniczynkę, Wojtek otworzył szeroko usta i zamknął je dopiero wtedy, gdy go inżynier ostrzegł przed skutkami polknięcia muchy albo komara.

– Wyobraź sobie, że kiedyś siła nagromadzona w takiej gąbce będzie poruszać prądnice pozwalające oświetlić całe miasto, takie jak Tarnów albo Nowy Sącz – powiedział pan Teodor po zakończeniu pokazu. – Albo poruszające wszystkie maszyny w dużej fabryce.

– A parowozy? – zapytał Wojtek.

– Na razie się nie opłaca. Może kiedyś uda nam się obniżyć koszty produkcji gąbek. Teraz byłyby znacznie wyższe od zysków.

Na Kamionce Landwehra na razie eksperymentowała z małymi sterowcami, podobnymi do balonu, jaki opisał Juliusz Verne. Wojtek miał Pięć tygodni w balonie w domu, opatrzone sążnistą dedykacją od pana Teodora. Dostał je w kwietniu, na ostatnie imieniny. Mechanizm sterowca, którego projektant inspirował się pomysłem francuskiego pisarza, stanowił prawdziwy cud techniki; nawet najnowsze wiedeńskie parowozy wypadały przy nim dość blado. Nic dziwnego: w tej maszynie po raz pierwszy zastosowano gąbkę Geista; przedpotopowy palnik Bunsena można było odesłać do muzeum. Czaszę balonu pokryto tworzywem o wiele twardszym i odporniejszym na naprężenia i zmiany temperatury niż zwykła gutaperka. I, rzecz jasna, tym aerostatem można było sterować, w co Verne, pisząc Pięć tygodni w balonie, absolutnie nie wierzył.

Oczywiście syn Franciszka Jarosika – mimo skłonności do wybuchów entuzjazmu – był chłopcem bardzo rozsądnym i twardo stąpającym po ziemi. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na marzenia zbyt dalekosiężne. Zostanie maszynistą, to mu wystarczy. W takim miejscu jak Kamionka będzie może pracował jego syn. Roboty – jak zapewniał inżynier Nałęcz-Kieszkowski – wystarczy jeszcze na dziesiątki lat. Nie tylko dla synów, ale nawet dla wnuków. Było przecież jeszcze tyle różnych maszyn do skonstruowania lub udoskonalenia, tyle celów do osiągnięcia.

Idąc szeroką żwirówką pod górę, Wojtek zauważył nagle coś dziwnego. Wysoka postać w bramie tajnego ośrodka na Kamionce to na pewno była kobieta. A przecież pracowali tam sami mężczyźni. W dodatku nieznajoma ubrana była jak pierwsza lepsza baba ze wsi. Czegóż ona mogła tam szukać? Jeśli ośrodek potrzebował żywności, kupowano ją w Podgłowicach – jajek, mleka czy sera nikt na Kamionkę nie przynosił. Chłopca ogarnął nagle dziwny niepokój. Zwolnił kroku. Nogi coraz trudniej odrywały się od ziemi, nieposłuszne jego woli. Wreszcie stanął w miejscu.

Kobieta skręciła w lewo, w przeciwną stronę, ku Jaziskom Górnym. Ku swojemu bezgranicznemu zdziwieniu Wojtek rozpoznał w niej Zytę Miotlarke. Co mogła tutaj robić córka starego Lisika, dziewczyna o zręcznych dłoniach i pokręconym umyśle?

W dodatku pod starym dębem czekał na nią Gawriło. Piętnastoletni Serb czy też Chorwat, podobno sierota. Chłopak przez rok służył u Michała Szeląga, najbogatszego gospodarza w Jaziskach Górnych, a potem znikł bez śladu. Teraz ni w pięć, ni w dziesięć zjawił się na Kamionce. Po co, dlaczego? I co go łączyło z pomyloną Zytą? Wojtek długo stał na drodze i zastanawiał się nad tą zagadką – i tak go zastał pan Nałęcz-Kieszkowski.

– Wojtuś, widziałeś tu kogoś? – zapytał inżynier. On też wydawał się czymś zaniepokojony.

Chłopiec opowiedział o tym, co zobaczył. Pan Teodor przez chwilę w zamysleniu tarł dłonią czoło, a potem rozkazał:

– Czekaj tu na mnie. Porozmawiam z kapitanem Winklerem, a potem poszukamy porucznika Steinmeiera.

Po chwili młodszy syn Franciszka Jarosika siedział w samochodzie pana inżyniera – lśniącej czarnej maszynie z fabryki Maybacha. Nieco później pośpiesznie się ubierał w izbie swojej chałupy, bo przecież we dworzec nie uchodziło się pokazywać w codziennym ubraniu. Po upływie kolejnych paru minut samochód zatrzymał się przed górną bramą dworu pana Kotarby w Jaziskach, na drugim końcu wsi.

Porucznik Steinmeier długo milczał, naciągając palce, aż stawy trzeszczały.

– Czyli – odezwał się w końcu – podejrzewa pan, że ta Zyta... że mogło się stać coś takiego jak wtedy w Borowie, kiedy jej o mało nie zatłukli cepami?

– To możliwe – powiedział Nałęcz-Kieszkowski. – Gefrajter Schultz wyglądał tak samo jak tamci dwaj. Przynajmniej zgodnie z opisem, bo ja ich nie widziałem, znam sprawę tylko z opowiadań. Prawie nieprzytomny, rozanielony, jakby nie wiadomo ile wypił, gadał od rzeczy. W Borowie podobno było tak samo.

– Taaak... Wygląda to podejrzanie. Problem w tym, panie Teodorze, że tutaj wchodzimy już na teren magnetyzmu, mesmeryzmu, a może nawet spirytyzmu. Cokolwiek zrobię, muszę to trzymać w tajemnicy, bo mnie Kundschaftsgruppe [kierownictwo wywiadu armii austrowęgierskiej] wyśle do psychiatry. Ale z drugiej strony... Skoro możliwe jest coś takiego, jak niedawno w Borowie, to gdyby ktoś znalazł sposób, by tą dziewczuchą pokierować...

– Na przykład jakiś agent GUGSz-u [Głównoje Uprawlenije Gienieralnowo Sztaba; kierownictwo wywiadu carskiej Rosji]? – domyślił się Kotarba.

– Na przykład – potwierdził poważnie Steinmeier.

Wojtek powoli zaczął się domyślać, o co chodzi. O sprawie borowskiej wiedziało każde dziecko w okolicy – może z wyjątkiem tych, które jeszcze nie miały pojęcia, skąd się wzięły na świecie. A on już co nieco wiedział.

Mieszkańcy Borowa, Jazisk i paru sąsiednich wsi byli w tej kwestii mocno podzieleni. Owszem, z ust do ust poszła wieść, że pomyłona Lisikówna, dziewczucha niczego sobie, a straszliwie niewyżyta, rzuciła urok na dwóch chłopów w sile wieku, by pofolgować drzemącym w niej chuciom. Bo gdyby to nie był urok, na pewno nie zachowywaliby się jak zbiegowie ze szpitala w Kulparkowie. Żaden z nich przecież nie wypił ani kropli wódki, obaj też byli całkiem zdrowi na umyśle. Pozornie więc wszystko było jasne.

Pozornie – bo policjanci, a później również lekarz przybyły z Tarnowa, mieli na ten temat nieco inne zdanie. Ci w żadne uroki nie wierzyli – poza ogólnym urokiem panny Zyty, pomyłonej wprawdzie, ale całkiem ponętnej. Podejrzewali, że dwaj – młodzi jeszcze, ale żonaci i uchodzący za statecznych – gospodarze z Borowa zapragnęli wykorzystać słabość umysłu Lisikówny do niecnych celów, a przyłapani na gorącym uczynku sami zaczęli udawać pomyłonych. Jak było, tak było, sprawa rozeszła się po kościach.

Gdyby ktoś znalazł sposób, by tą dziewczuchą pokierować...

Co porucznik Steinmeier miał na myśli? Pewnie to, że Zyta, przez kogoś namówiona, powtórzyła na Kamionce swój wyczyn z Borowa, by unieszkodliwić wartę. Że ktoś w tym czasie wkradł się do ośrodka na przespiegi, albo też po to, by dokonać sabotażu.

Wojtkowi przebiegło po plecach stado mrówek.

– Sprawdziliśmy wszystko dokładnie, nikogo nie znaleźliśmy – poinformował agenta Nałęcz-Kieszkowski. – Jedno tylko mnie dziwi...

– Co takiego?

– W magazynie gotowych gąbek, nie wiadomo jak i dlaczego, zaplątały się dwie nienaładowane.

– Rzeczywiście dziwne – mruknął Steinmeier.

– Przepraszam panów, ja chyba powinienem wyjść – zreflektował się nagle

Wojtek. – Bo to chyba już tajemnica państwowa?

Po krótkim namyśle porucznik machnął ręką.

– Przecież i tak już wiesz tyle samo co my. Możesz zostać, tylko nikomu nic nie

mów, dobrze?

Wojtek uroczyście zapewnił, że będzie milczał jak grób. A potem, po chwili

krótkiej jak mgnienie oka, o czymś sobie przypomniał:

– Z wartowni do pierwszego baraku jest chyba z dziesięć metrów – powiedział.

– I wzdłuż drogi rosną róże. Barak ma drugie drzwi z tyłu. A wartownicy chodzą po

dwóch, tym chodnikiem dookoła.

Steinmeier omal nie poderwał się z miejsca.

– Wojtuś, ty się nadajesz do policji! – powiedział. – To my już chyba wiemy,

czego szukać. A ty... Rzeczywiście, teraz już powinieneś iść do domu.

– Odwiozę cię – zaproponował Nałęcz-Kieszkowski.

– Nie, nie, proszę pana, przecież to niedaleko – zaprotestował chłopiec.

* * *

– W takim razie Zytę trzeba będzie profilaktycznie aresztować – myślał głośno

Steinmeier. – To po pierwsze. Po drugie, trzeba ludzi dyskretnie pociągnąć za język.

Musimy się dowiedzieć, czy nie ma kogoś, kto... Sam nie wiem. Musiałby to być ktoś

obcy. A poza tym trzeba koniecznie znaleźć tego Gawriła. On ma piętnaście lat, ale to

niezłe ziółko. Wojtek mówił o tych tylnych drzwiach.

Kotarba uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Myśli pan, że ta kradzież u Szeląga...

Porucznik poważnie skinął głową.

– Wiemy, że ktoś posłużył się wytrychem, że na podłodze były ślady krwi i że

Gawriło przepadł jak kamień w wodę. Policja od roku się zastanawia, czy był ofiarą,

czy jednym ze sprawców. Ale z dokumentów, które nam przysłał komisariat z Livna,

wynikałoby, że chłopak miał bardzo zręczne palce.

– Kradł?

– Nie. Zepsuł policmajstrowi automobil. A potem uciekł z Hercegowiny i nie

wiadomo, co robił przez trzy lata. Później rok służby u Szeląga... i znów przepadł.

Nałęcz-Kieszkowski podrapał się po głowie.

– No dobrze. To Gawriło. Widocznie już pięć lat temu miał zadatki na wywro-

townca. Ale Zyta? Kto i w jaki sposób mógł ją namówić do współudziału? I czy naprawdę jest tak, jak baby po wsiach plotkują? Że potrafi zawiązać mężczyznę, rzucić

urok... czyli – nazwijmy to bardziej uczenie – wyrzucić na niego magnetyczny albo też

hipnotyczny wpływ. A gdyby nawet, to ona jest zbyt głupia, żeby działać świadomie i

planowo.

– W takim razie ktoś nią steruje. Oczywiście ktoś stamtąd. – Steinmeier ledwo

widocznym gestem wskazał na wschód. – Widocznie tam jest więcej takich, nie tylko

ten.

Kotarba gwałtownie zerwał się z miejsca.

– Nie tylko ten?! Ma pan na myśli... Chwileczkę, muszę czegoś poszukać.

Dziedzic niemal wybiegł z gabinetu. Nie zamknął za sobą drzwi, więc goście

usłyszeli, jak woła lokaja Mateusza.

Dziesięć minut później gospodarz podsunął im pod nos wymiętoszoną gazetę.

Inżynier i porucznik zatopili się w lekturze.

– Więc wyjechał z Petersburga – powiedział Steinmeier, przeciągając sylaby.

– Ciekawe. Cie-ka-we...

– Prawdopodobnie za granicę – dodał Nałęcz-Kieszkowski. – Kundschafts-

gruppe może sprawdzić dokąd?

– Myślę, że tak – potwierdził porucznik. – Ale trzeba działać ostrożnie. Nie mogę przecież... Rozumiecie, panowie, o co chodzi. Moi zwierzchnicy mogliby mnie odesłać do psychiatry i z pewnością nie byłby to doktor Freud.

– A ja mam problem z tymi gąbkami – mruknął inżynier – i nie wiem, jak go rozwiązać.

– I to wszystko się dzieje właśnie teraz, kiedy Kronprinz [(niem.) następca tronu] bawi w Krakowie i lada dzień wybiera się do Krynicy! – westchnął Steinmeier.

* * *

Dwaj mężczyźni, których Wojtek spotkał, mijając karczmę Żyda Ungiera, byli naprawdę dziwni. Nie dlatego, że się zataczali; to był widok dość pospolity. Zainteresowało go coś innego.

Obaj sprawiali wrażenie nietutejszych. I nie chodziło o to, że Wojtek ich nie znał z widzenia. Oni po prostu wyglądali inaczej. Nie jak chłopci z okolicznych wsi, nie jak półchłopi-półmieszczanie z Podgłowic, nie jak miastowi – ci prawdziwi, z Tarnowa albo Nowego Sącza – czy ziemianie z bielonych wapnem dworków. Nie byli też Żydami, żołnierzami, policjantami ani urzędnikami. Reprezentowali jakąś zupełnie inną, nieznaną Wojtkowi kategorię ludzi.

Wyróżniał się zwłaszcza jeden z nich. Był to mężczyzna w sile wieku, mniej więcej czterdziestoletni. Miał krótko przycięty, ale mimo to dość rosochaty zarost i włosy nieco przerzedzone na ciemieniu. Wojtek gotów był się założyć, że te włosy zostały dopiero co przycięte do obecnej długości, a wcześniej musiały sięgać ramion.

Broda też przedtem z pewnością zasłaniała całą pierś.

Drugi z mężczyzn wyglądał bardziej swojsko, ale też inaczej niż ludzie, których chłopcu zdarzyło się widywać w Jaziskach czy Podgłowicach albo na odpuście w Tuchowie. A co najdziwniejsze, oni wcale nie byli pijani. Nie zataczali się naprawdę, tylko udawali. Wkładali w to dużo wysiłku, ale chłopiec miał coraz mniej wątpliwości: wypili raczej niewiele, po prostu bardzo im zależało, by brano ich za pijaków. Dlaczego, po co?

Za zakrętem, obok przejazdu przez tory, stała bryczka zaprzężona w dwa konie.

Rzekomi pijacy wgramolili się do pojazdu, woźnica strzelił z bata i konie ruszyły z kopyta. Brodacz jeszcze odwrócił głowę i Wojtek napotkał jego spojrzenie.

Poczuł trudny do przezwyciężenia strach.

* * *

Rudolf Steinmeier i Teodor Nałęcz-Kieszkowski w zadumie wpatrywali się w zdjęcie powiększone przez lwowskiego fotografa Heffnera. Mężczyzna o długich, miejscami przerzedzonych włosach i zmierzwionej brodzie patrzył z płachty papieru w taki sposób, że ciarki przebiegały po plecach. To był człowiek, który owinął sobie wokół palca możnych tego świata, władających rozległym imperium, któremu ludzie potężni i wpływowi nie potrafili niczego odmówić, a kobiety na jedno skinienie padały w ramiona. Który mniej lub bardziej otwarcie ogłaszał się wysłannikiem Boga.

Czy to możliwe, by ktoś taki porzucił splendory carskiego dworu i wyruszył incognito za granicę? By wziął na siebie rolę dywersanta?

– Wojtek ma bardzo dobrą pamięć wzrokową – odezwał się w końcu inżynier.

– Skoro twierdzi, że to ten sam...

– Tak, jego pamięć do twarzy jest wprost fenomenalna – zgodził się z nim porucznik. – Ale jak to możliwe? Żeby on...? – Nie dokończył, poprzestał na wskazaniu zdjęcia ruchem podbródka.

– To się okaże wcześniej czy później. Policja i żandarmeria na pewno go znajdą.

Trzeba będzie wzmocnić ochronę Kamionki.

– Powiadomiłem już moich przełożonych, oni też widzą taką potrzebę – powiedział Steinmeier. – Nie wiadomo tylko, co Miotlarka ma wspólnego z tym wszystkim. Dziewucha przepadła jak kamień w wodę.

– Znajdziecie ich wszystkich, daleko nie odeszli ani nie odjechali – zauważył Nałęcz-Kieszkowski. – Policja w czterech powiatach postawiona na nogi, żandarmeria też. Człowiek nie igła.

– I jeszcze ten mały Princip... jak mu tam... Gawriło – zauważył porucznik. – To przecież niemożliwe, żeby się znalazł na Kamionce przypadkiem. Z tego by wynikało... Proszę!

Pukającym do drzwi okazał się podporucznik Andrzej Koczvara, przysłany przez Flataua, dyrektora policji z Krakowa.

– Chyba mamy ślad, panie poruczniku – zameldował.

* * *

Oczy Wojtka Jarosika promieniały zachwytem. Szare komórki wciąż jednak działały na pełnych obrotach, analizując fakty i formułując dociekliwe pytania.

– A co będzie, jeżeli wróg zacznie strzelać? – zapytał.

– Sterowiec potrafi się wznieść na wysokość nieosiągalną dla kuli karabinowej – wyjaśnił inżynier. – A bomba zawsze poleci pionowo w dół... albo prawie pionowo. Kiedy będziemy mieć dużo takich sterowców, nikomu nie pozwolimy się pokonać.

– Czyli jednak będzie wojna? – Chłopiec spojrzał na niego z niepokojem.

Nałęcz-Kieszkowski wiedział, skąd się wzięło to „jednak”. O możliwym wybuchu wojny z Rosją mówiło się coraz częściej, nieraz pisały o tym gazety – ale nie w tym rzecz. Tu, w okolicach Podgłowic, pogłoskom o zbliżającej się wojnie winna była Zyta Miotlarka. Wojtkowi natychmiast przypomniały się jej histeryczne wrzaski – i chłopiec poczuł ciarki na plecach. Wyobraźnia podsunęła mu całą serię niezwykle plastycznych obrazów. I to takich, jakich za żadne skarby nie chciałby oglądać.

Mrowie żołnierzy z bagnietami nasadzonymi na lufy karabinów. Huk dział. Eksplozje szrapneli. Terkot karabinów maszynowych. Krwawe dziury w bluzach błękitnych mundurów. Urwane nogi. Rzęzenie śmiertelnie rannych koni...

– Wojna. – Inżynier spojrzał w zadumie na swój zegarek, jakby się spodziewał, że wyczyta odpowiedź z cyferblatu. – To bardzo możliwe. Ale jeszcze nie teraz. Być może za kilka lat.

– Pewnie wtedy, kiedy ja będę w wojsku. – Chłopiec wyraźnie się zmartwił.

Nieokiełznana wyobraźnia podsunęła kolejne obrazy pełne ognia i krwi.

Oto on, w mundurze Landwehry, z karabinem. Naprzeciwko niego – szeregi poddanych cara Mikołaja. Strzały. Tępe uderzenie w pierś. Świat wiruje, wymarzona lokomotywa żegna go przeciągłym gwizdem i odjeżdża w siną dal, wprost do wieczności...

– Trudno przewidzieć – powiedział Nałęcz-Kieszkowski, rozkładając ręce. –

Na razie przygotowujemy się do stworzenia flotylli sterowców dla armii. Może trafisz właśnie do K.u.K. Luftschifferabteilung [Cesarsko-Królewska Floty]la Statków Powietrznych, formacja lotnicza armii austro-węgierskiej wyposażona w balony i sterowce]. No, panie Słaboń, wszystko gotowe? – zwrócił się do mechanika.

– Gotowe, panie inżynierze, możemy odpalać! – zameldował Słaboń.

– Wojtek, przekręć kurek – powiedział Nałęcz-Kieszkowski.

Chłopiec aż poczerwieniał z przejęcia. Usiadł na krzeselku mechanika i ostrożnie dotknął pokrętła.

– W prawo czy w lewo? – zapytał.

– Dwie kreski w prawo – pouczył go Słaboń. – Do dwójki.

Wojtek wykonał polecenie.

– Odpinać! – rozkazał inżynier obsłudze naziemnej. Jeden z mężczyzn w granatowych kombinezonach uwolnił gondolę, odczepiając linę. Sterowiec wzniósł się w powietrze.

Wojtek z wypiekami na twarzy obserwował smużkę żółtego światła, pnącą się w górę jak słupek rtęci w termometrze. Wiedział, że gdyby szkło nie było żaroodporne i twardsze od stali, to rurka by się rozprysła na tysiące maleńkich okruszków, a załodze sterowca groziłoby poparzenie. Słyszał już o bliznach na twarzy profesora Geista, który na początku niezupełnie sobie zdawał sprawę, jaką siłę próbuje okiełznać. Przecież wiedeńskie laboratorium słynnego uczonegoomal nie spłonęło. A jednak poradził sobie, zapanował nad energią zamkniętą w tym małym, niepozornym przedmiocie porównywanym do gąbki.

Gąbka – też zamknięta w pojemniku z żaroodpornego szkła – pulsowała jaszkrawą czerwienią. Wyglądała jak ochłap krwistego mięsa z żarówką w środku.

Tuż obok, na tablicy rozdzielczej, jednostajnie mrugało kilkanaście małych lampek. Na okrągłych tarczach, podobnych do cyferblatu zegarka, przesuwały się w prawo lub w lewo cienkie czarne wskazówki. Nałęcz-Kieszkowski stanął obok Wojtka i zaczął mu tłumaczyć, do czego służą poszczególne przyrządy. Chłopiec słuchał, kiwając głową.

– A teraz zobacz, na jakiej wysokości jesteśmy – odezwał się mechanik.

Wojtek zerknął na wysokościomierz.

– Czteryście metrów! Prawie jak od nas do chałupy Mikosiów!

Podszedł do krawędzi gondoli i spojrzał w dół.

– O, Tolek pasie krowy – zauważył. – A tata idzie po cosik do lasa...

Urwał i zaczerwienił się. Zerknął ukradkiem na inżyniera, ale wszystko wskazywało na to, że Nałęcz-Kieszkowski tym razem nie zauważył błędów.

– A tam, pod lasem, to nie ten podporucznik z Krakowa ze swoimi ludźmi? – zapytał nagle mechanik.

Nałęcz-Kieszkowski wyciągnął lunetę i spojrzał we wskazanym kierunku.

– Tak, to oni.

Wojtek nie potrzebował lunety, by zrozumieć, dokąd i po co idą policjanci.

Zmierzali do jednego z miejsc, w których mogli się znajdować dwaj nieznajomi, udający niedawno pijanych przed karczmą Ungiera.

Może ich wreszcie złapią, pomyślał. Naprawdę szczerze tego pragnął. Szpiedzy z kraju, w którym nie wolno mówić w szkole po polsku, zasługiwali na dożywotnie więzienie. A porucznik Steinmeier zapewniał kiedyś, że jeśli cesarsko-królewska armia pokona wojska cara, to Najjaśniejszy Pan na pewno uda się do Warszawy i koronuje na króla Polski. Bo w czymże Polacy gorsi od Węgrów?

* * *

Puchała, sąsiad Jarosików, otarł sok z brody i spojrzał w górę, ponad wierzchołek gruszy. Zauważył owalny kształt przesuający się po niebie ku zachodowi, w kierunku słońca, które już w połowie skryło się za wierzchołkami stuletnich jodeł.

– O, leci austrijacki balon! – powiedział.

– Bedzie wojna, ino patrzyć! – westchnęła Puchałowa. – Wybijom ludzi jak

kacki, wyszczyłajom, chołpy popołom...

– E, staro, nie godałabyś byle cego! – obruszył się mąż. – Wojsko do wojska

bedzie szczyłało, nom dadzom spokój.

– Gównu prowda!

– Nie, nie prowda, ino cało maśnica [„prawdą” nazywana była drewniana lub metalowa osłona otworu, przez który przechodził drążek ubijaka w maselnicy. Zapobiegała rozpryskiwaniu się śmietany i maślanek.!] – prychnął Puchała.

– Dyc’ tero, jak bedom mieć te balony abo samoloty, to bedom bombardować jak popadnie! Chołpy porozwolajom, śtreki [tor kolejowy], wszystko! A o gazach swysoleş? Przed gazem nie ucieknies, łotruje cie i kuniec! Jes tako przepowiednia: przydom casy, ze kiedy zobaczys ślad cłowieka, to klenknies i bedzies całowo!

– E, łony chyba ni majom piniendzy na tyle bomb i gazu, zeby wszystko zombardować i zagazować – zbagatelizował przepowiednię Tolek Jarosik.

– Gupio godos, Tolek, boś młody i gównu wis – odparła kobieta. – Dyc’ wszystkie piniondze idom na wojsko, a cłowiek bosy i łobdarty chodzi. To jak majom ni mieć?

– Ale jakby sie co dziolo, to Wojtek nos łobroni – roześmiał się chłopak, wskazując palcem młodszego brata, który właśnie przekroczył furtkę. – Łon sie dzi-siok ucuł balonem lotać. No, Wojtek, jak tam buło? Dolecioleş do Widnia i z powrotem?

– Nie, lotołem ino nad Jaziskami. Patrzulem, jak cie Kraso bodła na miedzy – odciął się Wojtek.

Krasa, najstarsza z krów Jarosików, rzeczywiście nie lubiła Tolka. Z wzajemnością.

– Patrzcie sie, jakie to pyskate! Godom wom, łon chyba gienerałem łostanie!

* * *

Ranek był chłodny. Nad ziemią zalegała gęsta mgła, na gałęziach drzew wisiały grube, ciężkie krople rosy. Raz po raz któraś z nich spadała Wojtkowi na głowę albo lądowała za kołnierzem. Chłopiec nie zważał na to, musiał nzbierać grzybów, i to szybko, żeby potem jeszcze zdążyć na sumę.

Kurek w jedlinie było zatrzęsienie. Wojtek nzbierał tyle tylko, by wystarczyło na obiad, po czym zaczął się rozglądać za prawdziwkami i kozakami, przeznaczonymi do suszenia. Chyłkiem, niemal na czworakach przebrnął przez gęsty jodłowy młodnik, by dotrzeć do brzoźowego zagajnika na stoku, wyszedł na ścieżkę, wyprostował się... i nagle zamarł bez ruchu. Stanął oko w oko z kimś, o kim zdarzyło mu się ostatnio rozmawiać z bardzo ważnymi osobami. Z kimś, kto dla niego, i nie tylko dla niego, był prawdziwą zagadką...

Gawriło Prinsip przyspieszył kroku. Zamiast spokojnie ominąć Wojtka stojącego na środku ścieżki, niespodziewanie wyprowadził cios, po którym chłopiec zobaczył wszystkie gwiazdy.

Kiedy w końcu się podniósł, zobaczył plecy Serba znikające za starym, rozwi-dlonym dębem.

Wiedział już, że policjanci, których obserwował niedawno z góry, z gondoli sterowca, nikogo wtedy nie złapali. Czyżby kryjówką podejrzanych – a może punktem zbornym – był stary, wałący się szałas ukryty wśród krzaków porastających wyrobisko nieczynnego kamieniołomu? Tam od paru lat nikt nie zaglądał. Śmierć Tacka Białasa, przysypanego stosem kamieni, skutecznie wszystkich odstraszyła.

* * *

Oleg nasłuchiwał.

– Chyba ktoś idzie – szepnął.

Grigorij Jefimowicz, wciąż z jedną dłonią na piersi dziewczyny, a drugą pod jej spódnicą, wzruszył pogardliwie ramionami.

– Gawriła nie poznajesz, Oleg? Swoją drogą szybko się uwinął. Mołodiec!

Oleg – nie po raz pierwszy – zaniemówił z wrażenia. On sam, choć obdarzony fenomenalnym słuchem, z trudem wychwytał szelest kroków, a ten natychmiast rozpoznał nadchodzącego.

Teraz już kroki na ścieżce było słycać doskonale. Towarzyszył im szmer rozgarnianych gałęzi. Chwilę później do szalasu wszedł Gawriło.

– Ufff! – sapnął. – Jakiś gówniarz mi se uvucił w dorogu i nado było jemu dać w mordę, zanim mi se zagleda dokładnie...

– Możesz mówić po serbsku albo po polsku – zwrócił mu uwagę Oleg, zirytowany tą mieszaniną trzech języków. Sam przy tym ozdobił swoją polszczyznę paroma rosyjskimi wtrętami. – Zrozumiemy przecież. Polskie słowa możesz przekręcać skolko ugodno, a przy naszych... ech, serdce bolit!

– A on ciebia nawierno nie znajet? – zapytał Grigorij Jefimowicz.

– Niemożliwe. – Serb pokręcił głową. – On pewnie wychodzi z chałupie... z chałupy na pastwisko z krava... eee... krowami, a w niedzielę do kościoła, i tyle. Gdzie mógł mnie widzieć? Ja jego też nie znam. A zresztą ta magła... mmm... mgła...

– Daaa... – Brodaty Rosjanin uznał sprawę za zamkniętą. – W takim słuczaje woz'miomsia za samoje ważnoje... – urwał i spojrzał wymownie na Olega.

Oleg wyszedłby i bez przypomnienia. Wprawdzie jako szpieg niejedno w życiu widział i do wszystkiego się przyzwyczał, ale nie miał ochoty patrzeć, jak syberyjski jurodiwy wraz z nawiedzonym serbskim szczeniakiem zespalają swoje jaźnie z jaźnią chorej psychicznie kobiety, by osiągnąć wyższy stan świadomości. Przyznawał, że coś w tym jest, przekonała go o tym skuteczna akcja na Kamionce – ale w takich chwilach jak ta mimo wszystko czuł się nieswojo. Dla niego takie „zespolenie jaźni” było czymś zupełnie innym i nie miało nic wspólnego z wyższymi stanami świadomości i górnymi rejonami transcendencji.

Wyszedł, spojrzał w górę i postanowił przejść na drugą stronę szalasu. Wejście znajdowało się u stóp urwiska, a to już kiedyś się osunęło, teraz też kamienie zdawały się wisieć nad szalaszem jak miecz Damoklesa. Oleg wymruczał rosyjskie przekleństwo i opuścił niebezpieczne miejsce. Usiadł pod krzywą jarzębiną, oparł się plecami o cienki pień i otulił szczelniej peleryną, czując poranny chłód.

Lufa, którą mu przystawiono do potylicy, była twarda i znacznie zimniejsza od porannej październikowej mgły.

* * *

Strzał. Potem drugi. Po nim jeszcze parę kolejnych.

Wojtek podszedł na czworakach do grubego dębu i ostrożnie wyjrzał zza pnia.

Sylwetkę kobiety biegnącej przez łąkę rozpoznał natychmiast. To była Zyta Lisikówna. Dzierżyła zresztą w dłoni brzożową miotłę. Towarzyszący jej chłopak musiał być Gawriłem. W każdym razie ubrany był dokładnie tak samo jak Gawriło, gdy stanął naprzeciwko Wojtka na ścieżce.

Uciekający wybiegli na polną drogę. Znów rozległy się strzały. Nad wyschniętą gliną uniosły się dwa obłoczki kurzu. A więc policjanci celowali w nogi.

I nie trafili. Ani przedtem, ani teraz, ani potem. Zyta i Gawriło zniknęli w lesie zwanym Księżą Grabiną, porastającym stok pagórka po przeciwnej stronie drogi. Teraz dopiero Wojtek uswiadomił sobie, co go zaskoczyło, gdy zobaczył tę parę, wychylając się zza pnia dębu.

Sylwetkę Gawriła otaczała jasna poświata, widoczna tak długo, jak długo chłopak znajdował się w głębokim cieniu. Świeciła też miotła w ręku Zyty.

* * *

— No to jak żeście strzelali?! — złościł się Steinmeier. — Z takiej odległości nie trafić?!

— Celowaliśmy w nogi — bąknął zakłopotany Koczvara.

— Wiem, wiem. Ale mimo wszystko. Oni mieli coś, co nie powinno się dostać w niepowołane ręce. Jeśli im się uda uciec za granicę...

— Nie uciekną — zapewnił go Koczvara. — Księża Grabina jest obstawiona ze wszystkich stron. Nie będziemy jej przeczesywać piędź po piędzi, żeby nie narażać ludzi, bo przecież oni mogą wywołać pożar albo nawet wybuch. Ale o tym, żeby z niego wyszli, nie ma mowy. Ściągnąłem już posiłki. Teraz nawet mysz się nie prześliznie.

— Ale jeżeli wasi ludzie będą tak celnie strzelać, jak rano... — Steinmeier machnął ręką. — Dobrze, podeślę wam jeszcze naszych agentów. Kordon musi być szczelny.

— A o aresztowaniu tych dwóch prasa na razie się nie dowie? — zapytał Nałęcz-Kieszkowski.

— Tego by jeszcze brakowało! — prychnął porucznik. — Już sobie wyobrażam te tytuły: „Faworyt carycy aresztowany w trakcie akcji dywersyjnej!”, „Rasputin czaruje Landwehrę!”, „Syberyjski szaman contra K.u.K. Luftschifferabteilung!”. A skutki? Strach pomyśleć.

— Ale chyba da się całą sprawę utrzymać w tajemnicy?

Steinmeier wzruszył ramionami.

— Paru reporterów już wywęszyło, że coś się dzieje. Na razie usłyszeli, że poszukujemy niebezpiecznych przestępców. Ale kiedy się zorientują, że ci niebezpieczni przestępcy to pomyłona wiejska dziewczucha i piętnastoletni chłopak... Coś trzeba wymyślić. A o Rasputinie oczywiście ani słowa.

— Ciekawy jestem, w której twierdzy go zamkną — mruknął inżynier. — Może w tej samej, w której siedział ksiądz Robak z Pana Tadeusza? — Widząc zdziwione spojrzenie porucznika, szybko dodał: — Oczywiście żartowałem, to tylko fikcja literacka...

* * *

— Dobra, idź już, Wojtuś, bo się ciemno zrobiło — powiedział dziadek Szczepan, tarmosząc zmierzwione włosy chłopca. — Łoćciec cie loterenci jak święty Michał diabła. Podziękuj piyknie za gruski... i przydź jesce kiedy. Mozes i bez grusek.

Chłopiec pożegnał się i wyszedł. Ruszył wąską dróżką prowadzącą do Jedlin na skróty przez las. Dziesięciominutowy marsz wśród stuletnich jodeł wcale go nie przerażał. Ciemności się nie bał, a wilków czy niedźwiedzi nigdy w tej okolicy nie było. Mógł się czuć bezpiecznie.

Kiedy mijał kapliczkę z obrazem Matki Boskiej Tuchowskiej wiszącym na starej rozwidlonej jodle, usłyszał wycie psów. Wzdrygnął się; nie był przesądny, ale nie lubił tego dźwięku. Przyspieszył kroku, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Chwilę później wyszedł na otwartą przestrzeń, odruchowo zadarł głowę, by poszukać księżycy,

który mógł być przyczyną nostalgicznego nastroju kundli w Jedlinach – i nagle poczuł, jak włosy stają mu dęba, a po plecach przebiega stado mrówek.

To, co zobaczył na tle rozgwieżdzonego nieba, było niewątpliwie miotłą. Płonącą żywym ogniem, ale jednak miotłą: pękiem rozgałęziających się witek z węzłami kolanek, złączonych w jedną całość mocnymi wiązaniami. Wypisz wymaluj, miotła, i to od Zyty Lisikówny.

Mam przywidzenia, pomyślał. Uszczypnął się w lewe udo, ale dziwne zjawisko nie zniknęło. W dodatku głosy dobiegające z pobliskich zagród dowodziły, że inni widzą to samo.

Nie, to niemożliwe, tej miotły tam nie ma, pomyślał i zamknął oczy. Kiedy je otworzył i z obawą spojrział w górę, miotły rzeczywiście nie było. Zobaczył za to coś, co mu inżynier Nałęcz-Kieszkowski pokazywał w jakiejś książce: gwiazdę z długim świetlistym warkoczem.

Aha, to pewnie ta kometa Halleya, pomyślał. Czyli jednak mi się przywidziało.

Zaraz potem odezwał się pod czaszką jakiś przekorny głos, by mu przypomnieć, że według obliczeń astronomów do pojawienia się komety Halleya pozostało jeszcze pół roku. Tak przynajmniej twierdził inżynier.

Tak czy inaczej żadnej miotły nie było. Uspokojony Wojtek ruszył przed siebie.

Musiał jeszcze minąć cztery chałupy.

Zatrzymał się obok ostatniej z nich. Szczęsioosobowa rodzina Cholewów w ogóle go nie zauważyła, zajęta obserwowaniem niezwykłego zjawiska na niebie. Chłopiec postąpił chwilę obok płotu, wsłuchując się w podniecone głosy sąsiadów, i odkrył, że oni wciąż widzą miotłę. A więc ulegli tej samej halucynacji – i halucynacja nie zniknęła. Jak to możliwe?

Jeszcze raz spojrział w górę. Na niebie znów wisiała ognista miotła.

* * *

Takiego tłumy na porannej mszy proboszcz Urbanik jeszcze nie widział. A władał przecież parafią od dwudziestu lat. Oczywiście nie miał złudzeń: nie był to nagły przypływ pobożności dokonujący się właśnie pod wpływem szczególnej łaski Bożej albo jako skutek jego żarliwych modłów. Ksiądz Innocenty widział wieczorem to samo co wszyscy i doskonale wiedział, co jego parafianie myślą i czują. Wiedział też, że nie powinien milczeć. Postąpił wbrew zwyczajom i – jakby to nie był dzień powszedni, a niedziela – wygłosił krótkie kazanie. Oprócz zachęt do modlitwy i pokuty znalazło się w nim przypomnienie, że „tylko Bóg zna przyszłość”, że „to, co gotowi jesteśmy uważać za nieomylny znak, bywa fałszywe i zwodnicze”, że „nie powinniśmy sobie przypisywać zdolności zrozumienia Bożych zamierzeń”, ale wiedział, że jego słowa trafiają w próżnię. Prostoduszna podgłowicka owczarnia wiedziała swoje.

– Powymiało nos ta mietła, powymiało! – wzdychał stary Wilga, od którego Jarosik miał zwyczaj pożyczać konia do orki. – Prowde Zyta godała: wojna idzie!
– Ano! – przyświadczyła Puchałowa. – Jo to juz downo godała, ino nikto nie chcioł słuchać. A jak mo być jakie nieszczęście, to Pon Bóg wceśni zawdy jakiesik znaki ludziom daje. Z Zyty sie śmioli, ze gupio, ze co łona wi.

– A to sie chyba juz zaczęło – wtrąciła się matka Mańka Maciaszka. – Dyc wiecie, ze ziardary Księżom Grabine obstawiuly! Godajom, ze Ruskie przyleciały balonem i śpiegów na spadochronach zrzuciuly.

– Abo agentów z bombami, coby jakie koszary wysadzić – dodał ktoś stojący

za plecami Puchałowej.

Słuchając tych pogaduszek, Wojtek coraz bardziej się dziwił. Z każdą chwilą przekonywał się, że nikt nie widział tego, co on. Tylko on zobaczył najpierw miotłę, a potem kometę. Tylko on doszedł do wniosku, że uległ dziwnemu, niewytłumaczalnemu złudzeniu. Wszyscy inni widzieli wyłącznie miotłę.

Nie, nie wszyscy. Władek, syn sołtysa, próbował przekonać najbliższych, że miotła nie jest żadnym zjawiskiem nadprzyrodzonym.

– Swysołem, ze to nie pirsy roz widać – mówił. – To sie nazywo haleja i sie pokazuje co siedemdziesiont pienć lot...

– Nie żodno haleja, ino kuweta Halleya – poprawił go Maniek Maciaszek. –

Halley to buł astronom, i Ion jom bez lornete łobejrzoł i łopisoł.

– Gówno wisz, Maniek, to nie parowóz, to ty sie nie znos – ofuknął go młodszy brat Władka. – Nie kuweta, ino kumeta. Bo kuweta to jes tako miska, co do nij u panów koty jscajom.

Pozostali solidarnie całą trójkę zakrzyczeli. Nie chcieli słuchać paru niedowiarków, którzy przeczytali dwie książki na krzyż i się teraz mądrzyli. Każdy oprócz nich wiedział swoje: miotła na niebie to znak dany im przez Boga, by ich ostrzec przed nadchodzącym kataklizmem.

Późnym popołudniem Wojtek nie wytrzymał i pod jakimś pretekstem wyrwał się z domu. Koniecznie chciał porozmawiać o ostatnich wydarzeniach z panem Nałęcz-Kieszkowskim albo z panem Kotarbą i liczył, że przy odrobinie szczęścia nadarzy się po temu okazja.

I tak się stało. Spotkany przy bramie tartaku dziedzic na jego widok uśmiechnął się szeroko i powitał chłopca jak dobrego znajomego. Wojtek skorzystał z okazji i natychmiast skierował dyskusję na absorbujący go temat.

Niestety po tej rozmowie wiedział tyle co przedtem. Pan Kotarba widział to samo: najpierw miotłę, a potem – po zamknięciu oczu i ponownym ich otwarciu – po prostu kometę. W dodatku dziedzic nie był pewny, czy to na pewno kometa Halleya, ta rzeczywiście powinna się pojawić dopiero w kwietniu.

Wojtkowi nagle strzeliła do głowy myśl tak zwariowana, że aż się zaczerwienił.

A może to miotła Zyty Lisikówny ze skradzioną gąbką Geista w środku?

Kotarba zauważył jego zmieszanie. Chłopiec po krótkim wahaniu wyjawiał swoją niedorzeczną myśl. Dziedzic na szczęście nie wyśmiał go, zauważył tylko, że energia uwolniona z gąbki Geista powinna raczej spalić tę miotłę, niż sprawić, że taka wiązka brzoźowych witek będzie latać w przestworzach.

– No dobrze – Wojtek z namysłem podrapał się po głowie, jeszcze bardziej mierzwiąc płową czupryną – w takim razie jak to możliwe, że ja widzę raz miotłę... eee...

miotłę, a kiedy indziej kometę? I pan też? A większość ludzi widzi tylko miotłę?

Dziedzic w zadumie przyglądał się rosochatej koronie starej wierzby, jakby zobaczył tam jakiś szczególnie interesujący okaz ptaka.

– Widzisz – odezwał się w końcu – to chyba zależy od podatności na sugestię.

Oni wszyscy – zatoczył ręką szeroki krąg – to prości ludzie, większość nawet nie umie czytać. Nigdy nie ruszyli się z domu dalej, niż na odpust do Tuchowa albo z krową na targ do Zakliczyna. Niewiele wiedzą i są przesądni. A ty już przeczytałeś parę książek, znasz się na lokomotywach i innych maszynach, potrafisz myśleć racjonalnie. Dlatego jesteś mniej podatny, można cię zaatakować sugestią z zaskoczenia tylko wtedy, kiedy nie jesteś przygotowany.

– Ale kto... kto robi tę sugestię? Przepraszam, mówię chyba nie po polsku. –

Chłopiec zaczerwienił się. – Przecież chyba nie Zyta.

– Kto wie, co może siedzieć w umyśle człowieka chorego psychicznie? I w ogóle w umyśle każdego z nas? Doktor Freud odsłonił tylko niektóre mechanizmy działania podświadomości. Kiedyś ci o nim opowiem. A czy nigdy nie spotkałeś kogoś, kto raz na ciebie spojrzy i już coś się zaczyna dziać? Na przykład boisz się go, chociaż nie masz powodów.

– Aha, ktoś taki jak ten... ten Ruski... Raz... Raz...

– Rasputin – dokończył dziedzic. – Słyszałeś, kto to taki, prawda?

– Że to on rządził carskim dworem i wszyscy go słuchali?

– Właśnie. Niektórzy twierdzą, że wywierał na ludzi magnetyczny wpływ, może nawet ich hipnotyzował. A nawet że miał zdolności telepatyczne.

– To znaczy, że czytał ludziom w myślach? – Wojtek znów poczuł na plecach taki sam dreszcz jak wtedy, gdy spojrział prosto w oczy brodatego Rosjanina.

– Tak. Oczywiście to nic pewnego. Trzeba jednak przyznać, że to człowiek o wysoko rozwiniętych zdolnościach paranormalnych... podobnie jak Zyta.

– Aha, Borów, potem Kamionka...

– Właśnie. – Kotarba poważnie skinął głową. – Zyta i Rasputin spotkali się i zaczęli działać wspólnie. Trudno powiedzieć, co z tego może wyniknąć.

– I co teraz będzie?

Dziedzic rozłożył ręce.

– Trudno przewidzieć. Na razie Rasputin siedzi w jakiejś twierdzy.

– Będzie wojna? – Wojtek ze zdumieniem usłyszał, że chrypi, jakby cierpiał na zapalenie gardła.

– Nie myśl o tym – pocieszył go Kotarba. – Może będzie, a może nie. Zresztą jeśli nawet wybuchnie, to cesarsko-królewska armia na pewno ją wygra. Bombardowania niech się boi Petersburg, a nie Jaziska i Podgłowice.

* * *

Dwa dni później, gdy tylko umilkł nierówny chór głosów śpiewających suplikacje po porannej mszy, gruchnęła nagle niewiarygodna wieść: poza granicami gminy Podgłowice miotły w ogóle nie widziano. Ani w pobliskim Jałowcu, ani w powiatowym Grybowie, nie mówiąc już o Tarnowie czy Nowym Sączu.

Ta niezwykła wiadomość nikogo nie uspokoiła. Wprost przeciwnie. Wywróżono z niej wszystko, co najgorsze. Teraz już spodziewano się klęsk, jakich nie zna historia – i te klęski miały dotknąć właśnie Podgłowice wraz z kilkoma sąsiednimi wioskami.

Wieść o ognistej miotle dotarła tymczasem do wielkich miast. Pod koniec tygodnia w Podgłowicach zaroilo się od dziennikarzy uzbrojonych w grube notesy. Nie-stety żaden as reportażu nie przewidział, że tutejszym chłopom, przerażonym katastrofą zapowiedzianą przez złowieszcze znaki, wcale nie zależy na sławie. Największego pecha miał dziennikarz krakowski „Czasu”: zanim zamknął za sobą furtkę obojczy Jarosików, z trzaskiem złamały się na jego plecach grabie Leoški Madejowej.

Jego kolega po fachu z „Kurjera Lwowskiego” miał więcej szczęścia: ścigany przez czterech chłopów z widłami zdążył się schronić za bramą dworu Kotarby.

Po najeździe reporterów pozostały tylko dwie pary zgubionych lakierków, jeden jedwabny fular na krzaku tarniny i bliżej nieokreślona liczba guzików oderwanych od surdutów.

Dziennikarze opuszczali gminę Podgłowice w takim popłochu, że już nie zainteresowali się kordonem wokół Księżej Grabiny i unoszącym się nad nią w porze śniadania, obiadu i kolacji dymem z ogniska.

* * *

Ktoś na bardzo wysokim szczeblu uznał, że zanim więźnia weźmie w obroty jakiś śledczy korzystający z tłumacza, ten szurnięty jurodiwyj musi być pilnowany przez kogoś, kto od biedy potrafi zrozumieć, co tamten mówi. No i padło na Ludwiga Wentzla, bo Wentzel, urodzony nad górnym Czeremoszem, od dziecka biegle mówił po huculsku, a dialekt Rusinów z Połonin Hryniawskich jest przecież pokrewny językowi Puszkina. W przeciwnym razie, być może, więzień zostałby zamknięty w innej twierdzy.

Tak postanowiono – i teraz Wentzel musiał się męczyć z tym dziwnym człowiekiem, którego kazano mu bacznie obserwować, w dodatku ograniczając kontakty więźnia z niższym personelem. A to było niezwykle męczące. Jak długo jeszcze? Odkąd potężna stalowa krata zamknęła się za nim z hukiem, Rosjanin zdawał się wychodzić ze skóry, by odebrać Wentzlowi spokój ducha. Na jego widok wyrzucał z siebie całe potoki rosyjskich słów, z których porucznik rozumiał najwyżej co drugie, ale to wystarczyło, by go wprawić w nastrój graniczący z depresją. Właściwie nawet Wentzel nie musiał rozumieć, co tamten mówi; wystarczyła melodia zdań, sugestywna intonacja, no i ten wzrok... Porucznik robił, co tylko mógł, by uniknąć patrzenia mu w oczy, by ich spojrzenia nie skrzyżowały się choćby na ułamek sekundy. Bez skutku. Od tej pory Wentzel źle spał. Budził się co najmniej pięć razy w ciągu nocy, zawsze zlany potem, drżący jak w febrze. Po trzech dniach myślał już o podaniu się do dymisji.

Czwartej nocy zerwał się z łóżka z przeświadczeniem, że stało się coś niewyobrażalnie złego. Włożył mundur i w pośpiechu opuścił służbowy pokój, by popędzić na najniższy poziom kazamat. Zastanawiał się, czy nie zająć do biura po klucz, ale szybko porzucił ten zamiar. Przyspieszył kroku i niemal pobiegł w kierunku wiadomej celi.

Brodaty Rosjanin wisiał na poprzecznym pręcie kraty, z rękawem koszuli zaciśniętym na szyi. Jego obcasy niemal stykały się z posadzką. Przekrzywiona pod naturalnym kątem głowa patrzyła na porucznika szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi oczami.

Wentzel sprawdził puls. Więzień z całą pewnością nie żył.

A jednak porucznik wiedział, że to jeszcze nie koniec nocnych koszmarów.

* * *

Arcyksiążę Ferdynand, od paru dni bawiący w Krakowie, wyruszył w końcu do wód. Cesarsko-królewska kolej podstawiła mu komfortową salonkę, do której wsiadł wraz z księżną von Hohenberg i namiestnikiem Bobrzyńskim, by przez Tarnów udać się do Krynicy. W uzdrowisku oczekiwała go orkiestra dęta i delegacje górali dwóch narodowości, Polacy i Rusini. Salonka miała dotrzeć do Krynicy już po zmroku. Przejazd następcy tronu wywołał wielkie poruszenie na całej trasie. Kto tylko mógł, ustawił się w miejscu, z którego widać było tory, jakby spodziewając się, że Ferdynand – a jeśli nie on sam, to przynajmniej jego małżonka – łaskawie spojrzy na niego przez okno salonki, może nawet pomacha dłońią w jedwabnej rękawiczce.

Przerwano więc codzienne zajęcia, krowom nałożono siana do żłobów, zamiast – korzystając z dobrej pogody – wypędzić na pastwisko, a podgłowiccy Żydzi pozamykali sklepy. I zaczęło się oczekiwanie.

Kotarba i Nałęcz-Kieszkowski usiedli na ganku dworku z filiżankami kawy.

Obaj byli w nie najlepszym nastroju, i to bynajmniej nie z powodu komety. Około południa Steinmeier otrzymał wiadomość, że Rasputin popełnił samobójstwo w celi.

Podobnie jak porucznik, dziedzic i inżynier mieli przeczucie, że to nie koniec kłopotów.

Kotarba spojrzął na zegarek, by sprawdzić godzinę. W tej samej chwili zegar na wieży podgłowickiego kościoła, wydzwaniający nie tylko godziny, ale i kwadranse, obwieścił całą parafii, że minęła szesnasta piętnaście.

— Za cztery minuty powinien wjechać na stację w Podgłowicach — stwierdził

Nałęcz-Kieszkowski, który jako jeden z nielicznych znał dokładny rozkład jazdy arcyksiążęcego pociągu.

Kotarba spojrzął na długie cienie kładące się w poprzek doliny.

— Dobrze, że przejedzie, zanim się ściemni — powiedział. — Przynajmniej ludziśka będą mieli jakąś rozrywkę. Może nawet Erzherzog zechce wyrzeć przez okno?

— Wąsów z tej odległości nie będzie widać — zażartował inżynier. — Poza tym...

A to cóż takiego, do wszystkich diabłów?!

To, co usłyszał, zabrzmiało jak wybuch.

Kotarba obejrzał się.

— Oficyna zasłania — stwierdził i wstał z krzesła, by ominąć budynek pod czerwona dachówką i podejść do ogrodzenia. Inżynier podążył za nim.

— To chyba w Księżej Grabinie — stwierdził Nałęcz-Kieszkowski chwilę później, wskazując chmurę ciemnego dymu ponad koronami drzew. — Co te psiekrwie wymyśliły?

— Niedługo się dowiemy. — Dziedzic osłonił dłonią oczy, by go nie raziły promienie zachodzącego słońca, i jeszcze raz spojrzął w niebo nad lasem. — Tak, to Księża Grabina. I w ten sposób przekonaliśmy się niezbitcie, że oni na pewno mieli te dwie gąbki Geista.

— W takim razie kordon już chyba niepotrzebny.

— Kto wie, kto wie... — Kotarba w zamyśleniu potarł czoło. — Pociąg na wszelki wypadek powinien zostać zatrzymany na stacji.

— Już za późno. — Inżynier odwrócił się i wskazał dłonią kierunek, z którego dobiegł głośny, jakby nieco ochryply gwizd parowozu.

— Patrz pan! — Inżynier z trudem powstrzymał odruch skłaniający go do zerwania się z miejsca, by pobiec na łąkę obok toru. — To Zyta i Gawriło!

Było tak samo jak w niedzielę rano. Po trawie sięgającej połowy łydek pędziło kilku mężczyzn w mundurach. Przed nimi biegli kobieta i piętnastoletni chłopiec.

Wystrzały z karabinów brzmiały jak trzask łamanych patyków.

— Nie strzelać! — krzyknął ktoś, zapewne oficer, na widok nadjeżdżającego pociągu. Ktoś usiłował zabiec drogę uciekającym. Bezskutecznie.

Rozległ się zgrzyt kół hamującego parowozu. Za późno. Droga hamowania rozpędzonej lokomotywy wynosi kilkaset metrów.

Chłopiec wyprzedził kobietę i zaczął się wdrapywać na nasyp. W okamgnieniu znalazł się na torach i spojrzął we wciąż jeszcze zgaszone reflektory maszyny. Kobieta rzuciła mu miotłę. Zręcznie chwycił ją w locie.

Miotła świeciła.

Gwizd. Groźny, natarczywy — i bezskuteczny.

Chłopięca sylwetka zniknęła pod masywnym korpusem lokomotywy.

Wybuch. Błysk. Huk. Chmura pyłu, grad kamieni i żelastwa.

I nagle cisza.

Wyrwa w nasypie. Zyty, Gawriła, arcyksiążęcego pociągu – ani śladu.

Zyta miała rację, będzie wojna, pomyślał Nałęcz-Kieszkowski. A wszystkiemu

winiem będę ja i Steinmeier.

JAKUB NOWAK

Retro (fantazja alternatywna)

napisane na początku lat 90

General na ekranie ma ciemne okulary o stanowczym odcieniu kopuły z czasów,

gdy nocami jeszcze wygaszano neony Dziury.

– Moje dziewczyny mówią, że on wygląda zupełnie jak ty – stwierdza Robal,

patrząc w telewizor.

– General? Serio? – pyta Szogun. Nie kryje znudzenia.

– No.

– Szlag.

– No.

– Wejdą. – Szogun sprytnie zmienia temat, jednocześnie wcale go nie zmie-

niając. Odrywa wzrok od ekranu nad barem i przegląda się w trzymanej szklance. Jego

antybłyski są nieporównywalnie bardziej stylowe od tych Generała: ciężka chromowa

oprawa tylko udaje, że stara się ukryć kamerę; lustrzane powierzchnie aż proszą się o

dotyk latarni i reklam z pasaży.

– Wejdą – powtarza.

– Którzy? – szczerzy się Robal. Grymas równie nieoczywisty co trupia czaszka

z czapeczki na jego łysej głowie. Jest gruby, lśniący i podejrzenie ocięzały. Wielki wąż

Robala może być nonszalancką reminiscencją sarmackich korzeni, ale i ukłonem ku

los topos, coraz częstszym gościom w jego knajpie. Los topos, kretom, hiszpańskim

kierowcom z konwojów do tuneli na przodku, skurwysynom, bydlakom i nieszczęsnym

bohaterom, przehandlowanym pierwszemu sekretarzowi Kriuczkowowi przez neoficki

ząd w Madrycie. ZSRR dostał tysiące sztuk żywego mięsa, Ludowa Republika Hisz-

panii – poparcie w ONZ i komplet głowic na zachętę.

– Wszystko jedno którzy. – Szogun podsuwa mu szklankę.

– Chyba tak – przytakuje Robal. – Tak. Wejdą. Zdecydowanie tak.

– Tak? – pyta Szogun.

– No pewnie. Na sto procent.

– Szlag.

Taki znudzony.

– General – zaczyna Robal – podtruwa nas. Do wody dodają trichlorobenze-

nodeinę. Nowy towar, przypadkowo zsyntetyzowany podczas testów środków stymu-

lujących rozrost komórek rakowych. Pracują nad tym w Moskwie. Projekt Komitetu.

– Trichlorobenzeneina – Szogun obraca słowo w ustach.

– No. Otępia. Utrudnia kojarzenie faktów. Osłabia wolę. Szprycują nas. Do-

mulają tych, którzy sami nie zagrudzili się dostatecznie.

– Mówią, że General wygląda jak ja – stwierdza Szogun.

– Jest radioaktywna – kontynuuje Robal. – Odkąd pompują ją do wody pit-

nej, razem z tym sterylizującym nas syfem, codziennie ktoś w Dziurze budzi się z

włosami na poduszce. I podobno może rozpuszczać oczy.

Szogun unosi brwi. Niemal szczerze.

– Normalnie rozpuszcza ci gałkę – tłumaczy Robal. – Jak masz pecha i jesteś podatny. Idziesz sobie pasażem i czujesz, że swędzi cię oko. Zaczynasz je trzeć, a gdy otwierasz powiekę, gałka spływa ci po policzku, jak budyń. Tak działa trichlorkobenzodeina.

– Widziałeś coś takiego?

– Oni szybko znikają, ci bez oka. Są usuwani.

– No tak.

– Wejdą – dodaje Robal. – Zjadą tu do nas. Po nas. Jeśli zdążą, zanim wykończą się nawzajem.

Bezwiednie spoglądają w sufit. Nie musisz być w Dziurze od dawna, żeby te miłiony ton gleby nad głową czuć niemal fizycznie. Sól ziemi czarnej.

– Jaś? Jacuś? – pyta Robal, wskazując na flaszki.

– Żytia – mówi Szogun.

– Dobry wybór na początek turnusu. – Barman polewa, w szklankę i sobie – w kieliszek. Toast w milczeniu. Piją.

Początek turnusu. Szogun odruchowo spogląda w stronę drzwi. Oni wszyscy zaraz tu przyjdą, lecz jeszcze nie teraz, U Robala wciąż niemal pusto. Ponad tysiąc nowych górników dopiero zjeżdża na dół, tu, gdzie niewiadome konkretyzują się boleśnie.

Jakieś półtora tysiąca metrów pod ziemią, może więcej, może trochę mniej.

Gdzieś w bliżej nieokreślonym, sekretnym punkcie między tym, co pod Bytomiem, Zabrzem i Rudą Śląską, konającymi solidarnie w niegodnym procesie urbanistycznej atrofii. Gdzieś tam, a może jednak bardziej na Zachód, żelazna kurtyna dezinformacji godzi natowskich szpiegów z duszami górników. Brak wiedzy sprawia, że ci, którzy zjeżdżają, stłoczeni w windach, już czują, jakby tonęli. Że tu pewna jest tylko gruda.

Dojrzeją więc do niej szybko.

Będą się kwaterować, rejestrować i ustalać grafik szycht, wmawiając sobie, że mieli jakikolwiek wybór. A potem, już w mrowiskach, gdy usiądą na krótkich łózkach, pierwszy raz w życiu przepociwszy każdy fragment ubrania; gdy zrozumieją, że to ostatnie łóżka w ich życiu; gdy – mając szczęście do celi z okienkiem – wyjrzą przez nie, a Dziura zamigocze do nich złowieszczą neonową miriadą i przymkną oczy, zanurzeni w tutejszym smrodzie, hałasie i gorącu – wtedy dotrze do nich, co zrobili.

Szogun wzdycha. Dotrze do nich, co z nimi zrobiono.

Początek turnusu. Przetną w końcu zapłakane oczy, zmieniają zarzygany podkoszulek. Poszukają wątpliwej otuchy w twarzy w lustrze, dziwnie opuchniętej, i przezornie przeżegnają się, jak uczyły ich matki i babki. Wreszcie wylegną ze swych pokoi, niemal jednocześnie, rozpełzną się po Dziurze, by dołączyć do starszej stażem reszty. Jakiś promil z nich trafi do Robala, na kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt kolejek. Najpierw alkohol z powierzchni, potem – coraz śmieiej – karbonada. I po pierwszym jej lyku będą wiedzieć, że to rodzaj chrztu.

– Wejdą.

– Tak. Jak zdążą.

Knajpa Robala jest jak pojedyncza komórka organizmu pasaży – z jądrem lśniącym rzędami butelek i gęstą cytoplazmą papierosowego dymu, zmieszanego z oparami wpelzającymi spod nieszczelnych drzwi: pod stołami czają się gorący smród frytownic ze straganów i lepka mgła o podejrzanej konsystencji, ulatująca z magła starej Stefanieckiej po drugiej stronie deptaka.

– A. Jeszcze. – Robal trze zmęczone oczy.

– Tak?

– Będzie msza. Jutro w południe.

– Jezu. Nowy księżulo?

– Właśnie zjeżdża. C-sektor, dwunasty poziom. W pralni.

General na tele peroruje w milczeniu, jego mimika jest równie atroficzna co strzępy syntetycznej melodii wykasływane przez głośniki pod sufitem. Unity, duże i kanciaste – Szogun ma wrażenie, że gdyby mogły, byłyby zażenowane, jak cicho przyszło im grać. Stłumione rozmowy, ginące w gwarze tłumów z pasaży, dyskretny brzęk szkła i kaszel. Pieprzony wszechobecny kaszel.

– Młoda tu była – mówi Robal, całkiem f propos.

– Mhm.

– Szukała cię.

– Mhm.

– Była na grudzie, już jedzie na kryształkach. Nie mogła usiedzieć na stołku.

Zarzygała kibel. Zaczęło z niej wrywać tkanki.

Wódka wraca przelykiem Szoguna, piecze w gardło.

– Skończyłem z nią – mówi – gdy dała się nakryć u mnie w łazience. Zabierała się do dłubania żyłką w nadgarstku. Chciała, bym ją przyłapał.

Robal zdejmuje czapkę, pulchną dłonią przeciera wilgotną głowę i długo przegląda się w antyblaskach Szoguna. Polewa. Piją.

– Zawlokłem ją do kotaniska – mówi Robal. – Już tam zostanie. Nie dotrwa do następnego turnusu.

– Jej już nie ma – mówi Szogun. Polyka żółć, kwas niemal syczy na języku, wódka nie chce wejść.

Mocno zaciska dłoń na szklance i puszcza ją, bojąc się, że ją rozbije. Przygląda się, jak lśniące szkło odbija ruchome cyfry fosforyzujące na jednej ze ścian. Robal wyświetla na niej giełdowe notowania: litery i liczby przelatują w ciszy, składając się na cyfrowe EKG świata: Londyn, Nowy Jork, Tokio i Berlin, jakby któregośkolwiek z gości Robala mogły dotyczyć. Czy chociaż interesować. Robal, żartowniś jeden.

To nic, Szogun lubi te liczby. Szogun w ogóle lubi liczby. Gdy patrzy na wyświetlacz, widzi binarny budulec Carbonatrix, cyfrowe DNA lepszego ze światów. Tęsknota trafia go jak pneumostrzała wystrzelona z gestwiny neonowej dżungli, trafia i wywołuje gest poza świadomością. Szogun sięga do karku, pod kołnierz skórzanej marynarki, głaszcze się po gnieździe. Chromowane trójfazowe commodore, prawdziwe cacko, nokautujące toporną taśmówkę z pasaży, opartą na dedeerowskich podzespołach wpychanych na siłę przez zagrudzonych mechirurgów. Ciepła, miękka skóra i twarda, zimna stal. Brzydkie i bestia.

– Jeszcze?

– Jeszcze.

No to chlup. Dreszcz. Wódka podwyższa sufit, przynajmniej odrobinę. General na tele salutuje do kanciatej czapki. Szogunowi odbija się kielbasą, to jego drobny wkład w niepowtarzalny aromat miejsca.

– Jezu, gorąco.

– Gorąco.

Rozłożysty korpus Robala zasysa zupełnie już mokrą jedwabną koszulę, hawajskie kwiaty nikną pożerane przez słone fałdy. Szogun mankietem dzinsówki prze-

ciera antybliski. Dmuchawy przestały działać z rok temu i wszyscy kiszą się w coraz bardziej namacalnym smrodzie pasaży.

– Karbonady? – Barman spogląda na chromowany saturator.

Szogun, schowany za ciemnymi okularami, przelyka ślinę. Karbonada przynie- sie orzeźwienie, choć trochę zmniejszy poczucie nieadekwatności. Dziura powoli ich zjada, ale jednocześnie stale domaga się, by stąd wypierdalali. Karbonada na chwilę zbliża ich do siebie.

– Nie. – Szogun kręci głową. Tam gdzie się wybierają i tak będzie siwo od gruzy.

Robal kiwa głową.

– Jest. – Patrzy przez ramię Szoguna, który odwraca się i wzdycha.

Chłopak podchodzi powoli, uśmiecha się spod rzadkiego wąsa, arogancko i niedbale, a poły jego wytartego płaszcza nonszalancko zamiatają podłogę. Siada obok Szoguna, pozwala mu dostrzec opornik wpięty w kołnierz i paczkę marlboro, która wystaje z kieszeni na piersi. Szogun wzdycha. Paczka jest pomięta, ale tylko trochę.

– Cześć, Robal – wita się chłopak.

Robal unosi daszek czapki o jakiś mikrometr.

– Szczur mówi: areny, ostatnia walka, o północy – recytuje chłopak. Barman kiwa głową, tyle wiedzieli wcześniej. – To będzie jeden z zawodników. Z Tokio.

Robal kiwa raz jeszcze, a Szogun odruchowo rozgląda się po pustawej sali. Nikt nie zwraca uwagi, co nigdy nie jest dobre.

Chłopak uśmiecha się krzywo do Szoguna.

– Honza – mówi. – Tak na mnie mówią.

Tym razem wzdycha Robal.

– Jest propozycja – mówi Honza do Szoguna. – Ja normalnie nie ślapiję.

– Normalnie nie ślapijesz.

– Nie. Robię w kodzie. Instrukcje do kernali, na inputy do Carbonatrix. Ele- ganckie. Trzymam je z hasłami pod ciebie, na górnych pamięciach. Łatwo znajdziesz.

Gdybyś chciał.

– Och – wzdycha Szogun.

– Tak.

– A czy twoi bracia komodorowcy wiedzą? – pyta Szogun i pokazuje barma- nowi, żeby połał.

– Mam to w dupie – odpowiada Honza. – Chcę, żebyś wiedział. Jakby co.

Wtedy Robal dostawia kieliszek, napełnia go.

Honza jest piegowaty, plamki na jego twarzy pulsują jak giełdowe notowania na ścianie. Wciąż jest trochę opalony, siedzi w Dziurze od niedawna, góra drugi turnus.

Gruda i tak oblewa mu oczy brudnym cieniem.

– Robal, ile tu jesteśmy? – pyta Szogun.

– Pięć lat, sześć miesięcy, trzynaście dni i cztery godziny – recytuje barman.

– No właśnie.

– Trichlorobenzynodeina – mówi Robal do chłopaka. – Słyszałeś o niej?

– Nie – odpowiada Honza. – A powinienem?

– Pij – ponagla go Szogun. – On stawia.

Piją.

Szogun patrzy na tele. Generała zastąpiła raszpła w basenie. Robal przełącza

źródło dźwięku, untry grają retrodisko. Rachityczny wąs Honzy wibruje ze zdenerwowania.

– Pracuję sam i nie korzystam z obcych instrukcji – mówi Szogun, czując, jak wódka wsiąka mu w dziąsła. Sprawdza językiem, z każdym turnusem stają się bardziej miękkie. – I nie dlatego, że mogę. Dlatego, że muszę. Demoscena by mnie spowalniała.

Chłopak nie odpowiada, cierpliwe znudzenie Szoguna bierze za arogancję. Oni wszyscy tak robią: myślą nonszalancko z brakiem pewności siebie i tylko dlatego jeszcze nie przegryzają sobie wzajemnie gardel.

Honza odwraca wzrok. Patrzy na rozłożyste kobiety siedzące nad kolorowymi drinkami przy jednym ze stolików. Wreszcie wychodzi, nie odwzajemniwszy ich zamglonych uśmiechów.

– Ostatnie są babki – mówi po chwili Robal.

– Co?

– Tej nocy w arenach panie walczą na końcu.

Szogun unosi brew. Czekają na kobietę. Z Tokio.

W knajpie robi się tłoczniej, nastąpiło przesunięcie w algorytmie decydującym o jej zawartości.

– Idziemy – mówi Robal. – Róbmy rewolucję. Dziewczyny zajmą się interesem. – Gdy znowu poprawia czapkę, Sabrina na tele dziarsko dzierży zawartość bikini.

– Za każdym razem inaczej wymawiasz nazwę tego środka – mówi Szogun.

– Którego?

– Tej trucizny w wodzie.

– Rozpuszcza oczy – odpowiada Robal. – Jak budyń.

Gdy wychodzą na hałaśliwe, chaotyczne zewnątrz, pasaż zasysa ich obu, natychmiast, odruchowo.

* * *

Wychodzisz w jeden z pasaży, w jego tłok i ruch, i pasaż rozkwita wokół ciebie mroczną wycinanką. Za każdym razem jest inny i jednocześnie uparcie niezmienny. I nonszalancko antonimiczny: pulsuje barwą i monochromem; zdradliwym światłem i jego brakiem, ciężkim i zawieszonym; i teksturami, pokrywającymi czujnymi wzorami narzucające ci się splątane powierzchnie.

Zapachy. Smród grudy i tytoń, rozlane piwo, pierogi, rosół i gulasz, brudne skarpety, gorąca guma, popsute zęby, nadpalone kable, kotlety schabowe, zatęchła wilgotna wełna i dłonie upieprzone smarem. Kawa, benzyna, frytki, marihuana, mokry asfalt, gówno i szczochy, i słodki, mdlący aromat zwietrzałych rzygowin. I pot, obcesowy, tłusty i lepki aromat potu. I gruda. Odór grudy, wszędzie.

Unosisz głowę i od razu zamykasz oczy. Ogrzewasz twarz w chemicznym blasku neonowego nieba, (nieba, nieba – powtarzasz, nie wolno myśleć o sufitach kopuły).

Nieba, które z każdym turnusem wisi coraz niżej. Odkąd przestali wygaszać neony, Dziura nieustannie zakwita ich światłem, a one, przebudzone już dawno, rozrastają się, wiją, pęcznieją i gestnieją, łącząc się ponad twoją głową, mutując w przedziwnych brzęczących konfiguracjach potocznych symboli, znaków towarowych i czcionek. Pe-wex flirtuje z Marlboro, pulsując zaczepnie wokół kanciastości tamtego, wespół z

Grundigiem spychają w cienie zakaz palenia, który brzęczy coraz ciszej, zawstydzony swą nieskutecznością od samego początku. Roztańczona para z Żywca kopuluje z Johniem Walkerem, Nescafé drażni Wedel, Radomskie i Predom Mesko, Dacia i

Polsport, i kozackie, strzeliste Atari, ironicznie kierujące się ku górze, i Lot, smukły, konkretny, pojawiający się w niespodziewanych miejscach i momentach, arogancki i najbardziej nieosiągalny, czym wkurwia tu wszystkich niemal do łez. Neon: prawdziwa morfologia tego miejsca, żywa tkanka obrastająca wszystkie zakątki Dziury, baczna sieć konwergującego szkła, gazów i luminoforów.

Unosisz głowę, zamykasz oczy i każdym porę twarzą chłonisz jej ciepło, konfudujące piękno.

— To jeden z ich ściśle tajnych projektów — mówi Robal. — Chcieli stworzyć drugą Carbonatrix. Więc do neonowych gazów dodają opary grudy. Za całe TIR-y jeńców kupili zespół japońskich fachmanów, którzy zrobili im takie specjalne przetworniki do podłączenia neonów do procesorów generujących Ce-trix. W zasadzie im się udało, tylko że aż za bardzo. I ta nowa sieć pożera starą, wypierdala obiekty stawiane na peryferyjnych obszarach pamięci. Zniknęły już bazy rumuńskich banków. I przedstawicielstwo Sarajewa. Generał osobiście to nadzorował, więc teraz ma przesrane. Byłoby to odbić, urzęda polowania na tych, którzy zgubią się na dolnych pasażach. Ustalił reguły. Nie mogą używać broni palnej, tylko kusze i włócznie. I psy. Przemycił owczarki, którymi poszczuje cię, jak będziesz się odlewał po pijaku gdzieś na dole, w najciemniejszym zaułku.

Wychodzisz na jeden z pasaży, a fala mięsa miażdży cię i porywa. To tylko ludzie, na wpół martwi i jednocześnie histerycznie aktywni. Dajesz się porwać, bo znasz już te prądy, wiesz, jak ustawić się, by trafić, gdzie zmierzasz.

— I w tych polowaniach najgorsza jest Elwira — dodaje Robal. — To znaczy najskuteczniejsza. Pani pułkownik trzyma fason. I dba o reputację mistrzyni przesłuchań. Demolka hemoroidów stalową pałką. Zatrute igły. Wiertarki, żelazka, guma arabska, cuda-wianki. Szefowa milicji. Żona Generała. Jego duma i chwała. Elwira. Mógłbyś iść ku windom, które zawiozłyby cię wyżej, do mrowisk, gdzie mężczyźni chodzą niemal nago, a kobiety wciąż brzydzą się dotykać przedmiotów, mebli i ścian, wszystkich lepkich i jakby zbyt ciepłych. Mógłbyś do mrowisk, ale wybierasz ruchome schody, zawsze wybierasz ruchome schody, które prowadzą w dół, na niższe pasaży, gdzie więcej neonów, więcej cienia, więcej mięsa, więcej wszystkiego.

Niesiony falą mijasz dziesiątki knajp, prawdziwych linii papilarnych każdego miejsca na świecie: mijasz speluny, tanbudy i burdele, i ordynarne pijalnie karbonady, w których kraciaste ceraty marszczą się na plastikowych ogryzionych blatach. Mijasz salony gier wideo, gdzie, za spoconymi szybami, nieustannie kończą się światy, w takt wystrzałów, eksplozji i symfonii Beethovena, generowanych w zimnym, orzeźwiającym MIDI. Mijasz milicyjne posterunki, z których wyslizgują się opancerzeni chłopcy, maskujący wstyd nerwową arogancją. Mijasz te wszystkie tajemnicze miejsca, przestrzenie o zmiennych kubaturach, których wciąż nie jesteś pewien, mimo tylu lat — zadymione dziuple, kryjące w ożywionym mroku szemrane oferty dla carboraiderów, ćpunów, lunatyków mechirurgii, slaperów z demosceny, wegetarian, rozedrganych klaustrofobików, fantomowych połoźnic i zwykłych zboków. I ekrany, wciąż mijasz ekrany, transmitujące losowo wybrane obrazy z kamer, poukrywanych gdzieś między neonami. Ekrany są po to, byś wiedział, że Generał cię widzi, najpotężniejszy ze wszystkich zesłańców w Dziurze, wciąż obserwuje cię zza swoich wielkich, ciężkich przyciemnianych szkieł.

No więc wchodzisz w jeden z pasaży, w ten tłum i ścisk, w ten ruch, pełen życia i

śmierci jednocześnie, i choćby to był tysięczny raz, wciąż masz to głęboko w sobie:

niby kamień, niewielki, ale ciężki, omszały i taki zimny. To samo uczucie uwiera cię,

tysięczny raz. Samotność.

Ekrany. General patrzy.

* * *

– Czekaj, Robal.

– Spóźnimy się.

– Nie, czekaj. Tylko chwila.

Robią to, jak zawsze, niemal odruchowo: perfekcyjnie zgrane przypadkowe

spotkanie. Trzy nieostre sylwetki w tłumie.

– Cześć, Alojz.

– Szczynść Boże – wita się Alojz. Żuje gumę i jego szpakowate pekaesy łopoczą

wzdłuż kanciastej szczęki. Granatowa skóra kurtki Alojza odbija logo FSO eleganckim

rastrem. – Co tam, Szogun?

– Te dema od ciebie.

– Dema?

– Sprawdziłem je – mówi Szogun. – Procedury się masakrycznie rozjeżdżają.

Co ty mi dałeś?

– Nic zech ci niy doł. Znalazł zech cosik w Carbo i powiesił na wolnej siatce. I ty

żeś to znalazł. Bieresz abo niy. I po ptokach.

– Patagonia, Alojz.

To głos pasaży i żart z pasaży. Żegnają się bez słowa i gestu. Szogun i Robal ru-

szają dalej.

– Spójrz – mówi Robal, przystaje pod jednym z ekranów. Dziennik telewizyj-
ny: ciekawskie zbliżenie kamery na flak w kolorze zepsutego twarogu. Szerszy plan.

Łagodne zбочe, leje po pociskach i czarnoskóre męskie ciała. Zum na plamki na nie-

bie, gasnące, niewyraźne kształty. Amerykańskie śmigłowce bojowe. Szeroki plan.

Turbobehemoty, monumentalne stalowe żuki wgryzione w rozległą przełęcz. Naj-

młodsza z Dziur, przepustek do Carbonatrix. Prowincja Mpumalanga jednak okazała

się żyzna, więc licytacja w dolarach i nabojach ruszyła. Pozorna zmiana tematu. Głowy

przemawiają tępo: Kriuczkow, Pugo, Janajew, Kiszczak. Tysiące ludzi protestujących

na Placu Czerwonym. Nieme, wściekle krzyki.

– Nie zdążymy – mówi Robal. – Wypierdolą do siebie wszystkimi możliwymi
raketami.

Powierzchnie okularów Szoguna pokrywa płonąca amerykańska flaga.

– Cóż. – Szogun wzrusza ramionami.

– Nie zdążymy.

– No, nie.

– Ale ty wierzysz.

– Jestem dobrej myśli – mówi Szogun.

– Czekamy na sygnał – krzywi się Robal.

– Nie wierzysz Centrali?

– A wierzę w Centralę?

Zmieniają poziom, zjeżdżają w dół. Im niżej, tym więcej dysz odpylaczy. Celują

w nich z góry, rdzewiejącymi okręgami, jak spierzchnięte usta, gotowe do wymiotów i

innych rzeczy.

Szogun i Robal mijają grupę mężczyzn o wyraźnie ciemniejszej karnacji. Los

topos, chmurni i spięci, kiwają do Robala, pozornie od niechcenia.

– Kiedy już zaczniemy – mówi Szogun. – Kiedy się zacznie. Krety pójda z nami?

– Listillo jeszcze nie podjął decyzji.

– Nie podjął, czy jej nie obwieścił?

– To tak jakby nie podjął – odpowiada Robal.

Listillo. Cwaniak. Przywódca los topos, niewidzialny, legendarny. Ulotny jak ich nastroje. Pół-Hispan, pół-Polak. Podobno jeździł do Dziury z pierwszymi kursami, zdezelowanym starem wywoząc grudę tak gęstą, że niemal topiła osie samochodu.

Podobno bez jego wiedzy i zgody żaden kret nie zrobi nic, co mogłoby wywołać konsekwencje większe niż czyjś grymas niezadowolenia. Listillo jest ich sędzią, przywódcą, ojcem, matką, adwokatem i alfonsem. Podobno siedzi zakopany gdzieś głęboko u kresu ciągle modyfikowanego labiryntu korytarzy przecinających mrowiska. Otoczony plutonem morderców i dziwek, pławiący się w jacuzzi pełnym karbonady, niepodzielnie dzieli i rządzi, z wyczuciem i troską. Podobno.

– Jaśnie państwo mają tu Sekretną Windę – opowiada Robal. – Tak mówią.

Sekretną Windę na wszelki wypadek. Jakby co. Niby nie można stąd uciec, bo wiadomo, grudzica i cały ten zakaźny syf. Dlatego, gdybyś jakimś cudem trafił do windy jadącej tam, na górze najpierw by cię zagazowali, potem nafaszerowali ołowiem. A ścierwo zostawili w środku na dezynfekcję windy. Ale jaśnie państwo mają opcję zapasową. Generał i jego żoneczka. Malutka kapsuła, prosto do bunkrów. A tam ochrona i lekarze. Taki był dil i dlatego się zgodzili. Że jakby co. Zresztą kurwa. Grudzica. Wcale nie zabija tam, na górze. Nie wyrzegasz płuc pierwszej doby, jak dostaniesz leki. Mają opracowaną szczepionkę, jak na HIV-a. Jedziesz na zastrzykach i żyjesz długie lata.

Grudzica, co jeszcze.

Szogun nie odpowiada. Myślą o tym, co ich czeka. O tym, kto tam na górze im pomaga. Kto nimi steruje. I o tej, na którą czekali. Kurierka z Japonii, z wiadomością z Centrali – danymi z pozostałych Dziur, zbieranymi przez całą sieć konspiratorów. Ten program umożliwi im rewolucję, Szogun rozpocznie hakowanie Carbonatrix, by generałom na powierzchni odebrać dostęp do czerwonych przycisków, które czynią koniec świata.

– Nie siedzę na demoscenie – zaczyna Robal, chowając oczy pod daszkiem czapki.

– No, nie siedzisz. Natomiast...?

– Spojrzenie z zewnątrz ma plusy. Widzisz całe procesy, wyczuwasz nastroje między rozmowami. W niepodejmowanych tematach.

– Jesteś niczym Generał.

– Mówię ci, to ma swoje plusy.

– Takie bycie na zewnątrz.

– Niby nic się nie zmieniło – opowiada Robal – ale czuć, że zachodzą przesunięcia. Pasaż się adaptuje. Te same rozmowy, te same słowa, ale rozwijają się nowe znaczenia. Aluzje, nowe tematy, o których nikt nie mówi głośno. I ten nastrój oczekiwania. Nie tylko na scenie.

– Na koniec świata tam. Na piekło tu.

– Ci ze sceny spodziewają się czegoś innego. Czegoś w poprzek równań. Od jakiegoś czasu rzadko widują cię w Ce-trix.

– Bo więcej piję.

– Pasaże milczą wymownie. Czekają i szepczą. Że Szogun rzadko bywa w Carbonatrix, bo oszczędza pamięć.

– Na co?

– Szogun ma plan. I że to już zaraz.

Zaczyna kapać im na głowy, gęsta, lepka kpina z mżawki. Śmierdzi rdzą i jakby mokrą sierścią. Znowu spieprzył się system wentylacji.

– Kurierka z Tokio – mówi Szogun, przecierając dłonią antybliski. – I będzie walczyć u Szczura.

– Martwisz się o nią?

– O nas się martwię.

Wódka przestaje działać. Nadmiarowa, przepełniona odzież znów krępuje ruchy.

* * *

Moment zero, stopklatka tuż po ostatnim ciosie.

Dziura grzmi. Setki gardeł ryczą ku epicentrum w samym środku ringu, transformując w decybele wściekłość ich wszystkich, ich pożądanie, strach i rozpacz, reakcja łańcuchowa spowodowana implozją emocji. Ich kumulacja wywołuje falę uderzeniową, która przynosi wyzwalającą pustkę. Przynajmniej przez kilka sekund, aż zwolni serce, aż kutas odpuści.

Stopklatka. Bezwstydnie nagie żarówki, rozhuśtane na starych sznurkach pod zbyt niskim sufitem. Rozmazane, powykrzywiane maski, wszystkie skupione na ringu.

Tysiące kropel w trójwymiarowej sieci z pędu i grawitacji, schwytych w pół trajektorii: ślina, pot, krew i łzy.

I już: żarówki znów szaleją, plując zakurzonym światłem i czyniąc cienie, które wiją się po macie.

Azjotka nawet nie przepociła kostiumu. Stoi pośrodku ringu i patrzy pod nogi, na leżącą nieruchomo dziewczynę. Czeką, sama nie wie na co, i wydaje się skonsternowana, gdy pierwszy na ringu pojawia się woźny, który brudną szmatą wyciera purpurowe plamy wokół przegranej.

– Egzekucja – komentuje Szogun i sięga dłonią do antyblisków, by wyłączyć nagrywanie. Jest zawiedziony przebiegiem walki i się tego wstydzi.

Robal stoi tuż obok. Wolno gasnący wrzask pożera jego odpowiedź.

Szogun przygląda się Azjatce. Kobieta zdaje się zbudowana z samych ściągien i reduktorów błędnych ruchów. Patrzy na jej wilgotne ramiona, na kawałki mięsa, jakby okablowane, drgające lekko pod cienką skórą. Szogun robi zbliżenie długiej szyi, na której mieni się krew tej, która przegrała.

Są zawiedzeni, wszyscy. Łapią oddech, lekceważąco machając dłońmi. Najkrótsza walka wieczoru, w dodatku wygrana przez obcą. Ładny początek turnusu.

To mężczyźni trafiają tu częściej. Ci już zagrudzeni, górnicy od dawna: bladzi, napięci i jakby zredukowani do pierwotnej, uniformizującej struktury. Niektórzy kręcą się jeszcze wokół ringu, bez sensu i celu. Nie rozumieją, że lepiej już iść.

Przypominasz sobie i je rozluźniasz, obolałe: mięśnie, pięści, żuchwę. Wszystko, co wywrzeszczane w trakcie walk, spływa po brudnych ścianach i kapie z sufitu. Dopiero teraz Szogun czuje, jak tu śmierdzi, zajeżdża desperacją i na wpeł przetrawioną grudą. Jakby hałas potrafił zagłuszyć też zapach. Kto wie, myśli Szogun, przelękając kwaśną ślinę, może dlatego tak się tu krzyczy.

– Chlebem i solą.

Szczur jest gospodarzem aren. Podchodzi, uśmiechnięty, szeleszcząc fioleto-

wym dressem. Rozkłada obie protezy w geście powitania i prowadzi do prywatnego baru. Obejmuje ich, opierając sztuczne ręce na ich ramionach. Protezy są ciężkie, stąd gest.

Siadają przy minibarze.

– Nie płaciliście za drinki.

– Jak zawsze.

– Początek turnusu – mówi Szczur. Jakby przeklinał i jednocześnie był wdzięczny.

I popisuje się: piszczy ostrzegawczo jedną z chromowanych dłoni, z której wysuwa się półeczka wypełniona papierosami. Częstują się.

Szczur stracił ręce w tunelach, na przodku, tuż po otwarciu Dziury. Był wśród tych, którzy jako pierwsi próbowali ujarzmić jej moc – już samo to czyni go wyjątkowym. To, że wciąż żyje, czyni Szczurą legendarnym.

– Początek turnusu – powtarza Szogun. – No.

Szczur śmieje się, długo i nieszczerze. Spod dziarskiego aromatu wody kolońskiej przebija od niego zapach pościeli, w której sypia ktoś ciężko chory.

– Ostatni fajt – rzuca Robal.

– Straszne lejty, co?

Dziewczyna w kostiumie stewardessy podaje drinki: lodowe kieliszki pełne karbonady.

– No to siup.

– Te baby – zaczyna Robal.

– Pyrsk, mi amigos – zachęca Szczur.

– Zdrowie.

Szogun przełyka i czuje, jakby ktoś go wywrócił na lewą stronę i wytrzepał ze wszystkiego, co pod skórą.

– Jezusku najśłodszy. – Szczur wyciera kącik ust kraciatą chustką.

Wywrócił na lewą stronę, a potem złożył z powrotem, o porządek dbając tylko z grubsza. To o ten moment chodzi, chwilę rozczulającej ulgi, że ktoś, że toto wie, jak cię poskladać.

Robal odcharkuje i spluwa pod nogi. Czaszka na jego czapce i kwiaty na koszuli fosforyzują w świetlówkowym blasku baru: Robal jest niczym śmierć płynąca nad toksyczną łąką.

Pałą w milczeniu, bardziej wyczuwając, niż słysząc rozwibrowaną pulsację pasaży na zewnątrz.

– Które baby? – przerywa milczenie Szczur.

– Te z areny.

– Te z areny. Jedna jest z Centrali, zjechała w ramach specjalnego transportu.

Tylko tak, żeby El General się nie zorientował, więc musiała tu swoje odrobić.

Szczur wzrusza ramionami, widząc ich uniesione brwi.

– Dzwoniła Centrala, że przyjdziecie. Więc grajmy w otwarte karty.

– Dzwoniła Centrala – mówi Szogun.

– Ta skośna – zaczyna znów Robal.

– Dzwoniła Centrala – powtarza Szogun, nie wiadomo do kogo.

– Dobra jest, co nie? Tylko że nie pogadasz. Dosłownie. Jest głucha jak pień.

– Ta Japonka?

– Chinka.

Konsternacja.

– Chinka? Na pewno?

– Bratnie komando, prosto spod Pekinu. Zjechały tu w piątkę. Tyle że nie chcą tarzać się między sobą. Z punktu widzenia interesu na razie są ołny.

Robal w zamyśleniu drapie się po podgardlu. Szogun przygląda się twarzy

Szczura, jest w niej pewna nieuchwytna właściwość, którą trudno zrozumieć.

Stewardessa, taca, nowe kieliszki.

– Ale zrobimy tak, że zechcą – dodaje Szczur i więcej w nim lepkiego rozmazania niż determinacji.

– A ta obita mała – zaczyna Szogun. Chyba rozumie.

– Siup.

– Zaraz. Co to za jedna?

– Słyszałem, że oszczędzasz pamięć – mówi Szczur i znów sięga po chustkę.

Wyciera nią nażelowane włosy, od czoła do karku, powolnym, uważnym ruchem.

Szogun nie odpowiada. Szczur składa chustkę i wacha ją, zanim schowa do kieszeni.

– Zdrowie – zachęca.

– Co to za jedna? – powtarza Szogun.

– Pij, nie fanoł – szepcze Szczur – jak cię częstują.

Puste kieliszki strzelają o bar. To działa za każdym razem: wnętrzości Szoguna rozlane na podłodze w kolorze azbestu.

– Ona jest polityczna. Polka z czeskosłowackiej ambasady. Robiła w obsłudze zeszłorocznych targów. Woman from Tokyo – nuci Szczur. – Pewnie jako dupa podruczana kitajcom. Polska myśl techniczna.

– CorpoCarbon 2020 w Tokio – mówi Szogun.

– Si, si, si. Ona jest z Centrali – rozkręca się Szczur. – Po nią przyszlście, prawda?

Szogun rozumie wreszcie, skąd ten dysonans: Szczur oddycha nieregularnie, chaotycznymi seriami, jak noworodek. Albo jakby był zepsuty.

– Po nią przyszlście. Więc se ją bierzcie. Po dzisiejszym i tak jest na marnację.

Milczą.

– Rozmawiałeś z Listillo? – pyta Robala Szczur. – Krety z nami pójda?

Milczą.

Szczur, szeleszcząc, ześlizguje się ze stołka i wychodzi. Nie ma dla nich więcej czasu. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

* * *

Szogun i Robal zostają jeszcze na kolejkę. Piją do siebie w niechętnym odruchu.

Robal idzie na zaplecze zadzwonić, kołuje transport dziewczyny do swojej knajpy.

Potem wychodzą w tłum.

– Muszę spotkać się z Centralą – mówi Szogun. – Jak tylko odbiorę wiadomość.

– Już czas.

– Tak.

– Masz plan – mówi Robal i brzmi to jak modlitwa. Opuszcza niżej daszek czapki.

– Czas się rozmówić.

Tłum w pasażu rozstępuje się powoli i wypływa maskę milicyjnej suki. Kogut na dachu zatacza błękitnym promieniem. Gorąca blacha, stalowa siatka na szybie. Odór auta: benzyna i przepocona rękojeść pałki. Szogun to lubi, ten smród przywraca trzeźwość spojrzenia.

Suka zatrzymuje się obok nich. Ludzie obserwują, nie patrząc. Popękana boczna szyba zjeżdża z piskiem.

– No, no – mruczy Robal. – Kochanica Generała.

– Kochanica, Boże, Robal. – Szogun przygląda się oponie samochodu. – Skąd ty bierzesz takie słowa?

– Kochanica – powtarza Robal. – Małżonka.

– To się zdecyduj.

– Do tyłu – mówi do Szoguna umundurowana kobieta, siedząca obok kierowcy. – Wsiadaj do tyłu.

Jej widok elektryzuje przechodniów.

– Dzień dobry, pani pułkownik – wita się Szogun.

– Wsiadaj – powtarza kobieta. – A ty spierdalaj.

– Do widzenia – żegna się Robal i znika za straganem z zapiekankami.

– Kochanica generała – mówi Szogun do kobiety w mundurze. – Małżonka.

– Do tyłu.

Kierowca suki wychodzi z szoferki. Jego hełm lśni bardziej przekonująco niż antyblłycki Szoguna, ironicznie odbijające teraz logo MTV.

– Zawsze do tyłu – mówi Szogun i wsiada do puszki. Kierowca zatrząskuje stalowe drzwi. Kanciasty półmrok. Benzyna i rękojeść pałki. Przywracają trzeźwość spojrzenia.

Wiozą go, a on stara się nie myśleć zbyt wiele. Elwira. Małżonka Generała. Igły, wiertarki, żelazka. Kochanica.

Błaszany zgrzyt drzwi przynosi potop lepkiego światła i nowy, bardziej kameralny rodzaj smrodu. Kobieta zniknęła, umundurowani funkcjonariusze prowadzą go zadbanymi korytarzami. Otwory wentylacyjne szepczą tłumionymi krzykami, które brzmią jak z taśmy.

Zamykają go w pustym pokoju. Szogun długo przegląda się w weneckim lustrze, próbuje przypomnieć sobie, kiedy ostatnio brał prysznic.

Drzwi otwierają się i do środka wchodzi ubrany po cywilnemu drobny przyszczaty chłopak.

– Dzień dobry, panie władzo – wita się Szogun.

Chłopak podchodzi blisko, przygląda się okularom Szoguna, musi wysoko podnieść głowę. Uśmiecha się. Powietrze tężeje, jak przed burzą.

Concorde wchodzi w naddźwiękową. Wielki dzwon napierdala żałobnie. Histeryczny pisk przeciążonego procesora.

Szogun zatacza się na ścianę. Zdziwiony pluje i smarka krwią. Pryszczaty zbliża

się i tym razem Szogun niemal dostrzega cios. Grzmot, dzwon, pisk.

Szogun wstaje z kolan, wypluwa spienioną krew na lustro. Odwraca się do chłopaka.

– Tylko nie w antybliski – prosi. Dostaje gdzieś pod pachę i chyba na chwilę traci przytomność.

Pryszczaty obserwuje go spod drugiej ściany życzliwym spojrzeniem entomologa.

Szogun podnosi się. Wargi mu pulsują, ciągnięte niewidocznymi szczypcami.

Ma wrażenie, że krew z nosa wylewa się do mózgu, który puchnie i przestaje mieścić się w czaszce. Szogun długo szuka oddechu.

Chłopak otwiera drzwi i prowadzi go kolejnymi korytarzami, w których rezonują pulsujące skronie Szoguna. Nie mijają nikogo.

Pryszczaty zostawia go w pustym, obszernym pomieszczeniu. Dwie przeciwległe ściany to wielkie ekrany, śnieżące bezgłośnie nieistniejącymi kanałami.

– Rozbierz się – mówi komputerowy głos z niewidzialnego głośnika.

Szogun wypełnia rozkaz. Gdy zdejmuje spodnie, krew kapie mu z nosa na buty.

Odcharkuje i przelyka metaliczną zawiesinę. Nie odpina okularów.

Prostuje się, nagi. Ma erekcję.

Czeka, patrzy na drzwi naprzeciw. Wyczuwa swój pot.

Czeka.

Do środka wchodzi kobieta w mundurze. Zamyka za sobą drzwi.

Podchodzi do Szoguna. Jest od niego niższa. Między nimi jego ubrania i jego nabrzmiały kutas.

Kobieta podchodzi jeszcze bliżej. Sztynny materiał munduru faluje w rytm jej spokojnego oddechu, milimetry od pulsującego purpurą ciała.

Kobieta przygląda się spuchniętym ustom Szoguna. W jej błękitnym spojrzeniu jest spokój i zainteresowanie. W innym miejscu pojedyncze piegi odejmowałyby jej kilkanaście lat.

Kobieta unosi ręce do twarzy i wyjmuje niewidzialne spinki. Rozpuszczone słomkowe włosy ledwo sięgają pagonów. Po chwili napływa jej zapach: drobne dłonie zbite w pięści i wilgotna, napięta skóra.

Tkanki pulsują, dziąsła bardziej mu krwawią odkąd ma wzwód. Wypluwa krew gdzieś obok niej. Gdy kobieta podnosi dłoń do jego twarzy, mundur na jej brzuchu przez chwilę muska mu żołądź. Szogun drży, a ona marszczy brwi, jakby z troski.

Rozmyśla się, nie dotyka go, cofa dłoń i zaczyna rozpinać koszulę. Zdejmuje ją, potem buty, skarpety i spodnie. Obcisły przepony podkoszulek deformuje ją, spłaszcza. Kobieta pozbywa się go i w pomieszczeniu już wszystko nią pachnie. Szogun nie może tego znieść.

Kobieta kładzie się przed nim, patrzy na jego łydki. Wreszcie ściąga go w dół i bierze jego dłoń między swoje uda, na majtki. Bezgłośny wdech. Cienka bawełna, szelst. Pot. Tyle życia.

– Nie ruszaj – mówi do niego, ciszej niż zamierzała.

Szogun nie rusza. Przygląda się. Czeka, choć to już się wydarza. Ciepło. Pot.

– Nie ruszaj.

Szogun nie rusza. Wielkie ekrany śnieżą w nich martwymi pikselami.

* * *

Potem leżą obok siebie. Wysychają, tężeją. Zbierają myśli i ciała.

Na jednym ekranie szachownica obrazów z kamer z pasaży. Początek turnusu.

Bezglębny teledysk podskórnej historii.

Drugi ekran to pejzaż: puste pole, zmarszczone przez pług i czas, placki brudnego śniegu. Ciężkie niebo, jakby w niższej rozdzielczości. Surowy zmierzch albo brzask.

Szogun dałby wiele, by poczuć wiatr.

– Ty płaczesz – mówi do Elwiry.

– Nie. – Kobieta przygląda się swojej dłoni. – Nie wiem.

– Ubrudziłem cię.

– Zostaw.

Kobieta siada, próbuje wstać. Patrzy na ekran, w bure, gęste niebo i kładzie się znowu.

– Myślałem, że się nie pojawisz – mówi Szogun.

– Zniknęłaś. Znowu.

– Ukrywam się.

Próbuje kpić z samego siebie. Nawet to nie wychodzi.

– Tak.

– Przed Generałem.

– Tak.

– Boże.

– Zapaliłbym.

– Masz fajki?

– Nie.

Szogun powoli podnosi się z podłogi. Traci rezon wobec jej bezruchu. Garbi się, dotyka spuchniętej wargi, ale ona nawet nie patrzy. Nagość zaczyna go uwierać, więc siada, by ją zredukować.

– Znowu złamię konkordat – mówi Szogun.

– Zniknęłaś.

– Zjechał nowy klecha. Pierwsza msza będzie jutro. Czekaj. Dzisiaj. Dzisiaj w południe.

– Budzi mnie kaszel – mówi kobieta. – I duszność. Już codziennie.

– Pralnia w mrowisku. C-sektor. Dwunasty poziom.

– Jakbym się nawdychała opilek. Wyplułam rano trochę krwi.

– Dzisiaj w południe. Mało czasu, trzeba to szybko załatwić. Tylko wiesz.

– Kłuje w mostku, gdy wiążę buty.

– Tak, żeby wiesz. Żeby ich tylko nastraszyć. Nie bardziej, niż trzeba.

Nad polem ściemnia się. Grudy śniegu brunatnieją.

Elwira podnosi się wreszcie. Coś się zmieniło, inna konfiguracja, płynne punkty odniesienia.

Szogun zdrapuje spod nosa purpurowe strupy.

– Musiałaś – mówi, patrząc w zawartość dłoni, a ona wtedy staje tyłem do niego i zakłada spodnie. Mruczy coś pod nosem.

– Co? – pyta Szogun.

– Nic. – Odwraca się, dopiero gdy jest gotowa, ubrana. Znow ma rumieniec na szyi.

– Nic – powtarza Elwira. – Nic.

W jej oczach jest coś takiego, że znówu mu staje.

– Chuju.

Dwie nieme sylaby, właściwie tylko oddech i ten kształt ust.

Elwira marszczy brwi i dotyka dłonią jego policzka. Ma zimne palce.

Nagle ściska w nich jego obitą wargę, mocno. Skóra znów pęka. Boli, pokój fa-
luje.

Szogun odpycha ją, kobieta przewraca się. Powoli podnosi się z kolan, oblizuje
poplamiony paznokcieć.

Szogun, wciąż nagi, stoi i czeka.

– No, chodź – mówi łagodnie.

– Podobno oszczędzasz pamięć. I dlatego nie ma cię w Ce-trix.

– Chodź.

– Zgubiłam tu gdzieś spinki.

– Chodź.

Elwira kręci głową. Idzie do drzwi, którymi weszła. Gdy łapie za klamkę, od-
wraca się do niego. Patrzą na siebie przez chwilę. Ruchome punkty odniesienia. Ho-
meostaza podsystemu.

Kobieta wraca i całuje go w policzek. I uśmiecha się, z braku lepszego określenia
na to mignięcie ust, ruch warg według algorytmu wyznaczającego ich płynne wektory.

Gdy klamka za nią zapada i Szogun zostaje sam, projekcje kończą się, a ekrany
gasną na dobre.

* * *

Drzwi z trepa, puszczają zawiasy i zomaki ładują się do środka, całą chmarą,
opancerzone rozwrzeszczane karaluchy, pały, zacne osiemdziesiątki, i śrutówki, kolby
pracują, i wilgotne gardła, mordą na ziemię!, mordą na ziemię, bo zapierdole!, już
gnoje!, już!, po całej pralni, jak karaluchy, pały i śrutówki, hełmy i glany.

Kobiety wrzeszczą, zawodzą. Mężczyźni krzywią się, przerażenie ich zatyka, i
tylko nieliczni los topos płynnie przechodzą od modlitw do bluzgów. Milicjanci biją,
nie bardziej, niż zwykle. Jadą na wysokim rejestrze: adrenalina, gruda, strach, wstyd i
tęskna zazdrość. Mordą na ziemię i kopniak w policzek, bo dziwka piszczy tak żałośnie
i wciąż się modli.

Mężczyzna odkłada kielich na zaimprovizowany ołtarz: pudła pełne pościeli.

Młody, opalony i przystojny, w dżinsach i koszulce Brygady Kryzys. Przez parę chwil
jest niewidzialny: milczący, nieruchomy punkt, jedyna stała w dyfuzji napastników i
ofiar. Zapomina oddychać.

Kapitan podchodzi do niego. Podnosi przyłbicę, pozwala księdzu przyjrzeć się
młodzieńczym pryszczom. Krochmalny opar liże twarze.

– Dzień dobry – mówi ksiądz i widać, że bardzo się boi.

– Dzień dobry – odpowiada zomak. – Idziesz z nami.

– Rozumiem.

– Chuja tam rozumiesz – mówi zomak i puszcza go przodem, oddając pod-
władnym. Po chwili wraca, by wypić wino.

Funkcjonariusze kończą bicie, skuwanie. Na korytarz, do wind, do pasażu, w
suki. Cztery samochody zaparkowane w symetrycznym dwuszeregu, kanciasta skrze-
plina w ciasnej tętnicy pasażu. Brakuje miejsca i powietrza, tłumek przygląda im się w
wilgotnym oczekiwaniu. Patrzą, rozfalowani, nowi, bardziej zaciekawieni, niż prze-

straszeni, jeszcze niedopici, początek turnusu.

Pani pułkownik osobiście nadzoruje zatrzymanie. Stoi między samochodami, trochę ziewa. W zamyśleniu oblizuje palec, ale zaraz przywołuje się do porządku. Odprowadza wzrokiem skutego księdza. Błękitne oczy nie mówią nic. Msza przerwana, czterdzieścioro zatrzymanych. Wszystko trafi na ekrany, wkrótce poleci w kronice. Generał opatrzy to komentarzem. Albo tylko będzie wyniosłe patrzył. Wielkie okulary i ściągnięte usta. Tak może nawet będzie lepiej. I będą przebitki na nią. Błękitne oczy, odprasowany mundur, wszystko ścięte nieskazitelną oczywistością.

* * *

Spalinowy, zimny pomruk z łatwością przenika przez ściany zmarszczone ich oddechami. Robał powoli wznosi hostię nad głowę. Przedziwne krainy i postaci falują wokół jego masywnych ramion nieostrym kształtem i wypłowią barwę. Dumny wściekły wieloryb, rozchwiany stateczek, Neptun wijący się wokół tricepsu, trójzębem mierzący do obowiązkowej kurwy, jego Salacji, jak on pięknej i ostentacyjnie cielesnej. Pielgrzymi na osłach, skuleni przed majestatem piramid, Chip i Dale, skrzydła husarskie i szyszak, posępna twarz Szapołowskiej, i tylko jej usta pulsują czerwienią, nie chcąc wyblaknąć. Ręce, dwa wymalowane pniaki, i nielegalny kawałek przaśnego chleba.

– Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy.

Głos Robala, niski i trochę mokry, jak diesel w drilmaszynach z przodka w Dziurze. Ręce jak pniaki. Wydziarane, nietrzeźwe medium. Ci, co ukłękli, wierzą, że kto inny ich zaprasza i sprawia, że się wydarza, tu i teraz.

– To jest bowiem Ciało moje.

Spalinowy rytm, nierówny, ale transowy w swej fali, rozregulowuje im some.

Szogun sięga dłonią do twarzy, jakby chciał przetrzeć zmęczone oczy. Tylko że antybłyski. Dłoń cofa się, speszona.

Stoi z tyłu, oparty o wibrujące drzwi. Próbuje nie słuchać. Wzdycha i wychodzi w maszynowy ryk wąskiego korytarza. Chłopak i dziewczyna, stoją na czatach. Są zbyt młodzi, uzbrojeni w strzelby i chyba chcieliby się trzymać za ręce. Uśmiechają się do niego.

Mija ich i kluczy chwilę, oddalając się od ryku turbin.

Wychodzi w zaułek, niemal tunel, ciemny i cuchnący, jeden z setek takich pozornie bezużytecznych wyrostków, przeznaczonych na słowa i czyny, wymagające intymności i desperacji. Mija pudło pełne zepsutych dżojstików i wtedy ją spotyka.

Dziewczyna stoi w pół drogi do pasażu, który rozpycha się, światłem i ruchem, kilkanaście metrów za jej plecami. Jest łysa, jej czaszka i opalona twarz są całe posiniaczone. Ma na sobie bawełnianą bluzę i zbyt szerokie spodnie. Nie wygląda, jakby się zgubiła. To go martwi.

– Zgubiłam się.

– Zgubiłaś się.

Wilgotny podmuch przynosi znajome odory. Smażona cebula, rozgrzany plastik.

– Kłamię – mówi ze zdziwieniem dziewczyna. – Kłamię.

Gruda rozlewa się w jej żrenicach.

– Kłamiesz.

– Zostawili mnie samą, na zapleczu. Pocułam, że muszę wyjść i wyszłam.

Wtedy przypomniałam sobie i wróciłam po jakieś ubranie.

– I ogoliłaś głowę.

– Zostawili maszynkę. Myślałam, że po to.

Szogun rusza w jej stronę.

– Na zewnątrz było jeszcze gorzej. Ale już wiedziałam, gdzie iść.

– I gdzie idziesz?

– Tutaj – odpowiada dziewczyna.

– Chodź – mówi Szogun. Bierze ją za rękę. – Chodź ze mną.

* * *

Coś się zmieniło, inne warunki operacji. Nienapisane instrukcje, konstruujące rzeczywistość, same podlegają zmianie.

Ci dwoje. Brną przez tłum, pijane morze, szlakiem znaczone neonową pajęczyną. Mężczyzna prowadzi ją, pewnie i jednocześnie nerwowo, kolejne pasaże, kolejne zaułki, mężczyzna zna skróty. Mężczyzna wie. Prowadzi i stara się unikać twarzy, spojrzeń tych, którzy potrafią patrzeć, twarzy zaciętych i ciekawskich, w których oczach wyświetlają się dema generowane przez ich stęsknioną wyobraźnię.

To przez kolor cery dziewczyny. Niemal smakują jej zapach, woń słońca, wiatru, powierzchni, życia. Ci, którzy potrafią patrzeć.

Mężczyzna prowadzi ją w milczeniu i nagle wie. Nie-ciężar na ramionach, nie-oddech za uchem. Postaci, z tyłu. Mężczyzna i dziewczyna nie zatrzymują się. Kolejny zaułek, przemysłowy zsymp, oberwany balkon, stłuczony kibel, blaszane drzwi w następnym wyrostek. Postaci za nimi, uparte cienie, coraz bliżej.

Nienapisane instrukcje: mężczyzna z kobietą jest nietykalny.

Cienie coraz bliżej. Coś się zmieniło. Inne warunki operacji.

Mężczyzna przystaje, odwraca się, patrzy w mrok. Opiera ją o ścianę, sadza i wraca, skąd przyszedł. Pomruk, szelest kurtki, szuranie butów, dużo szurania, i chłupot, dziewczyna słyszy pryskającą wodę, ale nie pamięta kałuży.

Mężczyzna wraca, nagle zmęczony. Odpoczywa chwilę i stawia ją, wiotką i ciężką, na nogi. Wtedy dostrzega kretów. Los topos stoją oparci o mur u wyjścia z zaułka. Palą papierosy, przyglądają się. Czekali na łatwy fant. Wzruszają ramionami, nie tym razem. Nienapisane instrukcje.

Mężczyzna bierze dziewczynę za rękę i już mają odejść, gdy coś w spojrzeniach Hiszpanów każe mu podnieść wzrok.

Kamera. Musiała zarejestrować figury odtąnczone w zaułku.

Los topos palą papierosy. Mężczyzna nie ma czasu. Ścisną jej dłoń i ruszają dalej.

General patrzy.

* * *

– Ty jesteś Szogun – mówi dziewczyna.

Jest w łóżku, w niejasnej pozie, jakby nie chciała leżeć i nie mogła usiąść.

Mówi wolno, przez opuchliznę albo grudę.

Jeden z pokoi na zapleczu knajpy Robala. Kilka metrów kwadratowych, słaba żarówka pod sufitem, pryzca, obowiązkowy tele, elektryczny wiatrak, stara umywalka, zaskakujący stosik książek pod ścianą.

– Tak – odpowiada Szogun. Siedzi na podłodze.

– Monika – mówi dziewczyna.

– Cześć, Monika.

– Cześć, Szogun.

– Lepiej?

Dziewczyna sięga dłonią do twarzy, wędruje palcami po kolejnych obrzękach.

Dopiero zaczyna sinieć.

– A było gorzej? – Uśmiecha się do podpuchniętej dłoni.

Szogun kiwa głową w nieokreślonym geście.

– Sama nie wiem – mówi Monika.

– Normalne.

– Boli mnie głowa. Wszystko mnie boli. Ale teraz to jest jakby przyjemne.

– To przez grudę.

Dziewczyna przytakuje, w zamyśleniu drapie się po szyi.

– Gorąco – mówi i zdejmuje bluzę, ale cofa się w połowie ruchu.

– Nie mam nic pod – tłumaczy.

– Przyniosę.

– Nie trzeba.

Szogun zdążył zobaczyć paskudny siniak na brzuchu.

– Będziesz potrzebować więcej.

– Ubrań.

– Grudy.

Dziewczyna wzdycha i sięga językiem do opuchniętej wargi.

– Mogła cię zabić – mówi Szogun.

– Ona też nie chciała walczyć. Jest głucha, zabrali jej implanty. Gdy nas zwieźli,

od razu zamknęli. Potem rewidowali. Najpierw zomaki. Potem inni. Przyszedł mąż-

czynna z protezami zamiast rąk. Wydawał polecenia i patrzył.

Szogun słucha.

– Patrzył. Gdy skończyli, wziął jedną z nich do pokoju obok. Miał walizkę pełną

nakładek. Pokazał nam, zanim wyszedł. Nie domknął drzwi, próbowałam nie słuchać.

Gdy wrócił, powiedzieli mu, że ta, co została, nie słyszy. Opieprzył ich. Potem ją zabrał

i jej pokazał. A potem zabrali nas, dali kostiumy i wysłali na ring.

– Szczur – mówi Szogun. – Ten z protezami. Przeszmuglował cię. Dużo od

niego zależy.

– Mogła mnie zabić.

– Jest po naszej stronie.

Dziewczyna zamyka oczy, wzdycha.

– Gorąco – mówi Szogun i patrzy na tele. Sfora białych raperów przemieszcza

się chaotycznym ruchem po wnętrzu kościoła jak stado szympansów, po ławach i wo-

kół kolumn. Dobrze, że ktoś wyłączył głos. Szogun poznaje figury w tle, tę doskonałą

eksplozję bezruchu. Ołtarz Wita Stwosza. Tak szczepi się ludzi przeciw kontrkulturze.

– Pasaże – zaczyna Monika – były straszne. To przez grudę?

– Po niej jest lepiej.

– Lepiej.

– Nie czujesz się jak fragment pocisku, który ktoś próbuje wydłubać z postrze-

lonej tkanki.

– I co teraz? – pyta Monika.

– Co teraz.

Do pokoju wchodzi Robal. Świeża koszula zajeżdża niedopranym poliestrem.

Milczy nad nimi, z rękami w kieszeniach dzinsów.

– Wstałaś – wita się wreszcie.

– Odjechała – mówi Szogun.

– Taki był plan – mówi Robal.

– I wyszła. Przeszła trzy pasaże.

Robal wzrusza ramionami. Nawet jeśli go ruszyło, nie daje po sobie poznać. Do

środka zagląda jedna z jego kobiet.

– Potrzeba czegoś? – pyta.

– Tak – odpowiada Robal. – Wody. I cieńsze ciuchy dla niej.

– Dzięki – mówi Monika.

– Odjechała – mówi Szogun.

– Nie marudź.

– Ja tu jestem – wtrąca się Monika.

Robal wzdycha.

– Ma pęknięte żebra – tłumaczy. – I zmiażdżone palce u nogi.

– O – mówi Monika.

Wszyscy troje patrzą na jej stopy, na znoszone trampki, zastanawiając się, w

której.

– I co teraz? – Monika powtarza pytanie.

Kobieta wchodzi na chwilę, z butelką gazówki i koszulką.

– Wiesz, gdzie masz czip? – pyta Robal.

– Nie. Wyplaszczyli mnie po zabiegu.

Ciepło-zimne słowo wywołuje ciszę. Wyplaszczenie, cyfrowa lobotomia, miara poświęcenia.

– Wgrali tylko tyle, że wiedziałam, że mam dać się tu znaleźć.

– Skanowali cię już na dole?

– Nie. Jeden chciał, ale Szczur zabronił. Skanowali Chinki.

Mężczyźni kiwiają głowami.

– Jest po naszej stronie – mówi Monika. Jej twarz ma matowy odcień papieru

do pakowania kielbasy.

Odkąd przyszedł Robal, jest jeszcze bardziej duszno. Dziewczyna sięga po ko-

szulkę. Szogun podnosi się i łapie za klamkę.

– Nie trzeba.

Monika przebiera się. Piersi ma ciasno obandażowane. Siniaki.

Na koszulce jest kot, w oczach ma cekiny.

– Patrzcie – Szogun wskazuje na tele. Sięga do panelu i robi głośniejsze.

Relacja z przerwania nielegalnego zgromadzenia. Niepodpisany skutny chłopak

prowadzony do suki. Wiadomo, że ksiądz.

Szogun i Robal wymieniają spojrzenia.

– Może dostać więcej niż zazwyczaj.

– Czują, że się zaczyna gotować, trzeba wykazać się przed Warszawą.

– Karne szychty w oparach.

Kiwiają głowami. Napis na pasku: podejrzany został zastrzelony przy próbie

ucieczki w komisariacie.

Sekundy ciężkie jak kamienie. Zbliżenie. Strzęp materiału, krew na prasownicy

z pięcioramienną gwiazdą. Robal opiera się o ścianę z głośnym mlaśnięciem.

– Co to jest? – pyta Szoguna.

Szogun gapi się na tele, na Robala, na tele. Kręci głową, jakby nie wierzył sam sobie. Dziewczyna patrzy, siniaki na jej czaszce pulsują purpurą.

– Co to było? – powtarza Robal. – No co to było?

– Nie tak.

– Co żeż ona.

Zdania urwane jak kronika, puenty poza kadrem. Inne warunki operacji.

* * *

Szogun wlewa się do Carbonatrix, Carbonatrix rozlewa się w Szogunie.

Pili przy barze, w tężęjącym, mrukliwym tłumie, wódkę, karbonadę i co tylko podeszło. Pasaż nabierał mocy i temperatury. Awantury i wytryski wściekłości, jak mikrotornada, wybuchaly jeden po drugim, ciskając wokoło bluzgami, płaczem, brzękiem szkła i odgłosem razów, rozdzielanych na oślepie. Monika piła z nimi i rozglądała się, zatrwożona. Mężczyźni zastanawiali się, jaką wiadomość dla nich skrywa, dziewczyna zastanawiała się, w którym fragmencie ciała. I z każdą kolejką, z każdym płomieniem w żołądku, godziła się, że w Dziurze bolesna będzie każda sekunda.

– Generał łamie embargo na dzieci – opowiadał Robal, polewając. – Zwozi je tu, już któryś turnus z kolei. Niemowlęta i przedszkolaki. Dla Elwiry, dla żon i kochanek swoich oficerów, mechirugów, inżynierów Carbo. Bawią się z nimi, karmią, wdychają ich zapach, tę nieuchwytną woń nieśmiertelności. Biorą je na tajne place zabaw. Trzymają w sekretnych dziecięcych pokojach, z łóżeczkami i gwiazdkami na sufitach. Jeden z mechaników od maszyn z przodka robił drabinki, huśtawki. Opowiedział mi to i zniknął. Ludzie w sortowniach znajdują w odpadach brudne pieluchy. Kobiety tulą te biedne dzieciaki, śpią z nimi, przywiązują się. Mimo że wiedzą, iż maleństwa wytrzymają tu tygodnie. Kobiety chciały trzymać ich prochy. Ale Generał nie pozwolił, dzieciaczki idą z resztą, do kotłowni.

Robal opowiadał, a Monika gryzła paznokcie.

– Teraz się zacznie – szeptał Szogun. – Teraz się zacznie i nie zdążymy. Rzucą się na mundury, utoniemy we krwi.

Patrzyli na dziewczynę i mimo że się bała, bezwiednie studiowali jej nagą czaszkę.

Szaleńczy plan: chcą zhakować system, wszystkie systemy tych, którzy są spod gwiazdy w kolorze szczyny i tych spod gwiazd o barwie kresiek śniegu, które dzieli się płaskim kawałkiem plastiku, legitymowanym przez profil rzymskiego centuriona. I wszystkich pozostałych, aspirujących i przymuszanych. Szogun i Robal są tylko elementami, liniami kodu w tajnym globalnym programie, wielkiej konspiracji kretów ze wszystkich Dziur świata, kowbojów Carbo, osadników krain hodowanych w najszlachetniejszym, najbardziej życiodajnym z pierwiastków. Pielgrzymów nowej ery, czasu ich symbiozy z Ziemią i technologią, depozytariuszami ich nowej mocy. Trudnej do policzenia armii, dowodzonej przez Centralę, ich nemezis, twórcę, patrona i gwałciela.

Właściwie to Centrala uczyniła ich tymi, kim teraz próbują się stać. To ona ich znalazła i zwerbowała. I koordynuje cały spisek, czuwa z powierzchni, grając półsłówkami, karmiąc ich strzępami wiadomości i podrzucając pojedyncze dowody swej siły i wpływów. Zabrania o sobie mówić, choć Szogun i Robal mają wrażenie, że kręci ją, gdy łamią to przykazanie. Bo rozumieją, że tu na dole potrzeba legend. Dlatego oni sami wciąż jeszcze w nią wierzą.

W nią, w nich. Centrala jest potężna, musi być siecią, ukrytą w cieniach wie-
żowców, bunkrów i nieużywanych adresach pamięci Carbonatrix.

Wierzą więc, nie mają wyjścia. Realizują jej plan, szaleńczy plan przeciw sza-
leńcom z powierzchni, którzy nie chcą, nie umieją zrozumieć, jakim darem zostali
obdarowani przez tę, którą doją od tysięcy lat z zapamiętałą niewdzięcznością. Koniec
świata nastąpi, niechybnie. Szogun, Robal i pozostali szarpią się, by po nim nastał
świat nowy, jakikolwiek.

— Teraz się zacznie — szeptał Szogun, słysząc krzyki, syreny, wybuchy histe-
rycznego śmiechu. Polewał, połykał, popijał, polewał.

A gdy już byli tak pijani, że Robal pomrukiwał niczym rozdrażniony, leniwy
amstaf, a Szogun uśmiechał się trochę zbyt często, wstali i wyszli. Wzięli ją do jednej z
dziupli któregoś z nich, może obu. Poili karbonadą, aż zwymiotowała, i pozwolili jej
usnąć na przepoconej pryczy.

Robal zrobił sobie kawy, cały dzbanek. Wyciągnął z szafy torbę adidasa, wyjął z
niej śrutówkę i przeladował. Usiadł z bronią na kolanach na krześle w korytarzu, na
wprost drzwi wejściowych, z kawą przy nodze.

Szogun z miski spod zlewu wyjął pakunek. Konsola zapakowana w reklamówkę
z Pewexu. Ostentacyjna prostota projektu, chromowane logo Commodore.

Szogun starannie dobrał kable z pozornie bezużytecznej płataniny na kuchen-
nym stole. Podłączył elektrody do skroni dziewczyny, jej szyi i nadgarstków.

Wyszedł do przedpokoju, do towarzysza na krześle. Patrzyli na siebie, ciężko i
mocno. Szogun położył mu dłoń na ramieniu.

Wrócił do pokoju, usiadł koło leżącej Moniki. Włączył konsolę, sięgnął po
wtyczkę i gdy wpinał ją sobie do gniazda na karku, jego oczy śmiały się na przekór
temu najgorszemu ze światów.

Teraz Szogun wlewa się do Carbonatrix, a Carbonatrix rozlewa się w Szogunie.

Błyskawiczny morfing emocji i uczuć: szok, lęk, ekscytacja, rozkosz, całe spektrum w
ułamku sekundy i niepoliczalnych eonach, zależy jak patrzeć. Techkstaza. Boskość.

Szogun, świetlisty piksel, samowyświetla się, autoodtwarza, w jednym z węzłów
w trójwymiarowej nieskończoności siatki, która faluje wokół niego, faluje wraz z nim
geometryczną pulsacją. Szogun czuje się, jakby przymykał oczy, poddaje się temu
wrażeniu, dostraja się do ruchu, cyfrowej perystaltyki Carbonatrix. Przesunięcia płyt
tektonicznych, powtarzane do znudzenia atomowe próby, huragany i drgnięcia moty-
lich skrzydeł, telewizyjne rekordy oglądalności, historycznie przyjmowane premiery
kinowe, giełdowe fluktuacje, pozycyjna wojna domów modowych – świat żyje, wciąż
żyje, a jego rozedrgany żywot rezonuje trójwymiarowym scrollem milionów wektorów
niby-przestrzeni, wyrastających wewnątrz miniaturowych fortec z krzemu i węgla,
rozrzucanych po Dziurach kopanych tysiące metrów w głąb ziemi, w głąb Ziemi.

Szogun, świetlisty piksel, wyrusza. Ignoruje słabe rozbłyski z peryferyjnych
obszarów pamięci. Tam czekają na niego już dawno zaniedbane sprawy, proste i
nudne, jak wota o nielegalne przelewy na zachodnie konta, wklepywane na lewych
terminalach przez górników niewprawionymi, zmęczonymi dłońmi; tam są dziwaczne
programy, wadliwe lub niekompatybilne z hardlerem z jego Dziury, kradzione i wyże-
brywane przez tutejszych słaperów podczas spotkań w opustoszałych, nieużywanych
polach siatki. Tam są jego potencjalne mikrozwycięstwa, dziewicze linie kodu, precy-
zyjne i syntetyczne, które w wolnych chwilach układa, niczym cyfrowe haiku, fałszu-

jące dane wysyłane do komputerów na powierzchni przez niedouczonych programistów Generała.

Szogun zostawia je za sobą. Mknie z falą, ku centrom, prosto w mozaikę mozaik kształtów, barw i przesunięć, w gorący, nieogarnialny sercomózg Carbonatrix, implodujący do swego wnętrza nieskończonością kolejnych poziomów.

Triumfalny, ekstatyczny lot, obwieszający demoscenie, że Szogun powrócił.

Mniej niż chwila, ułamek sekundy. Albo całe epoki. Zależy, kto liczy.

I już tu jest, w onieśmielającym labiryncie, w którym najbardziej żywe jest to, co nie pochodzi wprost od człowieka. Ekumenizm kultur, wszystkich – opartych na genach, dolarach, rublach, jenach, nieskończonych ciągach zer i jedynek. Języki programowania, platformy, tryby komunikacji i wizualizacji danych, wszystkie sprowadzone do najniższego wspólnego mianownika. Wschód i Zachód, okopani na pozycjach, sprawdzonymi wizualizacjami ujeżdżają swe cyfrowe trzecie fale – tu wciąż trwa wyścig na anachroniczne geometryczne proporcje, bo, mówcie, co chcecie, ale rozmiar fraktala ma znaczenie. Między nimi ci, którzy nie mogą i nie chcą się zdecydować.

Migotliwe makatkowe tekstury, rozlewające się po rastrowych obiektach z Południa, pulsują tęczo, każda swoim trzewiowym rytmem. Smukłe wektorówki graczy z Północy, seksowne, władcze, lekko falują dyskretną sinusoidą, ścigają się w nerwowych zawodach na ostentacyjną oszczędność projektu. Czarne słońca, zakodowane obiekty, z dostępem jedynie dla wybranych, nie-żarzą się żarłocznym ciemnym światłem.

Szogun, świetlisty punkt, kluczy między nimi, przez chwilę (eony) dla samej rozkoszy z tej doskonałej iluzji ruchu, zmiany i siły. Potem odpala soft i cierpliwie czeka, aż jego sprajt zgaśnie i pozwoli się wchłonąć linii, po której wspinał się i jednocześnie opadał wzdłuż odbić świata z powierzchni, zdeformowanych w swej nadobfitości po tej stronie binarnej tafli.

Szogun uruchamia programy, które uruchamiają programy, które uruchamiają kolejne, cała dywizja systemów poleceń posłana w bój. Zliczają wartości z pozornie losowo generowanych adresów pamięci procesorów, podtrzymujących Ce-trix, nie tylko z Dziury Szoguna, Generała. Kolejne kontrolowane losowania i kolejne pętle obliczeń, wszystko po to, by maksymalnie skomplikować dotarcie do bezpiecznego adresu.

Szogun znika, powidok po świetlistym punkcie rozmywa się w tęczowej magmie hegemonicznej struktury EWWiS-u.

Jest u siebie. To jego binarna dziupla, rejestr w pamięci Carbo, której pozycję i domenę na wszelki wypadek wypalił z mózgu już dawno. Przytulna czerń i tryb tekstowy, kojący mózg po drażniących przysadkę interlejsowych drganiach wizualizacji Carbonatrix.

Szogun włącza emulator skanera, wybiera adres gniazda w norze w mrowisku, aktywizuje elektrody i już jest w Monice.

Brakuje mu tchu. Brak obrazu gwałtownie zwiększa resztę bodźców. Atak paniki: splątanie, cierpienie i klaustrofobia.

Szogun głaszcze jej umysł, projektuje spokój i zaufanie. Dostrajają się w na wpół świadomym odruchu, sprzężenie zwrotne zbliża ich oddechy i tętna.

Rozpoczęcie skanowania. Szogun wędruje po jej ciele pozornie chaotycznymi trajektoriami, szukając obcego elementu. Przemierza tkanki, mijając kolejne blizny, zrosty, niedogojone skręcenia i pęknięcia, kartografia cierpienia, która tak mu sma-

kuje. W oddali wyczuwa burzę, grzmoty dudniące przeciągle niskimi częstotliwościami, i wie, że to niedobrze. Zmusza się do pośpiechu, smakowałby ją w nieskończoność. Jest. Obiekt o trzymilimetrowej średnicy, niezbyt głęboko, na wysokości krzyża, kilka centymetrów od kręgosłupa. Karbonado, polikrystaliczny czarny diament, najszlachetniejsza ze znanych mu kości pamięci.

Mógłby od razu skopiować jej zawartość, ale, mimo wszystkich zabezpieczeń, woli nie robić tego w Ce-trix. Właśnie dlatego Centrala zesłała do Dziury dziewczynę. Ma, czego w niej szukał, ale nie chce wychodzić, mimo zimnych gromowych szeptów z tamtego świata. Kojący szum krwi, zapraszające ciepło tkanek. Monika jest taka przytulna. Nie słyszy i nie widzi jej myśli i uczuć, nie może przecież, ale otula się nimi jak gęstą watą, rozplywa się w ich gościnnych cieniach.

Mózg Szoguna nie radzi sobie z bodźcami, do których nie przysposobiła go zagapiona ewolucja. Wie tylko tyle, że to wszystko jest dobre, więc konwertuje to na impresyjne aproksymacje. Słodkie, miękkie, miłe, wanna pełna ciepłej wody, drzemka na plaży w słoneczny dzień, futerko chomika na dziecięcej skórze, dłoń rodzica mierzwiąca włosy.

Szogun rozumie, że to tylko rykoszet wywołany przez doświadczenie skanowania, ale i tak nic nie może poradzić. Zakochał się w Monice, jej duszy, silnej i pewnej, odbitej w zakamarkach jej fizyczności.

Jej ciało wierzga, przynosząc mu rozkosz i ból. Tam się coś dzieje, Monika się budzi. Dłużej nie można czekać.

Zresztą ma, czego w niej szukał. Wylogowuje się.

Umiera i znów żyje.

Wrzaski i huk wystrzałów, aż kołyszą się gipsowe ściany. Piszczą w uszach jak przy przeciążeniu transferu w Carbonatrix.

Szogun chaotycznie zbiera się z kolan. Dziewczyna już stoi, kable od elektrod dyndają na niej niczym elektryczne pijawki. Powietrze jest gęste i mętne.

Monika podaje mu dłoń, pomaga wstać. Dotyk jej dłoni wywołuje gęsią skórkę.

Szogun przypomina sobie, że ją kocha.

Do środka wpada Robal, ściska dymiącą śrutówkę. Wielki brzuch trzęsie mu się ze zmęczenia.

– Spierdalamy – oświadcza, przeladowując strzelbę.

Wychyla się, strzela i znika w korytarzu.

Biegną za nim, w piszczącym od hałasu świetle, po ślisko-lepkiej podłodze, w oparach prochu, mijając dziurawe ściany i sfatygowane ciała. Szogun robi krok nad znajomą twarzą. Honza, młody slaper, posłaniec Szczura. Wtedy przystaje i wraca po konsolę. Czekają na niego przy schodach. Szogun bierze Monikę za rękę i zbiegają w pasaża, wszyscy troje, a karbonada w ich mózgach sprawia, że zanoszą się śmiechem.

* * *

W półmroku nory jest gorąco jak w piekle, ale podniszczona pompa przetacza w martwe kobiece ciało nielegalną mieszankę i w ten sposób opóźnia proces rozkładu. Spod żółkniętego prześcieradła wystają chude łydki i stopy. Na drugiej pryczy leży Monika. Para postaci pochyla się nad jej plecami. W gogłach i fartuchach, które kiedyś mogły być białe, odprawiają swe gusła za pomocą skalpeli, igieł i papierosów odpalanych jeden od drugiego. Nad pryczą wisi antybakteryjna lampa, snop lepkiego światła strzela w nagie, otwarte plecy dziewczyny jak ze startującego uszkodzonego ufo.

– Robal, Jezu, ilu ich było? Czterech? – pyta cicho Szogun.

– Dwóch.

– Żartujesz.

– To dobra strzelba.

Stoją w progu, jak najdalej od prycz. Piją ciepłe piwo. Szogun co rusz zerka na stojącą pod drzwiami torbę z konsolą.

– Zauważyłeś? – pyta Robal.

– Tak. Chłopak od Szczura.

Szogun zdejmuje dzinsówkę. Rozgląda się i kładzie ją na stopy Moniki.

– Nie tu – upomina go technik, wydymuchując dym nosem.

Po chwili wahania Szogun odkłada kurtkę na lydki martwej kobiety.

– A bo ja wiem, czy od Szczura.

– Myślisz, że wiedzieli, do kogo wbijają? – pyta Szogun.

– Nie mam pojęcia. Teraz to i tak bez znaczenia.

– Kurwa mać.

– Amen.

Robal częstuje camelami, paczka jest cała spocona. Szogun bierze do ust wilgotnego papierosa. Pałą.

– Jest – mówi jeden z techników, trochę zbyt głośno, i po chwili podaje Szogunowi mały pojemnik z pleksi, do którego schował, co znalazł w dziewczynie. Szogun przygląda się drobnutkiemu strukturze. Wzdycha.

Drugi technik ma w kąciku ust igłę. Moczy ją w kieliszku karbonady i zaczyna zszywać Monikę.

– BHP – mruczy Robal.

– Co? – pyta technik, nie podnosząc wzroku.

– Gówno – odpowiada Robal. – Szyj.

– Ej. – Technik przerywa pracę.

– Kim byłeś tam? – pyta Szogun. – Rzeźnikiem?

– Masarzem – odpowiada technik.

– Żartujesz.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Szogun nie chce.

Zanim wyjdą we troje, Robal wskazuje Szogunowi zajętą pryczę.

– Zajrzyj.

Szogun odsłania twarz.

– Młoda – mówi tylko.

– Ano, Młoda.

– Skąd wiedziałeś?

– Rano ją przyniosłem.

– Chodźmy stąd – mówi Monika. – Zimno mi.

– Szogun – przypomina mu Robal. – Zapomniałeś o kurtce.

* * *

Brną przez pasaż, który stawia większy opór niż zwykle. DNA tego miejsca to gęsty remiks kluczowych zmiennych. Drapieźny uliczny darwinizm. Homeostaza między rządzącymi a rządzonymi, pasiona wzajemnymi: nienawiścią i zazdrością.

Zwichnięta peerelowskim doświadczeniem tęsknota do oczywistości kapitalizmu, tak przyjemnie fetyszyzujących technologię i siłę. Cały ten system ulotnych uwarunkowań

kamuflowany jest przez pozorny chaos. Czy raczej był, coś się zmieniło. Pojedyncze zdarzenia stamtąd i stąd. Przesunięcia. Miejsca puste zbyt długo. Przepływy o odwrotnych wektorach. Inne warunki operacji.

Śmierć księdza stanowi tylko następstwo, ogniwo w łańcuchu zdarzeń katalizowanych przez nie wiadomo co. DNA Dziury rozmyło się, jakby rozpuszczone w grudzie, której ilość przekroczyła masę krytyczną. Został tylko chaos. Kamuflaż wyewoluował w samą istotę rzeczy.

Brną przez pasaż i boją się.

Dziewczyna jest przerażona, odkąd tylko zamknęły się za nią wrota windy. Dotyka ogolonej, popękanej głowy, próbując oswoić ten lęk, wypocić go i strząsnąć na usyfioną kostkę pod nogami. Daremnie.

Mężczyźni boją się i wcale nie dlatego, że Robal musiał wyrzucić broń. Przestali czuć się panami sytuacji. Dziura już nie jest ich. Z graczy stali się pionkami. Kamuflaż stał się istotą rzeczy.

— Obrazy Generała, które widzisz na tele, to cyfrowe animacje — tłumaczy Monice Robal i sam nie wie, czemu to robi. — Wykorzystują obiekty opracowane w łódzkim Se-Ma-Forze. Generał nie był zadowolony z lektorów, więc głos nagrywa sam. Se-Ma-For robi też materiały tylko dla Dziury. Przerabiają dzienniki telewizyjne, reportaże. Przekłamują kłamstwa.

— Przecież umiecie to czytać — mówi Monika.

— Nie o takie kłamstwa mi chodzi. Tylko o sprawy fundamentalne. Może Indochiny nie zostały zajęte przez Tajlandię. Może ONZ od dawna nie istnieje. Może Polański wcale nie strzelił sobie w łeb.

— Ale ja wiem. I nie tylko ja. Co turnus zjeżdża tu z góry tyłu nowych ludzi.

— No właśnie — odpowiada Robal. — I niemal natychmiast legitymizują oba światy. Ten i tamten. Popatrz. — Przystaje i wskazuje na plastikowe drzwi. Sine litery nad nimi niezgrabnie układają się w nazwę knajpy. Stefanka.

Przydymione pleksi pozwala zajrzeć do środka. Papierosowy opar, w którym Monika dostrzega postaci tańczące parami. Mężczyźni, bladzi i wiotcy, wtuleni w siebie, jakby wisząca nad nimi lustrzana kula niosła chłód.

— Popatrz na nich — mówi Robal — i powiedz mi, że jesteś pewna, że Polański nie żyje.

Szogun bierze dziewczynę za rękę i trójka rusza dalej. Monika bezwiednie rozgląda się. Tak niewiele kobiet. Mężczyźni i ich spojrzenia. I tylko Hiszpanie gdzieś zniknęli.

Słyszą strzały, niedaleko, ale ludzie wokoło brną wytrwale ku swoim destynacjom.

Rozdzielają się pod knajpą Robala. Podają sobie ręce. Robal stuka grubym palcem w szeroką oprawę antyblysków Szoguna i znika w środku.

Szogun bierze Monikę ze sobą. Wchodzą do jednego z mrowisk i kluczą w nim długo, wąskimi korytarzami, aż bołą ją nogi i pieką oczy, nienawykłe do półmroku.

Nikt nie zwraca na nich uwagi. Ludzie wciąż piją, dużo płaczą i jeszcze więcej się śmieją.

Wchodzą do jednej z górniczych cel. Szogun zamyka kartą elektroniczny zamek.

Przygląda się drzwiom i rygluje je jeszcze oparciem od krzesła.

* * *

Szogun codziennie śni koniec świata.

Na górze, tam, nadciąga nieuchronnie. Kolejny etap procesów zapoczątkowanych wydarzeniami zbyt drobnymi, by można je było wyszczególnić, policzyć, ocenić.

Następna faza, triumf konsekwencji.

Szogun tego nie zobaczy. Nieme, spokojne nieba, nagle pokolorowane lukami, wdrapującymi się wyżej i wyżej. A potem wszystkie sklepienia Ziemi, wszystkie błękity i czernie, jak morza i oceany trwające w nieziennej oczywistości, wyczekujące cierpliwie i cicho, aż tysiące ziaren opadną, by wydać plon. Bezkrzesne morza i oceany, błękity i czernie, czekają.

I wreszcie: ziarna spadają. Pękają, by wzrastać, piąć się, rozkwitać gigantycznymi kwiatami, sięjącymi wokoło bezlitosnym pięknem. Te kwiaty przewyższą, pochłoną wszystko, co do tej pory uczynił człowiek. I pochłoną samego człowieka. Pozwolą wiatrom zanieść swą nowinę wszystkim tym, do których mają daleko, a nowina będzie łamać kody decydujące o ludzkim jestestwie.

Przepiękne olbrzymie kwiaty zakwitną niemal jednocześnie. Śmiercionośne landszafty. Szogun tego nie zobaczy.

Ukryci w bunkrach mordercy, teraz zestrani ze strachu, przelączą tele na automat, generujący klejone z archiwów paczlorkowe idiotyzmy. Dziury muszą działać, Carbonatrix musi być. Szogun więc tego nie zobaczy.

Ale nowina do nich trafi. Spełnie powoli, systemem wentylacyjnym, rozwieje się po Dziurze. I ich popsuje.

Z początku nie będą wiedzieli, co się dzieje. Rozbolą ręce, nogi, karki, sufity zawisną niżej, pomylą brak sił z lenistwem. Wzruszą ramionami, odłożą kilof, ścięgno, dźwój, pad albo napiją się, przycisną tele. Potem zaczną krwawić i wypróżniać się zniemacka. Wypełzną w pasaż, by podzielić się tym dziwnym stanem, oglądać wzajemnie wybroczyny i pękającą skórę. Wtedy się domyślą, choć długo, bardzo długo nikt nie powie tego głośno. A pierwszego, który to robi, rozszarpie gołymi rękami, jakby to miało wystarczyć, by się nie wydarzyło. Nie wystarczy, oczywiście, mimo wszystko nie.

Wreszcie się zacznie i ci najmądrzejsi skończą to, póki jeszcze będą w stanie.

Niewielu będzie mądrych.

Koniec świata spełźnie tu do nich i przejrzy się w jego antyblyskach. Tak mu się śni.

Szogun przygląda się drzwiom i rygluje je oparciem od krzesła.

– Gość w dom – mówi do Moniki.

Słaba żarówka wisząca luźno pod sufitem. Materac, umywalka, pojedyncza szafka z kuchenną elektryczną płytą, stara sklejkowa szafa. Mały stół i dwa kolejne krzesła. Obowiązkowy tele i drzwi z tworzywa.

– Mam déj vu – mówi Monika.

– Tam jest kibel. Ale chyba nie ma papieru.

– Nie mieszkasz tu. Nie śmierdzisz jak tu.

– Już niemal nie czuję.

– Jak stary ser. Nie wiem, trochę jak w pokoju mojego młodszego brata.

– Nie czuję.

Dziewczyna chowa dłonie do kieszeni dżinsów, ucieka w znajomy dotyk.

– Siadaj – mówi Szogun. – Daj mi minutę.

Kładzie na podłodze wyjętą z torby konsolę. Z szafy bierze przenośny monitor i sterujący pad.

– Lamerskie – tłumaczy się. – Na czarną godzinę.

Ona nie wie, czy żartuje.

Szogun podłącza wszystko i patrzy na nią dłuższą chwilę. Wyjmuje z kieszeni pojemnik, otwiera go i umieszcza diament w gnieździe pamięci konsoli. Monika czuje, jak piecze ją blizna na krzyżu.

Szogun gniazdo zostawia otwarte. W kubku na kuchence rozpuszcza jasnobrązową grudkę. W przygotowaniach jest coś intymnego.

– To narkotyki?

– Można tak powiedzieć. – Uśmiecha się ponuro do zawartości kubka. – Żywica epoksydowa.

Zalewa żywicą karbonado i zamyka gniazdo. Uruchamia konsolę i monitor, padem wybiera komendy. Dopiero wtedy podnosi się i zdejmuje kurtkę. Rzuca ją pod nogi.

– Retro – czyta z monitora Szogun.

– Co?

– Tak nazywa się plik, który kopiuję.

– Ten plik?

– Tak.

– Retro – powtarza Monika.

– Wciąż stoisz.

– Co teraz?

– Czekamy. Przegrywam zawartość karbonado. Robię to poza Ce-trix, musimy poczekać.

– Długo?

– Kilka godzin. Może kilkanaście.

– Zdążymy?

Wzrusza ramionami. Jego antybliski dublują światło żarówki, para świetlnych punktów jak cekinowe oczy kota na jej piersi. Ktoś krzyczy na korytarzu, niby po polsku, ale dziewczyna nie rozumie, o co chodzi.

– Zanim zacnie się tam czy tutaj? – mówi do niej. – Zanim tutaj pewnie nie zdążymy.

Monika kiwa głową, zmęczona. Brak sił pogarsza jej wzrok, refleksy na jego okularach mętnieją.

– Jak trzesz oczy – mówi Szogun i przez chwilę się waha. – Trzesz oczy jak moja córka.

Nieprzyjemne ciepło splywa po jej skórze. Blizna piecze.

Monika przygląda mu się długo. Nic nie może wyczytać. On jest jak obraz z tele.

Stoi i patrzy.

– Masz córkę.

– Miałem. Tam.

– Co się z nią stało?

– Została tam.

Para świetlnych punktów żarzy się tępo na ciemnych szklach.

– Byłem tu wśród pierwszych. Miała zjechać w kolejnym turnusie. Wiadomo

było, że windy pojedą w jedną stronę, ale nie było wiadomo, że Dziura zabija dzieci tak

szybko. Więc została tam.

Monika złości się, bo nie wie, czy może mu wierzyć.

Szogun schyla się do szafki pod umywalką. Stawia na stole butelkę wódki i paczkę sucharów. Płucze dwa kieliszki, odsuwa jej krzesło i uśmiecha się tak smutno, że Monika musi na chwilę zamknąć oczy.

Siadają. Polewa.

Nie piją, siedzą bez słowa i gestu. Tylko konsola szemrze.

– Co z Robalem? – pyta go.

– Zabił dwie osoby.

Odbija jej się karbonada.

– Więc pewnie spowiada się – kończy Szogun. – Do lustra. A potem pójdzie sprawdzić, jak Hiszpanie.

– U Listillo, tak?

Szogun uśmiecha się dziwnie.

– Zbieramy siły. Jak tylko będziemy gotowi przejąć Carbonatrix – Szogun zerka z czułością na konsolę – zaczynamy. Chodzi o właściwy moment, by ich zablokować i żeby nie doszło do rzezi.

– Waszych.

– Którychkolwiek – odpowiada Szogun. – Szczur koordynuje przygotowania

tu. Ja w Ce-trix.

– A Robal?

Szogun wzrusza ramionami.

– Skąd Robal zna Cwaniaka?

– Niech ci sam powie.

Znów ten uśmiech. Monika mruży oczy, ale pokój wciąż jest osłabiająco brzydki.

– Los topos – mówi Monika – Ruscy kupili ich od Hiszpanów i lokują w swoich Dziurach.

– Kiedyś myślałem, że to kaprys. Ale oni są potrzebni. Utrzymują odpowiedni poziom napięcia, niepewności.

– A jak oni... – Monika urywa. – I wy z nimi.

– Czują się tu dobrze. Wśród swoich.

– Nawet pedofile.

– Pedofile są martwi, zanim obsługa na dole otworzy windy – mówi Szogun. –

Zdrowie.

– Nie lubię tego toastu.

– Więc pij.

Piją. Monika zjada suchar, potem drugi. Nie pomaga, idzie do kibla i długo wymiotuje.

Gdy wraca, ma nalane. Płucze usta wodą z kranu.

– Pij.

– To zwykła wódka?

– Niemal. Pij.

Piją. Robi się gorąco, puchną jej stopy, bołą palce u nóg. Zdejmuje trampki, przez tę podłogę brzydzi się zdjęć skarpetki. Na podeszwach butów ma zaschniętą krew. Teraz ona polewa. Piją.

– Suchary się zaraz skończą – mówi do niego.

– Myślisz, że są potrzebne?

– Ta strzelanina.

Szogun krzywi się.

– To się niemal nie zdarza – odpowiada. – Widać, że to już.

Konsola szemrze.

– Ile tu jesteś?

– Zbyt długo.

– Gdybyś wyjechał na górę – mówi Monika. Czuje, że znów jest pijana. –

Grudzica zabiłaby cię po ilu? Pół roku?

– Gdzieś tak.

Konsola szemrze.

– Jak ma na imię? – pyta go.

– Kto?

– Twoja córka.

– Nagrałem twoją walkę – mówi Szogun i spogląda na monitor. – Chcesz

obejrzeć?

– Nie – odpowiada dziewczyna.

– Projekcja idzie na innych adresach pamięci, nie spowolni przegrywania.

– Nie.

– Nie – powtarza za nią.

Piją.

– Nie wierzę w ciebie – mówi do niej wreszcie.

– Nie wierzysz we mnie.

– Nie. Bo kto by się zgodził, żeby tak jak ty.

– Windy były pełne, ledwo mogłam oddychać.

– To co innego. Oni wszyscy myślą, że mieli wybór, że zrobili to dla kogoś. Choć

nie mieli go wcale. Ty odwrotnie.

– Pij – mówi dziewczyna.

– Ty odwrotnie. Czemu tu jesteś?

– Pij – mówi łagodnie.

Piją.

– Boisz się – mówi Monika i patrzy na hardler Szoguna. – Tego, co tam bę-

dzie.

Szogun podsuwa jej ostatni suchar. Po chwili sam go zjada.

Błat stołu lepi się do jej nagich przedramion.

Szogun bierze jej dłoń w swoją, szorstką i drobną.

– Chodź – mówi do niej.

– Co?

– Chodź. – Ruchem głowy wskazuje materac.

Monika zamyka oczy.

– Wymiotowałam krwią. I sram... czymś dziwnym.

Studiuje palcami jej zdarte knykie.

– Powiedz mi, że to nic – mówi Monika. – Że to normalne. Biorąc pod uwagę

warunki.

– No chodź.

– Jesteś chuj.

Monika nie zabiera dłoni.

– Już to dziś slyszalem. Albo nie dziś.

– Czemu ich nie zdejmiesz?

– Pokaż bliznę.

– Kiedy je zdejmujesz?

– Pokaż. Widzę, że cię boli.

Monika wstaje i odwraca się, a Szogun klęka za nią. Dziewczyna podwija koszulkę. Szogun rozpina jej dżinsy i zsuwa je do kostek. Nie dotyka jej skóry. Monika wstrzymuje oddech.

– Muszę odkleić opatrunek.

Czuje na krzyżu ciepłe chuchnięcia. Pot spływa spod kolana po łydce. On zdejmuję plastry, nie dotykając jej pleców. Jej dłonie mrowieją. Nie wie, co z nimi zrobić, ścisła podwiniętą bluzkę.

Gorące oddechy. Szogun jest gdzieś z tyłu, schowany za okularami. Monika patrzy na stół, butelkę, kieliszki, okruchy.

Najdziwniejsze uczucie na świecie, na udzie. Dziewczyna dopiero po chwili rozumie, że to pocałunek.

– Przestań.

– Zakochałem się w tobie.

– Przestań.

– Tak działa skanowanie – tłumaczy jej. – Efekt Millions-Shears.

Drugi pocałunek. Zadrżała jej noga, to ją złości.

– Wiem, co to. Przejdzie.

– Ale nie chcę, żeby przeszło.

Monika próbuje podciągnąć spodnie, lecz nie ma jak, przed sobą ma stół, a

Szogun jest zbyt blisko. Niezdarny gest.

– Czekaj – mówi do niej. – Zakleję to.

– W porządku? – pyta go, gdy już może się ubrać.

– Co? Tak. W porządku.

Po chwili wahania siadają za stołem. Piją, wsłuchując się w odległe echa piętrowej perystaltyki tego miejsca.

– Dlaczego go wolisz? – pyta ją, gdy butelka jest niemal pusta.

– Kogo? Robała?

– Robała.

– Nie wiem. Bo nie jest taki.

– Jaki?

– No właśnie taki.

– Boisz się mnie.

Monika zastanawia się.

– Nie. – Patrzy na trampki. – Jego boję się bardziej. Ciebie nie lubię.

– Szlag.

Dziewczyna polewa, opróżniając butelkę.

– Ostatnia kolejka.

– Tak – mówi Szogun. – Ostatnia kolejka.

– Chcę ją obejrzeć.

– Nie, nie chcesz.

– Chcę.

Siadają na podłodze, przed monitorem. Szogun wyjmując minikardridż z anty-
błysków, odpala go w konsoli, odtwarza film.

Monika patrzy do końca. Szogun wygasza ekran.

– Monika.

Patrzy, nie widzi. Mijają minuty.

– Monika.

– Co? – pyta go wreszcie.

– Tak ma na imię moja córka.

– Ładnie.

Uśmiechają się do siebie. Twarze blisko. Odbija się w jego antybłyskach, łysa,
pobita, brzydka.

– Ładnie – powtarza dziewczyna i układa się na materacu. Zamyka oczy. –

Została wódka – mówi do niego albo do siebie. – Ostatnia kolejka.

– Śpij.

– Dlaczego tu zjechałeś? – pyta już szeptem, a sen rozciąga sylaby.

– Z miłości – odpowiada Szogun. – Śpij.

Dziewczyna śpi.

Szogun pochyla się nad monitorem, który głaszcze promieniowaniem gładkie
powierzchnie antybłysków.

* * *

Wszystko przyspiesza, mimo że milicyjna suka wolniej niż zwykle sunie przez
tłum w pasażu. Chłopczek w pośpiechu kończy hot doga, żegna się niedbałym gestem.

W imię Ojca i Syna i wyjmując z torby butelkę, jednorazową zapalniczką podpala
szmaciany lont. Ciska flaszką w samochód.

Płomień bucha na masce, przytula ją, przeciąga się gwałtownie we wszystkich
kierunkach. Suka gazuje, rozwała improwizowaną pijalnię karbonady, krzeselka
strzelają na boki. Ludzie odskakują, chowają głowy przed plastikowymi szrapnelami.

Wiwatują, gdy płonące auto oddala się. Syrena wyje, pasaż faluje. Dziesiątki dłoni w
geście zwycięstwa, toasty i bluzgi.

Obserwatorzy patrzą z góry, skryci w cieniu za masywnym neonem PZU. Prze-
strzeń w dole uspokaja się, wraca do regularnego chaosu przepływów postaci, spojrzeń
i informacji.

– Było sobie życie – mówi Szczur.

– Co? – pyta go Listillo. Jest wielkim mężczyzną, który mówi powoli i oddycha
z wysiłkiem.

– Tak mi się skojarzyło.

– Ten z koktajlem był od ciebie? – pyta Cwaniak.

– Skąd. To wszystko dzieje się już samo.

– Nie wszystko – mówi Cwaniak. Odwraca się do Szczura, przygląda się z góry
jego małej głowie.

Szczur krzywi się.

– Słucham – mówi.

– Te Azjatki.

– Co: te Azjatki?

Grdyka Szczura pulsuje nieregularnie.

– Nic – odpowiada Cwaniak i znów patrzy na pasaż. – Nada de nada.

– No ja, kurwa, myślę, że nada de nada.

Szczur popiskuje jedną z protez.

– Chcesz miętówkę?

Listillo prycha.

– Nie to nie.

Szczur ssie ją głośno i zapamiętale.

– Debile – mówi wreszcie do tłumu w dole. – Debile.

Listillo wzdycha.

– Głupota jest funkcją rozpaczy. A że oni już trafili do piekła.

– Głupoty nic nie usprawiedliwia – odpowiada Szczur.

– To nie powinno się odbywać w ten sposób.

– Znajdzie się kij. A na drzewach.

– Właśnie nie w ten sposób. – Listillo kręci głową. – Zabiłem dziś dwie osoby.

Twojego chłopaka.

– Wiem. – Szczur rzuca mu krótkie spojrzenie. – Jaki on mój. To wszystko

dzieje się samo.

Cwaniak spluwa.

– Jesteś gotowy? – pyta Szczura. – Jesteście?

Szczur kiwa głową.

– Pójdziecie już teraz? Jeśli będzie trzeba?

– Już trzeba – poprawia go Szczur.

– Czekamy tylko na Szoguna. Ma, na co czekaliśmy.

– Dobrze. A krety?

– Pójdą.

Szczur kręci głową.

– Debile.

* * *

– Nawet nie chcę wiedzieć, jak tu wszedłeś – mówi kobieta i odkłada pustą

szklanę.

Skórzany fotel usłużnie poddaje się jej ciału. Błede nogi odpoczywają oparte o

masywny stół, miód dębu i mleko skóry. Wielki tele wyświetla ślub brytyjskiego

księcia.

Mężczyzna stoi w progu. Smakuje chłód pokoju, ułtymatywny wyznacznik sta-

tusu. Nie pasuje tu i napawa się tym przez chwilę.

– Koszmarnie wyglądasz – mówi kobieta.

– To film czy rzeczywistość? – pyta ją, spoglądając na ekran.

– Dobre pytanie.

– Nie śpię od czterdziestu ośmiu godzin – mówi mężczyzna, ale nie ma w tym

żału.

Kobieta wstaje, przy barku robi drinka i podchodzi do mężczyzny. Na sobie ma

tylko koszulkę Legii Warszawa.

– Musisz wreszcie zdjąć antybfłyski – mówi do niego. – Skronie masz całe

opuchnięte.

Mężczyzna czuje jej zapach. Jest gorąco. Dywan ugina się pod nim gościnnie.

– Musisz się wykąpać – mówi kobieta. – Wyspać.

Brzęczą kostki lodu pływające w alkoholu.

– Co ty zrobiłaś?

Kobieta wypija drinka. Studiuje grubość szkła w dłoni, a potem podnosi wzrok, dwa zmęczone błękity, na jego okulary.

– Nic nie mogłam zrobić.

– Widzisz, co się dzieje. – Mężczyzna mówi cicho. – To był jeszcze dzieciak.

Nawet nie wiem, czy skończył seminarium.

– Dopiero zaczął.

Do opuchniętej wargi przykładają mu zimną szklankę. Lód wewnątrz topi się powoli.

– Naprawdę musisz je zdjąć.

– Co ty zrobiłaś?

– Macie to?

Mężczyzna mija ją tak, by jej nie dotknąć. Sam nalewa sobie wódki.

– Więc macie. – Słyszysz za plecami.

Odwraca się do niej, dopiero jak wypija.

Kobieta patrzy na niego, opiera stopę o stół. Drobne palce, mężczyzna palce, mięta ich wyjątkowy zapach.

– Co z Generałem? – pyta ją.

Kobieta nie odpowiada. Zabiera stopę z ławy i opada na fotel, mocno i ciężko.

– Jestem tym taki zmęczony – mówi mężczyzna. Wciąż stoi, bezradny i słaby.

Milczą, patrząc gdzieś obok.

– Masz tu aktywne gniazdo.

– Więc po to przyszedłeś.

– Potrzebna mi stabilna modermówka z Ce-trix.

– Taki zmęczony.

Mężczyzna nie wie, czy ona go przedrzeźnia.

Kobieta wstaje i rusza w stronę drzwi.

– Elwira.

Ona zatrzymuje się, ale nie odwraca.

– Jak się czujesz?

Kobieta wychodzi.

* * *

Szogun rozmawia z gigantycznym sercem. Carbonatrix przyspiesza, wszystko przyspiesza.

Szogun, świetlisty punkt, zanim rozplątał się bez-awatarem, pokazał im, demoscenie z jego Dziury, kto jest kozak.

Zapłonął gwałtownie, efekciarsko, w samym środku pustawej siatki peryferyjnych adresów. Prowincjonalny playboy, lokalny mesjasz. Przechuj, który spuścił się mocą i aktywnością, aż dostał zwrotny raport o granicznej aktywności bliterów i zwiększeniu poboru prądu wiatraków chłodzących bataliony kilkusetmegaherzowych bestii Motoroli, na których sam kiedyś – w poprzednim życiu tam – budował Ce-trix polskiej Dziury.

Szogun zablęsnął płomieniem jasnym i mocnym, który wystrzelił liniami siatki we wszystkich kierunkach, i w tej maleńkiej drobinie czasu, zanim spłonął, zrealizował jeszcze wszystkie zaległe misje. Niech wiedzą, niech mają. Lokalny mesjasz, kurwa ich mać.

Gdy zniknął, przyglądał się fali uderzeniowej, jaką po sobie zostawił, wierząc sięgnięciu sceny, podziwowi, hysterii i zazdrości, a potem drobnemu przesunięciu nawet w centrum Ce-trix. Wreszcie poczuł się niezłe. Pierwszy raz od tak dawna, że aż go zdziwiło, jakie to dobre.

Potem zniknął, a wolno dogasające powidoki pożaru, który wywołał w licznych adresach pamięci, uniemożliwiły jego wytropienie.

Wtedy Szogun zabrał się do pracy.

Nigdy nie wie, gdzie szukać Centrali, po prostu daje się jej znaleźć. Adres zna jedynie z grubsza, kluczy więc, od rejestru do rejestru, niby niewidoczny, jak pedał w parku o północy.

Daje się znaleźć.

Władza, siła, gwałt. Centrala bierze go, zabiera nie wiadomo dokąd. Pedał w parku.

Trójwymiarowa kanciasta przestrzeń o ściśle zdefiniowanych wymiarach, sześć granicznych powierzchni. Zamknął go, zamknęli, w pozornie niedbale postawionej klatce: raster o ograniczonej rozdzielczości i niewielkiej liczbie kolorów. Każda ze ścian przedstawia to samo zdjęcie: roześmiana młoda para, piękna, uroczysta. Welon, suknia i perły, mucha i garnitur. Elwira i General.

Nostalgia chwytła Szoguna ciepłym, zbyt mocnym uściskiem: byli wtedy tacy młodzi.

Pojawia się Centrala. Gigantyczne serce, niemal szczelnie wypełniające cyfrową klatkę. Biję miarowym, tłustym rytmem, w którym jest i grzmot, i mlaśnięcia bestii, i przedwieczny szum najstarszego oceanu. Triumf życia i pierwotnej mocy, idący naturalnym pogłosem do każdej komórki pamięci Carbonatrix.

Szogun, postawiony przed jego obliczem, za każdym razem jest przekonany, że ten pogłos wychodzi z samego jądra Ziemi, z jądra wszystkiego. Gdy wraca do Dziury, wrażenie mija. Ale teraz trwa.

Można tylko czekać. Szogun napawa się łomotem.

– Dostałeś przesyłki – mówi Centrala. – Kobietę i kość.

To nie jest pytanie.

– Kopiujesz Retro.

Szogun milczy.

– Uruchom go natychmiast po przekopowaniu.

Szogun dostaje dreszczy, dziwnie odczuwa wymęczone ciało, gdzieś tam, poza digiklatką. Ale chyba rozumie, jest przygotowany.

– Nie da się samemu wyciągnąć za włosy z bagna, co?

– Jeśli wniebowstąpienie nie wchodzi w grę – odpowiada Centrala – spróbuj wniebowzięcia.

– Odetniemy im Ce-trix – mówi Szogun. – Co wtedy? Co z nią zrobicie?

– Nic. Właśnie o to chodzi. Wyłączamy dostęp do broni masowego rażenia.

– Wszystkim.

– Wszystkim. I Moskwa wie, że Waszyngton wie, jaki jest układ sił. Będzie po wszystkim.

– Tysiące ofiar, dziesiątki tysięcy.

– Zrób rachunek dla alternatywy.

Szogun zastanawia się przez chwilę. Nie powinien być tym obciążony. Wtedy uświadamia sobie, że nigdy nie usłyszał, że jest jedyny.

– Jak się nazywasz? – pyta superserce. – Jak nazywacie się dla innych, takich

jak ja? W pozostałych Dziurach?

– Jesteś zmęczony – odpowiada Centrala.

– Co stałoby się, gdybym nie uruchomił Retro?

– Winda już na was czeka. Zabezpieczyliśmy wyjście. Lekarze, szczepionki.

– Bez tej jednej Dziury. Czy to coś istotnie zmienia?

– Jesteś zmęczony – mówi do niego Centrala. Serce bije teraz szybko, wściekły megafłok.

– Nie muszę się martwić o to, kogo zastanę na górze. Jestem bohaterem dla jednych i drugich.

Brak odpowiedzi.

– Przeliczasz coś – mówi Szogun.

– Jesteś zdrajcą – odpowiada Centrala. – Dla jednych i drugich.

– Ale to ja zadecyduję, czy wyjedzie Generał, czy Szogun.

– Powiem im.

– Nic tam nie możesz – tłumaczy Szogun. – Beze mnie nie trafisz do siatek na powierzchni.

– I nie zablokuję rakiet.

– I nie zablokujesz rakiet.

– Uruchom Retro po przekopiowaniu – powtarza Centrala.

– Nie rozumiesz podstawowych rzeczy.

– Winda, szczepionki.

– Nie jesteś człowiekiem – mówi łagodnie Szogun. – A mogłeś to wygrać.

– Działaj. Czekam.

– Wygrałobyś. Tylko nic nie rozumiesz.

– Czekam.

Szogun, świetlisty punkt, atom po atomie składa się z powrotem. Wielokrotnie przelyka żółć, nie potrafi wstać z fotela, a trzęsące się palce nie mogą wypiąć wtyczki z gniazda na karku.

Dotyk obcej, pomocnej dłoni.

Odwraca się.

– Jedźmy po Robala – mówi Elwira. – Bo to chyba już.

Eksplozje z oddali jak echa tłustego rytmu cyberserca.

* * *

– Był Robal? – pyta Szogun i opuszcza lufę spluwy.

– Poszedł do budek telefonicznych w korytarzach – odpowiada Monika.

Szogun i Elwira wchodzą do dziupli, w której zostawił Monikę.

Kobiety ostentacyjnie lustrują się wzajemnie. Szogun siada na podłodze, pochyla się nad padem i monitorem.

Ruszyli od niej pieszo. Elwira dała mu pistolet Generała, który ledwo zmieścił się w kieszeni kurtki. Brzydki przedmiot, Szogun nigdy go nie lubił.

Prowadził ją, ubraną po cywilnemu, za rękę, jak Monikę, tak dawno temu. Ścisnął jej chłodną dłoń, ścisnął chwyt broni, nie mówił nic i brnął, od cienia do cienia.

Patrzyli na nich. Przyglądali się jej i jego antyblyskom, ale nikt nie ośmielił się podejść ani ruszyć ich śladem. Ci, którzy by chcieli, potrafili czytać jej spojrzenie i wyrzucenie w jego kurtce.

A pasażer pękły, wrzód nabrzmiał i wreszcie wylał, fetorem i trucizną. Stragany płonęły. Smród topiącego się tworzywa. Rozgrzany metal. Szklany grad. Wrzeszczący ludzie przemieszczali się grupami, które gęstniały, puchły i w najmniej spodziewanych momentach zaczynały nagle krwawić. Strzały znikąd, palce wysoko w geście zwycięstwa. Dużo wódki i karbonady, puste butelki roztraskiwane o poranione neony. Stado mężczyzn upolowało kobiety, walczyli między sobą, który pierwszy. Głucha Chinka przestała się bronić. Patrzyła na Szoguna i Elwirę, jakby zdziwiona, że trzymają się za ręce. A potem ją opadli.

Byli już prawie u celu, gdy chaos zaczął krzepnąć.

Wpadli na kilku zomaków. Szturmowe mundury, pały i strzelby. Milicjanci poznali ją, zamarli w pół kroku i ciosu. Szogun spojrzal w przyłbicę ich lidera. Gdy przyszczaty gówniarz uśmiechnął się do niego, pistolet Generała zrobił się lekki.

Jedni i drudzy poszli w swoją stronę. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

Teraz, w dziupli.

– I jak? – pyta Elwira.

– Gotowe – odpowiada Szogun znad monitora. – Plik się skopiował.

– Co teraz?

– Mam go uruchomić w Ce-trix.

Kobiety stoją oparte o przeciwległe ściany, on między nimi, siedzący po turecku na lepszej podłodze, niczym jądro tego wyjątkowego atomu o chwilowej, kruchej symetrii. Obserwują go, jak podłącza konsolę do kabla idącego od gniazdka w ścianie.

Mijają sekundy, odliczane komendami wybieranymi z pada.

– Kurwa mać – mówi Monika z uznaniem dla chwili.

Nagle włącza się tele. Przemawia Generał. Kobiety słuchają. Metaliczny głos i słaby synchron dźwięku z komputerowo animowanym ruchem ust. Należy natychmiast wrócić do pokoi, siły porządkowe już reagują na chuligańskie wybryki.

Szogun nawet nie podnosi wzroku znad monitora.

Po chwili wyłącza go i odłącza konsolę. Pakuje ją do torby i wstaje.

– Kurwa mać – powtarza Monika.

Coś przychodzi jej do głowy. Jeszcze raz zerka na postać na ekranie, potem na Szoguna, i znowu na ekran, i znów na Szoguna, który odwzajemnia jej uśmiech.

– To już – mówi Elwira.

Ostry pisk. Generał na tele znika.

Brak dźwięku. Nowy obraz, który z początku biorą za statyczny.

Ujęcie spod sufitu, z samego rogu pomieszczenia, niczym milic-kamera z pasażerem. Pokój bez żadnych mebli i widocznych okien. Na środku mężczyzna siedzący na krześle. Zbliżenie kamery. Mężczyzna jest młody, pobity i za szyję przywiązany do wysokiego oparcia.

Licznik w rogu pokazuje aktualną godzinę i datę. Idzie na żywo.

Patrzą po sobie wszyscy troje.

– To wiadomość do nas – mówi Szogun. – Do mnie.

– Znasz go? – pyta Elwira.

– Nie.

– Ja też.

Monika kręci głową.

– Skąd wiesz? – pyta znów Elwira. – Że do ciebie?

– To nie jest od Generała – mówi Szogun. – To z Centrali.

Powietrze w dziupli gęstnieje. Mężczyzna na ekranie spogląda w kamerę, jedynym okiem, którym jeszcze może. To, co brali za blizny albo tatuaże, to przemysłowe zszywki, wbite w jego policzki i skronie.

– Co zrobiłeś? – Elwira przygląda się Szogunowi.

Do środka wchodzi Robal.

Chce coś powiedzieć, ale patrzy po nich, spogląda w tele i zamiera. Upuszcza strzelbę i sportową torbę. Patrzy na twarz na ekranie. Zaczyna płakać, gęste wąsy i wszystkie podbródki dygoczą. Robal patrzy w ekran i trzęsie się cały, wibruje w żalśnie bezsilny sposób.

Pobity, schwytyany mężczyzna na tele.

Szogun próbuje przełknąć ślinę i nie może. W gardle ma glistę, która puchnie i rozpycha się.

– Jacku – mówi Elwira i wyciąga dłoń w stronę Robala.

Grubas próbuje wziąć głęboki wdech, ale nie może, rzuca się jak w zapętlonym gifie. W końcu schyla się po broń. Podchodzi do tele, pluje w ekran i kolbą rozpieprza ekran. Zostaje tak, tyłem do nich, ze zwieszoną, ciężką głową.

– Jacku.

Glista w gardle, Szogun aż drapie się po grdyce.

– Znaleźli go. I teraz.

Ledwo go słyszą.

– Przeze mnie.

Odwraca się do nich.

– Cóż – mówi, sięgając do torby. Przeładowuje broń.

Podchodzi do Szoguna. Jeszcze nigdy nie wydawał mu się tak wielki.

– Który to raz się żegnamy?

– Nie musimy.

Robal zarzuca torbę na ramię, ściska strzelbę i wychodzi. Cicho zamyka za sobą drzwi. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

Kobiety patrzą na Szoguna.

– Nie wiem – mówi do nich. – Naprawdę nie wiem.

Każdy tu przed czymś uciekł. Każdy z bagażem.

Błysk zrozumienia niemal go przewraca.

I wtedy mówi coś jeszcze, ale już sam nie wie co. Robal przestaje się liczyć,

Dziura przestaje się liczyć.

Szogun chce wyc. Umiera tam, w śmierdzącej norze głęboko w ziemi, i trwa w żalobie przez całe wieki.

Wszystko w sekundę. Zależy jak liczyć.

Mężczyzna zacina się i przygląda Elwirze.

– No co?

– Nic.

Ona nie rozumie, na szczęście. Nie ma pojęcia, przynajmniej na razie.

– To była wiadomość do ciebie? – pyta Monika. Mruży opuchnięte oczy.

– Zamknij się – warczy Szogun.

I zanim którakolwiek zdąży się odezwać, podnosi z podłogi torbę.

– Zabierz nas – mówi do Elwiry. – Do Sekretnej Windy.

Wychodzą z dziupli i idą pustym, pokrzwawionym korytarzem. Gdy mijają budki

telefoniczne, telefony rozdzwaniają się, jeden po drugim.

Szogun krzywi się na nie i spluwa. Jak Robal, przyjaciel.

* * *

Suną do góry, w ciasnej klatce metr na metr, ciało przy ciele.

Uciekają z płonącego piekła w nieznanne.

Nie musieli zabijać po drodze i nie dali się zabić. Gdy automaty kompleksu

skanowały siatkówkę Elwiry, mężczyzna i dziewczyna zabezpieczali tyły.

– To była wiadomość do ciebie – szepnęła dziewczyna.

– Tak.

– Skoro dokopali się do tej historii z Robalem, twoją historię znali tym bardziej.

– Tak.

– Boże.

Jakby miał płuca pełne piachu.

– Może do niej nie dotarli – podjęła dziewczyna. – Nie znaleźli jej. Albo Centrala blefowała.

Elwira wciąż przy skanerze.

– Może – odparł Szogun.

Wiedzieli, że to nieprawda.

– Była chora? Jak ją tam zostawiliście?

– Nie.

– Ile miała lat?

– Niecałe dwa.

Elwira wciąż przy skanerze.

– Monika.

– Tak.

– Nie mów jej. Proszę.

Teraz wznoszą się, ciało przy ciele. Są na tyle blisko, że mieszają się ich zapachy

i myśli. Suną tak długo, że monotonna wibracja miesza im błędniki i sami nie wiedzą,

czy winda jedzie w górę, czy w dół. Ale żadne nie powie tego głośno.

– Zastanawiam się – szepcze Elwira. Nie śmie podnieść głosu. – Po co ta

wiadomość z Centrali. Dostali, czego chcieli.

– Nie – odpowiada Szogun.

– Co?

– Nie. Nie uruchomiłem Retro w Carbonatrix.

– Co?!

– Nie.

Każde z nich rozważa to, co powiedział.

Mechanizm windy szumi regularnie, jakby odliczał nie wiadomo do czego.

Któryś z nich wtóruje mu bezwiednym, skromnym zawodzeniem. Kręci im się w głó-

wach. Winda kurczy się i ich poddusza.

Brak słów gryzie uszy. Ale on i tak nie wie, co powiedzieć. Czuje, jak płoną mu nogi, płuca, oczy. Jest taki zmęczony.

– To by nic nie zmieniło – mówi Monika. – Nie przejmuj się. Transmisja poszła niemal natychmiast, mieli to przygotowane i tak.

– I tak – powtarza za nią Szogun albo tylko mu się wydaje, że to robi.

Wznoszą się, opadają, ciało przy ciele. Szogun czuje serca kobiet, mimochodem

wchłania ich tętna.

Jeśli wniebowstąpienie nie wchodzi w grę, spróbuj wniebowzięcia.

Wznoszą się.

Przysypia, budzi się i czuje czyjaś dłoń w swojej, obrzmiałej i bezładnej. Myli je, dopiero po chwili orientuje się, że to dłoń Moniki. Z trudem patrzy na jej opuchniętą twarz, ogoloną posiniaczoną głowę. Już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Winda zatrzymuje się. Drzwi ruszają. Światło, tyle światła.

* * *

Mężczyzna stoi przy oknie. Patrzy na zalesiony szczyt, na błękit nad nim, tak jednolicie gęsty, że wyglądający jak namalowany barwą o stałych współrzędnych.

Świat pachnie, więc jest.

– Wracaj tu – mówi kobieta. – I mnie przykryj.

Mężczyzna odwraca się.

Kobieta leży na podłodze, wciąż szukając oddechu.

Mężczyzna podchodzi i klęka.

Teraz oboje mają okulary, lekkie blokery światła słonecznego. Kobieta dotyka dłonią jego skroni, wędruje palcami wzdłuż rozpulchnionej blizny po antyblaskach.

Dotyka nosa, ust. Stuka w oprawkę blokera. Mężczyzna na chwilę odsuwa głowę.

– Pamiętasz jeszcze nasz ślub? – pyta go.

– Nie wiem. Nie wiem, czy dobrze pamiętam.

– Ja pamiętam. – Kobieta uśmiecha się.

Blokery szejdują jej znoszone oczy w grafikę poświęcenia, od której jest mu jeszcze ciężiej.

– To było tak dawno – mówi kobieta. – A teraz jesteśmy wolni.

Bierze w dłonie jego twarz. Oboje myślą o tych, którzy nie doczekali, bo, spro-
wokowani, wyrwali się zbyt wcześnie.

– Niewiele brakowało – mówi mężczyzna.

– Niewiele brakowało.

Nachyla się, by pocałować jej brzuch.

– Nie mogę przestać o nich myśleć – mówi ona.

On powstrzymuje się od zerknięcia na telefon na stoliku.

– Cicho – mruczy. – Jak się streścimy, zdążymy przed zastrzykami.

Całuje ją.

Ona tężeje, na chwilę.

– Znajdziemy ją, prawda?

Zamyka oczy i ją całuje.

– Znajdziemy?

– Znajdziemy – odpowiada mężczyzna.

Za oknem wszystkie błękity i czernie, jak morza i oceany.

Mężczyzna myśli o tym, że telefon w końcu zadzwoni.